

*Steel Danielle*

## *Dziedzictwo*

*Poruszająca opowieść o przygodzie i miłości łącząca losy dwóch odważnych kobiet - od amerykańskich prerii, przez arystokratyczne salony rewolucyjnej Francji, po sale wykładowe współczesnego Bostonu.*

*W ciągu jednego dnia Brigitte Nicholson traci wszystko, co kochała: narzeczonego i stanowisko na uniwersytecie. Żeby zapomnieć o upokorzeniu i goryczy, Brigitte zgadza się pomóc matce w odtworzeniu rodzinnego drzewa genealogicznego. Wertując stare dokumenty, odkrywa zdumiewającą historię przeszłości swojej rodziny. I zdumiewającej kobiety, która w XVIII wieku przebyła niezwykłą drogę od Wielkich Równin Ameryki po zamek w Bretanii i ramiona francuskiego arystokraty. Jej tajemnica prowadzi Brigitte do Paryża - na spotkanie z własnym dziedzictwem, z historią uczucia silniejszego niż uprzedzenia, na spotkanie z miłością...*

## Brigitte

Brigitte Nicholson siedziała przy swoim biurku w dziale rekrutacji Uniwersytetu Bostońskiego. Przeglądała podania, od czasu do czasu zerkając na gęsto sypiący śnieg za oknem. Inni pracownicy już je sprawdzali, ale ona zawsze lubiła jeszcze raz rzucić okiem, by mieć pewność, że wszystko w porządku. Dokonywali właśnie klasyfikacji i za sześć tygodni należało rozesłać kandydatom na studia zaświadczenie o przyjęciu na uczelnię lub odmowie. Z pewnością więc jedni będą uszczęśliwieni, więcej będzie załamanych. Świadomość, że decyduje się o życiu i przyszłości ambitnych młodych ludzi, była przytłaczająca. Ostatecznego wyboru dokonywała komisja, ale do obowiązków Brigitte, oprócz weryfikacji podań, należało przeprowadzenie indywidualnej rozmowy na prośbę kandydata. W takich wypadkach uzupełniała dokumenty swoimi uwagami. Na ostateczny rezultat miały wpływ oceny, wyniki testów, opinie nauczycieli oraz działalność dodatkowa i osiągnięcia sportowe. Kandydat miał szansę na przyjęcie, jeśli dobrze rokował, znaczy mógł stać się atutem uczelni. Zawsze

czuła ciężar decyzji na swoich barkach. Dlatego niezwykle starannie przeglądała dokumenty. Musiała mieć na uwadze dobro uniwersytetu, a nie przyszłych studentów. Przywykła, że jej telefon dzwoni bez przerwy, że przychodzi mnóstwo e-maili od zaniepokojonych psychologów ze szkół średnich, gotowych na wszystko, byle pomóc swoim kandydatom. Brigitte była dumna, że związała się z Uniwersytetem Bostońskim. Aż sama dziwiła się, że pracuje tu już dziesięć lat. Minęły jak z bicza strzelił. Nie zmieniła dotąd stanowiska, odrzucała propozycje awansu. Zaspokajało jej ambicje, że jest „trzecia po Bogu”, zresztą nigdy nie miała parcia na karierę.

W wieku dwudziestu ośmiu lat Brigitte, absolwentka college'u, wstąpiła na Uniwersytet Bostoński, żeby uzyskać magisterium z antropologii. Po ukończeniu wcześniejszych studiów trochę pracowała dorywczo, potem dwa lata w schronisku dla kobiet w Peru i w Gwatemali, przez rok podróżowała po Indiach i Europie. Miała już licencjat z antropologii na Uniwersytecie Kolumbijskim i zaliczone seminarium: Feminizm a społeczno-kulturowa tożsamość płci. Trudna sytuacja kobiet w krajach słabo rozwiniętych zawsze ją interesowała. Brigitte zamierzała pracować w biurze rekrutacji do czasu uzyskania dyplomu, potem wyjechać na rok do Afganistanu. Zmieniła zdanie, została podobnie jak wielu absolwentów, którzy, studiując, pracowali na uniwersytecie. Było to dogodne i niekłopotliwe; polubiła miłą, bezpieczną atmosferę tego miejsca, przystani dla naukowców i ludzi młodych. Gdy tylko zdobyła stopień magistra, pomyślała o doktoracie. Środowisko akademickie z jego intelektualnymi wyzwaniem ją wciągnęło. Naprawdę lubiła swoją pracę. Angażowała się emocjonalnie i czuła potrzebna.

Mieli ponad szesnaście tysięcy studentów, a co roku ponad trzydzieści tysięcy podań o przyjęcie. Brigitte sumiennie przestrzegała procedur wyboru. Zresztą była bardzo skrupulatna we wszystkim, co robiła. Przygotowywała się do obrony pracy doktorskiej, chodząc na zajęcia w każdym semestrze. W wieku trzydziestu ośmiu lat czuła się spełniona. Przez ostatnie siedem lat pracowała nad książką. Dotyczyła praw kobiet na całym świecie, w tym uprawnień wyborczych. Brigitte także o tym pisała, przygotowując się do magisterium.

Uważała, że możliwość głosowania jest sprawą kluczową w prawach kobiet. Znajomi, którzy czytali publikacje, byli pod wrażeniem elokwencji Brigitte. Jedyne zarzut to to, że czasem za bardzo zagłębia się w szczegóły badanego zagadnienia, bo wtedy traci szerszą perspektywę. Była życzliwa i uprzejma, godna zaufania i odpowiedzialna. Niezwykle pracowita i dokładna we wszystkim. Najlepsza przyjaciółka, Amy Lewis, wytykała Brigitte, że brakuje jej pasji i namiętności. Podchodzi do wszystkiego zbyt racjonalnie, kieruje się bardziej rozumem niż sercem. Brigitte uważała pasję w rozumieniu Amy za wadę, a nie zaletę za coś wręcz niebezpiecznego. Coś, co powoduje utratę perspektywy i kierunku. A ona wolała trzymać się wytyczonego kursu i konsekwentnie zmierzać do celu.

Nie znosiła zamieszania w czymkolwiek ani ryzyka. To nie w jej stylu. Przyznawała, że podejmuje decyzje powoli, rozważając wszystkie za i przeciw.

Doszła do wniosku, że jeśli skończy książkę i uzyska tytuł doktora w wieku czterdziestu trzech lat, będzie całkiem zadowolona. Jej zrównoważony, zawsze przemyślany sposób postępowania doprowadzał Amy do szału. Uważała,

że Brigitte powinna żyć pełniej, że brak jej spontaniczności w tym, co robi. Amy była pracownikiem opieki społecznej i dyplomowanym psychologiem rodzinnym, zajmowała się problemami małżeńskimi. Prowadziła poradnię uniwersytecką; chętnie udzielała Brigitte rad i dzieliła się z nią swoimi opiniami. Stanowiły zupełne przeciwieństwo, a mimo to bardzo się przyjaźniły. Amy, śmiała i otwarta, radziła sobie ze wszystkim - na poziomie emocjonalnym, intelektualnym i zawodowym. Brigitte była wysoka, szczupła, niemal koścista, miała kruczoczarne włosy, ciemne oczy, mocno zaznaczone kości policzkowe i oliwkową cerę. Przypominała Włoszkę lub kobietę z Bliskiego Wschodu, ale jej korzenie wywodziły się z Irlandii i Francji. Kolor włosów odziedziczyła po ojcu, Irlandczyku. Amy była niewysoką pulchną blondynką ze skłonnością do tycia, jeśli nie ćwiczyła, i pełnym pasji podejściu do życia. Brigitte zarzucała jej, że jest nadpobudliwa, a skupienie uwagi ma takie jak pchła, co zresztą nie odpowiadało prawdzie. Amy wciąż angażowała się w jakieś nowe projekty. Podczas gdy Brigitte zmagiała się z pisaniem jednej wielkiej księgi, ona opublikowała już trzy rozprawy na temat wychowania dzieci. Miała ich dwoje, choć nie była zamężna. Po latach nieudanych romansów z młodszymi od niej słuchaczami kursów podyplomowych i żonatymi profesorami w swoje czterdzieste urodziny zgłosiła się do banku spermy. I teraz, gdy miała czterdzieści cztery lata, synkowie, w wieku roku i trzech lat, wprowadzali ją w stan obłądnej szczęśliwości. Wciąż namawiała przyjaciółkę, by zdecydowała się wreszcie na dziecko. Przecież w wieku trzydziestu ośmiu lat nie ma już czasu do stracenia, „jajeczka starzeją się z każdą minutą”.

Brigitte w ogóle się tym nie przejmowała. Współczesna nauka umożliwiała poczęcie dziecka w starszym wieku niż w czasach młodości jej matki, dlatego nie zaprzętała sobie tym głowy. Wiedziała, że pewnego dnia będzie miała dzieci i najprawdopodobniej poślubi Teda, choć nigdy o tym nie rozmawiali. W bezpiecznej atmosferze środowiska akademickiego było coś takiego, co wprawiało w przekonanie, w każdym razie Brigitte, że młodość nigdy nie minie. Amy sprowadzała przyjaciółkę na ziemię, powtarzając, że są w średnim wieku. Trudno było w to uwierzyć, patrząc na nie obie. Żadna nie wyglądała na swój wiek ani nie czuła się jak dojrzała kobieta, a Ted Weiss, chłopak Brigitte od sześciu lat, był młodszy od niej o trzy lata. Trzydziestopięciolatek wyglądał, czuł się i zachowywał jak dzieciak. Studiował wcześniej archeologię w Harvardzie, zrobił doktorat na Uniwersytecie Bostońskim i od sześciu lat pracował na wydziale archeologii. Jego konikiem były wykopaliska. Uniwersytet Bostoński prowadził je w różnych częściach świata, w Egipcie, Turcji, Pakistanie, Chinach, Grecji, Hiszpanii i Gwatemali. Ted odwiedził każde co najmniej raz. Brigitte nigdy z nim nie pojechała. Kiedy go nie było, więcej czasu poświęcała na gromadzenie dokumentacji do książki. Teraz podróże interesowały ją dużo mniej niż po ukończeniu college'u. Ich związek był udany, czuła się szczęśliwa. Mieszkali niedaleko siebie, każde w swoim apartamencie, i spędzali razem weekendy, zazwyczaj w jego mieszkaniu, bo było większe. Ted gotował, nie Brigitte. Często spotykali się z jego studentami z kursów podyplomowych, którzy robili doktorat tak jak Brigitte. Odwiedzali też innych wykładowców na

ich wydziałach. Uwielbiali życie akademickie, mimo że praca Brigitte w biurze rekrutacji nie była czysto naukowa. Na uniwersytecie panowała atmosfera absolutnego oddania się nauce i oboje przyznawali, że wciąż czują się jak studenci. Byli spragnieni wiedzy i uwielbiali środowisko intelektualistów. Tak jak na wszystkich uniwersytetach zdarzały się tu skandale, romanse i akty małostkowej zazdrości, ale czerpali radość z życia, jakie wiedli.

Wyobrażała sobie, że kiedyś wyjdzie za Teda, choć nie miała pojęcia kiedy. Pewnego dnia na pewno poprosi ją o rękę. Nie mieli powodu, żeby brać ślub teraz. Pełna rodzina owszem, ale jeszcze nie teraz. Oboje czuli się zbyt młodzi, aby żyć inaczej, niż żyli. Matce Brigitte, podobnie jak Amy, to się nie podobało i przypominała córce, że młodość przemija. Brigitte śmiała się z nich i mówiła, że nie musi przygwaźdzać Teda do podłogi, gdyż on nigdzie się nie wybiera, na co Amy zawsze odpowiadała sceptycznie: „Nigdy nic nie wiadomo”. Na taką opinię miały wpływ jej doświadczenia z mężczyznami. Przekonała się, że lepiej nie ufać facetom, choć nawet ona przyznała, że Ted to naprawdę miły chłopak i nie ma w nim nic z łajdaka.

Brigitte otwarcie mówiła, że go kocha, ale nie rozmawiali o tym dużo, podobnie jak o przyszłości. Żyli terażniejszością. Byli zadowoleni z samotnego życia w dniach poświęcanych pracy, a wspólnie spędzane weekendy były zawsze relaksujące i udane. Nigdy się nie kłócili; nie zgadzali się ze sobą tylko w paru sprawach. Całkiem wygodny układ. Wszystko w życiu Brigitte wydawało się stabilne -praca, związek z Tedem oraz powolne, lecz równomierne tempo pracy nad książką, którą miało opublikować wydawnictwo akademickie.

Zdaniem Amy życie Brigitte nie było ekscytujące, ale jej odpowiadało. Właśnie takie bez podnieć emocjonalnych i zawirowań. Patrząc daleko w przód, wiedziała, dokąd zmierza. Przypominało podróż. Nie spieszyła się, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia, nie musiała zmieniać planów ani decyzji. Mimo sceptycyzmu matki i Amy, nawet nie pomyślała: a nuż mają rację.

- No więc czyje życie dziś rujnujesz? - spytała Amy z szelmowskim uśmiechem, gdy wpadła do biura przyjaciółki.

- Och, to straszne! - odparła Brigitte, udając poważną. - Przeciwnie, sprawdzam wszystko, żeby upewnić się, że kandydaci przysłali kompletne dokumenty.

- Żebyś mogła potem ich odrzucić. Biedne dzieciaki. Wciąż pamiętam te okropne listy: „Mimo że twoje postępy na ostatnim roku zrobiły na nas wielkie wrażenie, to nie mamy pojęcia, co, u diabła, robiłaś przez cały pierwszy rok. Byłaś pijana, odurzona narkotykami czy też niewiarygodnie leniwa? Życzymy ci szczęścia w twoich dążeniach, ale nie w naszej uczelni”. Cholera, płakałam za każdym razem, kiedy dostawałam coś takiego, i matka też. Myślała, że skończę w McDonalddie. To nie taka zła praca, ale ona chciała, żebym została lekarką. Dopiero po latach mi wybaczyła, że jestem „tylko” pracownikiem socjalnym.

Brigitte wiedziała, że oceny Amy na pierwszym roku nie mogły być takie złe, skoro dostała się na Uniwersytet Browna i zdobyła tytuł magistra nauk ścisłych na Uniwersytecie Stanfordzkim, zanim skończyła studia z opieki socjalnej na Uniwersytecie Kolumbijskim w Nowym Jorku.

Na bostońskiej uczelni wszyscy byli snobami. W środowisku akademickim naprawdę liczyło się to, gdzie ktoś



zdobył stopnie naukowe, tak jak później miało znaczenie, jak często publikuje się swoje prace. Gdyby Brigitte uczyła na Uniwersytecie Bostońskim, nie mogłaby zajmować się pisaniem książki przez siedem lat, tylko musiałaby wydać ją wcześniej. Żyłaby pod większą presją i właśnie dlatego była zadowolona, pracując w dziale rekrutacji. Nie odczuwała ducha rywalizacji, jaki jest potrzebny do utrzymania się na stanowisku wykładowcy. Amy prowadziła zajęcia z psychologii dla studentów oraz poradnię i w obu miejscach dobrze sobie radziła. Na czas pracy zostawiała dzieci w ośrodku opieki dziennej w kampusie. Uwielbiała młodych ludzi. Założyła na uniwersytecie pierwszy telefon zaufania dla osób nieradzących sobie z rzeczywistością, załamanych, po tym jak w pierwszych latach udzielania porad psychologicznych straciła w tragicznych okolicznościach paru studentów. Przypadki samobójstw zdarzały się często na wszystkich wyższych uczelniach; to zjawisko wszystkich niepokoiło. Brigitte nie lubiła uwag sugerujących, że rujnuje życie osobom, których podanie odrzuca. Nie znosiła takiego myślenia. Amy jak zwykle nie owijała w bawełnę i mówiła wprost, co myśli.

- A więc co robisz dziś wieczorem? - spytała znacząco, rozsiadając się na krześle po drugiej stronie biurka Brigitte.

- Dziś wieczorem? Czemu pytasz? To jakiś szczególny dzień? Amy tylko przewróciła oczami.

- Powinien być szczególny, jeśli spotykasz się z facetem od sześciu lat. Jesteś beznadziejna. Walentynki, na miłość boską! No wiesz, czerwone serca, kwiaty, czekoladki, pierścionki zaręczynowe, oświadczyzny, wspaniały seks, łagod-

na muzyka, kolacja przy świecach, te rzeczy. Nie wybierasz się nigdzie z Tedem? - Spojrzała na Brigitte zawiedziona. Mimo swoich nieudanych związków Amy uwielbiała wszystko, co romantyczne, i choć Brigitte i Ted byli cudowni, zawsze uważała, że brakuje im romantyzmu. Martwiła się o przyjaciółkę, obawiając się, że omijają ją rzeczy, które są w życiu ważne.

- Chyba oboje o tym zapomnieliśmy. - Brigitte była zakłopotana. - Ted pracuje nad artykułem, a ja ugrzęzłam w podaniach. Zostało nam tylko sześć tygodni, żeby je przejrzeć. I mam dwie prace do napisania na swoje zajęcia. Poza tym pada śnieg i jest zbyt paskudny wieczór, żeby gdzieś wychodzić.

- To zostańcie w domu i świętujcie w łóżku. Może Ted ci się dziś oświadczy? - Amy była naprawdę podekscytowana, a Brigitte się roześmiała.

- Tak, na pewno, przecież ma artykuł do napisania na piątek. Może zadzwoni do mnie później i coś wymyślimy. Chińskie dania na wynos albo sushi. To nie jest jakaś wielka sprawa.

- A powinna być. Chyba nie chcesz zostać starą panną jak ja.

- Nie jesteś, ja też nie. O takich jak my mówią „kobiety niezamężne”. W dzisiejszych czasach stanowią ważną kategorię. To kwestia wyboru, a nie jakieś nieszczęście; starsi od nas wciąż mogą się żenić i mieć dzieci.

- Tak, może Sara z Biblii. Ile miała lat? Chyba dziewięćdziesiąt siedem, kiedy urodziła dziecko. Wtedy też takie przypadki nie zdarzały się zbyt często. Poza tym była mężatką. - Popatrzyła znacząco na przyjaciółkę, a Brigitte znów parsknęła śmiechem.

- Masz obsesję, w każdym razie jeśli chodzi o mnie. Sama jakoś nie starasz się szczególnie złapać męża. Dlaczego ja mam to robić? Zresztą, jesteśmy z Tedem zadowoleni z naszego układu. Teraz już nikt nie spieszy się ze ślubem. Po co robić z tego problem? - Brigitte pozostała niewzruszona.

- Po sześciu latach trudno to nazwać pośpiechem. Małżeństwo byłoby czymś zupełnie normalnym. Niedługo skończysz czterdzieści pięć lat, potem pięćdziesiątkę i po herbacie. Twoje jajeczka staną się prehistoryczne, Ted będzie mógł napisać rozprawę archeologiczną na ich temat. - Amy mimo żartobliwego tonu naprawdę tak myślała. - Może to ty powinnaś mu się oświadczyć?

- Nie wygłupiaj się. Mamy mnóstwo czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć. Chcę najpierw skończyć książkę, i studia doktoranckie. Wolę mieć tytuł doktora, zanim wyjdę za męża.

- To się pośpiesz. Jesteście najpowolniejszymi ludźmi na tej planecie. Wydaje ci się, że zawsze będziesz młoda. No cóż, mam dla ciebie złe wieści. Ciało wie lepiej. Powinnaś to wziąć pod uwagę.

- Pomyślę, za parę lat. A tak przy okazji, co robisz dziś wieczorem? - Brigitte wiedziała, że Amy nie była na randce od czasu, gdy zaszła w ciążę i urodziła pierwsze dziecko. Prawie nie miała życia towarzyskiego. Była zbyt zajęta pracą i domem. Chciała, żeby Brigitte też zasmakowała tego szczęścia. A Ted świetnie nadawał się na ojca; obie się co do tego zgadzały. Studenci go uwielbiali. Był ciepły, dobry i inteligentny. Miał wszystko, czego kobieta może chcieć od mężczyzny, i dlatego Brigitte go kochała. Był naprawdę miłym facetem.

- Mam namiętą randkę z synami. Idziemy na pizzę, a o siódmej wieczorem będą już spać jak zabici, więc pooglądam sobie telewizję i pójdę do łóżka o dziesiątej. - Uśmiechnęła się, Wstając. Miała spotkanie w swojej poradni ze studentem, którego skierował do niej opiekun pierwszego roku. Chłopak, cudzoziemiec, pierwszy raz przebywał z dala od domu i był w głębokiej depresji. Amy przypuszczała, że trzeba będzie skierować go do przychodni medycznej po leki. Najpierw jednak chciała z nim porozmawiać.

- Ciekawy plan - skomentowała Brigitte. - Wymyślę coś później z Tedem i przypomnę mu, gdyby zapomniał. Może po prostu uznał, że zjemy razem kolację. - Czasami tak robił, a właściwie oboje podobnie się zachowywali. Ich związek funkcjonował bez potrzeby określania go w jakiś sposób. Po sześciu latach Brigitte uznała, że zawsze będą razem. Nie mieli powodów, aby działać się inaczej. Nie trzeba było mówić o czymś ani wyryć w kamieniu tego, co wydawało się oczywiste. To im odpowiadało. Słowem określającym ich związek było „wygoda”, nawet jeśli Amy uważała, że przydałoby się im więcej romantyzmu lub namiętności. Brigitte tak nie myślała, ani Ted. Byli niefrasobliwi, nie musieli mieć ustalonych planów na przyszłość ani też potrzeby wyjaśniania wszystkiego. Ted zadzwonił do Brigitte dziesięć minut po wyjściu Amy z biura i wyglądało to na zbieg okoliczności. Lekko zdyszany, sprawiał wrażenie, jakby się spieszył, co było do niego niepodobne. Rzadko dawał się ponieść emocjom. - Wszystko w porządku? - Brigitte się zaniepokoiła. - Stało się coś złego?

- Nie, tylko małe zawirowanie. Dużo się tu dziś dzieje. Zobaczymy się na kolacji? - Kiedy mówił w ten sposób,

znaczyło, że ma na myśli spotkanie w domu. Chciał wpaść do niej po pracy. Brigitte знаła skrótowe określenia, których używali w rozmowach ze sobą, i wiedziała, o co mu chodzi.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. A jednak pamiętał. - Amy właśnie mi przypomniała, że dziś walentynki. Zupełnie zapomniałam.

- O cholera, ja też. Przepraszam, Brig. Chcesz, żebyśmy gdzieś wyszli?

- Jak ci pasuje. Mogę zostać w domu, zwłaszcza w taką pogodę. Opady śniegu nasiliły się i na ziemi leżała trzydziestocentymetrowa warstwa białego puchu. Jazda samochodem nie byłaby łatwa.

- Jest coś, co chciałbym dziś uczcić razem z tobą. Co myślisz o wczesnej kolacji u Luigiego? Możesz zostać potem u mnie na noc, jeśli chcesz. - Rzadko sypiali ze sobą w ciągu tygodnia; oboje lubili zaczynać dzień w swoich domach. Zwykle spędzali razem tylko weekendowe noce.

- Co takiego świętujemy? - Brigitte była zaskoczona. Wyczuwała podekscytowanie w jego głosie, choć starał się mówić spokojnie, ale i tak wiedziała, że jest czymś poruszony.

- Nie chcę zepsuć niespodzianki. Powiem ci, kiedy się spotkamy. Pogadamy przy kolacji.

- Dostałeś awans? - Musiała wiedzieć, co jest grane, tym bardziej że Ted roześmiał się, jakby miał jakiś sekret albo plan. Wszystko to było bardzo dla niego nietypowe i sprawiło, że Brigitte się zdenerwowała. A jeśli Amy miała rację i Ted wybrał walentynki, żeby się oświadczyć? Nagle serce Brigitte zaczęło bić szybciej, zakręciło się jej w głowie; wystraszyła się.

- To coś dużo ważniejszego. Nie masz nic przeciwko temu, żeby wziąć taksówkę? Spotkamy się u Luigiego. Wiem, że to niezbyt romantyczny sposób na rozpoczęcie walentynkowego wieczoru, ale muszę zostać w biurze do wieczora - powiedział przeprasząco.

\_ W porządku. Spotkamy się tam - odparła z drżeniem w głosie.

\_ Kocham cię, Brig - wydyszał do słuchawki, zanim się rozłączył. Była oszołomiona. Rzadko to mówił, chyba że w łóżku, i nagle Brigitte zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem Amy nie miała racji, wspominając o oświadczeniach. Zupełnie nie wiedziała, czy jest gotowa na przyjęcie oświadczeń. A właściwie była pewna, że wcale nie jest, ale wydawało się jej to całkiem możliwe. Pół godziny później, zjawiła się w gabinecie Amy. Spiorunowała przyjaciółkę wzrokiem. Spotkanie Amy z depresyjnym studentem właśnie się skończyło i odesłała go do psychiatry po leki. - Chyba przyniosłaś mi pecha. - Brigitte z udręczoną miną usiadła na krześle.

- Co się stało? - Amy zrobiła wielkie oczy.

- Właśnie zadzwonił Ted i zaprosił mnie na kolację. Powiedział, że ma jakąś niespodziankę, nie chodziło o awans, to coś więcej, i wydawał się tak zdenerwowany, jak ja teraz. O Boże, chyba chce mi się oświadczyć. Mam wrażenie, że się rozchoruję.

- Hura nareszcie! Przynajmniej jedno nabrało rozumu.

Posłuchaj, sześć lat życia razem to naprawdę aż za dużo.

Dogadujecie się ze sobą lepiej niż jakiegokolwiek małżeństwo, które znam. Będzie wspaniale!

- Nie żyjemy razem. Spędzamy tylko wspólnie weekendy.

- I jak długo jeszcze zamierzacie? Kolejnych sześć lat? Albo dziesięć? Jeśli Ted chce ci się oświadczyć, to dobry pomysł. Czas ucieka. Nie możecie żyć ciągle w zawieszeniu. - Dlaczego? To nam pasuje. - A może wcale nie. Wygląda, że on pragnie czegoś więcej, stabilizacji. Ty też powinnaś.

- Ależ chcę. Tylko nie wiem, czy akurat teraz. Po co wprowadzać zamieszanie? Jeśli coś działa, po co to naprawiać? Nasz układ wydaje się dobry taki, jaki jest teraz.

- Byłby jeszcze lepszy, gdybyście zalegalizowali wasz związek. Stworzyli coś razem, rodzinę, życie. Nie możecie wiecznie zgrywać studentów. Środowisko akademickie ma swoją specyfikę. Łudzimy się, że jesteśmy dziećmi, a to nieprawda. Pewnego dnia obudzisz się i uświadomisz sobie, że jesteś stara, a życie przeszło obok ciebie. Nie pozwól, żeby tak się stało. Zaslugujecie na coś lepszego. Teraz może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale będzie wspaniale. Uwierz mi. Musisz zrobić kolejny krok. - Amy uważała, że Brigitte powinna zadbać o swoją karierę. Mogłaby zostać szefową działu rekrutacji, ale nie chciała. Była po prostu sumienną, zwykłą urzędniczką i twierdziła, że dzięki temu ma więcej czasu na pracę nad książką i doktoratem. Brigitte nigdy nie miała potrzeby przewodzenia grupie. Zawsze była zadowolona, mogąc zajmować jakieś spokojne miejsce, nie czuła potrzeby walczyć o pozycję lidera. Nigdy nie lubiła podejmować ryzyka. Amy uważała, że to ma związek z dzieciństwem Brigitte. Jej ojciec był ryzykantem. Grał na giełdzie, gdzie zainwestował całe rodzinne oszczędności, stracił wszystko i popełnił samobójstwo. Matka potem męczyła się przez lata i ciężko pracowała, żeby utrzymać siebie i córkę. To tłumaczyło, dlaczego Brigitte nie znosiła

ryzyka. Gdy było jej dobrze, nie próbowała nic zmieniać. A Ted wydawał się zadowolony z takiego stanu rzeczy. Ale w pewnym momencie Brigitte musiała ruszyć do przodu, mimo że to ją przerażało. Nie mogła tkwić wiecznie w jednym miejscu. Bez ryzyka nie ma postępu. Amy miała wielką nadzieję, że Ted oświadczy się przyjaciółce tego wieczoru.

- Nie martw się. Jesteście w sobie zakochani, znacie się nie od dziś. Wszystko się uda. - A co będzie, jeśli wyjdę za niego i on umrze? - Brigitte pomyślała o swoim ojcu, w oczach miała łzy.

- Prędzej czy później jedno z was umrze wcześniej od drugiego, jeśli zostanieie ze sobą do starości - powiedziała Amy łagodnie. - Wydaje mi się, że jeszcze długo możesz się tym nie martwić.

- Po prostu czasami nachodzą mnie takie myśli. Wiem, co przeszła moja matka, kiedy tato zmarł. - Brigitte miała wtedy jedenaście lat i pamiętała, że matka często płakała, wychodziła ze skóry, by znaleźć jakąś posiadłość i zapewnić im utrzymanie. Została redaktorką w wydawnictwie, gdzie pracowała parę lat, i dopiero przed rokiem odeszła na emeryturę. Teraz mogła robić to, co zawsze chciała, a nigdy nie starczało jej czasu: spotykała się z przyjaciółmi, grała w brydża i w golfa, gimnastykowała się i chodziła na kurs gotowania. Zajmowała się też historią swojej rodziny i jej genealogią, którą uważała za fascynującą, podczas gdy jej córka była przeciwnego zdania. Ale Brigitte nie chciała nigdy być wdową z małym dzieckiem, jak jej matka. Wolałaby już na zawsze zostać singielką. Brigitte uporała się jakoś z następstwami samobójstwa ojca, chodziła na terapię. Wybaczyła mu, ale nigdy nie pokonała lęku przed zmianami i podejmowaniem ryzyka. Dlatego



była przerażona perspektywą oświadczyn tego wieczoru. Tak bardzo, że zanim wyszła na kolację, zadzwoniła do matki. Bez żadnych wyjaśnień zaczęła mówić o ojcu. Rzadko poruszała ten temat i matka była zdziwiona.

- Mamo, czy żałowałaś kiedykolwiek, że za niego wyszłaś? -  
Nigdy wcześniej o to nie pytała, choć często zastanawiała się nad tym. Zaskoczyła matkę.

- Oczywiście, że nie. Przecież miałam ciebie.

- A tak w ogóle? Czy wasze małżeństwo było warte tego wszystkiego, co przeszłaś?

Matka rozważała przez chwilę odpowiedź. Zawsze była z córką szczerą, miały dobre relacje. Przeżyły tragedię, co jeszcze bardziej zbliżyło je do siebie. Łączyła je szczególna więź.

- Tak, było warte. Nigdy nie żałowałam, że za niego wyszłam, nawet po tym, co się stało. Bardzo go kochałam. Wyobrażałam sobie, że będzie pięknie. To, co zdarza się później, to los na loterii. Masz nadzieję, że wyciągniesz dobry, ale musisz podjąć ryzyko. I naprawdę tak myślę, jak mówiłam wcześniej: byłaś moją nagrodą w trudnych czasach. Moje życie bez ciebie nie miałoby sensu.

- Dzięki, mamo - odparła Brigitte ze łzami w oczach. To właśnie miała nadzieję usłyszeć. Nie wiedziała, czy jest w tym momencie gotowa na małżeństwo, może nigdy nie będzie, ale jeśli Ted poprosi ją o rękę, zostanie jego żoną. I kto wie, czy pewnego dnia nie będzie taka pewna jak teraz jej matka. Może też kiedyś będzie mieć córkę. Była skłonna uwierzyć, że może Amy i matka mają jednak rację, że czas pomyśleć o przyszłości. Jadąc taksówką do restauracji na spotkanie z Tedem, poczuła się bardzo odważna.

Kiedy o nim myślała, przerażenie ustępowało radosnemu oczekiwaniu. Kochała go i może ślub z nim okaże się dobrym pomysłem. Mogłoby nawet być wspaniale, przekonywała siebie? Nie przypominał jej ojca. Był rozsądny. Uśmiechała się, podchodząc do stolika, gdzie na nią czekał. Wstał, odstawił jej krzesło i pocałował ją na powitanie. Nigdy nie widziała go tak szczęśliwego i podekscytowanego. Jego nastrój udzielił się też Brigitte, poczuła uniesienie, jakiego nie doznała od dawna. Nadeszła ważna chwila. Zamówił szampana, patrząc na nią z uśmiechem. Stuknęli się kieliszkami i upili po łyku. Było inaczej niż zazwyczaj, gdy jedli kolację w restauracji. Miło, uroczyście, odświeżenie. Brigitte czekała grzecznie, o nic nie pytała, ale serce biło jej szybciej. Nie miała już wątpliwości, że Ted się oświadczy; spoglądał na nią czule, obsypywał ją komplementami. Amy miała rację. Wszystko wskazywało, że tego wieczoru wydarzy się coś ważnego. Kiedy podano deser - czekoladowe ciasto w kształcie serca, prezent od firmy - Ted spojrzał na Brigitte i uśmiechnął się czarująco. Tym uśmiechem rozproszył jej wcześniejsze obawy. Wszystko wydawało się w porządku. Amy mówiła, że potrzeba im w życiu więcej romantyzmu. Brigitte uświadomiła sobie teraz, że to prawda, choć żadne z nich nie było zbyt namiętne ani przesadnie uczuciowe. Kochali się jednak od sześciu lat. Ich związek był wspaniały. Mieli te same zainteresowania, uwielbiali akademickie życie. Ted studiował wcześniej antropologię jako przedmiot dodatkowy i wspierał Brigitte w jej karierze oraz pracy naukowej. Mogła na nim polegać. Był dobrym człowiekiem i pomyślała sobie, że z kimś takim można spędzić całe życie. Czekwała cierpliwie, kiedy Ted krążył przez parę minut wokół tematu. Mówił, jaka jest dla niego dobra,

jak bardzo ją szanuje i podziwia, i że to, o czym chce jej powiedzieć, jest spełnieniem jego marzeń. Dużo było w tym romantyzmu, Brigitte zapamięta tę chwilę na zawsze. Od szampana trochę zaszumiało jej w głowie. Już wiedziała, co będzie dalej. Zawsze wierzyła, że kiedyś to nastąpi, w jakiejś odległej przyszłości. I nagle ta przyszłość stała się terazniejszością, szybciej niż Brigitte przypuszczała. Musiał tylko zadać jej pytanie, a ona odpowiedziałaby „tak”. Uznała, że Ted też to wie, tak jak ona odgadła, że zamierza dziś poprosić ją o rękę. Stabilność ich życia dawała poczucie bezpieczeństwa.

- Nic bardziej ekscytującego nigdy w życiu nie przeżyłem, Brigitte - mówił głęboko poruszony - i wiem, że nie będzie łatwo, ale mam nadzieję, że też się ucieszysz. - Wydawał się bardziej zdenerwowany, czym ujął Brigitte.

- Oczywiście, że tak. - Czekala, aż zada to najważniejsze pytanie.

- Wiem, że się ucieszysz, bo jesteś dobra i wspaniałomyślna, i zawsze wspierałaś mnie w pracy.

- Ty mnie też. Taka była umowa.

- Myślę, że właśnie dlatego nasz związek jest taki udany. Wiem, jak ważne są dla ciebie twoja praca i książka. - To nie było dla niej tak istotne, jak archeologia dla niego, ale doceniała jego troskę.

Chętnie czytał i chwalił jej artykuły. Zgadzał się z nią na temat praw kobiet i bardzo szanował płęć piękną. - Zawsze będę ci wdzięczny - powiedział cicho, patrząc jej w oczy. To była ważna chwila dla nich obojga. - Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje - głos mu drżał. - Czekałem cały wieczór, żeby ci o tym powiedzieć. -

Tryl werbli rozsadzał jej głowę, gdy usłyszała: - Mam prowadzić wykopaliska. Dowiedziałem się o tym dziś. Moje własne. W Egip-

cie Wiem, że to będzie dla ciebie trudne. Wyjeżdżam za trzy tygodnie - wyrzucił jednym tchem i rozparł się na krześle, uśmiechając do Brigitte. Poczowała się tak, jakby ktoś uderzył ją kijem w pierś. Dopiero po dobrej minucie była w stanie przemówić. Nie to miała usłyszeć dzisiejszego wieczoru.

- Wykopaliska? W Egipcie? Wyjeżdżasz za trzy tygodnie<sup>9</sup> - Była totalnie oszołomiona.

- Wiedziałaś, że ubiegałem się o to co roku. Już traciłem nadzieję, że mi przydzielą, ale zawsze mówili, że to kwestia czasu. No i dostałem. Mam odkopać nowo odkrytą grootę. Niewiarygodne. Moje marzenia się spełniły. Jeszcze chwilę temu myślała, że on marzył o niej, o życiu razem na zawsze. Wpatrywała się w nietknięte czekoladowe ciasto, zanim spojrzała na Teda. Starala się zachować spokój, ale wszystko w niej krzyczało, ból szarpał serce, miała mętlik w głowie. Po tylu latach chciała przyjąć jego oświadczenia. Tyle że ich nie złożył.

- A my? Pomyślałeś o nas?

Co z tego wynikało, było oczywiste, ale chciała to usłyszeć od niego. Nie miała ochoty znowu czegoś się domyślać ani też niczego zakładać. Jak Ted widzi teraz ich związek? Co planuje, jeśli w ogóle miał jakiś plan?

- Chyba zawsze wiedzieliśmy, że prędzej czy później tak się stanie. Nie mogę zabrać cię ze sobą. Nie ma dla ciebie pracy przy wykopaliskach i nie wiem, czy dostałabyś wizę jako osoba towarzysząca. Zresztą, co byś tam robiła, Brig? Twoja praca tu jest dla ciebie ważna. Myślę, że stało się to co nieuniknione. Mieliśmy dobrą passę przez szesc lat Kocham cię. Przeżyliśmy wspaniałe chwile. Pojadę do Egiptu na trzy lata, może pięć lat lub dłużej, a jeśli dobrze

pójdzie, przydzielą mi inne wykopaliska; nie wymagam, żebyś na mnie czekała. Każdy musi podążać swoją drogą. Ja tam, ty tu.

Jesteśmy rozsądni i wiedzieliśmy, że pewnego dnia tak się stanie.

- Mówił zupełnie spokojnie. Wyjeżdża za trzy tygodnie. Koniec.

Żegnaj, dzięki za miłych sześć lat.

- Nie wiedziałam, że tak będzie. - Wciąż nie mogła wyjść z szoku.

- Sądziłam, że wreszcie zamieszkamy razem. - Łzy napłynęły jej do oczu; nie potrafiła ich powstrzymać. Po prostu wystawił ją do wiatru. - Nigdy o tym nie mówiliśmy, Brig. Nie snuliśmy planów.

Wiesz o tym. Może pomyślelibyśmy o przyszłości, gdyby jeszcze przez jakiś czas nie przydzielono mi wykopalisk. Ale szczerze mówiąc, w ostatnim roku albo i wcześniej uświadomiłem sobie, że nie jestem typem faceta, który potrafi się zaangażować. W każdym razie nie w tradycyjnym sensie. Podobał mi się nasz układ, ale nie potrzebowałem ani też nie chciałem niczego więcej. I nigdy nie sądziłem, że tobie na tym zależy. Nie jesteś z tych kobiet, które rozpaczliwie chcą wyjść za mąż i mieć dzieci, i dlatego było nam dobrze.

- Myślałam, że tak jest, bo się kochamy. Nie dążyłam rozpaczliwie do tego, żeby wyjść za mąż i mieć dzieci, ale sądziłam, że to naturalna kolej rzeczy. - Dlatego teraz czuła się strasznie głupio. Jasne, Ted nie mógł doczekać się, kiedy wyjedzie. Bez niej. Jak widać, nie miał ochoty zabrać jej ze sobą.

- Możesz nadal wyjść za mąż i mieć dzieci - pocieszył ją cicho. Była teraz wolną kobietą. - Tyle że nie ze mną. Długo mnie nie będzie. A jeśli stanowiska archeologiczne w Egipcie okażą się bogate, mogę zostać tam nawet dziesięć lat albo dłużej. Czekałem na coś takiego przez całe życie. Nie spieszy mi się z powrotem i nie chcę mieć tu żadnych

zobowiązań, które komplikowałyby mi życie. - Teraz Brigitte stała się problemem. To zupełnie ją dobiło. - Myślałem, że rozumiemy i akceptujemy warunki naszego układu, Brig. Był dobry na teraz bez żadnych planów na przyszłość.

- Taki jest właśnie problem z milczącymi umowami: każdy interpretuje je, jak chce. Sądziłam, że oboje jesteśmy zaangażowani w ten związek. - Czuła i złość, i żal.

- Angażowałem się przede wszystkim w pracę. Wiedziałaś o tym - wytknął jej łagodnie. Nie chciał wzbudzać w sobie poczucia winy. Matka zawsze to robiła, czego me znosił. Brigitte natomiast nigdy tak się nie zachowywała. Chciał uczcić swój sukces zawodowy, a nie czuć się jak łajdak z powodu wyjazdu; to wydawało się jednak zbyt prostym uproszczeniem, bo kończyło ich romans. Taką cenę był gotów zapłacić, a Brigitte nigdy się tego nie spodziewała. Teraz zdała sobie sprawę, że była zaślepiona. A Ted nie widział nic poza swoimi wykopaliskami. - Przepraszam, Brig. Wypadło niespodziewanie, to dla mnie też trudne, ale sprawa jest całkiem jasna. Nawet razem nie mieszkamy. Właściwie miałem spytać, czy nie chciałabyś jakichś moich rzeczy. Resztę oddam. Nie mam porządnych mebli z wyjątkiem sofy - Kupili ją razem rok wcześniej i teraz też chciał się jej pozbyć, łatwo i szybko, jak Brigitte. Nie czuła się tak wstrząśnięta i opuszczona od czasu śmierci ojca. Bezradnie patrzyła na Teda.

- A co z moimi jajeczkami? - Łzy płynęły jej po policzkach. Nie panowała nad emocjami, ogarniał ją lęk. Nie takie walentynki planowała, nie tego życzyła jej Amy.

- Jakimi znowu jajeczkami? - Zrobił wielkie oczy.

- Moimi. Dziećmi, których nigdy nie będziemy mieć i których może już nigdy nie urodzę. Jesteśmy razem od sześciu

lat, niedługo skończę trzydzieści osiem. Co mam robić? Dać ogłoszenie na tablicy informacyjnej, że szukam faceta, który się ze mną ożeni i będzie miał ze mną dzieci?

- Tylko do tego byłem ci potrzebny? - spytał z urazą.

- Nie. Kochałam cię i Kocham. To wydawało się po prostu zbyt oczywiste, żeby pytać. Myślałam, że nie muszę. Dlaczego nie mogę z tobą jechać? - Poczł się nieswojo.

- Nie mogę sobie pozwolić na założenie rodziny, ze względu na charakter pracy. Nie chcę mieć zobowiązań ani niczego, co by mnie rozpraszało. Poza tym nie potrzebuję tego rodzaju zobowiązań. Jak mówiłem, pora, żeby każde z nas poszło w swoją stronę i zobaczyło, co życie mu przyniesie. - Brigitte zakłóło w sercu. - Nie wiem nawet, czy w ogóle chcę się żenić, w każdym razie nie szybko.

A więc dla niej było już za późno; Amy się nie myliła. Plany Brigitte związane z dziećmi nie obchodziły Teda i nigdy go nie interesowały. A ona, głupia gęś, za dużo zakładała, za mało rozumiała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że musi go zapytać. Wszystko szło dobrze, po prostu płynęła z prądem rzeki, aż Ted wyrzucił ją z łódki i wiosłował sam. Dał do zrozumienia, że nie chce Brigitte w Egipcie. Nie mogła nawet go winić; tak samo jak on była odpowiedzialna za to nieporozumienie. Nie wprowadził jej w błąd. Żyli sobie wygodnie z dnia na dzień, od weekendu do weekendu przez sześć lat. A teraz ona miała trzydzieści osiem lat i Ted odchodził, żeby spełnić swoje marzenia bez niej. Poczłła się samotna jak nigdy dotąd.

- Jak chcesz tym pokierować, zanim wyjadę? - Zrobiło mu się żal Brigitte, była załamana. Nie dzieliła z nim radości z sukcesu, na co liczył, i uświadomił sobie, że miał nierealni-

styczne oczekiwania. Nie zdawał sobie sprawy, jak daleko sięgały jej nadzieje. Nie dzieliła się nimi. A teraz wszystkie jej niespełnione marzenia i plany się rozpadały. Wyglądała jak potracona przez ciężarówkę.

- Co masz na myśli? - Wydmuchła nos w chusteczkę; nie mogła przestać płakać.

- Nie chcę, żeby to było dla ciebie trudniejsze, niż jest. Zostaniesz ze mną do czasu wyjazdu czy wolisz już mnie nie oglądać?

- Jeśli dobrze rozumiem, uważasz nasz związek za skończony. Pokiwał głową.

- Nie mogę być związany tu z tobą i mieszkać w Egipcie. A nie ma sensu, żebyś ze mną jechała. Wydaje mi się, że prędzej czy później musielibyśmy się rozstać.

To była dla niej nowość. Ale nie miała siły spierać się z nim. Cios był zbyt silny.

- W takim razie lepiej, jeśli nie będziemy tego przeciągać - odparła z godnością. - Nie będziemy się już spotykać, Ted. To tylko pogorszyłoby sprawę. Wszystko się skończyło między nami wraz z decyzją o wyjeździe.

A może nawet wcześniej, skoro nie brał pod uwagę żadnych zobowiązań.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Brig. Takie po prostu jest życie, czasem układa się inaczej, niżbyśmy chcieli.

Teda obchodziło tylko jego życie, nie ona. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jaki jest samolubny.

- Tak, rozumiem. - Włożyła płaszcz i wstała. - Gratulacje, Ted. Jest mi przykro z powodu nas i mnie samej, ale cieszę się, że tobie się udało. - Dzielnie siliła się na uprzejmość i ujęło to Teda, chociaż czuł się zawiedziony, że nie okazała



większego entuzjazmu i zrozumienia, gdy chodziło o jego sukces zawodowy. Zdawał sobie jednak sprawę, że wiadomość o wyjeździe była dla niej ciosem. Przez jakiś czas nosił się z myślą, żeby powiedzieć wcześniej, ale nie miał śmiałości. Teraz, kiedy szykował się już do podróży, wydawało się, że pora jest najbardziej odpowiednia. Dla niego.

- Dziękuję ci, Brig. Odwiozę cię do domu. Płacząc, pokręciła głową. - Nie... Wezmę taksówkę. Dzięki za kolację. Dobranoc. Wyszła pospiesznie z restauracji, mając nadzieję, że nikt nie zauważył łez. Dzięki za kolację i za sześć wspólnych lat. Powodzenia w życiu. Po drodze myślała o tym, co zrobiła źle przez ostatnie lata. Jak mogła być taka głupia! Powiedział: „Nie jestem typem faceta, który potrafi się zaangażować”. Nie wiedział, czy chce mieć żonę i dzieci, teraz czy w ogóle. Było im wygodnie. To wydawało się właściwym określeniem i mieściło w sobie wszystko, czego Brigitte dotąd w życiu pragnęła; i do czego ją to doprowadziło? Mężczyzna, z którym żyło się jej „wygodnie” przez sześć lat, porzucił ją. Pożegnał się z nią w taki sposób jak ze studentką lub asystentką, a nie ze swoją kobietą. Uświadomiła sobie, że Ted wcale nie był w niej zakochany. Może ona w nim też nie. Zadowolona się tym, co łatwe i wygodne, ba, nawet praktyczne. Zdawałoby się dobry, bezpieczny związek, z odpowiedzialnym partnerem, tyle że bez prawdziwej namiętności. Teraz obwiniła siebie, że to jej wystarczało, że delectowała się tym poczuciem spokoju i pewności. W taksówce płakała przez całą drogę do domu. Aż nie mogła uwierzyć, że nigdy już nie zobaczy Teda i że wszystko skończone. A myślała, że tego wieczoru poprosi ją o rękę. Głupia, głupia, powtarzała sobie przez łzy. Gdy weszła do mieszkania, zadzwoniła

komórka. Zerknęła na wyświetlacz: Ted. Nie odebrała. Po co? Przecież i tak nie zamierzał zmienić zdania. To koniec. Został tylko smutek i żal, zamiast radości z miłosnego wyznania w dniu zakochanych.

## Rozdział 2

Śnieg padał przez całą noc i żywioł sparaliżował komunikację. Oficjalnie ogłoszono stan klęski, Brigitte miała więc dobry powód, żeby nie iść do pracy. Leżała w łóżku, płacząc, nie miała siły, żeby wstać i się ubrać. Nie wyobrażała sobie, jak ma dalej żyć, kiedy jej świat runął. Myślała o tym wszystkim z sercem ściśniętym żalem. A na dodatek czuła się jak idiotka. Wiedziała, że Ted chce prowadzić wykopaliska, ale nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo tego pragnie i karierę zawodową stawia ponad wszystko inne. Myślała, że znaczy dla niego więcej, ale się pomyliła. Była zapchajdziurą, osobą, z którą Ted chwilowo spędzał czas do momentu, gdy sprawy ułożą się po jego myśli. Brigitte nic nie zrobiła, by zadbać o swoją karierę i od siedmiu lat guzdrała się z książką. Czuła się okropnie, kiedy przeczytała wiadomość od Teda: „Przepraszam”, tylko tyle. Pewnie rzeczywiście było mu przykro. Nie wydawał się złym człowiekiem, ale miał własne cele, a w jego planach nie mieściła się Brigitte, dlatego łatwo mu przyszło zerwanie. Ona nie zrobiłaby mu czegoś takiego; Ted nie miał skrupułów, bo nic dla niego nie znaczyła. Płakała jeszcze bardziej rozżalona, gdy sobie to uświadomiła.

Około dziesiątej dostała następną wiadomość. Amy napisała: „Gdzie jesteś? Świątujesz w łóżku? I co, zaręczyłaś się? Koniecznie daj znać!" Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale doszła do wniosku, że jednak chce się jej zwierzyć. Odpisała: „Nie było zaręczyn. Porzucił mnie. Skończone. Za trzy tygodnie wyjeżdża do Egiptu na wykopaliska. Rozstaliśmy się wczoraj wieczorem. Wzięłam sobie wolny dzień". Zdumiewające, że wielkie życiowe wydarzenia, a nawet tragedie można sprowadzić do treści krótkiego esemesa. Nauczyła się tego od studentów, którzy komunikowali się we wszystkich ważnych sprawach w ten sposób

Amy aż gwizdnęła, kiedy przeczytała wiadomość od przyjaciółki. Czegoś takiego się nie spodziewała, podobnie zresztą jak Brigitte. Współczuła jej. Ted, jak widać, nie uwzględniał w swoich życiowych planach Brigitte. Amy była trochę zaskoczona. Mając trzydzieści pięć lat, Ted mógł sobie pozwolić na zmarnowanie sześciu lat życia. Brigitte nie. Spróbowała do niej zadzwonić, ale nie odbierała telefonu, wysłała jej więc wiadomość: „Mogę do ciebie wpaść?" Odpowiedź nadeszła szybko: „Nie, czuję się okropnie". „Przykro mi".

Zostawiła więc ją w spokoju na parę godzin i kiedy zadzwoniła po południu, Brigitte odebrała. Sądząc po głosie, była w podłym nastroju.

- To nie jego wina. - Od razu zaczęła bronić Teda. - Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, jakie ma plany w związku z nami. Powiedział, że nie jest typem faceta, który się angażuje. Jak mogłam tego nie zauważyć?

- Byliście zadowoleni z tego, jak jest. Może bałaś się pytać. - Wiedziała, że rodzice Teda rozstali się w gniewie,

rodzina rozpadła się, a w nim pozostał uraz do małżeństwa. Sądziła, że mu to przeszło, może i Brigitte też przestała się bać. Teraz Ted nie musiał się już wykręcać. Zrządzeniem losu zamieszka w" Egipcie. - Co zamierzasz teraz zrobić?

- Nie mam pojęcia. Płakać przez rok lub dłużej. Będę za nim tęsknić.

Brigitte zauważyła jednak nie bez zdziwienia, że chociaż jest przybita, to nie czuje się tak bardzo załamana, jak się spodziewała. Wciąż nie mogła sobie wybaczyć, że zmarnowała sześć lat życia, gdyż bała się podejmowania ryzyka i przyjmowania na siebie zobowiązań. Co będzie, jeśli nigdy nie urodzi dziecka, bo będzie za późno na macierzyństwo? Myśl o tym ją przygnębiała. Nie pójdzie, jak Amy, do banku spermy; nigdy by tak nie zaryzykowała. Gdyby zdecydowała się na dzieci, to tylko w pełnej rodzinie. Albo wcale. Pamiętała, jak jej matka męczyła się, wszystko było na jej głowie. Samotnie przeżywała radości i smutki, nie było nikogo, z kim mogłaby się nimi dzielić. Brigitte nie miała tyle odwagi, ile Amy albo matka, żeby żyć samotnie. Wolała już nie mieć dzieci i wyglądało, że tak właśnie będzie. Matka jednak mimo niełatwego życia nigdy nie narzekała, nie użalała się nad sobą. Brigitte też nie chciała stać się kobietą zgorzkniałą. To zatrułoby jej życie.

- Wpaść do ciebie po pracy? - zapytała Amy. - Mogę zostawić chłopców w ośrodku opieki do siódmej, a wychodzę stąd koło piątej.

- Nie, nic mi nie jest. Jutro wrócę do pracy - odparła beznamiętnie Brigitte. - Nie mogę wiecznie leżeć w łóżku i płakać.

Zastanawiała się, czy ma ochotę zobaczyć się z Tedem przed jego wyjazdem, ale doszła do wniosku, że nie. To

byłoby zbyt bolesne, skoro wiadomo, że wszystko skończone i spotkanie nic nie zmieni. Wysłała mu wieczorem wiadomość, że czuje się dobrze, życzy mu powodzenia i dziękuje za spędzone razem lata. Kiedy to wysłała, poczuła się dziwnie. Chyba zwariowała. Całych sześć lat zawarło się w jednym zdawkowym esemesie. Jeden wieczór i jedno zrządzenie losu pozbawiły ją nadziei, zburzyły spokój.

Kiedy szła rano do pracy, śnieg przestał padać. Na odśnieżone ulice wyjechały piaskarki. Panował przenikliwy ziąb i Brigitte otuliła szyję kołnierzem, zapomniała rękawiczek i dłonie miała zgrabiałe, gdy dotarła do biura. Czuła się tak, jakby nie było jej w pracy wieki, a nie tylko jeden dzień, kiedy opłakiwała Teda.

Włożyła stary szary sweter -zawsze go nosiła, gdy była w dołku. Ale przyjdzie pora na poprawiające humor przekąski, ciepłe i miękkie ubrania oraz wszystkie inne rzeczy, które pomagają znosić ból. Na razie wciąż czuła się fatalnie, zraniona i upokorzona, i ciągle rozmyślała o tym, co ją spotkało.

Przeglądała podania, kiedy szef działu, Greg Matson, poprosił ją do gabinetu. Kierował działem od roku, przybył na uczelnię z Boston College i współpraca dobrze się układała. Często korzystał z rad Brigitte i jej doświadczenia w zakresie rekrutacji kandydatów na studia. Zaskoczyło ją, że jest od niej młodszy, jak i kobieta, wiceszef. Brigitte pracowała tu dłużej niż on, ale nigdy nie zależało jej na awansie. Uważała, że łatwiej jej pisać książkę, będąc podwładną, niż mieć kierownicze stanowisko, co znaczyło mniej czasu i więcej odpowiedzialności.

Greg, z takim samym jak zawsze życzliwym uśmiechem, poprosił, żeby usiadła. Zauważył, że wygląda na zmęczoną, i spytał, czy chorowała. Powiedziała, że to tylko lekkie prze-

ziewanie. Rozmawiali przez chwilę o bieżących sprawach, Greg pochwalił ją za sumienność i zaangażowanie w pracę. Następnie opowiedział jej o systemie komputerowym, który zamierzają już niedługo wprowadzić. To usprawni funkcjonowanie całego wydziału i zmniejszy koszty, co jest istotne z uwagi na napięty budżet. Jednak taka inwestycja wymaga nie tylko dużych nakładów finansowych, także zmian kadrowych. Z przepraszącym uśmiechem wyjaśnił, że jest konieczne zmniejszenie liczby pracowników w dziale rekrutacji. Dla niego to bardzo przykra i trudna decyzja, tym bardziej że Brigitte pracowała tu dziesięć lat, ale ona i sześć innych osób zostają zwolnieni. Dodał, że w związku z jej długoletnią pracą na Uniwersytecie Bostońskim dostanie wysoką sześciomiesięczną odprawę. Ma nadzieję, że dzięki temu będzie miała czas i pieniądze, żeby skończyć książkę. Wstał, uścisnął jej rękę na pożegnanie i odprowadził Brigitte aż do jej gabinetu. Powiedział, że dokończą rozpatrywanie podań bez jej pomocy, tak więc Brigitte jest już wolna i może zacząć nowe życie.

Stała oszołomiona w swoim gabinecie. Nowe życie? Jakie nowe życie? A co się stało ze starym? W ciągu dwóch dni straciła chłopaka z powodu wykopalisk w Egipcie i stanowisko z powodu komputeryzacji. Stała się zbędna. Nie zrobiła nic złego, jak wszyscy ją zapewniali, ale też nic dobrego. I jak widać nic rozsądnego. Nie chciała zostać szefową działu rekrutacji, zadowalała się przez dziesięć lat niższym stanowiskiem, bo tak było wygodniej. Pracowała od siedmiu lat nad książką, której pewnie nigdy nie skończy. Spędziła sześć lat z człowiekiem, który nie traktował tego związku poważnie, a tego nie chciała widzieć. Gonila za tym, co łatwe i bezstresowe, i tak naprawdę nie

osiągnęła nic. Zbliżała się do czterdziestki, była bezdzietna, niezamężna i teraz bezrobotna. Nie miała się czym chwalić. Straciła poczucie własnej wartości, pewność siebie i wiarę w przyszłość.

Wzięła pudło z magazynu, spakowała rzeczy, których zresztą nie miała dużo, i w południe pożegnała się z kolegami oraz koleżankami z pracy. Oszołomiona i zszokowana, nie mogła uzmysłwić sobie tego, co się stało. Było to najdziwniejsze wrażenie, jakiego w życiu doznała. Czuła się bezradna i opuszczona; jej świat, dający poczucie bezpieczeństwa, już nie istniał. Miała jeszcze przez pół roku dostawać pensję z Uniwersytetu Bostońskiego. A co potem? Co robić? Dokąd iść? Nie miała najmniejszego pojęcia.

W Bostonie i okolicach było co najmniej sto college'ów, więcej niż w jakimkolwiek innym amerykańskim mieście, a Brigitte miała dziesięcioletnie doświadczenie w pracy w dziale rekrutacji, ale sama jeszcze nie wiedziała, czy chce się tym zajmować. Robiła to, bo wydawało się łatwe i niewymagające. Ale czy to wszystko, czego chciała od życia? Trzymając pudło z rzeczami, stanęła w drzwiach gabinetu Amy.

- Stało się coś? - Nie podobał jej się wygląd Brigitte. Była blada, oliwkowa cera nabrała zielonkawego odcienia. No i to pudło. - Co ty taszczysz?

- Właśnie mnie wylali. Wprowadzają nowy system komputerowy. Wiedziałam o tym. Nie miałam tylko pojęcia, że to mnie nim zastąpią. Wyrzucili siedem osób. Zwolnili, tak to się mówi. Wylali. Wszystko jedno. Niezły tydzień. -Mówiła jak automat. - O rany. - Amy wybiegła z za biurka i wzięła od niej pudło. - Odwiozę cię do domu. Nie muszę tu wracać przez

dwie godziny. - Brigitte skinęła głową, nie protestowała, kiedy Amy włożyła płaszcz, i wyprowadziła ją na zewnątrz. Przez połowę drogi do domu nie odezwała się ani słowem.

- Czuję się chora - powiedziała ze znużeniem i rzeczywiście tak wyglądała.

- Tak mi przykro. - Amy patrzyła na nią z troską, kiedy czekały na zmianę świateł. Ted zadzwonił do niej rano, pytał, jak się czuje Brigitte. Martwił się o nią, ale już żył nową pracą. Aż trudno było słuchać jego opowieści. Nie wspomniała Brigitte o jego telefonie. Po co? Żeby bardziej bolało? - Czasami tak się zdarza, Brig.

Wszystko wali się jednocześnie. To po prostu pech, zła passa.

- Tak, wiem. - Brigitte westchnęła cicho. - To moja wina. Zawsze starałam się, żeby w niczym nie namieszać i nie ryzykować, przegięłam z tym, zresztą opacznie rozumianym, poczuciem bezpieczeństwa, no i w końcu poszłam w odstawkę. Nigdy nie miałam odwagi postępować tak jak Ted. Nie chciałam kierowniczego stanowiska. Nie spieszyłam się z pisaniem książki. Zależało mi tylko, żeby wtopić się w tłum, nie wychylać. A teraz popatrz na mnie. Nie mam pracy, faceta, dzieci i być może nigdy nie będę ich miała, moją książkę przeczyta dziesięciu studentów albo naukowców, lub ktoś użyje jej do podparcia stołu, jeśli w ogóle kiedyś ją skończę. - Odwróciła się do Amy, płakała. - Co, do diabła, mam zrobić ze swoim życiem? - To był dla niej trudny moment, gdy uświadamiała sobie, jak wysoką cenę musi zapłacić za popełnione błędy. - Gdybym zapytała Teda, czy ma zamiar kiedyś się ze mną ożenić, odpowiedziałby, że nie. Lepiej byłoby usłyszeć to wcześniej, niż odkryć teraz. Ale założyłam po prostu, że się pobierzemy. Tak było łatwiej. Życie przeciekło mi przez palce; i sama się do tego przyczyniłam.



Tak właśnie się stało, ale Amy nie chciała dolewać oliwy do ognia; Brigitte i tak miała już dosyć zmartwień. Los jej nie oszczędzał.

- Nie katuj się. Nie zmienisz przeszłości. Jest mnóstwo college'ów, możesz znaleźć pracę w innym biurze rekrutacyjnym, jeśli chcesz.

Możesz nawet uczyć. - Wiedziała jednak, że to nie pociąga Brigitte. Nie lubiła zobowiązań. - Masz niezły dorobek. Gdy porzyczasz swoje CV, ktoś z pewnością zaproponuje ci pracę.

- Wszędzie zwalniają ludzi. Nie wiem, co robić. Może powinnam dokończyć książkę. - Amy pokiwała głową. Byłoby dobrze, gdyby Brigitte zajęła się czymś, miała coś, co pomogłoby jej przejść trudny okres i uchroniło przed depresją. Winiła bardziej siebie niż Teda. Amy zaś ich oboje, ją za to, czego nie zrobiła, a Teda za egoizm.

- Może powinnaś wyjechać na jakiś czas. Zmienić otoczenie - zasugerowała łagodnie.

- Dokąd miałabym pojechać zupełnie sama? - Brigitte się rozplakała. W żaden sposób nie wyobrażała sobie takiej podróży.

- Dużo jest różnych miejsc. Na Hawaje, na Karaiby, na Florydę. Poleżałabyś gdzieś na plaży, odpoczęła, nabrała dystansu do przykrych spraw.

- To nic przyjemnego w pojedynkę. Może powinnam odwiedzić matkę w Nowym Jorku. Nie widziałam jej od świąt Bożego Narodzenia. Ale najpierw muszę jej powiedzieć, że Ted mnie porzucił i zostałam bez pracy. - Matka tak bardzo w nią wierzyła i Brigitte czuła się okropnie, że nie spełniła jej oczekiwań.

- Może to nie najlepszy pomysł na tę chwilę. Chyba plaża będzie lepsza.

- Tak. Może - odparła Brigitte bez przekonania. Wniosły razem jej rzeczy do mieszkania. - Nie mów Tedowi, że mnie wylali, jeśli zadzwoni. Nie chcę, żeby się nade mną litował. Czuję się zupełnie przegrana. - On dostał awans, ją zwolniono. To upokarzające, gdyby się dowiedział.

- Nie jesteś przegrana, a on dzwonił do mnie dziś rano. Chciał się dowiedzieć, jak się czujesz. Chyba martwi się o ciebie.

- Powiedz mu, że wszystko w porządku. Nie zmienił przypadkiem zdania? - spytała z nadzieją w oczach, lecz Amy pokręciła głową. Wyjeżdża, tak jak zaplanował. Niepokoił się o Brigitte, ale nie aż tak, żeby zabrać ją ze sobą albo z nią zostać. Rozstali się na dobre. Amy była o tym przekonana, Brigitte zresztą też.

Posiedziały przez jakiś czas w salonie, a potem Amy musiała wracać do pracy. zaproponowała, żeby Brigitte wpadła do niej do domu podczas weekendu, ale ona wolała popracować nad książką. Przez resztę popołudnia siedziała tylko i wpatrywała się w przestrzeń, wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, co się stało. Była roztrzęsiona, nie potrafiła się na niczym skupić. W sobotę, po minucie wahania odebrała telefon, gdy zadzwoniła matka. Ted nie zatelefonował ani nie przysłał żadnej wiadomości. Chciał się z nią rozstać i zupełnie zerwał kontakty. To było dla niego łatwiejsze niż zmaganie się z jej cierpieniem. Nie znosił płaczących kobiet. Zawsze mówił, że przypomina mu to jego matkę, która zawsze starała się wzbudzić w nim poczucie winy i uświadomić mu, że jest z gruntu zły. Tak więc się ulotnił. Po prostu tchórz.

Matka wystraszyła się, słysząc głos córki.

- Co się stało? Jesteś chora? - Brigitte była jedynaczką.

- Nie... tak... coś w tym stylu. Nie czuję się najlepiej.
- Co ci jest, kochanie? Masz grypę czy tylko się przeziębiałaś?  
Tak naprawdę nic z tych rzeczy, przyczyną było złamane serce.
- Może trochę jedno i drugie. - Brigitte zastanawiała się, jak powiedzieć matce, co wydarzyło się w tygodniu.
- Jak tam Ted? Są jakieś nowiny? - Matka zawsze zachowywała się tak, jakby oczekiwała, że Ted lada moment oświadczy się jej córce i nie mogła zrozumieć, czemu zwleka. Brigitte nie miała ochoty przyznać się, jaki bałagan zapanował w jej życiu ani uzalać się z tego powodu. Matka zawsze była silna, pełna energii i pozytywnie nastawiona do życia. Brigitte ją podziwiała. Przemogła się i zaczęła od Teda.
- Prawdę mówiąc, ten tydzień przyniósł wspaniałe nowiny. Przydzielili Tedowi prowadzenie wykopalisk w Egipcie. Wyjeżdża za trzy tygodnie. W słuchawce zaległa cisza.
- A ty, co to znaczy dla ciebie? Jedziesz z nim do Egiptu? - W głosie matki wyczuła niepokój. To, że jedyna córka mieszkała w Bostonie, już było dla niej niezwykle trudne. Wyjazd Brigitte do Egiptu w ogóle nie mieścił się jej w głowie.
- Nie, nie jadę. Zawsze marzył o tych wykopaliskach i będzie w Egipcie co najmniej trzy lata, może dłużej. Jeśli dobrze pójdzie, kto wie, zostanie tam nawet przez dziesięć lat. W ten sposób zostałam wyeliminowana. - Starła się mówić spokojnie i z rozwagą, choć nerwy miała napięte.
- Wiedziałaś, że coś takiego się szykuje? - Matka była wstrząśnięta.

- Wiedziałam, że on tego chce. Jednak nigdy nie brałam poważnie pod uwagę, że to się wydarzy. Ale stało się. Tak więc postanowiliśmy, że każde pójdzie swoją drogą. Musi być wolny, żeby spełnić swoje marzenia.

- A co z twoimi marzeniami? Byłaś z nim przez sześć lat

-zauważyła matka oschle. Nie była zła na córkę, ale na Teda.

Rzecz w tym, że Brigitte nigdy nie zdradzała jemu swoich marzeń ani też sama ich nie określiła. Teraz on spełniał swoje marzenie, a ona została z niczym. - Kto by przypuszczał, że to samolub. Tak po prostu wyjechać i zajmować się tylko swoimi sprawami, nie pomyśleć o tobie! - Trzymała stronę córki.

- Mamo, on tego pragnął od chwili, kiedy zaczął pracować na Uniwersytecie Bostońskim. Nie mogę go winić. Tylko ja o tym jakoś zapomniałam. - Przełknęła z trudem i postanowiła powiedzieć matce wszystko. - Tak naprawdę to był zwariowany tydzień. Wczoraj wylali mnie z pracy; zastąpi mnie komputer.

- Co, zwolnili cię?

- Tak. Dali mi sześciomiesięczną odprawę, więc finansowo stoję nieźle, ale byłam zaskoczona. Wiedziałam, że jest planowana komputeryzacja, tylko nawet mi się nie śniło, że z tego powodu wyląduję na bruku. Krótko mówiąc, straciłam wszystko za jednym zamachem, Teda i pracę na uczelni. Może tak jest łatwiej.

- Dla kogo? - Matka była wzburzona. - Z pewnością nie dla ciebie. To okropne. Chcesz do mnie przyjechać?

Brigitte się uśmiechnęła. Straciła poczucie własnej wartości, ale miło było mieć wsparcie od matki; zawsze stawała po jej stronie.

- Poradzę sobie, mamo. Popracuję nad książką, zobaczę, jak mi idzie. Może to dobra okazja, żeby ją szybciej

skończyć. Na razie nie mam nic innego do roboty. - W tym semestrze zamierzała chodzić na zajęcia związane tematycznie z doktoratem, ale po tym, co się stało, zdecydowała, że zrobi sobie paromiesięczną przerwę. Nie była w nastroju do studiowania i pisania prac semestralnych. Będzie dobrze, jeśli zdoła popracować nad książką.

- A może byś jednak odwiedziła mnie w Nowym Jorku? - Matka bardzo się o nią martwiła.

- Nie mam tam nic do roboty, mamo. - Nie mieszkała w Nowym Jorku od czasu college'u, sporo przyjaciół też wyjechało z miasta.

- Chcę wysłać swoje CV do paru uczelni tu, na miejscu, może pojawi się jakaś oferta. Sześć miesięcy minie szybko. Mogłabym od jesieni zacząć pracować. I od czasu do czasu zajmować się książką. Matka nie wydawała się przekonana, martwiła się o nią.

- To okropne, co ci się przydarzyło, Brigitte. Nową pracę zawsze możesz znaleźć, ale sporo zainwestowałeś w ten związek. W twoim wieku niełatwo znaleźć partnera, a jeśli chcesz mieć dzieci, to nie ma czasu do stracenia.

- Co proponujesz? Ogłoszenie na tablicy informacyjnej? Albo na całą stronę w gazecie? To moja wina, mamo. Nigdy nie nalegałam, żeby porozmawiać o dzieciach i małżeństwie. Nie chciałam. Zresztą nie byłam na to gotowa. Myślałam, że mam jeszcze czas. I wydawało mi się, że to pewna sprawa, jeśli chodzi o Teda. No cóż, to nie było tak, jak sądziłam. Prawdę mówiąc, wcale się na to nie zanosilo. On nawet nie wie, czy w ogóle chce mieć żonę i dzieci. No i jest, jak jest. Może nie będę mieć dzieci. - To było przykre i dla niej, i dla matki.

- Powinien ci jasno powiedzieć, jakie ma plany, albo że nie łączy przyszłości z tobą, i nie wpędzać cię w lata.

- Może. Nie sądziłam, że musimy się spieszyć. - Żadna tego nie powiedziała, ale obie wiedziały, że może być już za późno. W wieku trzydziestu ośmiu lat Brigitte łudziła się, że zawsze będzie młoda. Aż do tej chwili. Uświadomienie sobie prawdy było bolesne.

- Teraz dziewczyny myślą, że mają mnóstwo czasu na założenie rodziny. Coraz częściej kobiety, także samotne, rodzą pierwsze dziecko w wieku czterdziestu pięciu i pięćdziesięciu lat za pomocą jakichś sztuczek medycznych. Sześćdziesięcioletnie kobiety zachodzą w ciążę dzięki zdumiewającym zabiegom. To nie takie łatwe, jak myślicie. Te cuda medycyny działają też na niekorzyść i dają kobiecie fałszywe poczucie czasu. Natura rządzi się swoimi prawami i nie sposób jej oszukać, obojętnie co ludzie wymyślają. Mam nadzieję, że poważnie potraktujesz to, z kim się teraz zwiążesz. Nie masz już ani chwili do stracenia. - Wysłuchała pokornie reprimendy, wiedziała, że matka ma rację.

- Traktowałam Teda poważnie - powiedziała cicho.

- Nie tak poważnie, jak powinnaś, a on też zachował się nieodpowiedzialnie. Myśleliście, że wciąż jesteście dziećmi. - W tym również matka miała rację. Zazwyczaj się nie myliła. - Teraz on wyjeżdża, a ty zostajesz sama. To bardzo smutne. - Bardzo było jej żal córki.

- Tak, ale może to przeznaczenie lub coś takiego. Po prostu tak miało być. - Brigitte próbowała podejść do sprawy filozoficznie.

- Szkoda, że nie zdobył się na szczerłość.

- Też żałuję. - Musiała jednak przyznać, że oboje, mimo swojego wieku, okazali się emocjonalnie niedojrzali.

- Daj znać, jeśli będziesz chciała przyjechać. Twój pokój czeka na ciebie, a ja chętnie cię zobaczę. Robię postępy

w genealogii. Pokażę ci, co ostatnio odkryłam. Mogłabyś mi przy tym pomóc.

Nie było niczego, co pociągałoby w tej chwili Brigitte mniej niż hobby matki. Historia ich rodziny od czasów średniowiecza zawsze bardziej obchodziła matkę niż córkę, chociaż Brigitte podziwiała mamę, że wkłada w to tak dużo serca. Dzieje rodziny stanowiły dziedzictwo, które matka pragnęła przekazać Brigitte. Ona jednak wolała tajemnice historii, a przyzwoici przodkowie zawsze wydawali się jej banalni i nudni.

Później tego popołudnia Brigitte odwiedziła Amy w jej mieszkaniu, a w niedzielę zabrała się do pracy nad książką. I po raz pierwszy w życiu stwierdziła, że zebrany materiał, i w ogóle sam temat dotyczący praw wyborczych kobiet, wcale nie jest porywający. Nie wydawał się jej już tak ważny jak kiedyś.

Wszystko stało się teraz bezbarwne i nieciekawe, bez znaczenia. Pozbawiona pracy i towarzystwa Teda, nabrała niechęci nawet do swojej książki. Czuła się tak, jakby zabrnęła w ślepią uliczkę w każdej dziedzinie swojego życia.

We wtorek przerwała pisanie. Ted milczał od poprzedniego tygodnia. Zmusiła się do pracy nad książką, ale w weekend miała ochotę krzyczeć i wszystko rzucić. Zmierzała donikąd. Wysłała CV do innych szkół wyższych, ale było jeszcze za wcześnie na odpowiedzi. Tym razem postanowiła, że jeśli dostanie pracę, będzie musiała wziąć na siebie większą odpowiedzialność.

Niechęć do podejmowania większych wyzwań skutkowałą tym, że Brigitte łatwo zastąpił komputer, pozbawiając ją zajęć. Nie spodziewała się jednak, że szybko dostanie wiadomości z jakiejś uczelni. Po tygodniu ślęczenia nad książką osiadła na mieliźnie.

Nie miała już nic do powiedzenia ani ochoty, żeby formu

łować wnioski, zresztą sam temat niezbyt ją teraz interesował. Utknęła. Zastanawiała się nad pomysłem Amy, może rzeczywiście dobrze by jej zrobił relaks gdzieś na słonecznej plaży, może przydałoby się zmienić otoczenie. Tu pogoda była okropna, znowu zaczął padać śnieg. Wszystko w Bostonie działało na nią depresyjnie. Nie mogła znieść myśli, że Ted przygotowuje się do wyjazdu, ma jakiś cel, gdy jej życie zrobiło się zupełnie puste. Właściwie nic nie trzymało jej w Bostonie. Więc po co ma tu tkwić? Postanowiła polecieć do Nowego Jorku. Matka była zachwycona, kiedy Brigitte zadzwoniła do niej z bostońskiego lotniska.

Podczas krótkiego lotu wyglądała przez okno. Czuła się jak dziecko, ale gdy wszystko w jej życiu wywróciło się do góry nogami, miło było wrócić do domu. Kilka dni w Nowym Jorku powinno dobrze jej zrobić. Matka zasugerowała, żeby Brigitte wysłała też CV na uniwersytety Nowojorski i Kolumbijski, ale ona nie chciała tu wrócić na stałe. Padał deszcz, kiedy samolot wylądował. Cieszyła się, że spędzi parę dni z matką w przytulnym mieszkaniu, w którym dorastała. Potem zamierzała wrócić do Bostonu, chociaż nie miała pojęcia, co ją tam czeka. Wiedziała tylko, że po ostatnich zmianach chce żyć inaczej niż do tej pory. Wygodne życie nie zapewniło jej szczęścia.

### Rozdział 3

Marguerite Nicholson poczuła ulgę i radość, kiedy zobaczyła w drzwiach córkę. Lało i Brigitte zmokła w drodze



od taksówki do budynku. Matka szybko wzięła od niej mokry płaszcz, kazała zdjąć buty, a kilka minut później zrobiła herbatę i usiadły przed kominkiem. Przebywanie w rodzinnym domu działało na Brigitte kojąco; doznawała przyjemnego wrażenia, jakby zapadła się w ciepłą puchową pierzynę. Matka była zdolną, inteligentną kobietą, na którą Brigitte zawsze mogła liczyć. Uratowała je przed katastrofą, zamieniając tragedię w godne życie. Zrobiła karierę w branży wydawniczej i zasłużyła sobie na szacunek w swojej dziedzinie, przyczyniwszy się do opublikowania wielu znanych książek. Przed rokiem odeszła na emeryturę jako starsza redaktorka. Dopilnowała, żeby córka skończyła szkołę i zdobyła stopnie naukowe, a także wpoila jej, jak ważne jest wykształcenie. Była dumna z osiągnięć Brigitte i jej zamiaru zrobienia doktoratu. Poczuli się zawiedziona, gdy Brigitte zadowolili się mało inspirującą pracą w dziale rekrutacyjnym na Uniwersytecie Bostońskim, no i rozczarowało ją, że ciągle jeszcze nie ukończyła od dawna pisanej książki. Niepokoiło ją, że Brigitte do tej pory nie wyszła za mąż i nie miała dzieci. Chciała, żeby córka odważyła się i wzięła życie za rogi, nie unikała odpowiedzialności, jednak do tej pory tak się nie stało. Marguerite wiedziała, że Brigitte jest zdolna, obowiązkowa i pracowita, ma duże możliwości, żeby zrobić karierę, dlatego pragnęła dla niej czegoś więcej, ciekawszego i inspirującego życia. Wiedziała, że Brigitte na to stać, ale wydawało się, że zawsze coś ją powstrzymuje. Zdawała sobie sprawę z jej niechęci do podejmowania ryzyka i znała tego powód. Brigitte zależało tylko na poczuciu bezpieczeństwa. Wciąż miała uraz z dzieciństwa związany ze śmiercią ojca.

Były zupełnie do siebie niepodobne poza tym, że obie wysokie i zgrabne. Marguerite miała włosy blond i jasną karnację, a Brigitte czarne włosy, czarne oczy i śniadą cerę. Uśmiechały się podobnie, ale uroda Brigitte zwracała uwagę egzotyką.

W przytulnym salonie z antycznymi meblami Marguerite rozpałała ogień w kominku przed przyjazdem córki. Siedziały przy nim na starych i podniszczonych, lecz eleganckich krzesłach wyściełanych aksamitem, pijąc herbatę w filiżankach z francuskiej porcelany, którymi matka się szczyciła; odziedziczyła je po babce. Marguerite wyglądała dystyngowanie, ale przedmioty w jej mieszkaniu nie miały wielkiej wartości; cechował ją jednak dobry gust i mieszkała tu od lat. Wystrój domu był staroświecki, ale nie zabrakło nowoczesnych regałów pełnych książek. Tu szanowało się wiedzę i wykształcenie, a Marguerite fascynowało wszystko, co związane z historią jej rodziny.

- Co z twoją książką? - spytała córkę z zainteresowaniem, nie chcąc poruszać bolesnych tematów: Teda i pracy.

- Nie wiem. Zero skupienia. Ugrzęzłam. Zebrałam dobry materiał, ale nie mogę ruszyć z miejsca. Może za parę dni pójdzie mi lepiej. Zrobiłam sobie przerwę, przyjeżdżając do ciebie.

- Cieszę się, że jesteś. Chcesz, żebym na to zerknęła?

Antropologia to nie moja dziedzina, ale wybrałaś ważny i ciekawy temat; mogę ci pomóc go trochę podkreślić.

Brigitte uśmiechnęła się wdzięczna za propozycję i za to, że nie mówiła już o Tedzie. Cała jej matka. Martwiła się tylko o nią.

- Wydaje mi się, że to nie wystarczy, mam już sześćset pięćdziesiąt stron i jeśli będę trzymać się planu

dotyczącego okresów historycznych i poszczególnych krajów, wyjdzie ponad tysiąc stron. Miałam w zarysie wyczerpujące opracowanie, ale zaczęłam się zastanawiać, czy temat w ogóle kogoś zainteresuje. Może wolność kobiet to coś więcej niż tylko prawo głosu w demokratycznych wyborach - powiedziała ze smutkiem. - Prawdziwe czytadło - zażartowała matka; wiedziała jednak, że córka pisze obszerne studium socjologiczne i potrafi ująć temat ciekawie, bo miała niewątpliwie zdolności pisarskie. Brigitte się uśmiechnęła. Bądź co bądź, to książka akademicka, a nie komercyjna. - Ja też byłam ostatnio zajęta. Przez trzy tygodnie przeglądałam różne materiały w miejscowej filii biblioteki mormońskiej. Zgromadzili niewiarygodną dokumentację. Wiesz, że oni mają ponad dwustu fotografów w czterdziestu pięciu krajach na świecie, którzy robią zdjęcia lokalnych dokumentów, by osoby zainteresowane genealogią mogły do nich zajrzeć? Tak naprawdę chodzi im, żeby ludzie ochrzcili krewnych w ich kościele, nawet pośmiertnie, ale każdy, kto szuka swoich przodków, może korzystać z tych materiałów. Chętnie udostępniają informacje i są bardzo pomocni. Dzięki nim wysłodziłam de Marge-raców do roku 1850, kiedy znaleźli się w Nowym Orleanie, i wiem, że przyjechali do Stanów z Bretanii mniej więcej w tym czasie. Niektórzy, z innej gałęzi rodziny, ale o tym samym nazwisku, zjawili się tu wcześniej. Nasi przodkowie przybyli z Bretanii pod koniec lat czterdziestych XIX wieku. - Brzmiało to jak tekst z biuletynu informacyjnego i Brigitte się uśmiechnęła. To była pasja matki. - Wtedy zjawił się tu mój pradziadek, twój prapradziadek - ciągnęła Marguerite. - Teraz chciałabym poznać dzieje naszej rodziny z czasów poprzedzających ich przyjazd do Ameryki. Wiem,

że Philippe i Tristan de Margerac przeprowadzili się tu, tle w tej grupie było jeszcze paru hrabiów i markizów, niewiele jednak o nich wiem, właściwie nic z okresu, kiedy żyli we Francji.

- Może powinnaś właśnie tam poszukać informacji, mamó? -

Brigitte starała się okazać zainteresowanie. Choć fascynowała ją antropologia, niestrudzone poszukiwania genealogiczne prowadzone przez matkę śmiertelnie ją nudziły. Nie interesowała się swoimi przodkami ani zamierzchnią przeszłością niemającą nic wspólnego z czasem obecnym. Wszyscy przodkowie sprawiali wrażenie ludzi przeciętnych. Nikt nie wydawał się wyjątkowy. - Mormoni mają prawdopodobnie więcej wiadomości o historii rodzinnej niż jakakolwiek biblioteka we Francji. Sfotografowali tam miejscowe dokumenty. Kraje europejskie bada się najłatwiej. Któregoś dnia pojedę do Salt Lake City i tam poszukam, ale znalazłam też sporo ciekawych materiałów w ich tutejszej bibliotece.

Brigitte jak zwykle pokiwała przez uprzejmość głową, ale matka wiedziała, że ten temat nudzi córkę, i zaczęły rozmawiać o teatrze, operze, balecie, co też uwielbiała Marguerite, oraz czytanej przez nią powieści. Matka wspomniała również o Tedzie i wykopaliskach w Egipcie. Nie dało się dłużej omijać tego tematu. Było jej przykro z powodu tego, co się stało. Podziwiała Brigitte za filozoficzne podejście do całej sprawy. Ona nie potrafiłaby tak reagować, gdyby ukochany porzucił ją po sześciu latach. Z pewnością nie szukałaby winy w sobie. Dlatego Marguerite niezupełnie się z nią zgadzała. Uważała, że Ted powinien zaproponować Brigitte, żeby pojechała z nim do Egiptu; tymczasem on wykorzystał to jako pretekst do zakończenia związku.

Rozmawiały też o college'ach, do których Brigitte wysłała swoje CV. Zdecydowała, że pozostanie w Bostonie, ale nie otrzymała jeszcze żadnej propozycji pracy. Uczelnie mają teraz sporo pracy z rozpatrywaniem podań kandydatów, a potem zajmą się przyjmowaniem nowych studentów i listą oczekujących. Odpowiedzi na swoją ofertę mogła spodziewać się nie wcześniej jak w maju lub czerwcu. Musiała uzbroić się w cierpliwość. Na razie chciała znaleźć coś, czym mogłaby się zająć, ale na razie nie poszukiwaniem przodków. Jednak traktowała z wyrozumiałością hobby matki i pragnęła okazać się pomocna, chociaż katalogowanie całych pokoleń takich samych zacnych osób było nudne i przewidywalne jak jej książka. Już wolałaby, żeby trafił się jakiś przestępca lub niegodziwiec z fantazją, ktoś, kto wniósłby do ich drzewa genealogicznego więcej życia. O północy, gdy ogień w kominku dogasł, zgasiły światła i poszły spać. Brigitte zajęła jak zawsze swój pokój dziecienny, z tapetą w różowy kwiecisty wzorek, który kiedyś sama wybrała. Lubiła wracać do tego domu, do starego pokoju, znajomych tkanin i długich, interesujących rozmów z matką. Dobrze się ze sobą dogadywały.

Rano zjadły śniadanie w kuchni, a potem Marguerite wyszła załatwić jakąś sprawę, kupić coś do jedzenia i zagrać w brydza z przyjaciółmi. Żyło się jej przyjemnie i przez kilka lat była związana z pewnym mężczyzną. Zmarł przed paroma laty, tuż przed jej odejściem na emeryturę, i od tamtej pory nie miała nikogo. Obracała się w dużym kręgu znajomych, chodziła na proszone obiady i kolacje, do muzeów oraz na różne imprezy kulturalne, przeważnie z przyjaciółkami, a czasem z zaprzyjaźnionymi-

mi parami. Chociaż mieszkała sama, nigdy się nie nudziła. W weekendy i wieczory spędzane w domu zajmowała się swoim genealogicznym hobby. Nauczyła się szukać informacji w Internecie, ale większość uzyskała od mormonów. Marzyła, żeby kiedyś je wykorzystać i napisać książkę dla Brigitte, a tymczasem uwielbiała poznawanie krewnych sprzed wieków, nawet jeśli córka uważała, że nie mają ciekawych osobowości.

Tego popołudnia, kiedy wróciła do domu, pokazała jej ostatnie notatki. Brigitte była wcześniej na zakupach, a potem pojechała na Uniwersytet Kolumbijski odwiedzić uczącą tam przyjaciółkę, która obiecała dowiedzieć się o wakaty w dziale rekrutacji.

Koleżanka uważała, że Brigitte powinna pomyśleć o prowadzeniu wykładów, zamiast szukać posady w biurze przyjęć kandydatów na studia, ale Brigitte stwierdziła, że nie ma talentu do nauczania i woli pracę w administracji, bo będzie mieć więcej czasu na pisanie i przygotowywanie się do doktoratu. Była w lepszym nastroju niż w dniu przyjazdu. Matka miała rację, zapraszając ją, a ona dobrze się czuła w Nowym Jorku. Wszystko tu tętniło życiem, chociaż Brigitte lubiła akademicki świat Bostonu i okolic. Tam panowała swojska atmosfera i czuło się powiew młodości. Pobyt w Nowym Jorku pozwolił jej jednak na miłą odmianę. Zdaniem Marguerite tu można ciekawie spędzać czas, dlatego właśnie uwielbiała to miasto.

Kiedy Brigitte przejrzała ostatnie informacje zebrane przez matkę, była pod wrażeniem. Marguerite ustaliła już daty narodzin i śmierci większości swoich bezpośrednich przodków i kuzynów. Znała okręgi i parafie w Nowym Orleanie, gdzie żyli i umarli, nazwy ich rezydencji oraz plantacji, miasta w stanie Nowy Jork i Connecticut, dokąd się

przenieśli po wojnie secesyjnej. Dowiedziała się też, jak nazywał się statek, którym jeden z przodków przyплыł z Bretanii w 1846 roku. Wyglądało, że rodzina przebywała na Południu do zakończenia wojny secesyjnej, a potem przeniosła się na Północ w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku, gdzie żyła do tej pory. Jednak to, co działo się wcześniej we Francji, wciąż pozostawało tajemnicą. Zdaniem Brigitte właśnie ten wątek może się okazać najciekawszy.

- To wcale nie było tak bardzo dawno, mamó. Powinnaś poszperać w bibliotece mormońskiej albo pojechać do Francji.

- Rzeczywiście, muszę się wybrać do Salt Lake City. Mają tam więcej europejskich dokumentów i bogatsze archiwum. Wciąż jednak brakuje mi czasu, ale też przerażają mnie wielkie biblioteki. W wyszukiwaniu materiałów jesteś lepsza ode mnie. - Spojrzała na córkę błagalnie, a Brigitte się uśmiechnęła. Zapach matki ją rozczulał.

- Masz tyle informacji, że wystarczy na książkę, gdybyś miała ochotę coś napisać - powiedziała pocieszająco. Zawsze podziwiała jej pilność i wytrwałość.

- Nie sądzę, żeby to zainteresowało kogoś poza naszą rodziną, może obchodzić mnie, ciebie i paru kuzynów, jeśli gdzieś jeszcze są, chyba że mamy we Francji krewnych, o których nic nie wiem. Ale wątpię. Nie znalazłam żadnych de Margeraców, którzy żyliby ostatnio we Francji. Tutaj prawie wszyscy wymarli. Nikt nie został na Południu i nikogo nie było tam w ostatnich stu latach. Twój dziadek urodził się w Nowym Jorku na przełomie wieków. Tak naprawdę teraz nie ma już nikogo prócz nas.

- Tyle energii na to poświęcasz, mamó.

- Lubię wiedzieć, z kim jesteśmy spokrewnione, gdzie żyli nasi przodkowie i co tam robili. To również twoje dziedzictwo. Może pewnego dnia wyda ci się ważniejsze niż teraz. W naszym drzewie genealogicznym jest jednak paru bardzo ciekawych ludzi, warto by ich poznać. Zdaniem Brigitte wyróżniali się tylko tym, że byli arystokratami, ale nie widziała w nich nic niezwykłego. Resztę tygodnia spędziła w Nowym Jorku. Nie miała potrzeby wracać do Bostonu. Poszły do teatru i kina, parę razy do restauracji, dużo też spacerowały po Central Parku. Dobrze się czuły w swoim towarzystwie, a matka starała się omijać bolesne tematy. Nie mówiła już o Tedzie, może z wyjątkiem tego że Brigitte zmarnowała sześć lat życia. Przypuszczała zresztą, że ona myśli tak samo. Ted okazał się nieodpowiedzialny. Brigitte nie miała od niego żadnych wiadomości od czasu esemesa przysłanego dzień po ich rozstaniu. Sobotnie popołudnie spędziły leniwie w domu, czytając świąteczne wydanie „Timesa”. Marguerite uśmiechnęła się, kiedy natrafiła na artykuł o genealogii. Jak można się było spodziewać, wychwalano w nim mormonów oraz ich biblioteki i matka znowu spojrzała na nią błagalnie.

- Brigitte, proszę, zrób to dla mnie, pojedź do Salt Lake City. Lepiej sobie poradzisz z wyszukiwaniem informacji. To nie jest moja mocna strona, a nie sięgnę dalej wstecz, dopóki nie odnajdę swoich przodków, którzy żyli we Francji. Utknęłam około roku 1850. Mogę na ciebie liczyć, pojedziesz? - Nie musiała dodawać: „teraz, kiedy nie masz pracy ani partnera”. Rzeczywiście, miała sporo czasu i z niepokojem czekała na odpowiedzi w sprawie pracy. Już chciała powiedzieć „nie”, ale się zastanawiała. To co przeczytała w „Timesie” o Mormońskiej Bibliotece



Historii Rodzinnej, nawet ją zainteresowało. Powinna to zrobić dla matki, która zawsze ją wspierała. Mogłaby wyświadczyć jej przysługę.

- Może. Zobaczę - odparła niezobowiązująco. Wolała nie obiecywać zbyt wiele, ale uświadomiła sobie, że to też wspaniała okazja, by nie pisać książki, bo nagle odeszła jej ochota. W niedzielę po południu miała wracać do Bostonu. Z prognozy pogody dowiedziały się, że szaleje tam śnieżyca i opady utrzymają się przez najbliższe dni. Dwie godziny później lotnisko w Bostonie zostało zamknięte. W Nowym Jorku była ładna pogoda; zamieć miała dopiero tu dotrzeć następnego dnia. - Mogłabym pojechać do Salt Lake City, jeśli chcesz - powiedziała Brigitte. - Mam tam koleżankę ze szkoły, w każdym razie miałam. Wyszła za mormona i urodziła chyba z dziesięcioro dzieci. Mogłabym ją odszukać i spróbować znaleźć dla ciebie jakieś informacje. To może być nawet zabawne - dodała, uśmiechając się lekko.

- Och, byłabym ci wdzięczna. Nie mogę ruszyć dalej, dopóki nie odnajdę śladów przodków w Bretanii. Mówiłam ci, że mormoni mają niewiarygodnie dużo danych na mikrofilmach i dyskach, na pewno będą ci służyć pomocą - mówiła z radosnym entuzjazmem matka. Aż Brigitte się roześmiała.

- No dobrze, dobrze, mamo. - Parę minut później zadzwoniła do biura linii lotniczych i zarezerwowała miejsce w samolocie do Salt Lake City na popołudnie. Cieszyła się, że pomoże matce, a całe przedsięwzięcie zaczęło się jej podobać. A może znajdzie w bibliotece mormonów coś, co mogłaby wykorzystać w swojej książce? Ale to wydawało się mało prawdopodobne.

Matka była wzruszona, dziękowała jej serdecznie, a Brigitte obiecała, że zadzwoni i powie jej, co znalazła. Zarezerwowała sobie pokój w Hotelu Carlton, bo zobaczyła w Internecie, że znajduje się on niedaleko Temple Square, gdzie mieściła się Biblioteka Historii Rodzinnej. Teraz już nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy to miejsce. Informacje w Internecie wzbudziły jej zainteresowanie. Mormoni korzystali z pomocy setek wolontariuszy, a za dostęp do rejestrów i zbiorów nie pobierano opłaty; płacono się tylko za kserowanie dokumentów i zdjęć. Była to nadzwyczajna usługa, z której mogli korzystać wszyscy, świadczona przez mormonów od dziesięcioleci. Zarządzali gigantyczną organizacją i prowadzili największą akcję zbierania materiałów „rodzinnych” na całym świecie.

Brigitte rozmyślała o tym, wsiadając do samolotu, i miała nadzieję, że znajdzie w archiwach coś interesującego dla matki. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się rewelacji. Materiały zebrane do tej pory wskazywały, że jej przodkowie to łagodni i powściągliwi ludzie. Byli szanowanymi arystokratami, którzy z jakiegoś powodu zdecydowali się przenieść do Stanów Zjednoczonych w połowie XIX wieku, po rządach Napoleona. Może przybyli tu, żeby kupić ziemię lub odkryć nowe terytoria, i zostali. Brigitte zastanawiała się również nad tym, co porabiali we Francji, zanim przyjechali do Ameryki, i co się z nimi działo w okresie panowania Napoleona oraz rewolucji francuskiej, piętnaście lat przed nastaniem jego rządów. Miała więc misję odkrywczą, która nagle wydała się jej ciekawsza niż prowadzenie kroniki praw wyborczych kobiet na świecie. Może jednak matka miała rację, temat, do którego trzeba zebrać materiały, jest wart zachodu i ważniejszy niż to, czym Brigitte zajmowała

się przez ostatnich siedem lat. Miała się o tym przekonać w Salt Lake City.

Lot trwał pięć i pół godziny, a z lotniska pojechała prosto do hotelu. Budynek w stylu europejskim, zbudowany w latach dwudziestych XX wieku, znajdował się niedaleko Temple Square, dokąd wybierała się następnego dnia. Żeby rozejrzeć się w terenie i odetchnąć świeżym powietrzem, poszła przed obiadem na spacer. Z łatwością odnalazła Temple Square kilka przecznic dalej i od razu zauważyła wielką Bibliotekę Historii Rodzinnej po zachodniej stronie placu, gdzie także było Muzeum Historii Kościoła oraz stał najstarszy budynek w mieście, dom Osmyna Deuela, wybudowany w 1847 roku. Przeszła obok świątyni mormonów z imponującymi sześcioma iglicami i kopulastym namiotem obok niej, otwartym dla ludzi; tu odbywały się próby i koncerty słynnego mormońskiego chóru Tabernakulum. Oryginalna zabudowa robiła wrażenie. Brigitte obejrzała tutejszy Kapitol i minęła Beehive House oraz Lion House, wzniesione w połowie lat pięćdziesiątych XIX wieku, gdzie mieściły się oficjalne rezydencje Brigham Younga, przywódcy mormońskiego kościoła i pierwszego gubernatora stanu Utah.

Zaskoczyło ją, że tak dużo ludzi tu spaceruje mimo zimna; przyglądali się z podziwem okazałemu kompleksowi budynków, co sugerowało, że to nie miejscowi, tylko turyści. Byli podekscytowani przebywaniem w tym miejscu. Atmosfera podniecenia udzieliła się Brigitte; czuła przedsmak fajnej przygody, zainspirowanej hobby matki. Angażując się w poszukiwanie rodzinnych korzeni, nadawała swojemu życiu nowy wymiar. Wróciła do hotelu w wyśmienitym nastroju i po zamówieniu obiadu zatelefonowała do Marguerite, opowiadając

jej o wszystkim, co zobaczyła. Żałowała, że matka z nią nie przyjechała. Marguerite zaś była wdzięczna, że Brigitte, mimo wszystko, wybrała się w tę podróż i zainteresowała historią rodziny.

- I tak nie mogłabym jechać - powiedziała. - Mam jutro turniej brydżowy.

Pracowała ciężko przez dwadzieścia pięć lat i nie spodziewała się przyjemności na starość, czerpała teraz radość z wolnego czasu. Brigitte to cieszyło. Matka zasłużyła sobie na odpoczynek. A skoro genealogia ich rodziny stanowiła dla niej tak ważną sprawę, ona chętnie włączy się w poszukiwanie informacji, żeby pomóc w tym przedsięwzięciu. Coś jej mówiło, że dzięki mormonom odkryje jakieś nieznane dotąd fakty z historii rodu. Mając do dyspozycji dwa miliardy nazwisk w bazie danych, dwa i pół miliona rolek mikrofilmów oraz trzysta tysięcy woluminów z informacjami zebranymi na całym świecie, była niemal pewna, że znajdzie jakieś zapiski dotyczące krewnych z Francji. Matka chciała sięgnąć tak daleko wstecz, jak tylko możliwe. Ucieszyłaby się, dowiadując, że jacyś członkowie rodziny de Margera-ców to ważne postacie w dziejach Francji. Brigitte pasjonowała się historią od czasów college'u. Teraz wątek rodzinny stawał się dla niej ważniejszy niż prawa wyborcze kobiet, czym kiedyś się interesowała. Poszukiwania, w które się zaangażowała, były czymś bardziej osobistym i czuła, że dzieli ją tylko krok od poznania dziejów swojej rodziny. Zjadła obiad w swoim pokoju, żałując, że nie może opowiedzieć Tedowi o tym, co robi. Nie wyjechał jeszcze z Bostonu i miała ochotę do niego zadzwonić, ale uświadomiła sobie, że gdy usłyszy jego głos, to będzie dla niej zbyt silne przeżycie, a nie chciała popaść w przygnębienie.

Tego wieczoru próbowała odszukać dawną koleżankę ze szkoły, ale sprawa okazała się beznadziejna. Mąż przyjaciółki był potomkiem Brigham Younga i Brigitte znalazła w książce telefonicznej całe strony osób o tym nazwisku i setki ich miały na imię John. Żałowała, że nie zobaczy się z koleżanką, że w ostatnich latach nie utrzymywały kontaktu. Wiedziała tylko, jeszcze z czasów zanim straciły się z oczu, że znajoma ma dziesięcioro dzieci. Trudno to sobie wyobrazić, ale tutaj, gdzie często spotykało się liczne rodziny, to zupełnie normalne. Spała dobrze w dużym wygodnym łóżku. Zamówiła budzenie na ósmą, a kiedy zadzwonił telefon, śniła o Tedzie. Wciąż dużo o nim myślała i nie mogła uwierzyć, że opuścił ją na zawsze. Sześć lat poszło na marne, a teraz miała przedrzeć się przez setki lat dziejów swojej rodziny. Ale dobrze się stało, że może się tym zająć i oderwać od przykrych problemów. Podekscytowana poszukiwaniami, wstała, wzięła prysznic, ubrała się i przed wyjściem zjadła szybkie śniadanie złożone z płatków owsianych, herbaty i tosta.

Po rekonesansie z poprzedniego wieczoru znała już drogę do Temple Square. Zobaczyła znajome budynki i weszła do Biblioteki Historii Rodzinnej, a potem znaki informacyjne wskazały jej drogę. W gmachu było mnóstwo bibliotekarzy, czekających tylko, żeby komuś pomóc i podzielić się wiedzą. Brigitte poszła schodami na górę do stanowiska, gdzie znajdowały się archiwa z Europy. Wyjaśniła młodej kobiecie przy biurku, że szuka rodziny z Francji.

- Z Paryża? - spytała bibliotekarka, biorąc notatnik.

- Właściwie z Bretanii. - Napisała na kartce nazwisko panięskie matki, de Margerac. - Przybyli do Nowego Or-

leanu około 1850 roku. - Wtedy to już było terytorium należące do Stanów Zjednoczonych po odsprzedaniu go za piętnaście milionów dolarów Amerykanom przez Napoleona. - Nie wiem ftic o ich dziejach sprzed tego okresu. Przyjechałam tu, żeby się czegoś dowiedzieć. - Uśmiechnęła się do bibliotekarki z identyfikatorem: Margaret Smith. Przedstawiła się jako Meg. - A my jesteśmy po to, żeby pani pomóc. - Miała ciepły głos i przyjazny uśmiech. - Zobaczmy, co mamy w bazie danych. Proszę mi dać parę minut. - Wskazała miejsce przed stanowiskiem do odczytywania mikrofilmów, gdzie Brigitte miała usiąść i poczekać. Później mogły przejrzeć tam razem rejestry, prześledzić listy nazwisk oraz akty narodzin i zgonów z danego regionu, sfotografowane przez mormońskich badaczy. Meg wróciła po dwudziestu minutach z mikrofilmem. Włączyła urządzenie i zaczęły przeglądać to, co znalazła. Dopiero po dziesięciu minutach Brigitte zobaczyła coś, co wydało jej się znajome, a potem nagle ujrzała nazwisko de Margerac, Louise, urodzona w 1819 roku, dalej znajdowali się Philippe, Edmond i Tristan, wszyscy urodzeni w odstępnie kilku lat, a w roku 1825 przyszedł na świat Christian, który zmarł po paru miesiącach. Zapisy te pochodziły z jakiegoś okręgu w Bretanii. Zawiodły one Brigitte i Meg do poprzedniego pokolenia. Znalazły następne trzy osoby, chłopców urodzonych między rokiem 1786 a 1789, tuż przed rewolucją francuską: Jeana, Gabriela i Paula, braci, z tych samych rodziców. Potem natrafiły na informacje o ich śmierci w Quimper i Carnac w Bretanii. Wszyscy trzej zmarli między rokiem 1837 a 1845. Brigitte starannie zapisała ich imiona oraz daty narodzin i śmierci w notatniku.

Przeglądając dalej mikrofilm, odszukały daty zgonu Louise i Edmonda de Margeraców, siostry i brata, przypadające na lata sześćdziesiąte XIX wieku. Nigdzie jednak nie mogły znaleźć zapisków śmierci Philippe'a i Tristana. Bibliotekarka zasugerowała, że mogli się przeprowadzić i umrzeć gdzie indziej, a Brigitte wiedziała, że to ci Margeracowie, którzy przybyli do Nowego Orleanu w połowie XIX wieku i tam zmarli. Te informacje zebrała już wcześniej matka. Brigitte zapisała wszystko, czego dowiedziała się do tej pory, zamierzała też kupić dla matki kopie dokumentów z mikrofilmów.

Cofnęły się jeszcze do poprzedniego pokolenia i znalazły daty narodzin Tristana oraz Jeana de Margeraców, których imiona występowały też w późniejszych generacjach. Jean urodził się w roku 1760, a Tristan dziesięć lat wcześniej. Nigdzie nie występował zapis o śmierci Jeana, ale było wiadomo, że markiz Tristan de Margerac zmarł w 1817 roku, po abdykacji Napoleona, a markiza parę miesięcy później, jednak wcześniej nigdzie nie było daty jej narodzin. Brigitte zastanawiała się, czy żona Tristana nie pochodziła z innego rejonu Francji, a kiedy sprawdziły datę jej śmierci, która nastąpiła zaledwie po dwóch miesiącach po zgonie męża, Brigitte zanotowała te informacje i zdziwiło ją imię markizy.

- Co to za imię? - zapytała bibliotekarkę. - Francuskie?

- Nie sądzę. - Uśmiechnęła się. Wszystkie rodziny lub też większość tych, którym pomagała w odszukiwaniu przodków, miały swoje nieodkryte tajemnice. Imię markizy de Margerac brzmiało Wachiwi, jak w roku jej śmierci 1817 zanotował starannie pismem pełnym zawijasów jakiś miejscowy urzędnik. - Prawdopodobnie to indiańskie imię.

Widziałam je już wcześniej. Mogę jeszcze sprawdzić, ale z tego, co wiem, pochodzi z plemienia Siuksów.

- Dziwne, żeby nazwać Francuzkę indiańskim imieniem. - To zaintrygowało Brigitte.

Bibliotekarka odeszła, żeby to sprawdzić, a Brigitte przeglądała notatki. Po chwili Meg potwierdziła to, co powiedziała wcześniej.

- Tak, imię z plemienia Siuksów. Znaczy „tancerka”. Bardzo ładne.

- Trudno uwierzyć, że francuska arystokratka tak się nazywała. Wydawało się to Brigitte dość osobliwe, chociaż kto wie, jaka panowała wtedy moda i dlaczego matka Wachiwi wybrała takie imię.

- Całkiem możliwe. - Bibliotekarka pokiwała głową. - Słyszałam, że przed rewolucją Ludwik XVI fascynował się rdzennymi mieszkańcami Ameryki. Czytałam kiedyś, że zaprosił wodzów indiańskich do Francji i przedstawił ich na dworze jako gości honorowych. Prawdopodobnie paru tam zostało, a porty, do których najczęściej przybywano z Ameryki, znajdowały się w Bretanii. Może wódz Siuksów i jego córka pozostali we Francji, a ona wyszła za markiza, z którym jest pani spokrewniona. Pewnie nie przybyła sama, najprawdopodobniej jakiś wódz zaproszony na dwór przyjechał w towarzystwie córki. Rewolucja wybuchła w 1789, a jeśli ta dziewczyna zjawiała się we Francji wcześniej, w latach osiemdziesiątych, to jej wiek akurat by pasował. Zakładając, że miała kilkanaście lat, gdy trafiła do Francji po roku 1780, miałyby około pięćdziesiątki, kiedy zmarła w 1817; długo żyła jak na kobietę w tamtych czasach. Trzej chłopcy urodzeni w latach 1786-1789 bez wątpienia byli



jej synami. Najprawdopodobniej to Indianka z plemienia Siuksów, która przybyła do Bretanii ze Stanów Zjednoczonych, podbiła serce markiza. Nigdy nie natknęłam się na żadną Francuzkę o imieniu Wachiwi; wszystkie kobiety o tym imieniu, o których czytałam, pochodziły z plemienia Siuksów z Dakoty. W tamtych czasach we Francji z pewnością przebywali jacyś Siuksowie i wielu nigdy stamtąd nie wyjechało. To mało znany fragment historii, ale zawsze mnie fascynował. Indianie nie byli tam sprowadzani jako niewolnicy czy więźniowie. Traktowano ich jak gości, zapraszano na dwór.

Brigitte zachwyciła ta opowieść. Znalazła w dziejach swojej rodziny niezwykle ciekawą, tajemniczą historię. Gdzieś, jakimś cudem i z jakichś powodów markiz de Margerac, dziadek pradziadka jej matki, poślubił młodą Indiankę z plemienia Siuksów, urodziła mu trzech synów, najstarszy nosił imię młodszego zmarłego brata markiza. Brigitte i Meg znalazły też zapiski dotyczące dwojga innych dzieci markiza, urodzonych wcześniej niż trzej synowie Wachiwi. Nosiły imiona Agathe i Matthieu. Markiza wymieniona jako ich matka miała inne imię niż Wachiwi i zmarła w 1778 roku, w tym samym dniu, kiedy urodziła drugie dziecko. Zapewne umarła przy porodzie, a Wachiwi to druga żona markiza. Układanie tej historii z fragmentów pochodzących z rejestrów sfotografowanych w Bretanii przez mormonów było fascynujące.

- Gdzie mogę znaleźć więcej informacji o Wachiwi? - spytała Brigitte zachwycona tym, co odkryły. To przekraczało jej oczekiwania, a nawet nadzieje matki. Cofnęła się o kolejne sto lat od punktu, do którego dotarła Marguerite, i odkryła coś niezwykle interesującego, co należałoby zba-

dać: dzieje młodej Indianki z plemienia Siuksów, która wyszła za markiza w Bretanii.

- Powinna pani pojechać do Siuksów, żeby się czegoś dowiedzieć. Prowadzą rejestry, choć nie są tak dokładne jak nasze i oczywiście nie tak zróżnicowane pod względem geograficznym. Ale spisali mnóstwo ustnych opowieści. Niełatwo znaleźć tam ludzi, których się szuka, ale czasami się udaje. Warto spróbować.

- Dokąd mam się wybrać? Do urzędu do spraw Indian?

- Nie, myślę, że do instytutu historycznego Siuksów w Dakocie Południowej. Tam jest większość materiałów. Zapewne będzie trudno znaleźć zapis o młodej kobiecie, chyba że to córka jakiegoś ważnego wodza lub osoba, która dokonała czegoś wielkiego, jak Sacajawea, ale ekspedycja Lewisa i Clarka wyruszyła jakieś dwadzieścia lat później po okresie, kiedy żyła Wachiwi - mówiła Meg. Obie miały wrażenie, że odnalazły przyjaciółkę, i Brigitte poczuła nagle, iż coś osobistego łączy ją z tą kobietą. - Pani z urody trochę przypomina Indiankę - zauważyła ostrożnie bibliotekarka, nie wiedząc, jak Brigitte zareaguje na tę uwagę, ale ona powiedziała w zamyśleniu:

- Mój ojciec był Irlandczykiem. Sądziłam, że po nim odziedziczyłam kolor włosów, ale może wcale tak nie jest. Może to jakiś gen po Wachiwi.

Zapragnęła dowiedzieć się jak najwięcej o tajemniczej Indiance. Przeglądały rejestry w Bibliotece Historii Rodzinnej przez godzinę, ale nic nowego nie znalazły. Brigitte odkryła więc do tej pory trzy pokolenia krewnych - potomków Tristana i Wachiwi de Margeraców - oraz indiański ślad, co wydało się jej przedziwnym zrzędzeniem losu. Podziękowała Meg serdecznie i koło południa wróciła do swojego

pokoju; od razu i zadzwoniła do matki. Marguerite była w dobrym nastroju, bo razem z partnerką wygrały w brydża.

- Mam dla ciebie niesamowitą historię z dziejów naszej rodziny! - Brigitte była podekscytowana, co ucieszyło matkę.

- Znalazłaś coś? - Oczywiście zaciekała ją dobra wiadomość.

- Mnóstwo rzeczy. Trzy pokolenia de Margeraców w Bretanii i dwie osoby, których daty śmierci nie ma, Philippe'a i Tristana, a Philippe, dlatego że najstarszy, mógł zostać wtedy markizem. Udało mi się wyśledzić trzy pokolenia wstecz.

- To ci dwaj, którzy przybyli do Nowego Orleanu w latach 1848-1850! O mój Boże, odnalazłaś ich, Brig! Kogo jeszcze? Wiem wszystko o tych braciach. Philippe to mój pradziadek. Tristan przeniósł się do Nowego Jorku po wojnie secesyjnej, a Philippe zmarł wcześniej w Nowym Orleanie. Tak się cieszę, że odnalazłaś ich w rejestrze urodzin. Na kogo jeszcze trafiłaś? Mormoni są niesamowici, prawda?

- Tak. Znalazłam siostrę lub kuzynkę Tristana i Philippe'a, Louise, i brata Edmonda, który zmarł we Francji, a także młodszego brata Christiana, zmarłego w wieku niemowlęcym. A z poprzedniego pokolenia Jeana, Gabriela i Paula de Margeraców. Ich ojcem był markiz Tristan de Margerac. Natrafiłam też na dwoje jego wcześniejszych dzieci i żony; jedna zmarła przy porodzie, a druga mniej więcej w tym samym czasie co markiz.

Prawdopodobnie powinniśmy pojechać do Francji i sprawdzić tamtejsze rejestry, żeby dowiedzieć się dokładnie, kto kogo poślubił. Czasami trudno się zorientować, kto jest rodzeństwem, a kto kuzynostwem, chyba że jasno to napiszą. Nie za-

wsze to zaznaczają, ale z tego wszystkiego, co odkryłam, najbardziej niesamowita jest druga żona markiza z czasów Ludwika XVI.

- To zdumiewające jak na jeden dzień poszukiwań!

Były poruszone odkryciami, zwłaszcza Marguerite, która poznała kolejne sto lat wstecz historii swojej rodziny, do czego dążyła od dawna. To, czym dysponowała miejscowa filia biblioteki mormonów, nie dorównywało zbiorom, do jakich Brigitte dotarła w Salt Lake City. - Bibliotekarka okazała dużo życzliwości, poza tym mają tu wszystkie rejestry, no i dopisało mi szczęście. To chyba zrządzenie losu. - Brigitte zaczęła wierzyć w przeznaczenie. Widziała w tym coś niemal mistycznego. W ciągu trzech godzin bardziej zagłębiła się w antropologię niż w ostatnich dziesięciu latach. - Druga żona markiza nazywała się Wachiwi - oznajmiła, jakby wręczała matce prezent.

- Wachiwi? To chyba nie jest francuskie imię? Zaskakująca informacja. Wiadomo, skąd pochodziła ta kobieta?

- Trudno uwierzyć, ale z plemienia Siuksów. Wyobrażasz sobie? W Bretanii. Podobno Ludwik XVI zaprosił kilku wodzów Siuksów na dwór jako honorowych gości. Niektórzy pozostali we Francji. Ona pewnie była spokrewniona z jednym z nich albo w jakiś sposób sama dostała się do tego kraju. Bibliotekarka nie miała wątpliwości: to Siuksyjka. Wachiwi znaczy w ich języku „tancerka”. A więc mieliśmy Indiankę w rodzinie, mamó. Wyszła za markiza i urodziła trzech synów. Jeden musiał być ojcem Philippe'a i Tristana, którzy wyjechali do Nowego Orleanu, a ten poprzedni Tristan i Wachiwi to ich dziadkowie. Więc ona była babką twojego pradziadka. Musimy dowiedzieć się o niej więcej.

Chyba

jednak odwiedzę tereny Siuksów. Mogłabym polecieć stąd do Dakoty Południowej. A nuż coś tam znajdę. - Brigitte nie prowadziła tego rodzaju badań od czasów studiów, ale właśnie takie poszukiwania uwielbiała w antropologii. Natrafiła wreszcie na swojego przodka, który wzbudził jej zainteresowanie. Pasje matki i córki zbiegły się dzięki Indiance, która znalazła się wśród ich krewnych przed wiekami. Od lat nic tak nie zaintrygowało Brigitte. Nawet imię Wa-chiwi wydawało się jej romantyczne. Tancerka. Samo rozmyślanie o niej pobudzało fantazję.

- Aż trudno uwierzyć, że młoda Siuksyjka mogła dotrzeć do Bretanii i poślubić markiza. W dawnych czasach pewnie trzeba było miesięcy, żeby dopłynąć tam niewielkim statkiem.

- Wyobrażasz sobie, mam, jak mogła się czuć Indianka na dworze Ludwika XVI? To niesamowite. Mam nadzieję, że znajdę coś o niej w opowieściach przekazywanych ustnie, chociaż bibliotekarka ma wątpliwości, chyba że Wachi-wi jakoś się tam liczyła, na przykład mogła być córką wodza. Całkiem możliwe. Musiała coś znaczyć, skoro przybyła do Francji i została przedstawiona na dworze; niewykluczone, że wtedy poznała markiza.

- Może nigdy się nie dowiemy prawdy, kochanie - odparła matka, ale Brigitte miała misję do spełnienia. Poczula nagle niezwykle silną więź z tą Indianką, jak z nikim innym, i wiedziała, iż uczyni wszystko, żeby poznać życie markizy de Margerac, żony markiza Tristana de Margeraca. Myśląc o niej, Brigitte zaczynała marzyć. Chciała koniecznie odkryć, kim była owa kobieta, jakby sama Wachiwi ją przywoływała, prowokując swoją tajemnicą. Temu wyzwaniu Brigitte nie potrafiła się oprzeć.

## Rozdział 4

Podróż z Salt Lake City do Sioux Falls w Dakocie Południowej była uciążliwa. Brigitte najpierw poleciała do Minneapolis, tam czekała długo na lot do Sioux Falls. Dotarła na miejsce po sześciu godzinach. Postanowiła, że pójdzie na uniwersytet jutro rano i rozpocznie poszukiwania. Uczelnia znajdowała się w Vermillion w Dakocie Południowej, sto pięć kilometrów od Sioux Falls.

Zatrzymała się, w motelu przy ulicy naprzeciwko parku, bo tylko w nim były jeszcze wolne miejsca. Miasto leżało nad urwiskiem, nad rzeką Big Sioux. Rozlokowała się w pokoju i wyszła na spacer. Po drodze wstąpiła do niedrogiej restauracji na obiad. Usiadła przy oknie; uwielbiała w czasie posiłków obserwować przechodniów.

Kiedy wyszła z baru, ochłodziło się i zaczął padać śnieg, więc pośpiesznie wróciła do motelu. Chciała wstać wcześniej, żeby pojechać do Vermillion. Na Uniwersytecie mieścił się Instytut Badań Indian Amerykańskich, a w nim Biblioteka Pamięci założona przez doktora Josepha Harpera Casha. Tam znajdowały się książki, fotografie, filmy i materiały nagrane na wideo, dotyczące przekazów ustnych, które interesowały Brigitte. Siuksowie nazywali swoje mity i legendy „lekcjami”. Miała nadzieję, że tu znajdzie rozwiązanie zagadki Wachiwi.

Gdyby tak się nie stało, nie miała pojęcia, dokąd jeszcze może się udać. W archiwach Instytutu Badań Indian Amerykańskich znajdowało się sześć tysięcy nagranych lub spisanych wywiadów. Jednakże kobieta, której Brigitte poszukiwała, żyła dwieście trzydzieści lat wcześniej, i niełatwo

ją będzie odszukać. Jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności mógł sprawić, że jakaś opowieść o niej została przekazana z pokolenia na pokolenie i się zachowała. Może to, że Wachiwi albo jej ojciec wyjechali do Francji, uczynił z nich ludzi godnych uwagi. Przedmioty kultury materialnej zgromadzone w instytucie były stare i kruche, ale starannie zabezpieczone, dobrze się zachowały. Brigitte i tu natrafiła na bibliotekarkę, która nie tylko okazała się pomocna, ale także zafascynowała ją historia Wachiwi. Podzielała zdanie Brigitte, że Indianka znalazła się na dworze króla Francji lub wśród osób z nim związanych, skoro przebywała w Bretanii i wyszła za markiza. Całkiem prawdopodobne, że należała do tych nielicznych Amerykanów, jak Benjamin Franklin i Thomas Jefferson, których zaproszono na dwór francuski. A dlaczego ją zaproszono? Jak się dostała do Francji? Była w czyimś towarzystwie? Czemu pozostała na innym kontynencie, daleko od domu? Podróżował z nią ktoś z rodziny, rodzice albo rodzeństwo. Niemożliwe, żeby młoda Indianka z plemienia Siuksów popłynęła do Francji sama. Bibliotekarka nazywała się Jan i wyjaśniła Brigitte, że surowy obyczaj przodków nakazywał młode Siuksyjki trzymać w odosobnieniu. Dziewczęta musiały zachować dziewictwo i nie mogły patrzeć w oczy mężczyznom. Zapewne Wachiwi dobrze strzeżono, gdy pojechała do Francji. Trudno sobie wyobrazić reakcję jej rodziny na ślub z francuskim markizem, czy też w jaki sposób potraktowali ją krewni męża. Nie był to zwyczajny mariaż. Brigitte znalazła wreszcie pośród swoich przodków kogoś, kto nie tylko ją zainteresował, ale i zdobył jej serce. Przedsięwzięcie, w które się zaangażowała, wreszcie nabrało życia.

Bibliotekarka pokazała jej mnóstwo fotografii młodych dziewcząt z plemienia Siuksów i tym razem obie stwierdziły, że Brigitte przypomina niektóre z nich, mimo że była starsza niż one i różniła się jako współczesna kobieta. Na paru zdjęciach dało się zauważyć dość wyraźne podobieństwo, a długie czarne włosy mogły być potwierdzeniem, że geny Wachiwi dały o sobie znać, chociaż niewykluczone, że to tylko przypadek. Ale Brigitte spodobało się przypuszczenie, że odziedziczyła jakieś cechy po Indiance. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Amy, kiedy wróci do domu. Miała wrażenie, jakby nagle stała się egzotyczna, i poczuła jeszcze silniejszą więź z tajemniczą Siuksyjką z Dakoty.

Jan udostępniła Brigitte zapisy przekazywanych ustnie historii, a było ich bardzo dużo; przeglądały zbiory przez całe popołudnie, aż do zamknięcia biblioteki. Nie znalazły jednak nic o Wachiwi, ani nawet o żadnym wodzu indiańskim na francuskim dworze, chociaż Brigitte wiedziała już teraz, że paru tam się wybrało, a bibliotekarka to potwierdziła, bo czytała o tym w książkach o XVIII-wiecznej Francji. Widziała nawet rysunki, które przedstawiały wodzów Siuksów w strojach stanowiących połączenie ubiorów indiańskich z dworskimi w stylu francuskim. Wracała do motelu w nie najlepszym nastroju; była trochę zniechęcona. Miała nadzieję, że coś znajdzie, cokolwiek, co wyprowadziłoby Wachiwi z mgieł dalekiej przeszłości. Zadzwoiła do matki i powiedziała, że jak dotąd niczego nie odkryła. Tej nocy śniła o Wachiwi, pięknej młodej kobiecie. Drugiego dnia również nic nie znalazły, a trzeciego, gdy Brigitte już miała się poddać, natrafiły na opowieści



wiekowych Siuksów z plemienia Dakoty. W relacjach spisanych w 1812 roku jedna była wspomnieniem starego wodza z czasów jego dzieciństwa. Opowiadał o ich wodzu imieniem Matoskah, czyli Biały Niedźwiedź; miał on pięciu odważnych synów z pierwszą żoną, która zmarła. Druga żona, piękna młoda panna, urodziła mu córkę, ale zmarła przy porodzie. Mała dziewczynka stała się pieśnią duszy wodza. Dorastała pod opieką braci oraz ojca i postanowiła wyjść za mąż później niż inne panny w wiosce. Wódz Matoskah uważał, że żaden z walecznych młodzieńców nie jest jej wart, i wraz z córką odrzucali konkurentów. To była dumna i piękna dziewczyna. Człowiek opowiadający tę historię mówił też o ich walkach z plemieniem Crow, o dzielnych wojownikach, którzy zginęli, broniąc wioski, wyprawach wojennych i najazdach. Podczas kolejnej napaści Indianie Crow zabili dwóch jej braci, którzy bronili siostry, nie oszczędzili też małego chłopca, a dziewczynę porwali, żeby ofiarować swojemu wodzowi niewolnicę. Siuksowie próbowali ją odbić, ale im się nie udało; ojciec, wielki wódz Matoskah, umarł z żalu jeszcze tego samego roku. Gdy uprowadzono dziewczynę, duch ojca podążył za nią. Opowiadacz był wtedy młody, ale dobrze pamiętał to zdarzenie. Później mówiono w wiosce, że dziewczynę podarowano wodzowi z plemienia Crow, a ona go zabiła i uciekła. Nigdy jej nie znaleźli i śluch po niej zaginął. Nie wróciła już w rodzinne strony. Podobno jakiś francuski traper widział ją kiedyś, miała podróżować z białym człowiekiem, ale traperzy często okłamywali Indian, więc nikt mu nie uwierzył. Dziewczyna zniknęła; nie wiedział, co się z nią stało. Może zabrał ją wielki duch, karząc za zabicie wodza Crow. W każdym razie miała na imię Wachiwi i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką stary India-

nin kiedykolwiek widział, a jej ojca, Matoskaha, uważał za najmądrzejszego z wodzów.

A więc to ona, pomyślała Brigitte, kiedy przeszedł do kolejnej historikze swojej młodości, polowania na bizona na Wielkich Równinach. Wachiwi. Zabiła wodza wrogiego plemienia i uciekła. Kim był biały człowiek, którego traper z nią widział? Miała wrażenie, jakby tropiła ducha. Istotę nieuchwytną, piękną, tajemniczą i odważną. To ta sama Wachiwi, która zjawiała się we Francji? Trudno powiedzieć. Dwieście lat później trop był ledwie widoczny. Zresztą może to nie miało znaczenia. I tak dowiedziała się już dużo. Ale nie potrafiła się tym zadowolić.

Przez następny tydzień razem z bibliotekarką przeszukiwały opowieści o Indianach Crow, spokrewnionych z Siuksami, choć często ten szczerp walczył z Siuksami z Dakoty. W porze lunchu chodziły do pobliskiej restauracji i przy stoliku analizowały to, co odkrywały dzień po dniu. Historie ze zbiorów były fascynujące i Brigitte zakochała się w ludziach, o których czytała. Rozmawianie o nich z Jan sprawiało, że bohaterowie opowieści ożywali.

Przypominało to podróżowanie w czasie.

Następne dni nie przyniosły nic nowego, aż nagle Wachiwi znowu się pojawiła i wcześniejsza opowieść znalazła potwierdzenie.

Opowiadający tę historię wychwalał wodza plemienia Crow o imieniu Napayshni, którego znał w dzieciństwie. Wódz miał dwie żony i dostał w podarunku piękną dziewczynę porwaną Indianom z Dakoty. Nazywał ją złym duchem i twierdził, że rzuciła urok na ich wodza, zwabiła go do lasu i zabiła. Nigdy jej nie znaleźli. Mogła zostać uprowadzona przez inne plemię, ale pewien traper mówił, że

zabrał ją jakiś Francuz; w każdym razie gdzieś przepadła. Wszyscy w wiosce uważali, że ta istota była duchem, a nie zwyczajną dziewczyną, i po prostu zniknęła po zamordowaniu ich wodza. Czytając tę relację, Brigitte wiedziała, że chodzi o Wachiwi, a wspomnienie o Francuzie zupełnie ją oszołomiło. Nie miała wątpliwości, że ktoś uratował dziewczynę. Cokolwiek się wydarzyło, Wachiwi, jak widać, odznaczała się wielką odwagą. Intuicja podpowiadała Brigitte, że to ta sama Wachiwi, która wyjechała do Francji, a kimkolwiek był tamten Francuz z drugiej opowieści, pewnie zabrał ją do swojego domu. Reszta tej historii może nigdy nie zostanie dopowiedziana. Ale Brigitte już dowiedziała się dużo o młodej Indiance. Musiała być czarującą kobietą. Gawędziarz uznał, że rzucała uroki. Nie była jednak czarownicą, lecz piękną i odważną dziewczyną, która została żoną markiza w Bretanii.

Brigitte nie miała ochoty wyjeżdżać, ale osiągnęła to, po co przyjechała do Dakoty Południowej. Znalazła ślady Wachiwi i potwierdziła swoje przypuszczenia. Przed wyjazdem podziękowała serdecznie Jan, czując, że znalazła w niej bratnią duszę. Pożegnawszy bibliotekarkę, wróciła do Sioux Falls i zdążyła jeszcze na samolot do Bostonu. Czuła spokój, jakby jakaś brakująca jej część trafiła na swoje miejsce. Wachiwi. Tancerka. Zastanawiała się, czego jeszcze dowiedziałaby się o niej, gdyby weszła głębiej w historię swojej rodziny we Francji. Musiano tam rozprawiać o niezwykłej młodej Indiance z plemienia Siuksów z Dakoty, która podbiła serce markiza i spędziła resztę życia we Francji. Z pewnością coś tam o niej napisano. Misją Brigitte stało się podążanie śladem Wachiwi.

## Rozdział 5

Podczas lotu z Dakoty Południowej do Bostonu Brigitte miała sporo do przemyślenia. Wyjechała zaledwie na dziesięć dni, a czuła się tak, jakby całe jej życie zmieniło się przez jedną Indiankę. Od paru dni myślała tylko o Wachiwi. Wciąż jeszcze otaczało ją tyle tajemnic. Jak udało się jej uciec od Indian Crow? Ktoś ją uratował? Kim był biały mężczyzna, o którym wspomniano w jednej opowieści? I Francuz występujący w innej? Jak dostała się z Dakoty Południowej do Francji? Brigitte była przekonana, że wszystkie te relacje dotyczą tej samej dziewczyny, i ogromnie frustrowało ją, że wciąż brakuje wielu ogniw tej historii. Czuła się jak archeologowie, którzy znajdując kawałki kości dinozaura, próbują złożyć z nich całe zwierzę, żeby dowiedzieć się, gdzie żył, jak długo, jakich miał wrogów i czym się żywił. Wcześniej czy później poszczególne fragmenty układają się w pewną całość. I Brigitte miała nadzieję, że tak będzie w wypadku Wachiwi. To było dla niej ekscytujące przeżycie; cieszyła się, że matka namówiła ją na wyjazd do Salt Lake City. Odnalazła trop w miejscu, gdzie Marguerite go zgubiła, i odkryła coś zupełnie nowego. Indianka wydawała się bardziej interesująca niż cała reszta ich krewnych razem wziętych, może z wyjątkiem markiza.

Choć wyprawa była pasjonująca i pozwoliła Brigitte zapomnieć o poniesionych ostatnio porażkach, to z chwilą powrotu do domu znów wpadła w ponury depresyjny nastrój. Zakurzone mieszkanie wyglądało okropnie. Nie sprzątała w nim od dwóch tygodni lub dłużej, bo przed wyjazdem, zbyt przygnębiona, nie miała na to siły. Pierwszą rzeczą,

jaką zauważyła, gdy spojrzała na regał z książkami, była półka pełna książek Teda; zapomniała mu oddać albo zapomniał się o nie upomnieć. Przypomniało jej to, że odszedł na zawsze i nie miała już chłopaka ani pracy. Nie otrzymała też żadnej odpowiedzi ani pocztą zwykłą, ani elektroniczną na listy z CV, które rozesłała. Nikt nie zaproponował jej posady, ani nawet nie chciał zaprosić na rozmowę. A gdyby chciała związać się z jakimś mężczyzną, musiałaby znowu chodzić na randki. Tylko gdzie szukać partnera? Umawiać się przez Internet? Spróbować randek w ciemno, liczyć na pomoc znajomych? Poderwać kogoś w barze? To nie wchodziło w grę, a myśl, żeby po sześciu latach w związku umawiać się z kimś nowym, wydawała się niedorzeczna. Sprawdziła wiadomości nagrane na sekretarkę, Ted dzwonił, żeby się pożegnać. Nie na komórkę, lecz na stacjonarny, i o takiej porze, że z pewnością by jej nie zastał; znaczy, że nie chciał z nią rozmawiać. Tchórz. Poinformował tylko, że następnego dnia wyrusza do Egiptu. Kiedy Brigitte wracała z Dakoty Południowej, on właśnie wylatywał. Wyjechał, podążając za swoimi marzeniami. A jakie były jej plany? Znowu praca w dziale rekrutacyjnym na jakiejś uczelni? Ukończenie śmiertelnie nudnej książki, której chyba nikt nigdy nie przeczyta? Przez ostatnich dziesięć dni była podekscytowana i całkowicie pochłonięta odtwarzaniem historii rodu de Margeraców. A parę godzin później poczuła się całkiem wypalona. Jej życie było puste. Nie mogła jednak dłużej uganiać się za Wachiwi. Egzotyczna krewna żyła dwa wieki temu i wiele tajemnic z nią związanych nigdy nie zostanie odkrytych, na sporo pytań nie będzie odpowiedzi. Brigitte musiała podjąć próbę dokończenia książki, chociaż

przestała ją interesować, znaleźć pracę, której, prawdę mówiąc, wcale nie chciała, i kogoś na miejsce mężczyzny, kiedyś tego jedyne; teraz jej się wydawało, że wcale go nie kochała, a on nie kochał jej. Co zrobi ze swoim życiem? Nie miała pojęcia. Nie wiedziała, czemu chciałaby się teraz poświęcić. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, z którejkolwiek strony by na to spojrzeć. Znużona jałowym rozmyślaniami, poszła spać.

Rano wstała wcześnie i uporządkowała notatki sporządzone w Dakocie Południowej i Salt Lake City. Chciała przekazać je matce ułożone, na ile to możliwe, w porządku chronologicznym. Około południa miała już wszystko przygotowane i przesłała matce faksem. Parę godzin później zadzwoniła Marguerite.

- To fantastyczne, Brig. Jestem pewna, że właśnie ta kobieta wyszła za markiza.

- Nie potrafię tego dowieść, ale też tak uważam. To musiała być niezwykła osoba. Miło, że jesteśmy z nią spokrewnione. Pewnie była śmiałym dzieckiem. - Matka roześmiała się. Miała wrażenie, że Brigitte jest w lepszym nastroju, ale martwiła się, jak dalej potoczy się jej życie.

- A co zamierza robić teraz moje śmiałe dziecko? Zostaniesz w Bostonie czy przeniesiesz się z powrotem do Nowego Jorku? Może to dobra pora na przeprowadzkę. Pewnie zarobiłabyś tu więcej.

- W Bostonie jest więcej szkół wyższych. Poczekał i zobaczę, kto mi odpowie, no i spróbuję skończyć książkę.

Łatwiej było jednak to powiedzieć, niż zrobić. Kiedy następnego dnia zabrała się do pisania, poczuła, jakby miała w głowie blokadę. W porównaniu z pasjonującymi poszukiwaniami Wachiwi, praca nad książką przypominała

pływanie w kleju. Brigitte nie potrafiła się do tego zmusić i nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego temat wydał jej się kiedyś świetnym pomysłem. Tego popołudnia zadzwoniła do Amy do jej gabinetu.

- Chyba mam schizofrenię - oznajmiła, kiedy przyjaciółka podniosła słuchawkę.

- Tak myślisz? Słyszysz jakieś głosy?

- Jeszcze nie, ale to pewnie kwestia czasu. Na razie słyszę tylko swój głos i zanudza mnie na śmierć. Przestałam pisać. Może jestem jeszcze w szoku po odejściu Teda. Nie cierpię tej swojej książki.

- Masz po prostu zamiast twórczego niepokoju twórczy zastój. Mnie też się to zdarza. Idź na spacer albo popływaj, pograj w tenisa, poćwicz trochę. Poczujesz się lepiej.

- Przez ostatnich dziesięć dni bawiłam się lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich latach. - Jej podekscytowanie udzieliło się i Amy.

- O mój Boże! Co? Jakiś facet?! - wykrzyknęła.

- Nie, Indianka z plemienia Siuksów, którą znalazłam w Salt Lake City w drzewie genealogicznym swojej rodziny. Jeśli jest tą, o którą chodzi, to została porwana ze swojej wioski przez Indian Crow, ale uciekła, może nawet zabiła ich wodza, a potem podróżowała chyba z jakimś Francuzem, w każdym razie z białym człowiekiem, i w jakiś sposób dostała się z Dakoty Południowej do Francji, gdzie poślubiła markiza, a może nawet trafiła na dwór Ludwika XVI. No i jak ci się to podoba?

- Niezłe. Ale trochę dużo w tej historii „może”. Co wiesz na pewno, a co chciałabyś, żeby było prawdą?

- Chciałabym, żeby wszystko okazało się prawdą. Niektóre przekazy są niejasne. Ona jest bohaterką paru opo-

wieści, wymieniona z imienia. Na pewno moja matka od niej pochodzi, no i ja też. Wylądowała w Bretanii, poślubiła markiza i na pewno była z plemienia Siuksów. Co do tego nie mam wątpliwości. Zakochałam się w niej, kiedy poznałam jej dzieje. Czegoś, co by mnie tak wciągnęło jak opowieści starych Indian, nie czytałam od lat. No i wróciłam tutaj, moje mieszkanie jest zapuszczone, mój chłopak to już historia; zostawił mi idiotyczną wiadomość na sekretarce, zanim wyniósł się na zawsze do Egiptu. Nikt nie proponuje mi pracy, a może nawet nic nie znajdę, a gdybym nawet znalazła, nie jestem nawet pewna, czy obchodzi mnie jakiś etat. Próbuję dokończyć pisanie najnudniejszej książki na świecie, której nie znoszę. I co mam teraz robić?

- Wygląda, że musisz zacząć na nowo. Może odłożysz tę książkę na bok i napiszesz o czymś innym? Na przykład o egzotycznej krewnej? To chyba byłoby ciekawsze od praw wyborczych kobiet.

- Pewnie tak, ale w ten sposób zaprzepaszczę siedem lat życia. Straciłam już sześć lat z Tedem. I dziesięć, pracując na uniwersytecie, a oni wyrzucili mnie z roboty, informując o tym na dwie godziny przed faktem. Zmarnowałam sporo czasu i zostałam na lodzie.

- Czasami po prostu trzeba sobie odpuścić. Jak w wypadku złej inwestycji, w pewnym momencie należy się wycofać i zacząć od początku. - To była dobra rada i Brigitte o tym wiedziała.

- Owszem, ale od czego zacząć?

- Chyba potrzebujesz odpoczynku. Czemu nie wybierzesz się w podróż? Chodzi mi o prawdziwą wyprawę. Nie do Salt Lake City czy Dakoty Południowej, na przykład do



Europy lub gdzie indziej? W Internecie jest mnóstwo ofert w przystępnych cenach. - Tak. Może. - Głos Brigitte nie brzmiał przekonująco. - Masz ochotę wybrać się ze mną na obiad? - Och, przykro mi, naprawdę nie mogę. Piszę artykuł i w przyszłym tygodniu muszę oddać, to ostateczny termin. Dzieciaki się pochorowały i nic jeszcze nie zrobiłam. Jeśli nie zostanę w domu i nie popracuję, będę załatwiona. Kiedy Brigitte odłożyła słuchawkę, poczuła się nieco lepiej, ale wciąż była niespokojna i znudzona, nie miała żadnego celu, straciła sens życia. Tego wieczoru zaczęła się zastanawiać nad radami Amy. Może Brigitte powinna zrobić coś zupełnie szalonego, na przykład pojechać do Europy, nawet jeśli nie miała pracy. Tak naprawdę to mógł być odpowiedni czas na taką wyprawę. Pojechałaby do Bretanii i Paryża, tam poszukała czegoś o Wachiwi. Około północy zdecydowała się jechać, choć wprowadziło ją to w lekkie zdenerwowanie. A rano poszukała biletów w Internecie, tak jak poradziła jej Amy. Wyjedzie w najbliższy weekend. Marzec nie wydawał się najlepszym miesiącem na podróż do Europy ze względu na pogodę, ale doszła do wniosku, że lepszej pory nie znajdzie: nie miała żadnych innych planów, a wyprawa ją zajmie i rozerwie. Po południu zatelefonowała do matki i powiedziała o swoich planach; Marguerite była zachwycona. Dzięki Wachiwi Brigitte nabrała energii; obsesyjnie pragnęła czegoś jeszcze się o niej dowiedzieć. Matka uznała, że podróż do Bretanii i Paryża to wspaniały pomysł. Cieszyła się, że córka złapała genealogicznego bakcyła. Ale uwagę Brigitte przyciągała tylko Wachiwi, a nie długa historia arystokratycznych krewnych, która nic dla niej nie znaczyła. Fascy-

nowała ją postać młodej Indianki z plemienia Siuksów. Jako antropolog i kobieta, nie mogła trafić na coś bardziej interesującego. Było to dla niej jeszcze bardziej ekscytujące niż wykopaliska w Egipcie dla Teda. Wydawało się to o wiele bliższe teraźniejszości. Wachiwi była taka realna i sprawiała wrażenie pełnej życia we wszystkim, co o niej napisano. Brigitte nie mogła się doczekać, kiedy wyjedzie do Francji i podejmie poszukiwania. Włożyła wszystkie materiały dotyczące książki o prawach wyborczych kobiet do dwóch kartonowych pudeł i wepchnęła pod biurko. Jak Scarlett O'Hara, postanowiła pomyśleć o tym później. Obchodziła ją tylko Wachiwi. Wszystko inne mogło poczekać.

## Rozdział 6

### Wachiwi Wiosna 1784

Nastała pora wiosenna, a miejsce wybrane przez wodza Matoskaha na obóz dla jego plemienia okazało się dobre. W pobliżu przepływała rzeka, kobiety już zajęły się uszczelnianiem tipi po trudach zimy, wymyte płachty suszyły się w słońcu, szyto też ubrania na miesiące letnie i na przyszłą zimę. Wokół hasało pełno roześmianych, bawiących się dzieci. Szczep wodza Matoskaha należał do największych wśród Siuksów Dakoty, a on miał największy autorytet w plemieniu. Krążyło mnóstwo opowieści o czasach młodości

odważnego Indianina, niezwyciężonego w bitwach, pogromcy wrogów i niemającego równych w jeździectwie ani łowach na bizona. Poważano także jego pięciu synów; wszyscy byli dumnymi mężczyznami, mieli żony i dzieci. Dwaj jutro poprowadzą pierwsze o tej porze roku polowanie na bizona. Wódz Matoskah, czyli Biały Niedźwiedź, zestarzał się już, ale wciąż rządził mądrze i zdecydowanie, a kiedy zachodziła potrzeba, żelazną ręką.

Jedyną jego słabością, a zarazem światłem życia, była Wachiwi, córka urodzona przez drugą żonę. Pierwsza małżonka zmarła z powodu choroby zimą, w czasie wojny z plemieniem Pawnee. Biały Niedźwiedź wrócił z wyprawy i zastał ją owiniętą w bawołą skórę na pogrzebowym stosie; zeszywniałe ciało obsypał śnieg. Była dobrą kobietą i dała mu pięciu synów.

Uplłynęło wiele zim, zanim Biały Niedźwiedź ożenił się powtórnie, wybierając najpiękniejszą dziewczynę z całej osady, młodszą od jego synów. Mężczyźni z plemienia Crow mogli mieć po kilka żon, ale on zawsze wolał żyć z jedną. Oblubienica, którą wybrał, dając za nią jej ojcu dwadzieścia swoich najlepszych koni jako wyraz szacunku dla jej rodu, ledwie wyrosła z wieku dziecięcego, ale była mądra, silna i piękna; jego serce biło mocniej, ilekroć ją widział. Nazywała się Hotah Takwachee, czyli Biała Łania, i tak też wyglądała w oczach wodza.

Byli razem zaledwie trzy pory roku, kiedy urodziła mu pierwsze dziecko, córkę. Małeństwo przyszło na świat o świcie, bystre, piękne i bez skazy. Matka noworodka umarła następnej nocy. Biały Niedźwiedź znowu został sam, z małą córeczką Białej Łani. Kobiety z osady pielęgnowały ją i dbały o nią, gdy mieszkała w tipi wraz z oj-

cem. Biały Niedźwiedź nie wziął sobie nowej żony. Polował z synami i przesiadywał z nimi w myśliwskiej chacie do późna w nocy, przy fajce, planując wyprawy wojenne oraz łowieckie. Tłchociaż nie mógł tego przyznać otwarcie przed swoją małą dziewczynką, ona była jego największą radością, źródłem siły do życia. Czasami chodził z nią do lasu i nauczył ją jeździć konno. Wyrosła na najbardziej nieustraszonego jeźdźca w obozie, przewyższając sprawnością wielu mężczyzn. Jej jeździeckie wyczyny zyskały rozgłos, znały je sąsiednie plemiona. Nawet wrogowie słyszeli o roztańczonej córce wodza, która wyczyniała cuda z końmi. Biały Niedźwiedź był z niej dumny, kiedy podrosła, nigdy się nie rozstawali.

Po zakończeniu rytuałów związanych z osiągnięciem przez nią dojrzałości do Białego Niedźwiedzia zgłosił się pierwszy konkurent, znany wojownik, starszy od przyrodnych braci Wachiwi. Był walecznym Indianinem i doskonałym jeźdźcem, miał już dwie żony oraz kilkoro dzieci, ale dziewczyna wpadła mu w oko. Przychodził pod jej tipi i grał na flecie, lecz ona nigdy nie wychodziła wtedy z namiotu, co znaczyło, że zalotnik nie wzbudza jej zainteresowania. A kiedy zaczął znosić plecty, żywność i zdesperowany przyprowadził setkę koni pod wigwam wodza, równało się to oficjalnej propozycji małżeństwa, która została odrzucona przez oblubienicę. Wachiwi uparcie powtarzała ojcu, że nie chce go opuszczać, a Biały Niedźwiedź, pamiętając aż za dobrze, co stało się z jej matką podczas porodu, także nie umiał zdobyć się na rozstanie z córką, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiedział jednak, że kiedyś będzie musiała kogoś poślubić. Była zbyt piękna i pełna życia, ale wódz chciał ją zatrzymać przy sobie jeszcze przez kilka lat. Nie czuł się

gotów do rozstania z nią. Wachiwi była najstarszą panną w szczepie, gdy ukończyła siedemnaście wiosen, ale i córką wodza. I dopiero wtedy zainteresowała się pewnym młodym wojownikiem, swoim rówieśnikiem. Nie brał jeszcze udziału w ważnych wyprawach wojennych czy łowieckich, podczas których mógł się wyróżnić, ale Wachiwi i jej ojciec wiedzieli, że młodzieńcowi nie zabraknie odwagi w walce i podczas polowań na bizona; miał wziąć w nich udział najwcześniej za rok. Wachiwi była gotowa czekać do tego czasu, a ojciec wydawał się zadowolony. Pewnego dnia Ohitekah miał stać się odpowiednim kandydatem na jej męża. Biały Niedźwiedź nie spieszył się z oddawaniem jej młodemu Ohiteka-howi, choć wiedział, że taki dzień nadejdzie. Liczył tylko, że nieprędko. A Wachiwi z radością pozostała przy ojcu. Była jego oczkiem w głowie, rozpieszczana i chroniona nie tylko przez niego, ale i przez przyrodnych braci. Na wiosnę odbywały się zawody konne i pokazy. Wachiwi dostała zgodę na wzięcie w nich udziału, jako córka wodza, a jeździła na koniu lepiej, odważniej, szybciej i bardziej ryzykownie od większości młodzieńców. Bracia stawiali na nią w zakładach i cieszyli się jak szaleni, kiedy zwyciężała. Pokazali jej kilka znanych sobie sztuczek, które opanowała, aby mogli wygrywać zakłady. Zawsze po zakończonym wyścigu albo po przejeździe z braćmi zauważała gdzieś w pobliżu Ohitekaha, ale jak wymagała przyzwoitość, nigdy nie patrzyła w oczy ani jemu, ani żadnemu innemu mężczyźnie. Choć pełna werwy i odważna, zawsze zachowywała się właściwie. Ojciec powtarzał, że gdyby była chłopcem, zostałaby wielkim wojownikiem, jednak Wachiwi czuła się szczęśliwa, że jest dziewczyną. Okazywała ojcu dużo serca, opiekując się nim troskliwie.

Uwielbiała żartować z braćmi, a oni wciąż się z nią przekomarzali. Ohitekah czasami przyłączał się do tych zabaw i było widać, że podziwia Wachiwi, odnosił się do niej z wielkim szacunkiem.

Latem tworzone drużyny łowieckie. Polowali na łosie i bizona, robiąc zapasy na zimę, a Wachiwi pomagała innym kobietom szyć ubrania. Od starszych kobiet nauczyła się pięknie nawlekać paciorki i starannie ozdabiała swoje stroje kolcami jeżozwierza, układanymi w misterne wzory. Jako córka wodza mogła nosić dowolnie przyozdobioną odzież, a nawet przyszywać paciorki do mokasynów. Często barwiła kolce na jaskrawe kolory przed naszywaniem ich na sukienki ze skóry łosia.

Gdy zrobiło się cieplej, odbywały się tańce plemienne, a wieczorami mężczyźni siadali wokół ognisk i palili fajki. Obozu zawsze strzegły straże, gdyż najazdy zdarzały się latem często, napastnicy porywali konie i zabierali skóry, także uprowadzali kobiety. Czasami prowadzono handel wymienny z innymi indiańskimi szczepami. Kiedyś Wachiwi dostała piękny pled oraz zimowy strój z łosiowej skóry, obszyty futerkiem, za który bracia oddali skórę bizona. Wszyscy przyznawali, że jest najszcześniejszą dziewczyną w całym plemienu, mając pięciu oddanych braci i troskliwego ojca. Nic dziwnego, że nie chciała męża. Ale była zainteresowana Ohitekahem, który pewnej upalnej nocy przyszedł pod jej wigwam pograć na flecie. Tym razem wyszła na zewnątrz, co znaczyło, że zaloty młodzieńca są jej miłe, chociaż nie patrzyła na niego.

Jego rodzice przebudowali swój wigwam, a to również wskazywało, że należy się spodziewać propozycji małżeństwa i wkrótce przed tipi ojca Wachiwi zostaną zniesione

podarki za pannę młodą - może na przełomie pór roku albo zimą. Wcześniej jednak Ohitekah powinien wsławić się męstwem jako łowca i wojownik. Miało to nastąpić niebawem, bo zaczęły się wielkie polowania na bizona.

Pewnego dnia, po wyprawie łowieckiej, Biały Niedźwiedź wracał z synami do obozu. Ohitekah też wziął udział w polowaniu i spisał się dobrze. Upolowali dużo zwierzyny i w nocy miano to uczcić w obozie. Kiedy wojownicy wracali zadowoleni, wyjechał im naprzeciw chłopiec z obozowiska i powiedział, że wojownicy Crow najechali obóz i złupili; uprowadzili konie i porwali kilka młodych kobiet. Biały Niedźwiedź i synowie pomknęli galopem do obozu. Większość Crow już uciekła, z wyjątkiem trzech maruderów, którzy zaczęli strzelać do nich z łuków. Dwóch jego synów zginęło od razu; obok nich padł Ohitekah. Siuksowie wjechali do obozu akurat w chwili, gdy z widoku zniknęło trzech uciekających konno Crow; jeden wiózł związaną Wachiwi. Przerazona dziewczyna wzywała na pomoc ojca. Pędzili galopem, ale Wachiwi zdążyła jeszcze dostrzec zabitych braci i Ohitekaha. Krzyczała i wyrывała się porywaczom, ale mimo natychmiastowego pościgu nie udało się ich dopędzić. Biały Niedźwiedź czekał na swoich ludzi i rozpłakał się jak dziecko, kiedy późną nocą wrócili bez niej. Opłakiwał swoją stratę, wyglądał tak, jakby ktoś rzucił na niego urok: skurczył się i zgarbił, stał się starcem. Miał zbolełą, rozdartą duszę. Crow zabrali mu dwóch synów i ukochaną córkę. Nic nie mogło go już pocieszyć. Oddziały wojowników wyruszyły nazajutrz, z nadzieją, że dopadną biwakujących Crow, jednak odjechali oni już zbyt daleko. Napastnicy wywodzili się z plemienia Dakota, ale od dawna walczyli z Siuksami; uprowadzenie córki

wodzowie przeciwników było dla nich wielkim sukcesem. Biały Niedźwiedź wiedział, że nawet jeśli dotrze do Crow, nigdy nie oddadzą mu córki. Wachiwi przepadła na zawsze. I najprawdopodobniej zostanie oddana ich wodzowi jako nałożnica. Nie mógł pogodzić się z tą myślą. Wszedł powoli do swojego tipi, popatrzył na miejsce, gdzie Wachiwi sypiała, zobaczył jej starannie złożone ubrania z łosiowej skóry, także ten nowy strój obszyty futrem. Położył się na jej miejscu, zamknął oczy, ujrzał ją w swojej wyobraźni, gdzie miała pozostać na zawsze - i zapragnął umrzeć. Liczył, że wielkie duchy już niedługo zabiorą go do siebie. Bez Wachiwi nie miał po co żyć. Duch obumarł w nim w dniu, kiedy przepadła.

## Rozdział 7

Oddział wojowników plemienia Crow, który porwał Wachiwi, jechał konno bez wytchnienia dwa dni. Mimo że miała skrępowane dłonie i ramiona, dziewczyna usiłowała się wyrwać. Kiedy rzuciła się z konia w jakieś krzewy, skrępowali jej też nogi, a indiański wojownik, który z nią jechał, trzymał ją przed sobą jak upolowaną zdobycz. Pozabijałaby ich, gdyby mogła. Inne kobiety bałyby się Crow, ale nie ona. Nie dbała o to, że mogą ją zabić; widziała, jak zamordowali chłopca, którego kochała, i dwóch braci. Gdyby nie miała już wrócić do ojca, było bez znaczenia, co z nią zrobią. Zamierzała jednak próbować ucieczki. Myśląc o tym, leżała przełożona przez konia, gdy jechali do obozowiska.



Po drodze zatrzymali się i upolowali dwa bizony, co uznali za dobry znak.

Rozwiązywali ją tylko po to, by mogła załatwić fizjologiczne potrzeby. Próbowwała wtedy uciec, ale za każdym razem ją chwyтали i związywali. Śmiali się, że tak rozpaczliwie walczy, a gdy ugryzła wojownika, uderzył ją i przewrócił na ziemię. Rozprawiali w swoim narzeczu, jakim wspaniałym prezentem będzie dla ich wodza. Po ubiorze poznali, że jest córką wodza Siuksów. Miała na sobie strój z miękkiej skóry łosia, wyszywany paciorkami i przystrojony kolcami jeżozwierza, które sama zafarbowała. Nawet mokasyny były misternie ozdobione. I chociaż była starsza niż dziewczęta w obozowisku, żadna nie dorównywała jej urodą. Walczyła z nimi prawie jak mężczyzna, z trudem ją pokonali. Oddział składał się z najodważniejszych wojowników. Niejeden chciałby zatrzymać dziewczynę dla siebie, ale była przeznaczona dla wodza. Miał już dwie żony, swoją i brata, którą poślubił w zeszłym roku, kiedy ten zginął w czasie łowów. Wzięcie jej za żonę stało się jego powinnością, a ona już miała dziecko. Wachiwi była dużo młodsza od obu żon wodza i piękniejsza. Wódz będzie zadowolony. Miała świetną figurę i wielkie oczy, ale nie spoglądała na mężczyzn, nawet teraz. Wszyscy zauważyli, jaka jest odważna. Inne dziewczęta w jej wieku, albo i starsze, krzyczałyby z przerażenia. Wachiwi starała się uciec, kiedy tylko nadarzała się okazja, i nie dbała o to, że mogą ją zabić. Stanowiła zbyt cenny podarek dla wodza, żeby zdecydowali się ją uśmiercić. Trzymali ją mocno związaną i pędzili do obozowiska. Jakiś wojownik próbował podsuwać jej jedzenie, gotów ją karmić własnymi rękami, lecz za każdym razem odwracała głowę. Na jej twarzy malowała się nie-

nawiść, a w sercu rozpaczała za ojcem, który z pewnością też cierpiał.

Pod koniec trzeciego dnia dojechali wreszcie do obozu szczepu Crow: Był mniejszy od jej wioski i Wachiwi ujrzała tam znajome sceny: biegały dzieci, kobiety siedziały grupkami i rozmawiały podczas szycia, mężczyźni wracali z łowów. Nawet rozkład obozowiska przypominał sposób, w jaki jej szczep rozbijał obozy. Wojownik, który ją wiózł, zbliżył się do tipi wodza, a za nim podjechali inni z oddziału powracającego z wojennej wyprawy. Kobiety z dziećmi przypatrywały się z zaciekawieniem, kiedy zeskoczył z konia, bezceremonialnie ściągnął Wachiwi i rzucił na ziemię. Leżała związana jak zabite zwierzę, nie mogła się ruszyć; wojownik udał się na poszukiwanie wodza. Kobiety przywódcy plemienia siedziały koło namiotu, szyjąc, a kiedy patrzyły na Wachiwi, podniosła wzrok i zobaczyła wodza. Dużo młodszy od jej ojca, wydawał się dumny i silny. Mógł być w wieku jej brata. Dostyszała, że nazywa się go Napayshnim. Znaczyło to „odważny” również i w jej narzeczu. Język Crow był podobny i rozumiała, co mówią.

Zameldowali, że przywieźli córkę wodza w prezencie, łup z wyprawy wojennej, oraz uprowadzili trzy inne kobiety i zdobyli kilka dobrych koni. Część wojowników przyjechała z kobietami wcześniej i Wachiwi ich nie widziała. Powiedzieli wodzowi, że wracając, oddział rozdzielił się, druga grupa wróciła innym szlakiem. Ci, którzy wieźli Wachiwi, wybrali bardziej okreśną drogę na wypadek, gdyby ruszyła za nimi pogoń. Nikt jednak ich nie ścigał, bo nie wpadł na ich trop. Chełpili się tym, że przechytrzyli tamtych i dotarli na miejsce ze zdobytym łupem. I to pięknym łupem.

Wódz Napayshni stał i patrzył na Wachiwi z góry z miną pozbawioną wyrazu.

- Rozwiązać ją - rzucił, a wojownik, który ją wiózł, zaprotestował gwałtownie:

- Ucieknie. Próbowano uciekać za każdym razem, kiedy tylko ją rozwiązywaliśmy. Jest prędką jak wiatr i bystra.

- Jestem od niej szybszy - stwierdził wódz nieporuszony.

Wachiwi się nie odzywała, ręce i nogi miała zdrętwiałe, kiedy ją rozwiązywali. Włosy zmierzwiły się jej podczas jazdy, a twarz miała brudną od kurzu. Jej strój ze skóry łosia rozdarł się w paru miejscach, przetarty więzami ze ścięgien bizona, którymi ją skrupowano. Minęło kilka minut, zanim mogła wstać. Otrzepała się z pyłu, starając się wyglądać godnie, i się zachwiała.

Odwróciła się, żeby ci, którzy ją uprowadzili, nie zobaczyli łez w jej oczach. Życie, jakie wcześniej знаła, wśród ludzi, których kochała i którzy ją kochali, skończyło się na zawsze. Teraz była niewolnicą. Wiedziała, że ucieknie, ale najpierw musiała poznać rozkład obozowiska i porwać konia, a wtedy pojedzie do swoich. Nic nie zatrzyma jej wśród Indian Crow.

Wódz Napayshni wciąż się jej przyglądał. Dostrzegł podarty strój. Poznał, że to na pewno ubiór żony albo córki wodza. Miała paciorki na mokasynach, przód stroju zdobiły kolce jeżozwierza w kolorze ciemnego błękitu; użyła do tego specjalnie spreparowanych jagód. Tę sztukę znało niewiele kobiet z jej obozowiska. Pomimo zmatowiałych włosów i brudnej twarzy łatwo było dostrzec, że jest piękna.

- Jak cię zwa? - zapytał wódz. Nie odpowiedziała. Tym razem, zamiast zachować się zgodnie ze zwyczajem, spojrzała mu w oczy wzrokiem pełnym nienawiści. - Nie

masz imienia? - spytał znowu. Przypominała rozzłoszczone dziecko, ale wiedział, że inne dziewczęta na jej miejscu umierałyby z przerażenia, ale ona się nie bała. Podziwiał jej hart ducha ^odwagę. - Jesteś córką wielkiego wodza. -Dobrze wiedział, kim jest jej ojciec. Najazd na ich obóz nie był dziełem przypadku, a tylko porwanie jej stało się niezamierzonym czynem wojowników; pochwycili ją jako wojenny łup dla swojego wodza. I choć Napayshni nigdy by się do tego nie przyznał, zrobiło mu się żal jej ojca. Utrata takiej córki wprawiałaby w rozpacz każdego mężczyznę. Ludzie Napayshniego donieśli też, że zabili dwóch synów wodza Siuksów oraz paru innych. Najazd okazał się bardzo udany, to duży cios dla szczepu, z którego pochodziła Wachiwi.

- Dlaczego mnie porwaliście, skoro uważasz, że mój ojciec to wielki wódz? - Patrzyła mu prosto w oczy, udając, że się nie boi ani jego, ani też tego, co mógł teraz z nią zrobić. Słyszała opowieści o porwanych kobietach, które zostawały niewolnicami w obcych plemionach. Nie były to radosne historie, a teraz ją czekało to samo.

- Nie planowaliśmy tego. Przywieźli mi ciebie w podarunku - odparł łagodnie. Wydawała mu się ledwie starsza od dziecka.

- Odeślij mnie do ojca. Nie chcę być twoją własnością. - Wysunęła hardo podbródek, a z jej oczu leciały błyskawice. Nigdy dotąd nie patrzyła tak śmiało na mężczyznę, nie licząc ojca i braci.

- Teraz jesteś moja, ty, bezimienna. Jak mam cię nazywać? - Zażartował, żeby się go nie bała. Mimo że miał opinię porywczego wojownika i srogiego wodza, był dobrym człowiekiem, nawet jej współczuł. Miał dzieci i nie wyobrażał

sobie, żeby jego córkę porwał obcy szczerp i podarował swojemu wodzowi. Na samą myśl o tym przechodziły go zimne dreszcze.

- Nazywam się Wachiwi - powiedziała ze złością. - I nie chcę, żebyście nadawali mi jakieś swoje imię.

- Wobec tego będę cię nazywał twoim własnym. - Dał znak dwóm kobietom siedzącym w pobliżu. Jego żona była młodsza i ładniejsza od tej, którą rok temu odziedziczył po bracie. Wachiwi zauważyła, że ta starsza jest w ciąży i właśnie ona wystąpiła do przodu. - Zabierz ją nad rzekę, żeby się umyła - polecił. - Potrzebne jej ubranie, zanim pozszywa swoje.

- Czy ona jest teraz naszą niewolnicą? - zaciekawiała się, ale Napayshni nic nie odpowiedział. Nie musiał jej wyjawiać swoich planów. Poślubił ją, wypełniając zobowiązanie wobec brata, spłodził z nią dziecko i tyle. Nie chciał Wachiwi jako niewolnicy. Chciał, żeby się do nich przyzwyczaiła i nie była wobec niego taka wroga, a z czasem, gdy już się zadomowi w ich obozowisku, pojmie ją za żonę. Była piękniejsza i miała więcej wdzięku od jego małżonek, no i podobał mu się ten żar w oczach. Przypominała dzikiego rumaka, którego chciał ujeździć, i miał pewność, że mu się to uda. Też był świetnym jeźdźcem, tak jak ona.

Wachiwi poszła za ciężarną, nie odzywając się do niej. Kobieta rozmawiała z drugą żoną Napayshniego w narzeczu Crow i Wachiwi rozumiała, co mówiły, choć udawała, że nie pojmuje. Wódz zwracał się do niej w jej języku. Jego kobiety wspominały o kolcach na jej stroju i zastanawiały się, jak jej się udało nadać im taki kolor. Liczyły, że z czasem może je tego nauczyć. Wachiwi przyrzekła sobie, gdy tak ich słuchała, że nic dla nich zrobi. Przenigdy.

Umyła się nad rzeką i włożyła nowy strój, bez ozdób i źle dopasowany, a jedna z kobiet podała jej pled, którym Wachiwi się owinęła. W nocy pozszywała ubiór ozdobiony kolcami jeżozwferza, najlepiej jak umiała. Niektóre się połamały, gdy wciągali ją na konia. Włożyła z powrotem skórzaną suknię, kiedy tylko ją zacerowała. Była wszystkim, co zostało jej z dawnego życia.

Napayshni wszedł tej nocy do namiotu, ale nie odezwał się do niej. Sypiał w północnej części tipi, tak jak jej ojciec, a ona i dwie żony w południowej, razem z dziećmi. Było ich siedmioro. W tipi nie panował taki porządek jak w namiocie jej ojca. Dwoje dzieci ciągle budziło się w nocy, Wachiwi nie mogła usnąć i patrzyła w niebo przez szczelinę w szczycie namiotu, zastanawiając się, kiedy powinna spróbować ucieczki. Mogła myśleć tylko o tym. Wcześniej odmawiała jedzenia wspólnych posiłków i postanowiła się głodzić, dopóki wytrzyma. Zjadła parę placków kukurydzianych, kiedy wydało się jej, że zemdleje z głodu, ale nic innego nie tknęła. Napayshni wstał o świcie, żeby nadzorować przenosiny obozowiska. Było ono mniejsze od rodzinnej osady Wachiwi i przenoszono je co kilka dni; wędrowali za stadami bizonów, szukając nowych pastwisk dla koni. Usłyszała, że mężczyźni wybierają się na łowy w dzień po rozbiciu nowego obozu. Liczyła, że wtedy uda jej się uciec, jeśli kobiety będą czymś zajęte, a większość mężczyzn wyruszy na polowanie. Chciała się też dowiedzieć, co się stało z trzema porwanymi kobietami z jej szczepu, ale nie miała okazji zobaczyć się z nimi przed zwinięciem obozowiska.

Tamtego dnia nie trzeba było zapuszczać się zbyt daleko, żeby natknąć się na bizona i mężczyźni wyjechali wczesnym

popołudniem w dobrym nastroju, pewni, że im się powiedzie. Wachiwi zastanawiała się, jak daleko jest do obozu ojca. Wieziono ją przez trzy dni, ale sama mogła wyruszyć prostą drogą i jechać dużo szybciej. Potrzebowała tylko dobrego konia i okazji do wydostania się z obozowiska.

Snuała się bez celu, nikt nie zwracał na nią uwagi. Dostrzegła jedną z kobiet ze swojego plemienia, ale nie mogła z nią porozmawiać. Porwane oddano wojownikom z obozu. Wachiwi pragnęła tylko uciec.

Mężczyźni wybrali się na łowy i pozostawili kilka koni, chociaż nie najlepszych. Wypatrzyła rumaka, który wydawał się dobry do jazdy wierzchem, mocny i wytrzymały, choć może nie tak szybki, jak chciałyby Wachiwi. Podeszła i poklepała go po szyi, spojrzała na jego nogi, odwiązała bezszelestnie i wskoczyła na niego.

Kładąc się płasko, przywarła do boku zwierzęcia. Wyjechała z obozu, zanim ktokolwiek zauważył. Nawet nie było jej widać na wierzchowcu, bo schowała się za jego tułowiem; tej sztuczki nauczyli ją bracia w dzieciństwie i później często popisowała się tym, tak dla żartu. Zachwycił to ojca, dzięki niej wygrała wiele zakładów z braćmi. Zmusiła wierzchowca do szybkiego biegu przez równinę w stronę lasu, potem wyprostowała się na jego grzbiecie i spięła konia jeszcze mocniej. Galopowała, chociaż nie był tak rączy jak konie, do których przywykła, ale po chwili usłyszała za sobą tętent kopyt. Nie odważyła się spojrzeć do tyłu i tylko ponagliła jeszcze wierzchowca. Dotarła już prawie na skraj lasu, kiedy jeździec ją dogonił i schwycił mocną ręką. To był Napayshni. Nie odezwał się do niej, tylko przeniósł ją przed siebie na swojego konia; ten, na którym jechała Wachiwi, wyczerpany zabójczym galopem, zaczął spokoj-

nie skubać trawę. Jego wierzchowiec był szybszy, Wachiwi wiedziała, że na takim koniu udałoby się jej uciec.

- Dobrze jeździsz konno - stwierdził Napayshni bez emocji.

Podobał mu się jej hart ducha; jeszcze nigdy nie widział kobiety, która by tak jeździła. Ojciec albo bracia nieźle ją wyuczyli.

- Myślałam, że polujesz. - Głos jej drżał, zostanie teraz ukarana, pewnie zbita. Może nawet ją zabiją. Liczyła się z takim ryzykiem i wiedziała, że nie przestanie próbować ucieczki.

- Miałem coś do zrobienia w obozie, dlatego pojechali beze mnie.

- Chciał, by pomyślała, że go nie ma, aby się przekonać, co się stanie, gdy pozostawi ją bez nadzoru. Teraz już wiedział. -

Zrobisz to znowu, jeśli nie będę cię pilnować? - Zerkając na nią z góry, pomyślał, że Wachiwi wygląda cudownie z policzkami zarumienionymi od gorąca i szybkiej jazdy. Nie odpowiedziała na jego pytanie, ale on znał odpowiedź. Będzie próbowała uciekać, dopóki nie poczuje z nim jakiejś więzi; jednak sporo czasu upłynie, zanim do tego dojdzie. Może dopiero wtedy, gdy będzie nosić w łonie jego dziecko. Ale z tym też nie chciał się spieszyć. Otrzymał ją w podarunku, a teraz chciał, by okazała się prawdziwym darem. Nie pragnął łamać jej ducha, a tylko okiełznać ją jak dzikiego konia na równinie. Wierzył, że mu się to uda. Już wcześniej ujeżdżał dzikie konie, nigdy jednak aż tak narowiste. Dostał podarunek, który warto zatrzymać.

Wjechali w milczeniu do obozowiska, Napayshni prowadził za sobą na powrozie jej konia. Rumak wydawał się zadowolony, że pozbył się z grzbietu wymagającej amazonki. Napayshni postawił ją na ziemi przed swoim tipi, gdzie



siedziały kobiety, a potem uwiązał konie koło innych. Było to dla niego interesujące popołudnie. Wachiwi ogarnęła bezsilna wściekłość.

Tej nocy bacznie ją obserwował i nie powiedział nikomu o próbie ucieczki. Przyglądał się jej, gdy spała, i zastanawiał, ile czasu będzie hardą dziewczynę ujarzmił. Liczył, że wkrótce mu się uda - miał na nią coraz większą ochotę, ale musiał działać rozważnie. Nic na siłę, bo Wachiwi mogłaby nawet próbować go zabić. Była zdolna do wszystkiego

i niczego się nie bała. Żadna dziewczyna nie odważyłaby się uciekać i żadna nie pędziłaby tak szybko na wierzchowcu.

Widział, jak się schowała, przywierając do boku konia. Tylko najlepsi jeźdźcy to potrafili, a i takich nie było dużo. I nikomu nie poszłoby tak łatwo jak jej. Świetnie jeździła konno!

Trzy dni później przenieśli obozowisko, podążając za bizonami. Mężczyźni zabili kilka łosi i jelenia. Było mięsa w bród, wyprawiano już skóry bizonów i cięto na kawałki, by je później wykorzystać.

Tej nocy odtańczyli wokół ogniska taniec słońca dla uczczenia letnich miesięcy i w podzięce za pomyślne łowy. Wachiwi z boku obserwowała tańczących mężczyzn. Znała ten rytuał, okazało się, że obyczaje tego szczepu wcale nie są odmienne. Jednak gdy na to patrzyła, pragnęła tylko wrócić do swoich. Zastanawiała się, co robią ojciec i bracia, i miała nadzieję, że wódz nie podupadł na zdrowiu. Oczy zaszły jej łzami, kiedy pomyślała o zabitych braciach, o Ohi-tekahu, i o tym, że może już nigdy nie zobaczy ojca, nie traciła jednak nadziei na udaną ucieczkę. Rozważała, czy nie wymknąć się tej nocy, kiedy mężczyźni tańczyli, ale jazda w ciemności po nieznanym terenie mogła być niebezpiecz-

na, lepiej zaczekać. Następnym razem musi się upewnić, te Napayshni opuścił obóz, a może to być wtedy, gdy wyruszą na kilkudniowe łowy.

Odeszła wcześniej od ogniska i zjadła bardzo mało mięsa. Nie była głodna, a kiedy weszła do tipi, wystraszył ją widok młodszej żony wodza wijącej się z bólu. Starsza powiedziała, że rodzi się dziecko, kiwnęła na Wachiwi i kazała jej pomagać. Wachiwi nigdy nie asystowała przy porodzie w swoim obozie i nie miała pojęcia, co robić.

Usiadła obok obu kobiet i patrzyła. Rodzącą zajęła się jakaś stara Indianka. To, co zobaczyła Wachiwi, przeraziło ją, a zaraz potem patrzyła zdumiona, jak staruszka pomaga dziecku przyjść na świat. Opatuliła noworodka pledem i przystawiła do piersi matki, po czym zajęła się łożyskiem oraz błonami płodowymi i wyszła zakopać je koło namiotu, a Wachiwi umyła młodą matkę.

Kiedy Napayshni powrócił z tańców na cześć słońca, miał już nowego syna. Przyjrzał mu się z ostrożnym zaciekawieniem, kiwnął głową i poszedł spać. Tej nocy Wachiwi leżała na swojej macie, rozmyślając; miała nadzieję, że nigdy nie przydarzy jej się coś takiego. Kochała się w Ohitekahu, ale wojownicy Crow zabili chłopaka. Nie pragnęła już mężczyzny, a na pewno nie Napayshniego, i nie chciała mieć z nim dziecka. Wiedziała, że jej dni są policzone i wkrótce on weźmie ją za żonę, tak więc tylko ucieczka mogła dać wolność.

Napayshni wciąż ją obserwował, gdy co kilka dni zmieniali miejsce postoju, a dni przeszły w tygodnie. Pewnego ranka, kiedy zobaczyła, że Napayshni ze swoimi ludźmi wyjeżdża na polowanie, znów spróbowała ucieczki. Tym razem wyszukała lepszego konia i pomknęła na nim szybciej

niż poprzednio. Ruszył za nią w pościg młody chłopak, na jeszcze lepszym wierzchowcu; pilnował koni, a Napayshni ostrzegł go, że Wachiwi może próbować ucieczki. Wystrzelił do niej z łuku, a strzała drasnęła jej ramię i rozdarła sukienkę. Jeździł konno prawie tak dobrze jak Wachiwi, nie brakowało mu też odwagi, no i pragnął przypodobać się wodzowi.

- Nie powstrzymasz mnie! - wykrzyknęła, kiedy ją dogonił. Krew z ramienia sączyła się na jej ubranie.

- Zabiję cię, jeśli będzie trzeba! Napayshni chce cię z powrotem.

- Najpierw będzie musiał mnie zabić. Albo ty to zrobisz! - Ruszyła galopem. To był śmiertelny wyścig. Chłopak gonił ją przez całe kilometry, pędząc tuż za nią, a potem los znowu spletał jej figła; koń okulał i musiała się zatrzymać, bo w przeciwnym razie złamałby nogę. Koniom ciekła piana z pysków, gdy Wachiwi się zatrzymała, młody Indianin patrzył na nią ze złością.

- Zwariowałaś! - wrzasnął. Z Wachiwi jakby uszła energia, krew spływała jej po ramieniu. Strzała nie przebiła jej ręki na wylot, ale głęboko zraniła. - Dlaczego uciekasz?

- Chcę wrócić do swojego ojca. - Ledwie powstrzymała łzy. - Jest stary i słaby.

Chłopak był od niej sporo młodszy i nie rozumiał, czemu Wachiwi tak postępuje.

- Napayshni będzie dla ciebie dobry. Chyba powinnaś już wyjść za mąż, prawda?

Zastanawiała się, czy powinna spróbować uciec, ale to było ryzykowne, koń okuleje na dobre, zanim dotrą do lasu. Znowu jej się nie udało.

- Nie mam zamiaru wychodzić za mąż - odparła z ponurą miną. - Chcę tylko wrócić do swoich.

- Nie da rady - stwierdził chłopak rezolutnie. - Przykro mi, że cię zraniłem. Napayshni kazał mi cię zatrzymać za wszelką cenę.

Boli?

- Ani trochę - Nie pokaże po sobie, że cierpi.

W milczeniu wrócili do obozowiska; odprowadził jej konia, a ona poszła nad rzekę, żeby obmyć ramię. Traciła nadzieję, że kiedyś powróci do swoich. Ale wolałaby zginąć, niż pozostać tutaj. Przez chwilę żałowała, że chłopak jej nie zabił, tylko zranił. Krwawienie ustało, ale rana była paskudna i ramię bardzo bolało. Obmyła ją chłodną wodą i włożyła sukienkę. Wracała do swojego tipi, kiedy Napayshni wjechał do obozu. Zabili jeszcze więcej bizonów niż poprzedniego dnia i wódz był zadowolony. Zobaczył ją, kiedy podjechał bliżej, i nie od razu dostrzegł krew na ubraniu. Już miał coś do niej powiedzieć, kiedy spojrzała na niego obojętnie i osunęła się zemdlna tuż przed jego koniem.

W jednej chwili zeskoczył z wierzchowca i wziął ją na ręce. Nie miał pojęcia, co jej się przydarzyło, lecz wtedy zobaczył krew sączącą się przez skórzaną sukienkę. Zawołał kobiety i wysłał jedną po szamana. Ułożył Wachiwi na jej pościeli; powoli odzyskała przytomność, ale znowu zasłabła.

Ocknęła się, kiedy uzdrowiacz i jakaś stara Indianka weszli do namiotu. Kobieta rozebrała Wachiwi, a Napayshni przyjrzał się ranie. Jego żony nie miały pojęcia, co się stało, ale Napayshni podejrzewał, że dziewczyna znów próbowała uciec i coś poszło nie tak. Kiedy uzdrowiciel posypał ranę proszkiem i obłożył ją jakąś papką, Wachiwi o mało nie wrzasnęła z bólu. Wódz poszedł odszukać chłopaka, który tego popołudnia pilnował koni.

- Próbowwała zbiec? - Spojrzał groźnie, aż chłopiec zadrżał.

- Tak. Próbowala. Kazałeś mi ją zatrzymać za wszelką cenę, więc to zrobiłem.

- Nie mówiłem ci, żebyś ją zabił. A tak mogło się stać, skoro strzelałeś do niej z łuku. Powinieneś celować w nogę.

- Nie miałem na to czasu. Uciekała szybko. Mój koń ledwo ją dogonił.

- Wiem. Jeździ konno jak szalona. Następnym razem bądź ostrożniejszy. Co powiedziała, kiedy przywiozłeś ją z powrotem?

- Że tęskni za ojcem, który jest stary i chory. Tłumaczyłem, że będzie jej lepiej tutaj, z tobą. - Uśmiechnął się nieśmiało do wodza.

- Dziękuję ci. Nie wspomnę nikomu o tym, a ty też nikomu nie mów. - Gdyby inni się dowiedzieli, że Napayshni tak się troszczy o schwytaną, pomyśleliby, że to godne starej baby, nie wodza. Mimo wszystko nie mógł stać się pośmiewiskiem z powodu Wachiwi. - Strzelałeś do ptaka i nie trafiłeś. Beznadziejnie celujesz z łuku, Chapa, prawda? - Podpowiadał mu, co należy mówić.

- Tak. - Dobrze wiedział, że nie można spierać się z wodzem. Chciał ustrzelić ptaka. I nie trafił. Takie miało być tłumaczenie, mimo że nie stawiało chłopaka w korzystnym świetle.

Napayshni wrócił do tipi, gdzie dziewczyna usnęła po wypiciu jakiegoś naparu, który jej podano. Szaman i staruszka wyszli, a Wachiwi odpłynęła w niebyt. Poruszyła się raz, potem zapadła w głęboki sen, kiedy wódz opuścił namiot.

Spała do następnego ranka i była oszołomiona, kiedy się przebudziła, wystraszona, że jest naga pod pledem; sukienka leżała obok pośłania równo złożona. Wachiwi zobaczy-

ła ślady krwi na ubraniu i przypomniała sobie wydarzenia z poprzedniego dnia. Próba ucieczki znowu się nie powiodła.

Pograżona w smutku wstała i się ubrała. Zauważyła też ślady krwi na mokasynach.

Napayshni spostrzegł ją, kiedy wyszła z namiotu. Tego dnia była w takim stanie, że nie mogłaby próbować ucieczki. Wyglądała na zmęczoną i chorą, oszołomioną od mocnego naparu, którym napojono ją wieczorem.

- Jak tam twoje ramię? - zapytał, kiedy, potykając się, przechodziła obok; mrużyła oczy przed jaskrawym słońcem.

Tego dnia mężczyźni pozostali w obozie, a kobiety garbowały skóry i soliły mięso. Udało im się już zgromadzić duże zapasy na zimę. - W porządku. - Wciąż odczuwała ból, lecz duma nie pozwalała jej przyznać się do tego przed wodzem.

- Chapa marnie strzela z łuku. Celował do ptaka, a zamiast tego trafił ciebie.

- Wcale nie. Powiedział, że kazałeś mu powstrzymać mnie za wszelką cenę i to zrobił.

- Ile razy zamierzasz jeszcze próbować, Wachiwi? Tym razem zostałeś ranna. Mogłaś spaść z konia podczas ucieczki i zginąć.

- Albo zostać zabita przez któregoś z twoich ludzi. Wolałabym zginąć, niż zostać tutaj. - To była prawda. Nigdy nie zrezygnuje z prób powrotu do swojej wioski

- Tak ci tu źle?

Zrobiło mu się przykro, bo przecież był dla niej dobry. Mógł ją posiąść jeszcze pierwszej nocy; przebywała tu już od tygodni, ale chciał, żeby najpierw przywykła do niego, zanim zostanie jego żoną. Wciąż nie była dla niego bardziej przyjazna. Nie chciał postępować z nią szorstko, ale nie mogła

bez końca uciekać. Prędzej czy później ktoś ją ustrzeli albo poważnie zrani. Pragnął ją przed tym uchronić.

- Zabiliście moich braci! - I Ohitekaha; nie wypowiedziała jednak na głos jego imienia.

- To się zdarza w czasie najazdów i wypraw wojennych.

- Napayshni nie mógł tego zmienić, a chciał, żeby ona należała do niego. - Może postaramy się zostać przyjaciółmi? - Pomyślał, że jeśli ona przekonałaby się do niego, potem poszłoby łatwiej i zaakceptowałaby go jako swojego męża. Nie ona pierwsza została porwana podczas wyprawy wojennej i podarowana wodzowi. Wiele z takich branek stawało się niewolnicami. Trzy kobiety uprowadzone z jej osady pogodziły się z losem. Wachiwi widziała je z wojownikami i nowymi rodzinami. Wydawały się nieszczęśliwe, wiedziały jednak, że nie mają wyboru, no i były młodsze, bardziej uległe niż Wachiwi. Spotkała je kiedyś nad rzeką, ale starsze kobiety traktowały je jak niewolnice i nie pozwoliły im z nią porozmawiać. Napayshni pragnął zapewnić jej coś więcej, traktować ją jak żonę. Wachiwi nawet nie chciała o tym słyszeć. - Jesteś moim wrogiem, a nie przyjacielem.

- Chcę, żebyś została moją żoną - powiedział cicho. On, wielki wódz, korzył się przed dziewczyną! W innych plemionach i okolicznościach byłby to dla niej zaszczyt. Ale tak jak odrzuciła człowieka, który proponował za nią jej ojcu setkę koni, tak samo nie chciała zostać żoną wodza Napayshniego, którego ludzie zabili jej braci i ukochanego chłopca. Uprowadzili ją, odebrali ojcu. Nie miała zamiaru wybaczyć tego wodzowi Crow.

- Za nic nie zostanę twoją żoną. - Patrzyła na niego hardo, ze złością. - Będziesz musiał przyłożyć mi nóż do gardła, żeby mnie zdobyć.

- Nie zrobię tego. Poczekam, aż przyjdiesz do mnie sama.

Spojrzała na niego, ale jej wzrok jakby złagodniał. On ją prosił, nie rozkazywał i nie przymuszał. To nie uszło jej uwagi. Mógł obejść się z nią gorzej. Napayshni był honorowy, traktował ją z szacunkiem, chociaż ona nie odwdzięczała się tym samym.

Zionęła nienawiścią.

- Nie będę cię zmuszał, Wachiwi. Chodź sobie w obozie, gdzie chcesz, i rób, na co masz ochotę. Zostaniesz moją żoną, kiedy będziesz na to gotowa, nie wcześniej. Ale jeżeli spróbujesz znowu uciec, każę związywać cię codziennie. Jesteś wolna, w obrębie obozu. A kiedy zechcesz, staniesz się moją żoną, a nie niewolnicą.

- Nie miał zamiaru zniewalać córki innego wodza, a Biały Niedźwiedź był ważnym wodzem. Jego córka zasługiwała na poszanowanie. - Trzymaj się z dala od koni - ostrzegł. - Poza tym możesz chodzić, gdzie chcesz. Pieszko. - Nie odpowiedziała mu i odszedł. Okazał się wielkoduszny. Ale nie mogło być mowy o rozejmie, wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie. Będzie próbować ucieczki, przy każdej okazji. Panował upał, przebywali w letnim obozowisku i nie zamierzali zmieniać miejsca przez kilka tygodni. Należało sprawić upolowaną zwierzynę, kobiety szyły, mężczyźni garbowali skóry i solili mięso, a futra przygotowywano do wymiany na inne towary. W okolicy znajdowały się dobre pastwiska dla koni, nie brakowało też bizonów, gdyby potrzebowali jeszcze więcej mięsa. To, że nie trzeba było co kilka dni przenosić obozowiska, to wielkie szczęście, bo skwar dawał się wszystkim we znaki. Do tego czasu rana Wachiwi zagoiła się, ramię już nie bolało. Ciągłe wyczekiwała na dogodny moment do ucieczki, ale okazja jakoś się



nie trafiała. W obozie przez cały czas było zbyt dużo ludzi. Nie udało się jej zabrać konia i odjechać. Nie miała więc wyboru i musiała respektować nakaz wodza; mogła chodzić wszędzie, ale zabronił jej jeździć konno.

Dowiedziała się od kogoś, że w pobliżu jest jezioro. Na piechotę było dość daleko, ale nie miała nic do roboty, żadnych obowiązków w obozowisku. Traktowano ją jak gościa, a żony Napayshniego, na jego polecenie, robiły za nią wszystko, nawet prały ubrania. Trochę narzekały, ale usłuchały go i odnosiły się do Wachiwi jak do dziecka. Żyło jej się łatwo, poza tym, że nie chciała tu zostać. Zeby przekonać ją do siebie, wódz zastosował inną taktykę, zupełnie jakby wypróbowywał nową uprzęż, chcąc okiełznać konia. Przestał zupełnie zwracać uwagę na Wachiwi, czekał, aż sama do niego przyjdzie. Na razie nie przynosiło to skutku, ale dziewczyna wydawała się mniej wojownicza.

Sprawiała wrażenie bardziej rozluźnionej. Bawiła się z dziećmi, czasami dołączała do kobiet. Nadziewała paciorki i zszywała rozdarty strój. Nauczyła nawet dwie dziewczyny barwić kolce jeżozwierza; wyszukały odpowiednie jagody, które po specjalnej obróbce nadały kolcom piękną niebieską barwę, co zachwyciło młode Indianki. Na-payshni z zadowoleniem stwierdził, że Wachiwi się uspokajała, ale nie rozmawiał z nią o tym.

Podczas drugiego tygodnia w letnim obozowisku wybrała się na dłuższą przechadzkę i odnalazła jezioro, o którym dowiedziała się wcześniej, podsłuchując mężczyzn. To miejsce ją oczarowało, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziała. Wysoko na wzniesieniu był wodospad, a niżej spokojne, pełne ryb jezioro; na brzegu rozciągała się mała piaszczysta plaża. Wachiwi rozejrzała się wokoło, nie zoba-

czyła nikogo, zdjęła mokasyny i ubranie i wskoczyła nago do wody. Bracia nauczyli ją świetnie pływać.

Nie pamiętała piękniejszego popołudnia, a na pewno od chwili, gdy się znalazła u Crow. Ukryła swój strój tak, żeby nikt go nie zobaczył, na wypadek gdyby nad jeziorem zjawili się mężczyźni. Nikt się nie pojawił. Mężczyźni zajmowali się czymś w obozie, a kobiety i dzieci nie mogły chodzić tak daleko. Wachiwi poczuła się tak, jakby znalazła się w jakimś świętym miejscu. Uśmiechnęła się szeroko po raz pierwszy, odkąd ją schwytano, i została nad jeziorem przez całe popołudnie; wygrzewała się w słońcu i kąpała parę razy, a wracając do obozu, podśpiewywała. Miała teraz pewną swobodę, ponieważ Napayshni wiedział, że ona pieszo daleko nie ucieknie. Na pewno nie zdołałaby dotrzeć do swojego plemienia.

Radosna, beztroska, młoda, z rozpuszczonymi czarnymi włosami opadającymi na plecy wyglądała pięknie. Napayshni zobaczył ją, gdy wchodziła do obozu, i nic nie powiedział, ale poczuł ciepło na sercu, kiedy na nią spojrzał. Wydawała się spokojna, szczęśliwa i swobodna.

Kiedy wszyscy jedli kolację przy ognisku, zapytał, co robiła tego dnia. Nowe dziecko wodza rosło silne i zdrowe, a matka miała się dobrze. Obie żony znowu były w ciąży i miały rodzić na wiosnę. Napayshni pragnął jednak mieć dziecko z Wachiwi, choć jej tego nie mówił. Nie chciał jej wystraszyć, zwłaszcza że wreszcie zaczęła się przyzwyczajać do nowego otoczenia.

- Poszłam dziś nad jezioro. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Była wobec niego mniej wroga, od kiedy rzadziej się do niej odzywał, ale nie chciała zostać jego żoną, ani nawet przyjaciółką.

- Pieszko? To bardzo daleka droga. - Nie krył, że jest pod wrażeniem. Niektórzy mężczyźni czasem jeździli tam konno. - To piękne miejsce - dodała z pogodną miną. Pokiwał głową i odwrócił się od Wachiwi, udając, że nie zwraca na nią uwagi. Pomyślał, że ona jest jak wspaniały dziki koń. Nie okiełznał jej jeszcze, ale wiedział że dopnie swego. Dostrzegął to w jej oczach. Pewnego dnia spełni się jego gorące pragnienie.

## Rozdział 8

Wachiwi chodziła nad jezioro codziennie. Droga co prawda długa, męcząca zwłaszcza w upale, ale było warto ją pokonać - czas, który tam spędzała, anielski spokój, sielankowy widok stały się balsamem dla jej duszy. Nad podobne bajkowe jezioro chodziła kiedyś z braćmi. Pewnego dnia, chcąc się przekonać, czy jej się uda, złapała rybę gołymi rękami, zaśmiała się głośno, a potem wrzuciła zdobycz do wody. Lubiła te chwile spędzane samotnie. Pewna, że nikogo nie ma w pobliżu, wylegiwała się godzinami nago na ciepłym, złocistym piasku, pływała nago, a nawet zrywała jagody i przechadzała się bez ubrania. Była radosna jak dziecko, całkiem sama i bezpieczna. Chciała, aby te dni trwały wiecznie. Wiedziała jednak, że za kilka tygodni zwiną obóz i zaczną się wędrówka w poszukiwaniu terenu, gdzie spędzą zimę. Postanowiła, że właśnie wtedy spróbuje uciec, ale na razie nie było o czym myśleć, o co się zamar-

twiać, czego planować. Wyglądała na szczęśliwą i odprężoną, kiedy wracała wieczorami do obozowiska.

Opaliła się na brązowo, a w mokasynach zrobiła jej lię dziura od codziennych marszów nad jezioro; wyruszała rankiem i wracała do obozu o zmierzchu. Zawsze zjawiała się punktualnie na wieczorny posiłek, a Napayshniemu bardzo podobało się to, co dostrzegał w jej oczach. Wachiwi zrobiła się bardziej rozmowna, otwarta i serdeczna, bywała nawet miłsza dla niego, gdy zapominała o swojej złości. Zmiana, którą w niej zauważył, poruszyła jego serce. Miał wielką nadzieję, że może do czasu zwinięcia obozu i przenosin zdobędzie wreszcie Wachiwi.

Cierpliwość zaczynała owocować. Mógł to wyczuć w sposobie, w jaki z nim teraz rozmawiała, dzieląc się wrażeniami. Zastanawiał się, czy nie dać Wachiwi konia, żeby ułatwić jej wyprawy nad jezioro, ale nie chciał stwarzać jej pokusy do ucieczki. Na pewno próbowałyby zbiec. Jeszcze do niego nie należała. Kiedy już ją posiadzie i Wachiwi będzie nosić w brzuchu jego dziecko, wtedy już nigdy go nie opuści. Na razie jednak mogła to zrobić. Musiał najpierw ją mieć, wtedy będzie mógł spać spokojnie, pozostanie z nim do końca życia. Tylko tego teraz pragnął i myślał o tym bez przerwy. Wachiwi nie zdawała sobie sprawy z jego namiętnych uczuć wobec niej i codziennie lekkim krokiem chodziła nad jezioro, gdzie spędzała cały dzień. Nie przydzielono jej żadnej pracy w obozie, co było osobistym podarunkiem Napayshniego dla niej. Mogła zabawiać się przez cały czas, kąpać się w jeziorze, leżeć na plaży i marzyć. Często wspominała swoją rodzinę, osadę, lecz teraz nawiedzały ją także inne myśli - o dwóch kobietach, z którymi mieszkała, o ich dzieciach, a czasem o Napayshnim.

Trudno w to

uwierzyć, ale przekonała się, że to przyzwoity człowiek. Był dobry dla swoich ludzi i żon, łagodny wobec dzieci i miły dla niej. Gdyby tylko wywodził się z Siuksów i nie pozabijał jej bliskich, mogłaby go polubić, a nawet ulec mu i zostać jego żoną. Ale to nie wchodziło w rachubę. Zresztą wkrótce miała stąd uciec. Bez względu na okazywaną jej uprzejmość, wciąż myślała o ucieczce. Czekwała tylko do czasu zwinięcia obozu, na razie ciesząc się każdą chwilą nad jeziorem.

Wylegiwała się na plaży w upalne popołudnie. Schowała ubranie pod krzakiem i zapadła w głęboki sen po długiej kąpieli w jeziorze. Dzieci budziły się w namiocie podczas dusznej minionej nocy i Wachiwi była niewyspana. Śnił jej się ojciec, kiedy usłyszała jakiś dźwięk. Pomyślała, że to ptak szeleści w zaroślach. Otworzyła oczy, rozejrzała się i nic nie dostrzegła, a potem usiadła nagle na ciepłym piasku, bo zobaczyła coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Ciemnowłosa mężczyzna o jasnej karnacji, w bryczesach z jeleniej skóry i rozpiętej białej koszuli stał osłupiały, gapiąc się na nią ze zdumieniem. Był zbyt zaskoczony, żeby się poruszyć, podobnie jak ona. Po chwili usłyszała jego wierzchowca, uwiązanego gdzieś blisko. Nie miała pojęcia, kim jest ten mężczyzna, bo nigdy nie widziała białego człowieka, ale gdy na niego patrzyła, od razu przypomniała sobie, co mówił ojciec o białych duchach przybywających z daleka. Zawsze brzmiało to dla niej tajemniczo, lecz nigdy nie widywała takich istot, więc nie myślała o tym więcej. I teraz, kiedy go ujrzała, zorientowała się od razu, że to ktoś taki. Nie wiedziała, czy to zły duch, czy dobry, i stanęła przed nim naga, bojąc się poruszyć, niepewna, co powinna zrobić. On też się wystraszył. W pobliżu mógł być zastęp

indiańskich wojowników, którzy przyjdą po nią i go tu zastaną. Gdy spoglądał na tę piękną młodą dziewczynę, jej nagość wydała mu się prawie magiczna. Była ideałem pod każdym względem. Aby ją uspokoić, wyciągnął ręce i zrobił znak pokoju, jakim posługiwali się Irokezi lub Huroni, który Wachiwi widziała już wcześniej. Nie był to gest Siuksów ani plemienia Crow, ale go zrozumiała.

To był znak Huronów, którego biały człowiek się nauczył, wędrując z tym plemieniem przez dwa lata. Przybył na zachód sam, podróżował, prowadził badania i robił szkice, kiedy natknął się na coś interesującego. Wykreślił mapy, które jak sądził, mogą się przydać innym ludziom, podążającym tym samym szlakiem, ale głównie zwiedzał Nowy Świat. Był drugim synem swoich rodziców i miał we Francji starszego brata, który go uwielbiał. Sam nie miał w kraju żadnych zobowiązań i nic go tam nie trzymało, podążył więc za swoimi marzeniami do Ameryki. Zatrzymał się na krótko w Nowym Orleanie, kiedy przybył na ten kontynent przed pięcioma laty, i zafascynowali go Indianie, dziewicze tereny, czyste piękno natury. Dotychczas nie przytrafiło mu się nic złego, jeśli nie liczyć paru mogących mieć tragiczne skutki zdarzeń. Kiedyś rozminął się o kilka godzin z oddziałem wojowników plemienia Pawnee, morderców ludzi, u których się zatrzymywał; spalili fort, gdzie przebywał kilka dni wcześniej, i zmasakrowali mieszkańców. Poza tym czas poświęcony odkrywaniu borów i Wielkich Równin, lasów i rzek sprawił mu wielką radość. Myślał, że okolica, gdzie akurat trafił, jest bezludna, a teraz zobaczył nagą dziewczynę, która stała nieruchomo i patrzyła na niego. To Indianka, mógłby stwierdzić, z jakiego

jest szczepu, wojowniczego czy nastawionego pokojowo, gdyby miała na sobie ubranie. Ale kimkolwiek była, ludzie z jej plemienia nie mogli znajdować się zbyt daleko i z pewnością nie spodobałoby im się, że patrzy na nagą Indiankę. Zabiliby go na miejscu. Rozumiał, że oboje narażają się na wielkie niebezpieczeństwo. Wskazał na swoje ubranie i pokazał na nią. Kiwnęła głową i pobiegła w krzaki, a chwilę później wyłoniła się jak łania w swoim stroju ze skóry łosia i mokasynach. Najdziwniejsze, że wydawała się nie tyle wystraszona, ile zaintrygowana i trochę zdziwiona, jak gdyby nigdy wcześniej nie zetknęła się z białym człowiekiem. A teraz, kiedy już się ubrała, pomyślał, że pewnie należy do jakiegoś szczepu Siuksów i najwyraźniej jest kimś ważnym, gdyż jej strój był bogato zdobiony i wyszywany paciorkami. Przypuszczał, że to może żona albo córka wodza.

Zrobił znów znak pokoju i nie próbował do niej podchodzić. Chciał ją zapytać, czy jest sama, ale nie wiedział jak. Rozejrzał się, jakby kogoś szukał, a potem spojrzał na nią pytająco. Zrozumiała i pokręciła głową, zastanawiając się, czy powinna się przyznawać, że jest tu sama. Miała za pasem mały nóż, który służył jej do zrywania jagód i ścinania pnączy. Nigdy nie użyła go przeciwko człowiekowi. Wciąż nie wiedziała, czy to dobry duch, czy zły, ale nie wyglądał groźnie. Wydawał się przestraszony i zaskoczony. Aż się uśmiechnęła. Powiedziała do niego coś w narzeczu Siuksów, którego nie rozumiał. Wskazała w stronę swojego obozu i ułożyła dłonie w kształt namiotu. Skinął, wdzięczny za informację, żeby nie szedł w tamtą stronę. A wtedy ona, ciekawa, czy ją zatrzyma, zaczęła odchodzić. Nie poruszył się. Po prostu patrzył za nią.

Wachiwi dotarła do ścieżki, którą chodziła codziennie. Odwracała się parę razy, a on wciąż stał w miejscu. Nawet się nie ruszył i nie odrywał od niej wzroku. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. A potem po cichu wszedł w las, odwiązał konia i odjechał. Odwróciła się jeszcze raz, żeby zobaczyć, czy on wciąż tam stoi, ale już go nie było. Pierwszy biały duch, którego ujrzała, rozpląnął się w powietrzu. Żałowała, że w pobliżu nie ma nikogo, kogo mogłaby o to spytać albo opowiedzieć, co widziała, ale pewnie by się nie odważyła. Coś jej podpowiadało, że nie powinna tego robić.

Godzinę później wróciła do osady zamyślona. Wszyscy byli czymś zajęci, więc dołączyła do kobiet przed tipi i bawiła się z dziećmi. Pokołysała na rękach niemowlę, co czasami robiła, aż zachichotało. Napayshni wrócił do domu, gdy skończyli wyprawiać skóry bizonów, i pomyślał, że nie widział nigdy nic bardziej uroczego od widoku Wachiwi bawiącej się z jego dzieckiem. Miał nadzieję, że następane niemowlę, które ta dziewczyna weźmie w ramiona, będzie ich wspólnym potomkiem. Nie powiedziała nikomu w obozie o człowieku spotkanym nad jeziorem. Przeczowała instynktownie, że mogłoby to zagrozić i jemu, i jej. Może nawet obwiniliby ją o to, że tamten się objawił. Wypatrywała go następnego dnia, ale nie przyszedł. Powrócił dzień później. Wystawiła głowę z wody, kiedy wyłonił się z lasu i podszedł bliżej. Był w tych samych skórzanych spodniach i wysokich czarnych butach. Miał ciemne włosy sięgające ramion, zaczesywane do tyłu. Znowu zrobił ten dziwny znak pokoju i zbliżył się na skraj wody. Uśmiechnął się i cała twarz mu się ożywiła. Obserwował Wachiwi i przekonał się, że jest sama. Była piękna.



Wiedział, że powrót tu świadczy o jego odwadze i jednocześnie głupocie, ale nie mógł się oprzeć. Pragnął zobaczyć ją znowu i dowiedzieć się o niej czegoś więcej, jeśli to możliwe. Była jedyną Indianką, z jaką znalazł się sam na sam. Spędził w Ameryce pięć lat, odkrywał uroki tutejszej przyrody, odnalazł siebie w surowym, nieznanym świecie, który pokochał, tak innym od tego, z którego pochodził. A teraz oczarowała go kobieta o wyglądzie indiańskiej boginki. Uświadomił sobie, że nieprzypadkowo znalazła się nad jeziorem sama, i miał wrażenie, że przychodzi tu często, może nawet codziennie. Gdy ujrzał ją pierwszy raz, wiedział, że musi zobaczyć ją znowu. Pragnąłby namalować jej portret i oddać na płótnie zachwycającego ducha swobody i gracji, uchwycić naturalną młodzieńczą żywiołowość, którą w niej dostrzegł, kiedy pluskała się w wodzie. A Wachiwi zastanawiała się, gdzie nauczył się gestów Huronów, lecz nie potrafiła go o to zapytać.

Widział już wcześniej osadę plemienia Crow, ominął ją i biwakował z dala od niej, w leśnej pieczarze. Poznawszy dobrze sekrety lasów, dostosował się do życia w kniejach. Wypatrywał indiańskich oddziałów wojennych, ale nie dojrzał żadnego. Widział przez lunetę, że wszyscy w obozie są czymś zajęci. Kończyło się lato i przypuszczał, że Indianie Crow szykują się do zimy. Zastanawiające, że dziewczyna znad jeziora wymykała się z obozu, zamiast pracować. Może nie musiała, wyglądała bardzo młodo, a jeśli była córką wodza, miała taki przywilej. O tyle spraw chciał ją wypytać, jak najwięcej się o niej dowiedzieć. Pływała naga, widocznie jej to nie krępowało. Wpatrywał się w jej twarz, a nie w części ciała, wynurzające się nad powierzchnię. Potem stanęła w wodzie, która sięgała

jej talii. Spotkali się wzrokiem, żadne z nich się nie poruszyło, ona tylko uśmiechnęła się i znów zanurkowała. Kokietowała go jak leśna nimfa. Pomyślał nawet, że tylko mu się przywidziała? była jednak piękną kobietą z krwi i kości. Nie potrafił wyobrazić sobie leśnej nimfy ładniejszej od niej. A ten wyraz niewinności w jej oczach po prostu go rozczulił. Postanowił się przedstawić, choć w takich okolicznościach wydawało się to co najmniej niemądre.

- Jean de Margerac. - Wskazał na siebie i skłonił się nisko. Przez chwilę sprawiała wrażenie zmieszanej, jak gdyby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Powtórzył więc, wskazując na swoją pierś.

Wtedy zrozumiała.

- Wachiwi - odezwała się cicho i pokazała na siebie. Nie znał dobrze lokalnych plemion, nie wiedział, z jakiego ona się wywodzi, a kiedy wypowiedział kilka słów, okazało się, że dziewczyna nie mówi ani po angielsku, ani po francusku. On posługiwał się obydwoma językami, a angielskiego nauczył się już w Nowym Świecie. Poznał też narzecza Irokezów i Huronów, lecz ona ich nie znała. Te plemiona żyły daleko na wschód od miejsca, gdzie się znajdowali. Jeanowi i Wachiwi pozostały gesty i miny. To wystarczyło, żeby poznali swoje imiona, ale nic więcej o sobie nawzajem nie wiedzieli. W Indiance było coś szlachetnego, co pozwalało mu przypuszczać, że ona należy do uprzywilejowanych w swoim świecie, ale pozostawała przy tym wolna duchem, tak jak on. W dziwny sposób coś ich łączyło. Jemu też było za ciasno w rodzinnej Francji. A kochający go starszy brat, markiz Tristan, pozwolił mu wyjechać z kraju, dając na drogę swoje błogosławieństwo. Wachiwi wykonała jakiś gest i Jean dopiero po chwili pojął, że pyta go, skąd pochodzi: wskazała najpierw na niebo,

a potem na las. Pokazał las, dając do zrozumienia gestami, że od dawna jeździ po nim konno. Usiłował jej wytłumaczyć, iż daleko za lasem jest ocean, ale długą podróż przez jego wody trudno było opisać za pomocą gestów i mimiki. Przybył z Francji, z Bretanii, i jest hrabią de Margerac. To, że jego starszy brat Tristan ma tytuł markiza i posiada rozległe włości, niczego by jej nie wyjaśniło. Jeana i Wachiwi łączyło tylko jedno: kim oboje byli dla siebie w tej chwili, bez przeszłości i przyszłości. Wszystko, co mieli, to terażniejszość, która ich oszałamiała.

Zdjął buty i zaczął brodzić z dziewczyną w wodzie, czując się jak wariat. Gdyby zjawił się jakiś indiański wojownik, Jean zginąłby bez butów i bez broni. Tak jak ona nosił nóż przy pasie do torowania sobie drogi przez las, ale wolałby nie wdawać się w walkę wręcz z jakimś wojownikiem z jej osady, a pistolet zostawił przy koniu, żeby nie wystraszyć Wachiwi. Oboje przypominali dzieci, które spotkały się w zakazanym miejscu, podejmując wielkie ryzyko, i Jean widział w oczach Indianki, że ona o tym wie. Wyglądała na dziewczynę pełną werwy. Większość kobiet w jej sytuacji uciekłyby z krzykiem. A ona pływała nago w wodzie zaledwie metr od niego i nie wiedział, czy kusi los, czy okazuje swoje zaufanie. Nie przypominała kobiety swobodnych obyczajów. W jej oczach nie było nawet odrobiny zachęty, tylko niewinność, zaciekawienie i przyjaźń. Wydawała się zupełnie niezwykła. I, na szczęście, nic jej przy nim nie groziło. Coś mu podpowiadało, że Wachiwi to wyczuwa. Była albo bardzo niemądra, albo bardzo odważna.

Ubrała się, kiedy się odwrócił, i usiedli na kłodzie drewna, próbując wymieniać drobne informacje. Zapytał ją o dzieci, a ona pokręciła głową. Odgadł, że jeszcze nie wy-

szła za męża, choć wydawała się już dojrzała do zaślubin, Może była ulubioną córką wodza, z którą ten nie umiał się rozstać. Wyjaśniła Jeanowi gestami, że została uprowadzona. Pokazała mu blizny na rękach, a potem skinęła w stronę osady, z której przyszła. Usiłowała mu wyjaśnić, że ją tam więziono, co dla Jeana nie miało sensu, bo przecież przychodziła sama nad jezioro. Podszedł do konia i pokazał jej swoje rysunki oraz szkice przedstawiające jeziora, lasy i ludzi, a ona pokiwała głową. Były bardzo udane. Pokazał jej też mapę, ale ona nie wiedziała, co to jest, bo nigdy nie widziała mapy. Dała mu znak, że bardziej jej się podobają rysunki. A potem, że musi już iść. Udało im się nawiązać osobliwą przyjaźń, bo byli ciekawi siebie nawzajem, choć pochodzili z dwóch różnych światów. Indiańska dziewczyna, być może dobrze urodzona, i francuski szlachcic; oboje z dala od rodzinnych stron, którzy natknęli się na siebie w tym spokojnym miejscu. Jean został jeszcze po jej odejściu i naszkicował wodospad; chciał sprezentować jej ten rysunek nazajutrz. Przyszedł następnego dnia, ale jej nie było. Obie żony Napayshniego rozchorowały się; zaszkodziły im jagody i Wachiwi została w obozowisku, żeby zaopiekować się dziećmi. Minęły dwa dni, zanim poszła nad jezioro i była rozczarowana, że nie ma Jeana. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy, czy odjechał tam, skąd przybył. Wiedziała, że nie natknął się na żadnego wojownika z Crow, ponieważ usłyszałyby o tym w osadzie i dowiedziałyby się, gdyby wojownicy zabili białego człowieka. Wróciliby do obozu z jego skalpem i wręczyli trofeum wodzowi. Jean po prostu zniknął tak nagle, jak się pojawił. Wydawał się dobrym duchem.

Nie wyrządził jej krzywdy i sprawiał wrażenie nastawionego przyjaźnie.

Wachiwi była spokojna, kiedy tego wieczoru wróciła do obozowiska. Mężczyźni świętowali z okazji kolejnych łowów, a niektórzy stali się zbyt hałaśliwi. Napayshni wypił sporo, co zdarzało mu się rzadko, i podchmielony położył się na pościeli Wachiwi. Poczula go obok siebie, kiedy wrócił do tipi, lecz nie zwracała na niego uwagi i udawała, że śpi, więc przeniósł się na swoje miejsce. Zanim to zrobił, delikatnie dotknął palcami jej twarzy i szyi, licząc, że się zbudzi. Nie była jeszcze na niego gotowa i nie sądziła, by kiedykolwiek miało się to zmienić. Od niedawna wyczuwała, że pociąga go coraz bardziej, i to jej przypominało o konieczności ucieczki. Bała się, że wkrótce weźmie ją siłą, zniecierpliwiony długim oczekiwaniem. Do tej pory był powściągliwy, lecz wiedziała, że to długo nie potrwa. Słyszała od innych kobiet, co robili z nimi mężczyźni, i tak naprawdę należała do Napayshniego, czy jej się to podobało, czy nie. Mógł z nią zrobić, co tylko chciał. Cud, że do tej pory jeszcze nie uciekał się do przemocy.

Zapowiadała się długa zima, którą spędzą wspólnie w wigwamie, a obie żony Napayshniego w połowie chłodnej pory będą już w zaawansowanej ciąży. Łatwo odgadnąć, że on zwróci się do Wachiwi ze swoimi potrzebami i zechce z nią mieć dziecko. Posiadanie liczego potomstwa stanowiło oznakę męskości i podnosiło autorytet wodza. A on pragnął Wachiwi. Zachowywał się wobec niej przyzwoicie, ale wiedziała swoje. Wkrótce miał uczynić z niej trzecią żonę. Chciała uciec, zanim to się stanie. Przysięgła sobie, że za nic nie pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Zabójstwa braci i Ohitekaha nigdy nie wybaczy.

Krażyły pogłoski, że zwiną obozowisko w ostatnich dniach lata. Stada bizonów zaczęły się przemieszczać, a Crow chcieli upolować jeszcze trochę zwierząt przed nastaniem zimy." Już długo przebywali w letnim obozie, a Wachiwi radowała się czasem spędzonym nad jeziorem, zwłaszcza od kiedy spotkała Jeana. Podobało jej się to miejsce, także wtedy, gdy chodziła tam sama. W dniu przed zwinięciem obozu poszła nad jezioro ostatni raz. Sądziła, że Jean gdzieś odjechał, bo nie widywała go od kilku dni, i nie spodziewała się, że jeszcze go zobaczy.

Poszła jak zwykle różnym krokiem, aby spędzić nad jeziorem jak najwięcej czasu. Powietrze zrobiło się chłodniejsze, wyczuwało się nadciągającą jesień. Z drzew już opadły liście, ale nie brakowało słońca, woda była dość ciepła i Wachiwi mogła popływać, jak zawsze nago. Po wyjściu z jeziora, wkładając sukienkę i mokasyny, rozmyślała o Jeanie, i aż podskoczyła, kiedy nagle się pojawił. Pomyślała, że może naprawdę jest duchem. Nie widziała go od zeszłego tygodnia. Wytłumaczył jej na migi, że wyjechał, ale wrócił. Nie był w stanie tego wyrazić, ale miał nadzieję znów ją zobaczyć, choć przez chwilę. Podał jej rysunek wodospadu i wyglądała na zadowoloną. Oddała go jednak, bo nie mogła zabrać ze sobą do obozowiska. A potem pokazał jej rysunek przedstawiający ją samą, co ujęło ją jeszcze bardziej. Uśmiechnęła się do niego, kiedy tylko zobaczyła swój portret.

Usiedli na zwałonym drzewie jak poprzednio. Wachiwi nazrywała jagód i dała mu je, siedzieli sobie spokojnie jak dwójka dzieci, gdy nagle oboje usłyszeli odgłos przypominający szelest liści. Zanim się zorientowali, co się dzieje, na polanę wyszedł Napayshni; był zdumiony tak samo jak

oni. Osłupieli, przez moment nikt nie zareagował, a potem Napayshni rzucił się na Jeana. Wachiwi nie miała pojęcia, że wódz ją śledził. Nigdy za nią nie chodził, nie wiedziała też, czy przyszedł sam. Ani tego, że zmęczyło go czekanie i postanowił przed zwinięciem obozu posiąść ją w miejscu, które uwielbiała. Myślał, że to dobry pomysł. Z przerażeniem patrzyła na mężczyzn splecionych w śmiertelnym uścisku, z zaczerwienionymi twarzami, duszących się wzajemnie. Stała bezradna, ale kiedy Napayshni wydawał się zdobywać przewagę nad Jeanem i zobaczyła, że ten rozluźnia chwyt na szyi wodza, jednym szybkim ruchem sięgnęła po nóż tkwiący za jego pasem i rzuciła się na Indianina. Spojrzał na nią zdumiony, charczał, krew zabulgotała mu w krtani i powoli osunął się na ziemię. Jean dusił się i usiłował złapać oddech, kiedy patrzyli na Napayshniego. Wódz miał otwarte oczy i leżał bez ruchu, krew tryskała mu z piersi; nie żył.

- O mój Boże. - Jean był przerażony, nie wiedział, co robić, a Wachiwi zareagowała błyskawicznie. Chwyciła Napayshniego za nogę, wskazała Jeanowi drugą i zaciągnęli martwego w zarośla. Nie tak należało pochować indiańskiego wodza, ale nie mieli innej możliwości. Musieli działać szybko. Jeśli ktoś wiedział, że Napayshni się tu wybrał, albo ktoś szedł za nim z obozu, Jeana i Wachiwi czekała śmierć. Biały człowiek nie zamierzał zranić Napayshniego, lecz znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Oboje igrali z ogniem, zaprzyjaźniając się ze sobą.

Ukryli zwłoki w gęstych zaroślach i Wachiwi wiedziała, że Indianie nieprędko odnajdą zabitego wodza, ale ona i Jean powinni czym prędzej stąd zniknąć. Wskazała na siebie, na niego i konia. Dawała do zrozumienia, że musi z nim

jechać, zresztą on też zdawał sobie z tego sprawę. Szybko opłukał w wodzie nóż, wsunął go za pas. Dziewczyna wskoczyła na przód siodła, Jean usiadł za nią, objął ją ramieniem, chwycił lejce i od razu ruszyli galopem.

Wskazywała mu przecinki w lesie, których wcześniej nie widział i pewnie nawet by ich nie zauważył. Był pewien, że jazda konno to dla niej nie pierwszozna, miała ją we krwi. Co rusz ponaglała wierzchowca, pędzili jak szaleni, wiedząc, że muszą uciec najdalej, jak tylko się da, i to szybko. Kiedy w obozie zauważą, że Napayshniego nie ma, a może już zauważyli, wyruszą na poszukiwanie. Gdy Jean go zobaczył, zorientował się, że to wódz. Nie rozumiał tylko, dlaczego na Wachiwi śmierć tego Indianina nie robiła wrażenia. Wydawało się wręcz, że odczuła z tego powodu ulgę. Nie wiedział, czy to był jej mąż, czy też łączyły ich innego rodzaju więzi. Nie mógł jednak o to wypytywać, kiedy uciekali. Wachiwi skupiła się na tym, by przeprowadzić ich przez las. Pędzili, nie zwalniając, aż zapadły ciemności. Koń zmęczył się, a Jean tylko modlił się w duchu, żeby zwierzę nie okulało. Jechali na północny wschód i mieli przed sobą długą drogę. Wachiwi pozwoliła mu się zatrzymać, kiedy zobaczyła pieczarę. Uwiązali konia do drzewa i weszli do jaskini. Tym razem Jean wziął ze sobą broń. Nie bardzo się orientował, gdzie się znaleźli, podobnie zresztą jak ona; miał tylko niejasne przypuszczenia co do rejonu. Chciał dotrzeć do domu znajomego trapera, gdzie zatrzymał się wcześniej na kilka dni podczas wyprawy na zachód. Przyjaciół był Francuzem, spotkali się w Kanadzie i znali od lat. Jean nie chciał wystawiać go na niebezpieczeństwo, ale wiedział, że gdy dotrą do jego chaty, będą już daleko od terenów plemienia Crow.



Patrząc na Wachiwi, wyczuwał, że pragnęła mu coś przekazać; i się nie mylił. Przez moment, kiedy zaczęli uciekać z nad jeziora, zamierzała go pokierować w stronę osady swojego ojca, lecz uświadomiła sobie, że w ten sposób naraziłaby ich oboje, a może nawet doszłoby do otwartej wojny z Crow. Gdyby ci znaleźli martwego wodza i zobaczyli, że jej nie ma, byłoby oczywiste, że go zabiła i uciekła. A utwierdziliby się w tym, jeśli Wachiwi powróciła do rodzinnej osady. Wtedy zemściliby się okrutnie. Musiała więc trzymać się z dala od swojego plemienia. Może Crow uwierzą, że porwał ją z nad jeziora jakiś inny szczep, zabijając Napayshniego. To jednak mało prawdopodobne, bo okolica była bezludna. Domyślą się, że zrobiła to ona. Pozostało jej jedynie wędrowanie z białym człowiekiem i nie wiedziała, co się zdarzy potem. Co Jean z nią teraz pocznie? Tej nocy tylko wymieniali spojrzenia, nawet nie próbowali porozumiewać się gestami. Oboje wiedzieli, co się wydarzyło i jakie ponieśliby konsekwencje, gdyby ich schwytano.

Spali mało, wyruszyli przed świtem i jechali za dnia bez odpoczynku, po otwartym terenie, a Jean wiedział, że znajdują się na terytorium Siuksów Tetonów, gdzie nigdy nie było bezpiecznie. Tetoni okazywali wrogość nawet wobec innych Siuksów i wszyscy się ich bali. Na szczęście Wachiwi i Jean nie napotkali nikogo. Pędzili bez wytchnienia, dopóki nie zaszyli się w lesie. Zwolnili i rozglądali się, ale nie znaleźli żadnej groty, w której mogliby przenocować; czuwali, nasłuchując odgłosów lasu, ale nikt się nie pojawił, po dwóch dniach jazdy na razie nikt ich nie ścigał. Może jeszcze nie odnaleziono ciała Napayshniego? Jean miał nadzieję, że tak właśnie było. Może zniknięcie wodza i Wachiwi wciąż stanowiło zagadkę dla szczepu Crow.

Trzeciego dnia koń słabł, gdy poganiali go do biegu. Na szczęście Jean już wiedział, gdzie się znajdują. Sporządził kiedyś mapy tych obszarów i jego zdaniem największe zagrożenie minęło; plemiona koczujące na terenie, przez który teraz przejeżdżali, zazwyczaj nastawione pokojowo, zajmowały się handlem i rolnictwem. Nie wydawały się tak wojownicze jak Crow czy Siuksowie Tetoni. Wcześniej w tych rejonach nie pojawiały się oddziały indiańskich wojowników i Jean liczył, że nic się nie zmieniło.

Przebyli galopem setki kilometrów, Jean jeszcze nigdy nie jechał w takim tempie. Wachiwi była niestrudzona, spinała konia w godny podziwu sposób, on tego nie potrafił. Okazała się lepszym jeźdźcem od niego. Jakby urodziła się w siodle. Tej nocy, jadąc po ciemku, zaczęli dostrzegać pierwsze farmy i nieliczne domy osadników, a Jean rozpoznał chatę, której szukał. Zatrzymali się na podwórzu i wprowadzili konia do stodoły, a potem Jean zapukał do drzwi domu Luca Ferriera. Przyjaciel przebywał w Nowym Świecie już od lat, zajmował się traperstwem w Kanadzie i handlował z Indianami. Ożenił się z Indianką, która młodo zmarła. Jean znał go dobrze i mu ufał. Luc otworzył drzwi i aż krzyknął z radości na jego widok. Rozmawiali po francusku.

- Dlaczego wróciłeś tak prędko? Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przez miesiąc. Wpadłeś w kłopoty czy nagły strach cię obleciał? - Często droczył się z Jeanem także dlatego, że przyjaciel miał tytuł szlachecki, a Luc nie. Pochodził z Pirenejów i był twardym góralem o gołęmbim sercu, cenił Jeana, chociaż obaj lubili sobie przygadywać po przyjacielsku. Widywał już Jeana w trudnych sytuacjach i podziwiał, że ten zawsze jakoś potrafił wychodzić cało.

- Doszło do drobnego incydentu - odparł Jean zdawkowo, ale Luc zauważył zmęczenie przybyszów i mógł się domyślić, że mają za sobą wyczerpującą podróż. Przypuszczał, że coś się wydarzyło, choć nie wiedział co, a nie chciał okazać się wścibski.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - Nie zdołał się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Była śliczna.

- Ma na imię Wachiwi i to wszystko, co wiem. Wydaje mi się, że pochodzi z plemienia Crow albo Dakota. Nie potrafię tego ustalić. Nie znam dobrze tych szczepów. Próbowałem do niej mówić w narzeczu Irokezów i Huronów, ale nie rozumiała. Mieszkała w osadzie Crow, tak mi przekazała, i to, że ją uprowadzono z innego miejsca, chyba porwano jej ojcu.

Luc, który potrafił się porozumiewać w wielu narzeczach i miał zdolności językowe, odezwał się do niej w języku Dakotów; władał nim płynnie, handlował nieraz z tym plemieniem.

Wachiwi szybko mu odpowiedziała; mówiła długo, emocjonalnie, przedstawiając swoją historię. Luc kiwał głową i czasem wtrącał jakąś uwagę. Jean przysłuchiwał się, nie rozumiejąc ani słowa.

Zastanawiał się, czy Wachiwi opowiada, jak zabili wodza plemienia Crow. Miał nadzieję, że nie. Nie chciał wplątywać przyjaciela w tę sprawę, co siłą rzeczy nastąpiłoby, gdyby się o niej dowiedział. To był ich problem, nie Luca, i Jean wolał, żeby nic z tej historii nie wyszło na jaw. Zamierzał kontynuować podróż z Wachiwi dalej na wschód, najpierw do fortu St. Charles, potem do St. Louis. Powinni znaleźć się jak najdalej od terytorium Crow. Nie miał pojęcia, co zrobić z Wachiwi. Nie wiedział też, co ona zamierza. Liczył, że Luc się tego dowie.

Siedzieli przy kuchennym stole, Luc nałożył im na talerze duże porcje gulaszu, który wcześniej ugotował. Był dobrym kucharzem, a oni od trzech dni nie jedli nic poza jagodami. Jeana skręcało z głodu, a Wachiwi wyglądała blado. Z zaciekawieniem patrzyła na jedzenie i ostrożnie tknęła je palcem. Luc podał jej łyżkę i pokazał, jak się nią posługiwać. Wachiwi zaczęła grzecznie jeść, podczas gdy Luc przedstawił jej sytuację Jeanowi.

- Ona jest z plemienia Siuksów Dakota. Jej ojciec to wódz Biały Niedźwiedź, słyszałem o nim, chociaż nigdy go nie poznałem. Ich plemię nie handluje z Francuzami, rozdzielają swoje dobra między sobą. Zeszłej wiosny napadli na nich Crow. Uprawdzili ją i kilka innych kobiet. Zabili dwóch jej braci i kilku młodzieńców, a ją oddano wodzowi szczepu Crow jako zdobycz wojenną. Zamierzał ją poślubić, ale się nie zgodziła. Swoją drogą, to coś niezwykłego. Kiedy Indianka trafia do niewoli i nie chce poślubić wodza, któremu została oddana, co uważa się za zaszczyt, upokarzając go, zasługuje na karę. Mógł ją zabić. Jak widać, bardzo mu na niej zależało, nie skrzywdził jej; ona mówi, że była traktowana przyzwoicie. Parę razy próbowała ucieczki, kradła konia, ale zawsze ją łapali i przywozili z powrotem.

- Doskonale jeździ konno. Sam się przekonałem -wtrącił Jean. - Umie jeździć na każdym koniu, w każdych warunkach i wszędzie. Zdumiewa mnie, że mój koń jeszcze trzyma się na nogach. W trzy dni wycisnęła z niego więcej niż ja przez trzy lata. Obawiam się, że może paść.

Luc się zaśmiał.

- To bardzo dzielna dziewczyna, skoro sprzeciwiła się wodzowi i próbowała uciekać. Mówi, że uratowałeś ją od Crow, co wydaje mi się zresztą aktem szaleństwa. Wykradłeś

niewolnicę, przyszłą żonę wodza i uciekłeś z nią; gdyby cię schwytali, w jednej chwili zdarliby ci skalp. Zachodzę w głowę, jak udało wam się zbiec.

- Mieliśmy nad nimi przewagę w czasie - odparł lakonicznie Jean. Było oczywiste, że Wachiwi nie powiedziała o zabiciu Napayshniego. Zastanawiał się, czy Crow odnaleźli już ukryte w krzakach zwłoki. - Nie zamierzam zostawać tu długo - podjął. - Wciąż jesteśmy zbyt blisko tamtych, żeby odetchnąć z ulgą. Będziemy bezpieczni, kiedy dotrzemy do St. Louis.

- Myślę, że w drodze stąd już nie spotka was nic złego. Dam wam konia. Potrzebujecie wypoczętego wierzchowca, skoro zajeżdżaliście swojego przez trzy dni. Wachiwi mówi, że chciała wrócić do rodziny, ale teraz nie może. Nie chce ściągać na nich kłopotów i uważa, że Crow są bardzo zagniewani, bo tym razem zbiegła. Woli nie narażać ojca i braci. - Spojrzał na przyjaciela badawczo. - Co zamierzasz z nią zrobić, Jean?

- Nie mam pojęcia. Skoro nie może wrócić do rodziny, co brzmi rozsądnie, to nie wiem, dokąd ją zabrać. - Zwłaszcza że zostanie obwiniona o zabójstwo Napayshniego, a Crow odpowiedzą na pewno odwetem, jeśli Wachiwi powróci do swoich.

- Kochasz się w niej? - zapytał Luc wprost.

- Nawet jej nie znam. - Nie było to jednak całkiem zgodne z prawdą. Spotykali się od kilku tygodni, ale jeszcze nie poznał jej na tyle dobrze, aby się w niej zakochać. Nawet jeszcze ze sobą nie porozmawiali. - Po prostu pomogłem dziewczynie, zabierając ją stamtąd.

- Twierdzi, że jest teraz twoją niewolnicą.

- Nie potrzebuję niewolnicy. Nie mam nawet domu! Wszystko, co posiadam, to koń i zwój map. Przypuszczam,

że mógłbym zabrać ją do swoich krewnych w Nowym Orleanie i tam zostawić. A może zechce zostać w forcie St. Charles?

- Nie będzie tam dla niej miejsca. Nie mówi ani po francusku, ani po angielsku i nigdy nie opuszczała swojej osady, poza pobytem u Crow. Nigdy nie widziała miasta, małego ani dużego. Potrafisz ją sobie wyobrazić w Nowym Orleanie? Co miałyby tam robić?

- Nie wiem. - Jean przeczesał ręką włosy. - Potrzebowała pomocy. O innych sprawach nie myślałem.

Tak naprawdę nie mieli wyboru, musieli uciekać, i to jak najszybciej. Oboje ryzykowali życie, nie tylko ona. Ale Jean nie powiedział tego przyjacielowi.

- Chyba powinienes ją zatrzymać - stwierdził Luc, uśmiechając się do Wachiwi. Odwzajemniła uśmiech i powiedziała, że jedzenie było dobre.

- Ona nie jest jakimś meblem, na litość boską, ani rzeczą. Nie mogę jej „zatrzymać”. Musi mieć swoje życie, męża, dzieci, cokolwiek. Nie mogę wlec jej ze sobą na koniu.

- Może byłoby warto kupić dom i zostawić ją tam. To bystra dziewczyna, bardzo energiczna. Widać to po rozmowie z nią. Wykazała godną podziwu odwagę, sprzeciwiając się wodzowi i Crow. Mówi, że teraz już się nie boi. Bo jest z tobą.

- Podziękuj jej, że mi ufa. Ale to dzięki niej, a nie mnie, dotarliśmy tutaj. Poblądziłbym na tym terenie. Ona ma bezbłędny zmysł orientacji. Doskonale zna lasy, jakby spędziła w nich całe życie. Nie wydawała się przestraszona ani nie narzekała.

- Jeśli nauczysz ją francuskiego, będziesz mógł z nią rozmawiać.

- Chyba zabiorę ją do swoich krewnych. Mogę jej kupić jakieś przyzwoite ubranie w St. Louis.
- To, co ona nosi, wygląda porządnie. Od razu widać, że jest córką wodza. Te koraliki, kolce, paciorki na mokasynach.
- Nie sądzę, żeby moi krewni z Nowego Orleanu byli tym zachwyceni. Jeżeli mam ją tam zawieźć, musi mieć odpowiedni strój. Żona mojego kuzyna, Anglika, aż przesadnie dba o konwenanse.

Wachiwi prezentowała spokojną godność i wdzięk, które każdy musiał dostrzec i uszanować. Anglika urodziła się w Paryżu i była daleką krewną króla, o czym zawsze każdemu przypominała. Mieszkała w Nowym Orleanie od czterdziestu lat, ale pozostała Francuzką w każdym calu. Wiedział, że do czasu spotkania z nią będzie musiał nauczyć Wachiwi przynajmniej paru słów po francusku.

Jean przebywał u swoich krewnych przez kilka miesięcy po tym, jak przyjechał do Ameryki pierwszy raz. Odwiedzał ich od czasu do czasu, gdy chciał przypomnieć sobie smak cywilizacji. Zwykle szybko miał tego dość i znowu wyjeżdżał. Zbyt wielką przyjemność sprawiały mu wędrowki po dzikich terenach i odkrywanie nowych terytoriów, żeby osiedlił się na stałe w mieście. Nie przypuszczał też, żeby uszczęśliwiło to Wachiwi. Byłoby to jednak dla niej dobre miejsce, zanim przystosuje się do życia z dala od swoich. Nie wiedział dlaczego, ale miał pewność, że dziewczyna szybko się nauczy tego, co trzeba. Wydawała się wszystkiego ciekawa. Rozejrzała się teraz po kuchni i cicho zmyła naczynia w wiadrze, które trzymał w tym celu. Tak samo jak Jean zjadła ze smakiem niewyszukany posiłek. Podziękowała gospodarzowi w języku Siuksów.

Luc miał tylko jedną sypialnię, w której mogli przenocować, i nalegał, żeby ją zajęli. Sam przespał się w pokoju dziennym na wygodnej starej kanapie. Gdy tylko zaprowadził ich do sypialni, Wachiwi ułożyła się na podłodze. Jeszcze nigdy nie widziała łóżka, ale nic nie mówiła, przypuszczając, że jest ono dla Jeana. Wcześniej Luc pokazał jej ubikację na zewnątrz, którą też widziała pierwszy raz, i podziękowała mu za to. Jean podniósł ją, kiedy położyła się na podłodze, wskazał na Wachiwi i na łóżko, dając do zrozumienia, że on będzie spał na podłodze, ale nie zgodziła się i znów ułożyła na posadzce. Sprzecjali się przez kilka minut w języku migowym, lecz nie dała się pokonać. Uważała, że jest jego niewolnicą, ale Jean traktował ją z szacunkiem należnym kobiecie, a mieli za sobą długą i ciężką podróż. Żeby postawić na swoim, położył się obok niej na podłodze, a Wachiwi zachichotała. W ten sposób powiedział jej, że skoro ona śpi na podłodze, to on też. Nie ustąpiła jednak i zdumiało Jeana, jaka jest uparta. Właściwie taka reakcja nie powinna go zaskoczyć po tym, czego się o dziewczynie dowiedział. Wciąż nie mógł się nadziwić historii opowiedzianej przez Luca; podziwiał odwagę młodej Indianki. Teraz jechała na wschód, z obcym mężczyzną, nie wiedząc, co ją czeka. Jasne, że mu ufała; przeszli razem ogniową próbę. Losy Wachiwi potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby to Napayshni zabił Jeana. Pewnie już by nie żyła, Indianie nie wybaczyliby, że spotykała się po kryjomu z białym człowiekiem. Jean ocalił jej życie, o czym wiedziała. W jej pojęciu to całkiem naturalne, że należy do niego. Nie miał pojęcia, co z nią począć, lecz nie mógł jej, ot tak, zostawić. Nie miałyby dokąd pójść. Z powodu jej uporu dał za wygraną i spał w łóżku.

Wypoczął



dobrze, tak samo jak ona. Owinęła się kocem i usnęła, podczas gdy Jean długo o niej rozmyślał. To były niesamowite trzy dni, które, z czego nagle zdał sobie sprawę, odmieniły jego życie. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić z Wachiwi, ale teraz czuł się odpowiedzialny za niezwykle piękną dziewczynę z plemienia Dakota.

## Rozdział 9

Zanim wyjechali, Luc przygotował im śniadanie, dał też na drogę prowiant i wodę pitną. Konia Jeana wymienił na krzepkiego młodego wierzchowca o silnych nogach, żeby szybciej i bezpieczniej mogli dotrzeć na miejsce. Jean podziękował przyjacielowi za gościnę, Wachiwi zrobiła to w narzeczu Siuksów. Do fortu St. Charles mieli dojechać za dwa dni, ale podróż potrwała jednak dłużej, niż Jean się spodziewał i zjawili się tam dopiero popołudniem trzeciego dnia. Wyprawa, choć długa i męcząca, nie była niebezpieczna. Jean znał fort, kiedyś już się tu zatrzymał. Załogę stanowili francuscy żołnierze i nikt się nie zdziwił, widząc Jeana z Wachiwi. Wielu mężczyzn podróżowało z Indiankami, skierowano ją więc do kwater przeznaczonych dla indiańskich kobiet. Nie mogła tu zanocować razem z Jeanem. Potraktowano ją jak służącą lub niewolnicę. Wyglądała na nieszczęśliwą, kiedy Jean przyszedł zobaczyć się z nią wieczorem, po kolacji z komendantem fortu. Francuski szef kuchni przyrządził pożywny posiłek, królika z rusztu, do mięsa podano wspaniałe wina, potem pyszną kawę i wy-

kwintny deser, a na koniec asystent komendanta poczęstował go cygarami. Jean od wielu miesięcy nie posmakował takiej stawy. Kiedy przyszedł zobaczyć się z Wachiwi, zobaczył z zaskoczeniem, że dostała do jedzenia jakąś breję nadającą się dla psa. Był oburzony, nawet mu przez myśl nie przeszło, że zostanie tak potraktowana. Inne Indianki nie wydawały się tym zaskoczone. Spojrzał na nią i próbował powiedzieć, że jest mu przykro, a ona jakby zrozumiała, kiwnęła głową. W noclegowni kobiety spały na kocach na podłodze. Nie traktowano ich tu jak ludzi i gdy Jean to zobaczył, postanowił wyjechać stąd już następnego dnia. W St. Louis, mógł znaleźć dla Wachiwi pokój w hotelu i kupić jej odpowiednie ubranie. Czekala ich dwudniowa podróż.

Przyszedł do jej noclegowni nazajutrz, wskazał na konia, dając znać Wachiwi, że wyjeżdżają, i odezwał się do niej po francusku, a ona wyglądała na zadowoloną. Luc miał rację, powinna się nauczyć innego języka, angielskiego lub francuskiego, a najlepiej obu, jeśli miała żyć w cywilizowanym świecie. Wydawała się bystra i Jean sądził, że dziewczyna, chociaż musiałyby opanować wiele umiejętności, dałaby sobie radę. Nauczył ją kilku podstawowych słów w obydwu tych językach, kiedy jechali konno. Intrygowała go, chciał się dowiedzieć o niej dużo więcej, o tym, jak dorastała, jakie miała upodobania, co myślała. Była piękna, i chociaż mówili różnymi językami, to wyczuwał, że jest też kobietą mądrą i wrażliwą.

Jechali nieco wolniej, bo nie musieli już teraz przed nikim uciekać. Można powiedzieć, że znajdowali się poza zasięgiem szczepu Crow. Nie groziło im teraz niebezpieczeństwo, nie licząc niedogodności związanych z podróżą.

Biwakowali tej nocy w lesie, Jean w forcie uzupełnił zapasy i wziął koce. Leżeli wpatrzeni w gwiazdy, a kiedy myślał o wszystkim, co się wydarzyło, ona ujęła jego dłoń i położyła sobie na sercu. Zrozumiał, że to sposób na wyrażenie podziękowania, i był wzruszony. Jej bezgraniczne zaufanie wyzwoliło w nim instynkt opiekuńczy. Ta dziewczyna wrażliwa, ale i silna, nagle wydała mu się taka młoda, potrzebowała wsparcia, silnego ramienia. Martwiło go, co teraz się z nią stanie; zwłaszcza gdy zobaczył, jak ją potraktowano w forcie. Spał mocno, a kiedy się obudził, wciąż panował mrok, ale przy pełni księżyca Jean dostrzegł, że Wachiwi nie śpi. Zastanawiał się, czy jest wystraszona albo smutna, ale nie potrafił o to zapytać, więc delikatnie dotknął jej twarzy i pogładził ją po włosach. Chciał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Pragnął znaleźć dla niej bezpieczne schronienie, zapewnić jej gdzieś, gdziekolwiek, spokojny byt. Nie pozostawiłby jej teraz. Czuł się za nią odpowiedzialny, a to było coś, czego wcześniej nie znał. Zamierzał znaleźć młodziutkiej dziewczynie zagubionej w obcym dla niej świecie porządną dom. Miał nadzieję, że jego krewni w Nowym Orleanie okażą jej serce, może nawet wyszukają dla niej jakieś zajęcie. Mogłaby pomagać przy dzieciach córce Angelią lub w prowadzeniu domu. Musi się znaleźć odpowiednie miejsce dla Wachiwi. Ułożył się na boku i uśmiechnął do niej, żeby dodać otuchy. Leżała pod kocem, który jej dał, uśmiechając się do Jeana, i tym razem ona się pochylała i dotknęła jego twarzy, a potem pocałowała go w usta. Nie spodziewał się tego, był zaskoczony. Bez słowa, w nagłym przypływie czułości, odwzajemnił pocałunek. Myślał tylko o Wachiwi i nie chciał jej w żaden sposób wykorzystywać.

Byli sami w lesie i jakby sami na świecie. Całowali się namiętnie, między nimi zdawało się iskrzyć. Tyle razem przeżyli, a żadne nie wiedziało, gdzie się podziąć, samotni rozbitkowie na plaży, więc padli sobie w ramiona, bo wydawało się, że tylko tak mogą zapewnić sobie bezpieczeństwo. Jean całował ją żarliwie, nigdy wcześniej nie czuł większego pożądania, a ona, oddając pocałunki, ofiarowała mu siebie. W swojej osadzie nie ośmieliła się nawet spojrzeć mężczyźnie w oczy, teraz zatraciła się w objęciach Jeana, owładnięta namiętnością iskrzącą jak lont, do którego ktoś przytknął zapałkę. Jean wsunął się pod jej koc, a ona zdjęła ubranie. Mógł pieścić doskonale w każdym calu ciało pięknej kobiety, którą widział nagą nad jeziorem, tyle że tym razem Wachiwi nie była już dla niego tajemniczą nieznaną; była bliska, ciepła i całkowicie mu oddana. A kiedy usnęli spleceni ramionami, gdy wzeszło słońce, oboje wiedzieli, że teraz należą do siebie i że tak miało się stać. Jednak to, co przyniesie kolejny dzień i jak potoczą się ich losy, wciąż pozostawało wielką niewiadomą.

Kiedy się obudzili, słońce świeciło jasno. Jean spojrzał na Wachiwi, spodziewając się, że może się czuć skępowana, ale ona uśmiechnęła się i znowu rozwarła ramiona; pograżył się w cudach jej ciała z taką samą namiętnością, ulgą i radością jak zeszłej nocy. Nie wyobrażał sobie tego ani nie oczekiwał, jednak wydawało się, że otrzymali dar. Nie mogli o tym porozmawiać, ale oboje rozumieli, co się wydarzyło. Gdzieś po drodze, ubiegłej nocy albo jeszcze wcześniej, podświadomie zakochali się w sobie. Gdyby Napayshni przeżył, nie byłiby razem, lecz zrzędzeniem losu stali się parą. Jean nie przestawał się zastanawiać, czy

tej szalonej nocy nie poczęli dziecka. Czuł brzemie odpowiedzialności, będąc pierwszym kochankiem młodziutkiej Indianki.

Wachiwi, nazywająca siebie jego niewolnicą, stała się tą kobietą, z którą chciał pozostać zależało mu na niej, pragnął ją chronić. Miał dwadzieścia cztery lata i nigdy wcześniej się nie zakochał, jednak teraz wiedział na pewno, że to miłość. Młodzieńcza namiętność obojga niespodziewanie przeobraziła się w płomienne uczucie. Dziewczyna z plemienia Siuksów Dakota, którą poznał nad jeziorem, zawładnęła nim bez reszty. Tę historię opowiedzą wnukom, jeśli się ich doczekają. Jean wiedział już, czego chce, do czego będzie dążyć. Ale najpierw musiał przygotować Wachiwi do życia w jego świecie.

Podwoił starania, ucząc ją angielskiego i francuskiego, kiedy jechali do St. Louis. Zatrzymywali się często, żeby kochać się w lesie, co dawało im czystą radość. Dotarli do St. Louis dwa dni później, a do tego czasu Wachiwi nauczyła się paru zwrotów w obu językach oraz sporo słów. Nie zawsze używała ich właściwie, ale bardzo się starała i szło jej całkiem dobrze. Była zafascynowana i trochę onieśmielona, gdy dojechali do hotelu; Jean odstawił konia do stajni i wpisał oboje do księgi gości. Poprosił o dwa pokoje, co wydawało się bardziej stosowne; recepcjonista przyglądał się Wachiwi z dezaprobatą, ale nic nie powiedział, wydając klucze. Zamierzali spać w jednym pokoju; drugi miał chronić jej reputację. Ale dla ludzi w hotelu była po prostu indiańską dziewczyną podróżującą z białym mężczyzną i zdziwiło ich wynajmowanie dla niej oddzielnego pokoju. Sposób bycia Jeana, rasowego arystokraty, wzbudzał respekt, co zauważyła Wachiwi.

Tego wieczoru zasiedli do kolacji w zajezdzie, a ona jadła tak, jak ją nauczył Luc Ferrier. Naśladowała Jeana, który położył sobie serwetkę na kolanach i pokazał jej, jak posługiwać się sztućcami. Dźgała jedzenie widelcem, jednak używanie noża wydawało jej się bez sensu, a sam posiłek zbyt urozmaicony. Jean się domyślał, jakie dla niej to wszystko jest obce. Ale to nic w porównaniu z przygodami, jakie mieli nazajutrz, kiedy zabrał ją do sklepu tekstylnego i do krawcowej.

Kupił jej kilka sukienek, a krawcowa miała trzy gotowe nieodebrane suknie, które pasowały na Wachiwi jak ulał. Dwie zdawały się elegantsze, odpowiednie na kolację w domu jego krewnych, cztery, skromniejsze, na porę dzienną; sprawił jej też pantofle, chociaż, jak widział, przyzwyczajona do mokasynów nie czuła się w nich dobrze, oraz pięć czepków, w których wyglądała pięknie. Nie miała pojęcia, jak nosić wyszukaną bieliznę, póki nie pokazała jej tego sprzedawczyni. Wachiwi miała na sobie więcej rzeczy, niż nosiła w całym swoim życiu. Dostała też rękawiczki, szale, trzy torebki i wachlarz. Wszystko to dostarczono do hotelu, a Jean poczuł ulgę, kiedy zamówił dla nich miejsca na statku płynącym do Nowego Orleanu. W przeciwnym razie musiałyby wynająć parę koni albo zaprzęg mułów, żeby to wszystko przewieźć. Pudła z zakupami stały w ich pokojach. Załadował je do dwóch kufrów i zlecił odstawienie konia do Luca Ferriera.

Pod koniec dnia czuli się zmęczeni, Wachiwi łamanym francuskim podziękowała Jeanowi za to, co dla niej zrobił. Była oszołomiona i gdy wrócili do hotelu, przebrała się w strój ze skóry łosia i mokasyny; od razu poczuła ulgę. W tym przynajmniej umiała się poruszać. Uparła się, żeby

zatrzymać swoje ubranie, a w skórzanej sukience z ciemnoniebieskimi kolcami jeżozwierza wyglądała tak jak wtedy, gdy Jean ujrzał ją po raz pierwszy. Na ten widok aż poczuł ucisk w sercu.

Nauczył ją nazywać po francusku takie rzeczy, jak sukienka, buty, kapelusz, a po angielsku czepek, bielizna, obuwie i rękawiczki. Uczyła się z nim rozmawiać, więcej po francusku. Kiedy zamówili kolację do pokojów, jadła nożem i widelcem, żeby zadowolić Jeana, a gdy wyjął cygaro, chciała je palić wspólnie z nim. Rozbawiła go, zgodził się, ale wyjaśnił, że wolno jej to robić tylko wtedy, gdy są sami. Ojciec zezwalał jej od czasu do czasu pykać ze swojej fajki, kiedy nikt nie widział, rozumiała więc, o co chodzi Jeanowi, i przyłożyła palec do ust na znak, że to sekret... taki sam jak zabity człowiek, którego zostawili w krzakach. Żadne nie chciało wracać do tego myślami, ale przecież to śmierć Indianina połączyła ich ze sobą.

Tej nocy kochali się w łóżku Jeana, tak samo namiętnie jak poprzednio. Ich miłość była żywiołowa i pełna uniesień. Jean nigdy dotąd czegoś takiego nie zaznał, a Wachiwi dopiero poznawała smak zmysłowych rozkoszy. Brakowało jej określeń na opisanie tego, co przeżywała, ale tak naprawdę wcale nie potrzebowali słów. To, co ich łączyło, gdy się kochali, miało magiczną moc. Nazajutrz Jean pomógł jej się ubrać i z kuframi pełnymi strojów weszli na pokład statku. Wachiwi, podekscytowana, uśmiechała się radośnie. Nigdy nie spodziewała się, że zobaczy rzekę, o której rozprawiali Indianie w wigwamach, nazywając Missisipi Wielką Rzeką. Rejs do Nowego Orleanu miał potrwać trzy tygodnie, jeśli wiatry będą sprzyjać; po drodze mieli często przybijać do brzegu, bo

niektórzy pasażerowie wcześniej schodzili na ląd, a nowi wsiadali.

Na rzece było aż rojno od czółen, płaskodennych łodzi, barek oraz innych statków. Zafascynowana tym Wachiwi uśmiechała się do Jeana. Zarezerwował dla nich dwie kajuty, żeby zachować pozory tak jak wcześniej w hotelu. W jednej umieścili kufry, w drugiej spali. A kiedy Wachiwi miała trudności z wkładaniem bielizny, Jean pomagał jej sznurować gorset. Zaśmiewał się przy tym, nigdy wcześniej nie bawił się tak dobrze. Nie mogła się przyzwycząić do ciasnego gorsetu i kazała Jeanowi trochę go poluzować. Nie liczył, że dziewczyna nauczy się wszystkiego od razu. Jeszcze niedawno pływała nago w jeziorze i mieszkała w indiańskim obozowisku, a teraz, wystrojona jak dama, płynęła do Nowego Orleanu, aby poznać szlachetnie urodzonych krewnych Jeana. Perspektywa spotkania z rodziną budziła pewne obawy, denerwowały go też spojrzenia ludzi na statku, którzy widzieli, że podróżuje z Indianką. Była piękna, więc mężczyźni to rozumieli, kobiety natomiast odwracały się z niesmakiem na jej widok. Jean miał nadzieję, że ludzie w Nowym Orleanie okażą się bardziej tolerancyjni i Wachiwi urzeknie ich swoją urodą, taką świeżą, delikatną i naturalną. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś może oprzeć się jej urokowi. On z pewnością jemu uległ, a każda wspólna noc podczas trzytygodniowego rejsu dawała mu poczucie szczęścia. Wyprawa do Nowego Orleanu pozwoliła lepiej się poznać, nie rozmawiali już tylko na migi, częściej po angielsku i francusku. Wachiwi, pojętna i chętna do nauki, robiła szybkie postępy w obu językach.

Minęli forty Prudhomme i St. Pierre i wreszcie dopłynęli do Nowego Orleanu.



Tego dnia Wachiwi wyglądała szczególnie pięknie. Miała na sobie bladoniebieską dzienną suknię i błękitny czepek; Jean sam go zawiązał, pomógł jej także włożyć rękawiczki. Jakoś uporała się z bielizną, również przy jego pomocy. Miała w sobie coś z dziecka, uwielbiał w niej to, że całkowicie należała do niego. Nie jako niewolnica, ale jako jego kobieta. Ona, córka indiańskiego wodza. Wachiwi, czyli „tancerka”. Luc wyjaśnił mu, że to właśnie znaczy jej imię. Kiedy statek dobił do przystani w Nowym Orleanie, Jean pomógł jej zejść na ląd, a ona bez słowa ruszyła za nim.

Pojechali powozem do znanego Jeanowi eleganckiego pensjonatu przy Chartres Street. Wolał zatrzymać się tam, zanim da znać krewnym na plantacji tuż za miastem, że wrócił i przyjechała z nim młoda dama, przyjaciółka. Nie chciał się narzucać i zakładać z góry, że oboje będą mogli u nich zamieszkać. Dwie godziny później odebrał pisemną odpowiedź od żony kuzyna, Angeliqae de Margerac, która nalegała, żeby zwolnił pokoje w pensjonacie i od razu przyjechał. Nie wspomniała o jego przyjaciółce, ale Jean uważał, że znajdzie się miejsce i dla Wachiwi, skoro w liście zaznaczył, że podróżują razem. Mogło ich to zdziwić, lecz Jean miał pewność, że rodzina przyjmie ich serdecznie. Świadczył o tym ciepły ton liściku Angeliqae.

Przysłała po nich powóz, elegancką karete, wykonaną we Francji, zaprzęgniętą w czwórkę koni, a także wóz na kufry. Jean uśmiechnął się do Wachiwi, gdy wyruszali na plantację.

Spoglądał z dumą na dziewczynę, trzymając ją za rękę. Jego krewni też ją pokochają. Po raz pierwszy podróżował z kobietą, a de Margeracowie z Nowego Orleanu zawsze wspaniale go przyjmowali. Tym razem nie będzie inaczej.

## Rozdział 10

Angelique de Margerac była żoną kuzyna ojca Jeana i wywodziła się ze znakomitej arystokratycznej rodziny z regionu Dordogne, rodu spowinowaconego z królem. Poślubiła Armanda de Margeraca przed czterdziestoma laty, a on sprowadził ją do Nowego Orleanu mimo jej protestów. Chciała zamieszkać w Paryżu, a nie w Nowym Świecie. Mąż musiał się bardzo postarać, żeby ją przekonać. Nowy Orlean został założony przez Francuzów trzydzieści pięć lat przed osiedleniem się tam de Margeraców, a Armand robił wszystko, aby uszczęśliwić małżonkę. Kupił jej miejski dom przy Toulouse Street oraz wspaniałą plantację z wielkim domem w stylu znanym z Indii Zachodnich, który umeblował antykami przysłanymi przez jej rodzinę z Francji. Nadzorował uprawę bawełny i trzciny cukrowej, szybko stał się jednym z najbogatszych plantatorów w okolicy, a dom Angeliąue był najelegantszy w całym okręgu. Tam przyszły na świat ich dzieci, które później kupiły własne plantacje, a do czasu, gdy Jean przybył z Francji, Angeliąue od dziesięcioleci cieszyła się reputacją najświetniejszej pani domu w Luizjanie.

W tym czasie kolonię nabyli Hiszpanie, ale Angeliąue i Armand byli bliskimi przyjaciółmi hiszpańskiego gubernatora, który często bywał u nich na obiadach, na plantacji i w domu przy Toulouse Street. Angeliąue zamknęła miejski dom po strasznym pożarze, który strawił prawie tysiąc budynków w Wielki Piątek. Jakimś cudem ich dom ocalał, ale stwierdziła, że już nie chce w nim mieszkać. Bała się kolejnego pożaru i wolała przebywać na plantacji. Tam czuła

się lepiej, a i samo miejsce robiło większe wrażenie. Uwielbiała przyjmować gości i nakłoniła Jeana, który właśnie przyjechał, do pozostania u nich przez parę miesięcy, zanim wyruszył dalej na północ, do Kanady, a potem ku Wielkim Równinom na zachodzie. Była gościnna i serdeczna, przedstawiła go wszystkim swoim przyjaciołom oraz paru powabnym młodym damom. Jean nie wykazał nimi szczególnego zainteresowania, chociaż wszyscy uznali, że kuzyn z Francji jest nadzwyczaj czarujący. Okolice wokół Nowego Orleanu zamieszkiwała międzynarodowa społeczność, żyli tam nie tylko Francuzi i Hiszpanie, także Niemcy, co, zdaniem Angeliąue, czyniło jej wieczorki taneczne i prozzone kolacje bardziej interesujące. Była dumna, że na jej balach pojawiały się znane osobistości. Plantacja znajdowała się między Baton Rouge a Nowym Orleanem, a Jeanowi i Wachiwi zabrakło dwie godziny dotarcie tam eleganckim konnym powozem kuzyna. Za nimi jechało dwóch lokajów, a woźnica wciąż popędzał konie. Angeliąue chciała, żeby zdążyli na kolację, która jak domyślał się Jean, miała być uroczysta. Ubiegłej nocy pouczył Wachiwi, jak powinna się zachowywać, i liczył, iż nie sprawi mu zawodu. Dodawała mu otuchy świadomość, że suknie, kupione w St. Louis, leżą na niej świetnie, choć oczywiście nie były tak wytworne jak stroje Angeliąue, gdyż ona zamawiała je w Paryżu i dwa razy w roku sprowadzała drogą morską. Poza tym miała zdolną krawcową w Nowym Orleanie, która potrafiła skopiować wszystko, co tylko zobaczyła, nawet paryskie kreacje. Zbliżali się do plantacji, nazwanej od imienia Angeliąue po tym, jak jej mąż kupił to miejsce. Po obu stronach drogi dojazdowej rosły potężne dęby. Dziesięć minut później

zobaczyli okazały dom w stylu zachodnioindyjskim. Jean uśmiechnął się do Wachiwi i poklepał ją po dłoni. Jeszcze nie rozumiała jego języka zbyt dobrze, więc nie mógł jej pocieszyć słowami tak, jak tego pragnął.

- Będzie dobrze - powiedział spokojnie, a ton jego głosu był dla niej tak samo wymowny jak słowa. Jean miał na sobie świetnie skrojony granatowy wełniany surduty, przywieziony z Francji, ale w Ameryce rzadko miewał okazję go nosić. Trzymał ubranie starannie zwinięte w torbach. Wizyta na plantacji dawała znakomitą sposobność do włożenia wełnianego surduta, podobnie jak satynowego, a także bryczesów, które zostawił wcześniej w domu kuzynostwa i zamierzał się w nie wystroić na kolację. Był zadowolony, że nie musiał nosić peruki ani pudrować włosów, czego wymagano w Europie. Na szczęście jego kuzyni nie trzymali się w tym względzie sztywno konwenansów, a ciemne włosy Jeana nie budziły zastrzeżeń.

Wachiwi wpatrywała się w dom wielkimi oczami. Miała śliczną buzię i było jej do twarzy w czepku. Zerknęła na Jeana niespokojnie i uderzyło go, że ona mniej się boi galopującego konia, jaki wystraszyłby chyba każdego, niż sytuacji, w której znalazła się teraz przez niego, Jeana. Przyjazd tu z nim wymagał od niej odwagi i kiedy lokaj pomagał im wysiąść z powozu, Jean poczuł silną potrzebę strzeżenia jej i chronienia przed wszystkim, co mogłoby ją urazić. Na frontowych schodach czekało na nich sześciu służących w liberiach, wszyscy czarnoskórzy. Byli niewolnikami, Jean wiedział o tym - setki ich pracowały na polach trzciny cukrowej i bawełny, które przyniosły kuzynowi ojca krociowe zyski. Zanim Jean zdołał cokolwiek powiedzieć Wachiwi, we frontowych drzwiach stanęła dostojna Angelique

de Margerac, aby ich powitać. Uśmiechała się ciepło do Jeana i przez chwilę nie dostrzegła Wachiwi, stojącej za nim. Objąwszy Angeliqne, Jean odstąpił na bok i przedstawił je sobie. Na twarzy żony kuzyna zdumienie mieszało się z przerażeniem. Cofnęła wyciągniętą rękę, zrobiła krok w tył i popatrzyła z wyrzutem na Jeana.

- Och... rozumiem... - powiedziała z pogardą i weszła do domu, nie odzywając się nawet słowem do Wachiwi, która niepewnie weszła za Jeanem do eleganckiego frontowego holu. - Może zaprowadzimy tę młodą damę do jej pokoju, żeby odpoczęła po podróży - podsunęła Angeliqne; dając znak służącemu w liberii i coś do niego szepnęła. Skinął głową, a potem gestem polecił Wachiwi pójść za nim. Zniknęła z holu, zanim jeszcze na dobre weszła do środka, a wtedy Angeliqne objęła kuzyna i obdarzyła go ciepłym uśmiechem, z widoczną ulgą, że tak szybko poradziła sobie z Wachiwi. Armand wyszedł z biblioteki, gdzie w spokoju palił cygaro. Wydawał się zachwycony widokiem Jeana i nie mógł się powstrzymać, by się z nim nie podroczyć.

- Podobno przywiozłeś jakąś młodą damę. Znaczą, że wkrótce usłyszymy wspaniałe nowiny? Może zdołamy przekonać ciebie, żebyś osiadł w Nowym Orleanie, zamiast błąkać się po ulubionych dzikich terenach. A więc gdzie ona jest? - Rozejrzał się wokoło, zaskoczony, że jej nie ma w pobliżu. Wcześniej Armand i Angeliqne byli zdumieni, że nikt nie wspominał o przyzwoitce młodej damy, która powinna z nimi podróżować: o ciotce, matce, siostrze czy kuzynce. Mieli nadzieję, że wybranka okaże się dla Jeana odpowiednią partią, osobą szlachetnie urodzoną. Przecież nie sprowadziłyby do ich domu kochanki!

Jean czuł, że Wachiwi zrozumiała, w czym rzecz. Jego krewniaczka wyraziła tak jasno, jak tylko się dało, że Indianka nie jest mile widziana w tym domu. Dla niej od tej chwili towarzyszka podróży kuzyna przestała istnieć. Angeliq̄ue nie mogła uwierzyć, że Jean ją do nich sprowadził. To szokująca impertynencja i zniewaga dla gospodarzy.

- Odesłałam ją do jej pokoju, żeby wypoczęła przed kolacją po przyjeździe z miasta - wyjaśniła gładko jej nieobecność. Jean, mimo wszystko, miał nadzieję, że podczas wspólnego posiłku pani domu nie będzie demonstracyjnie okazywać Wachiwi niechęci. Armand zaproponował po kieliszku szampana, po czym lokaj zaprowadził Jeana do dużej komnaty gościnnej na piętrze. Idąc za nim, zastanawiał się, który pokój dostała Wachiwi, ale wolał o to nie pytać, choć bardzo chciał się dowiedzieć, czy niczego jej nie brakuje.

Znał dobrze dom i pomieszkiwał tu często w trakcie minionych pięciu lat, ale inne pokoje gościnne były pozamykane. Zakładał, że Wachiwi nie wystraszyła się ani nie zdenerwowała, lecz przed zejściem na kolację zaczął się o nią niepokoić. Nie wiedział, czy sobie poradzi z przebraniem się w odpowiednią suknię, a pewnie będzie się bała poprosić kogoś o pomoc. Zaczął pukać do kolejnych drzwi, starając się nie robić hałasu. Nikt mu jednak nie otwierał, a gdy zaglądał do środka, pokoje okazywały się ciemne i puste. Nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Wreszcie, nie wiedząc, co począć, zadzwonił po służącego. Przyszedł starszy człowiek o imieniu Tobias. Pracował od lat jako lokaj Armanda i zawsze był dla Jeana uprzejmy. Poznał go od razu i powitał ciepło, kiedy tylko Jean przyjechał z Wachiwi.

- Gdzie jest ta młoda dama, Tobias? Jakoś nie mogę jej znaleźć. Chciałbym zobaczyć się z nią, zanim zejdziemy na kolację. Może wiesz, który pokój jej przydzielono?

- Tak, wiem, proszę pana - odparł z szacunkiem Tobias. Była to jedna z nielicznych plantacji, gdzie dobrze traktowano niewolników. Armand de Margerac słynął z tego, że odnosił się do nich jak do ludzi, nie dopuszczał do rozłączania rodzin, co stanowiło regułę w innych majątkach. Jean potępiał takie haniebne praktyki. Oprócz paru innych rzeczy w Nowym Świecie, tego nigdy nie pochwalał. We Francji handel ludźmi był nie do pomyślenia.

- Więc gdzie ma pokój?

- W chacie, obok mojego - odpowiedział Tobias cicho, spuszczaając wzrok. Już wcześniej przeczuwał, że młodemu kuzynowi państwa, Francuzowi, nie spodobają się tutejsze zwyczaje.

- Co takiego? - Jean chyba musiał się przesłyszeć. W chatach nie było żadnych pokoiów gościnnych, tylko kwatery dla niewolników. Czternaście takich chat stało za domem.

- Pańska ciotka sądziła, że tam będzie jej lepiej. Tobias sam odprowadził Wachiwi do chaty, zaraz gdy przyjechali. Zrobiło mu się jej żal, wyglądała na wystraszoną i zagubioną. Zostawił dziewczynę ze swoją żoną, która zapoznała ją z tym miejscem.

- Idziemy do niej - rzucił Jean przez zęby; wyszli przez boczne drzwi do ogrodu, gdzie była furtka, którą Tobias otworzył kluczem. Tylko nieliczni służący mogli przez nią przechodzić. Większość niewolników nie miała wstępu do głównej rezydencji. Nie miała go też Wachiwi, skoro znalazła się za ogrodzeniem.

Tobias prowadził Jeana po krętych ścieżkach wokół małych budynków zwanych „chatami”. W każdej gnieździły się dwa tuziny niewolników. Niektóre były mniejsze i w lepszym stanie, przeznaczone dla bardziej zaufanych niewolników oraz ich dzieci. Weszli do jednego z takich domków. Idąc wąskim korytarzem, mijali otwarte pokoiki, a w każdym znajdowało się kilka osób. Jean odnalazł Wachiwi w małej sypialni na tyłach, razem z czterema innymi kobietami. Bagaże zajmowały większą część pokoju, a ona siedziała wystraszona na kufrze.

- Chodź ze mną - powiedział cicho, a oczy mu błyszczały.

Nakazał jej gestem pójść za nim; Wachiwi patrzyła na niego przerażona, myśląc, że Jean się złości, bo pewnie zrobiła coś złego. Nie miała pojęcia, kim są ci ludzie i dlaczego znalazła się w tym domu. Nie widziała Jeana całe popołudnie. Był przekonany, że Wachiwi spokojnie odpoczywa w jakiś pokoju gościnnym, tymczasem wyprowadzono ją z domu i ulokowano w kwaterach dla niewolników. Kazał Tobiasowi przenieść kufry do swojego pokoju w rezydencji.

Zabrał ją do siebie, zdjął jej z głowy czepek, pogładził po włosach i powiedział, jak bardzo mu przykro. Nie pojmowała wszystkich słów, ale zrozumiała, w czym rzecz. Kiedy służący przynieśli bagaże, znowu się uśmiechała. Jean otworzył kufer i wyjął suknię oraz wachlarz. Sam ubrał w nią Wachiwi, przedtem zasznurował jej gorset i pomógł włożyć bieliznę. Po dziesięciu minutach wyglądała olśniewająco w nowym stroju. Wyszczotkował jej włosy, aż lśniły, i popatrzyła na niego z wdzięcznością, kiedy przejrzała się w lustrze. Wyglądała egzotycznie i zarazem elegancko, świeżo i młodo. Wziął ją pod rękę i poprowadził wielkimi schodami do salonu.



Angeliąue i Armand już tam czekali na gości. Zaprosili na kolację kilkoro przyjaciół, ale nikt jeszcze się nie zjawił. Zamierzali przed kolacją napić się szampana z Jeanem i jego przyjaciółką, zanim jeszcze się przekonali, kim ona jest. Angeliąue wyjaśniła wszystko mężowi, a on odczuł ulgę, że załatwiła sprawę szybko. Zgadźli się, że kuzyn, jak widać, postradał rozum, spędziwszy zbyt dużo czasu wśród tubylców. Wprost nie do wiary, że przywiózł tu Indiankę.

Byli wstrząśnięci, kiedy teraz Jean wkroczył do pokoju, prowadząc Wachiwi. Jej suknia wydawała się stosowna, choć uczesanie - miała rozpuszczone włosy - już nie. Angeliąue aż usiadła bliska omdlenia, gdy ją zobaczyła.

- Co ty sobie wyobrażasz, Jean? - wykrztusiła, a jej mąż wpatrywał się w Wachiwi. Musiał przyznać, że jest piękna, i rozumiał, dlaczego młody krewniak chciał z nią być, choć na pewno nie powinien wprowadzać jej na salony. To, że ośmielił się przywieźć ją tutaj, zszokowało oboje. - Co sobie wyobrażam, kuzynko? - Patrzył na nią groźnie. Wachiwi nigdy dotąd nie widziała go takim, oni zresztą także. Mieli jednak teraz okazję zobaczyć, jak bardzo potrafi się rozgniewać, chociaż z natury był opanowany i niełatwo wpadał w złość. - Myślę, że zachowaliście się co najmniej nietaktownie wobec mojego gościa. Odnalazłem ją godzinę temu w kwaterach dla niewolników, w pokoju z czterema innymi kobietami. To chyba jakieś nieporozumienie. Przeniosłem ją do swojego pokoju. Jestem pewien, że to rozumiecie. - Nie! - Angeliąue zerwała się na równe nogi, zabijając Jeana wzrokiem. - Nie chcę dzikuski w swoim domu. Jak śmiałeś sprowadzać ją tutaj? Dla niej miejsce jest w kwaterach niewolników. Nie dopuszczę czarnoskórej do swojego

stołu. Wyrzucić ją stąd i to już! - Chciała, żeby Wachiwi zniknęła, zanim zjawią się goście; mąż ją popierał. Ale nie Jean.

- Ona nie jest czarna. Pochodzi z plemienia Siuksów Dakota, a jej ojciec jest wodzem.

- Co? Dzikus, który biega nago i morduje ludzi? Kogo ona uśmierciła, zanim tu przyjechała? Ile dzieci białych kobiet pozabijała? Czyś ty oszalał?

- To odrażające, co mówisz. Skoro nie miała wam nasza wizyta, wrócimy do Nowego Orleanu. Potem odeślę wam powóz. - Ledwie nad sobą panował, kiedy Angeliąue na niego wrzeszczała.

- Znakomity pomysł! Liczysz, że gdzieś zatrzymasz się w mieście? Żadna dbająca o swoją reputację gospoda cię nie przyjmie. Nie można wprowadzać indiańskich dziewczyn do szanujących się domów, tak samo jak niewolników.

- Ona nie jest niewolnicą. To kobieta, którą kocham.

- Zwariowałeś. Dzięki Bogu, że twoi rodzice nie żyją i tego nie słyszą. Wachiwi nie wiedziała, o co toczy się spór, tyle że wy-czuwała, iż nie jest tu mile widziana. Mogła tylko się domyślać, że kłótnia jej dotyczy. Nie chciała, żeby przez nią Jean poróżnił się z rodziną. Ale on stał obok niej tak, jakby chciał ją chronić i dodać jej otuchy. Wszyscy byli wzburzeni i mówili podniesionym głosem. Wachiwi nigdy dotąd nie słyszała, by Jean używał takiego tonu. Zawsze był spokojny i uprzejmy, w stosunku do niej i do innych. Jednak i jego, i kuzynostwo coś bardzo poruszyło, że wpadli w złość. - Znajdziemy sobie jakąś kwaterę w mieście - powiedział Jean już spokojniej.

- Wątpię w to - odparła Angeliąue lodowatym tonem i w tym momencie usłyszeli, że powóz podjeżdża pod dom;

państwo de Margerac wpadli w panikę. - *Zabierz tę kobietę z mojego salonu i to już* - wyszczała Angeliq̄ue, a Jean bez słowa ujął Wachiwi za ramię i poszli w stronę schodów. Byli na półpiętrze, kiedy weszli pierwsi goście. W pokoju Jean wyjaśnił Wachiwi, tak prosto, jak potrafił, że wrócą do miasta.

- Są na mnie źli. - Patrzyła na niego ze smutkiem. Gdy do pokoju wszedł Tobias, Jean poprosił go, żeby spakował jego rzeczy.

Bagaż Wachiwi walały się po całym pomieszczeniu, ale nawet nie zdążyli ich rozpakować.

- Nie, to ja jestem zły na nich.

Nie chciał ranić jej uczuć i wracać do powodu awantury. Jednak reakcja gospodarzy otworzyła mu oczy. Czy podobnej sytuacji powinni się spodziewać, gdyby zatrzymali się w Nowym Orleanie? Oczekiwał naiwnie miłego powitania w tym cywilizowanym miejscu. Dokąd teraz mieli się udać? Gdzie mieliby zamieszkać, gdyby zostali razem, tak jak Jean tego pragnął? Gdzie? W chacie na skraju indiańskich terytoriów, jak Luc Ferrier? Jean ukrywałby swoją indiańską konkubinę do czasu jej śmierci, nie pojawiając się więcej na salonach? Niektórzy ludzie naprawdę mogą być tak bardzo ograniczeni umysłowo? Tak wrogo usposobieni? Tacy niedorzeczni? Dokąd miał teraz zabrać Wachiwi?

Jedynymi krewnymi, jakich Jean miał w Ameryce, byli kuzyni z Nowego Orleanu. Nie znał nikogo innego, jeśli nie liczyć podróżników, badaczy, geodetów i żołnierzy, których napotkał po drodze. A prowadzenie koczowniczego życia w samotności było czymś zupełnie innym niż wędrowanie z Wachiwi. Myślał, że będą mogli zostać parę miesięcy w miejscu, gdzie zatrzymywał się poprzednio, aż zaplanują,

co robić dalej. Tego wieczoru kuzynostwo znacznie skróciło ten czas. Musiał natychmiast podjąć decyzję.

Powóz de Margeraców odwiózł ich z powrotem do miasta pół godziny później i dochodziła już północ, kiedy dotarli do pensjonatu w centrum, gdzie zatrzymali się wcześniej tego dnia na kilka godzin. Jean poprosił woźnicę, żeby pojechał właśnie tam; nie było problemów z wynajęciem pokoi, ale powiedział wtedy, że zostaną tylko na parę godzin. Tym razem recepcjonista spojrział na niego dziwnie, poszedł naradzić się z zarządcą, choć musiał go budzić w środku nocy, i przydzielił im pokój na tyłach budynku, przeznaczony zwykle dla osób niecieszących się dobrą reputacją. Wcześniej, gdy dawali mu lepszy pokój, nie przyjrzeni się zbyt dobrze jego towarzysze. Jean i Wachiwi mieli przynajmniej gdzie przenocować.

- Czy pozostanie pan tu długo? - Recepcjonista wydawał się zażenowany.

- Nie wiem - odparł szczerze Jean. Nie miał pojęcia, dokąd się udać. Przynajmniej na razie nie kusila go perspektywa spotkań z krewnymi i przedstawiania im Wachiwi. - Może przez kilka tygodni. - Zastanawiał się, czy nie powinien zabrać Wachiwi na północ. Ale nie miał jeszcze gotowego planu.

W pokoju zrzucił surdut i położył go na krześle. Pomógł Wachiwi zdjąć suknię, którą włożyła do kufra, po czym z gracją ściągnęła z siebie gorset i elegancką bieliznę. Jean kupił jej wcześniej kilka nocnych koszul do spania, ale ona włożyła sukienkę ze skóry łośia. Czowała się w tym stroju najwygodniej i najbardziej swojsko. Dla Wachiwi ulubiony strój był tym, czym wygodne skórzane bryczesy dla Jeana, które wkładał do konnej jazdy.

Potem, kiedy siedzieli w małym pokoiku, opowiadał dużo o swojej ojczyźnie. Chciał dziewczynę choć trochę rozerwać. Wyczuwała, że stało się coś bardzo niedobrego. I kiedy tak rozprawiał, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Nie był pewny, czy sprawy ułożą się lepiej, lecz przecież nie mogło być już gorzej niż tu i obawiał się, że Wachiwi zostanie źle potraktowana wszędzie w Nowym Świecie, na zachodzie, północy, południu i wschodzie. Zdecydował więc zabrać ją ze sobą do rodzinnego kraju.

Opowiedział jej o wielkim jeziorze, zwanym Oceanem Atlantyckim, i że mieszkał kiedyś po jego drugiej stronie. Przepłynięcie go zajęłoby im dwie pełne fazy księżyca, to dużo czasu. Opisał piękno tego kraju, wiejskie okolice Bretanii, ludzi, których Wachiwi pozna we Francji, swojego brata mieszkającego w rodzinnym zamku. Stwierdził, że ich chata jest większa od tej, którą widzieli tego wieczoru. Wachiwi zaśmiała się i powiedziała, że to nazywa się „dom”, a nie chata, na co on też się roześmiał. Razem z nią mógł stawić czoło wszystkiemu, zdobyć każdy szczyt, pokonywać przeszkody, no i chciał ją uchronić przed upokorzeniem, które spotkało ją na plantacji de Margeraców. Podejrzewał teraz, że inni tu będą dla niej tak samo nieuprzejmi jak jego krewni, i nabrał przekonania, że lepiej im się ułożą sprawy we Francji. Liczył, że Wachiwi zostanie tam uznana za niespotykanej urody egzotyczną kobietę, a nie za kogoś, kogo powinno się wykluczyć ze swojego grona. Wiedział już, co ma zrobić. Zabierze ją ze sobą do swojego domu w Bretanii. Zamierzał napisać następnego ranka do brata i poinformować go, że przyłyną do kraju najbliższym statkiem, jaki uda im się znaleźć. List uprzedziłby Tristana o ich przyjeź-

dzie i brat mógłby się zorientować, kiedy mogą się zjawić. Jean podjął decyzję o powrocie do Francji, bo wiedział, że w Ameryce nie mieli już czego szukać. Czekala ich kolejna wyprawa i to długa, ale po wszystkim, co przeszli do tej pory, dwumiesięczny rejs przez Atlantyk nie wydawał się już straszny. I po raz pierwszy w ciągu pięciu lat spędzonych w Nowym Świecie Jean poczuł się gotów do powrotu do kraju. Przez cały ten czas nie widział ani swojego brata, ani ojczyzny. Zrobił już wszystko, co miał tu do zrobienia, odkrył nowe miejsca, przeżył niezwykle przygody i poznał miłość swojego życia, piękną kobietę, którą chciał poślubić. Nie miał pojęcia, jak zareaguje starszy brat, ale Tristan jest przecież mądry, wyrozumiały, zresztą bez względu na to, co sądzą inni, Jean wiedział, że Wachiwi to odpowiednia dla niego kobieta. Uśmiechnął się na myśl, że jego młodzieńcze, beztroskie lata już się skończyły. Ale perspektywa wspólnego życia z ukochaną kobietą też była nęcąca.

## Rozdział 11

Tak jak postanowił zeszłej nocy, następnego ranka napisał do Tristana długi, wyważony list, w którym wspomniął o najważniejszych sprawach i pominął pewne szczegóły. Nie napisał o zabójstwie wodza plemienia Crow ani że dziewczyna, którą zamierza poślubić, była niewolnicą tego wodza. Stwierdził po prostu, że wreszcie poznał kobietę swojego życia, gotów jest powrócić do domu i pomóc w zarządzaniu ich wielkim majątkiem. Dni jego wędrówek dobiegły końca.

Doszedł do wniosku, że pora się ustatkować, chociaż wcześniej nigdy go nie pociągała stabilizacja.

Był o dziesięć lat młodszy od brata, wdowca z dwojgiem dzieci, z których ostatniego Jean jeszcze nie widział. Kiedy opuszczał Bretanię, Tristan miał piękną młodą żonę i roczne dziecko. Rok później żona zmarła po urodzeniu drugiego potomka. Brat nie ożenił się powtórnie, choć Jean nie wiedział, czy Tristan nie ma przypadkiem jakiejś kochanki, ale wydawało się mało prawdopodobne, by rozsądny, stateczny mężczyzna jak on zaangażował się w pozamałżeński związek.

Mieli największy zamek w okręgu i rozległe ziemie. Tristan zawsze traktował swoje obowiązki poważnie, a Jean przypuszczał, że brat z ulgą przyjmie wiadomość o jego powrocie do domu i zamiarze ustatkowania się, bo to najwyższy czas, jeśli się skończyło dwadzieścia cztery lata. W liście rozpływał się nad zaletami Wachiwi, ale nie zdradzał Tristanowi szczegółów poza tym, że ją kocha i przyjeżdżają razem do Bretanii, gdzie chcą wziąć ślub w rodzinnym kościółku w ich majątku. Tristan odziedziczył tytuł szlachecki i wszystkie zaszczyty z tym związane, kiedy ledwie wyrósł z wieku chłopięcego, po śmierci rodziców podczas strasznej epidemii. Miał wtedy osiemnaście lat, a brat był ośmioletnim dzieckiem. Zżyli się ze sobą, zanim Jean opuścił Francję. Pociągały go dalekie podróże, na które Tristan nigdy sobie nie pozwolił. Wziął na siebie dużo obowiązków, zarządzając rodzinnymi dobrami. Obaj mieli udziały w morskich firmach przewozowych, po rodzicach został im wielki dom w Paryżu, z którego rzadko korzystali. Tristan regularnie bywał na królewskim dworze, a teraz zapragnął tego i jego brat.

Jean wydorósł, a śliczna dziewczyna, którą sprowadzał do ojczyzszego kraju, dopomogła mu w tym. Napisał w liście o wszystkim, co z nią związane i ważne dla niego, z wyjątkiem jedynezo szczegółu. Po fiasku wizyty u kuzynów nie chciał, aby Tristan wydawał osądy o Wachiwi, zanim pozna ją osobiście, więc nie zdradził, że to Indianka z plemienia Siuksów, i nie napisał, jak ma na imię. Wierzył, że brat pokocha ją i zaakceptuje. Opisał, jaka jest piękna, dzielna, miła i łagodna. To kobieta pełna godności, szlachetna i bez względu na swoje pochodzenie czy rasę, zasługuje na szacunek. Nie wątpił, że Tristan szybko się o tym przekona. Był człowiekiem prawym, odpowiedzialnym i Jean go podziwiał, nie każdy bowiem zdołałby podołać brzemieniu, które jego brat znosił bez narzekań od lat. Zresztą wszyscy go cenili i szanowali, Jean nie stanowił wyjątku. Nie mógł się doczekać, kiedy przedstawi mu Wachiwi. Postanowił doskonalić jej francuski podczas długiego rejsu, żeby mogła swobodnie rozmawiać z jego bratem i przyjaciółmi rodziny w Bretanii. Angielskiego już nie musiała się uczyć, ich przyszłym domem i siedzibą miała być Francja. Wachiwi ubrała się starannie, a Jean uśmiechał się do niej z aprobatą, gdy opuścili pensjonat i udali się pieszo do portu. W mieście było rojno i gwarno, na nadbrzeżu panował tłok. Jean dostrzegał niechętne spojrzenia rzucałe w ich stronę. Nie wzbudzałby takiego oburzenia, gdyby przechadzał się po porcie z nagą niewolnicą z plantacji. Mężczyźni zerkali na Wachiwi lubieżnie, kobiety spoglądały zde gustowane i odwracały wzrok. Wszystkie, zwłaszcza mężatki, zdawały sobie sprawę, co robią mężczyźni z dala od szacownego towarzystwa, jednak publiczne paradowanie z Indianką, choćby najpiękniejszą, uwłaczało etykietę. Co



gorsza, ponieważ Wachiwi zwracała uwagę urodą - kobiety zdawały się pogardzać nią tym bardziej. Nawet ona, przy całej swojej niewinności i nieznajomości obyczajów białych ludzi, dostrzegą wrogie spojrzenia. Zapytała go o to raz, gdy jakaś matrona skrzyknęła do siebie swoje dzieci, powiedziała coś małżonkowi i zmusiła całą rodzinę do przejścia na drugą stronę ulicy, żeby nie minąć się na chodniku z Jeanem i Wachiwi. Ludzi irytowało, że Jean zachowuje się tak, jakby Wachiwi była szacowną kobietą, że ubrał ją jak damę i traktuje z szacunkiem. Mniej by ich zdenerwowało, gdyby wystroił w czepek i suknię swojego konia. I nie tylko kobiety go bojkotowały; mężczyźni mu zazdrościli, ale otwarcie wyrażali dezaprobatę. Skoro oni nie mogli sobie pozwolić na pewne rzeczy, bo krępowały ich konwenanse, dlaczego niby jemu wolno? Nowy Orlean z pewnością nie był odpowiednim miejscem dla takiej pary i Jean nie mógł się doczekać wyjazdu. Chciał zabrać Wachiwi daleko od złych spojrzeń, niewybrednych uwag, docinków i prób udowodnienia, że kolorowi, a więc istoty niższe, mogą być tylko niewolnikami. Wyczekiwał powrotu do Francji, gdzie, jak miał nadzieję, Wachiwi zostanie potraktowana po ludzku, inni będą się do niej odnosić z szacunkiem. Rozmawiał tego przedpołudnia z kapitanami dwóch statków, a Wachiwi mu towarzyszyła. Uznał, że najlepiej powiedzieć, iż są małżeństwem i chcą wykupić miejsca na pierwszym statku odpływającym do Francji. Pierwszy z kapitanów przyglądał się długo Wachiwi, rozpoznał w niej Indiankę i kilka chwil później stwierdził, że wszystkie kajuty są pozajmowane. Dodał, że na żaglowcu nie znajdzie się dla nich żadne miejsce, w co Jean nie uwierzył. Kapitan po prostu nie chciał wysłuchiwać skarg pasażerów, zwłaszcza

kobiet, które mogłyby poczuć się urażone, że w towarzystwie znalazła się piękna indiańska dziewczyna. Co więcej, Jean twierdził, że to jego żona. Furia pasażerek dałaby się we znaki kapitanowi podczas siedmio- czy ośmiotygodniowego rejsu. Wolał oszczędzić sobie bólu głowy. Drugi kapitan okazał się mniej stanowczy i bardziej rozluźniony, zalatywało od niego whisky. Też się zorientował, jakie jest pochodzenie Wachiwi, ale mało go to obeszło. Przyjął ich na pokład, bez pytania wziął pieniądze od Jeana i powiedział, że jego statek wyruszy do Saint Mało w Bretanii za dwa tygodnie. Zerknął w papiery Jeana i nie żądał dokumentów Wachiwi. Nie musiał się liczyć ze zdaniem innych pasażerów, nawet nie spisał ich nazwisk, a pieniądze od Jeana w zupełności go zadowolily. Wachiwi nie była obywatelką hiszpańską ani francuską i nie potrzebowała dokumentów, żeby dostać się do Francji. Jean, młody francuski hrabia, stwierdził, że to jego żona, co zresztą możliwe, chociaż kapitan uznał, że mało prawdopodobne. Poinformował, że rejs potrwa od sześciu do ośmiu tygodni. Wypłyną żaglowcem pod koniec września, pora huraganów powinna już się skończyć i jeśli pogoda i szczęście będą sprzyjać, liczył, że dotrą do Francji w listopadzie. Wtedy wody Atlantyku będą już wzburzone, ale nic nie dało się na to poradzić. Jean nie chciał czekać ani chwili dłużej niż to konieczne. Miał nadzieję, że w pensjonacie nie wymówią im pokoju do czasu rozpoczęcia rejsu. Gdyby goście zaczęli protestować z powodu obecności Wachiwi, pewnie poproszono by Jeana o opuszczenie tego miejsca. Ale mieli już miejsce na statku, w najlepszej kajucie, a zanim opuścili port, Jean przekazał list do brata innemu kapitanowi, który odpływał następnego dnia do Francji żałośnie maleńkim

stateczkiem. Jeśli nie zatonie po drodze, Tristan dostanie list z wieścią o powrocie brata do Francji na krótko przed ich przybyciem.

Jean był zdecydowany ożenić się z Wachiwi, gdy tylko znajdą się we Francji. Uczyniłby to jeszcze przed wyruszeniem w rejs, lecz dobrze wiedział, że w Nowym Orleanie żaden ksiądz ani inny duchowny nie zdecyduje się udzielić im błogosławieństwa.

Musieli więc poczekać ze ślubem.

Przez następne dwa tygodnie najczęściej siedzieli w swoim pokoju. Udawali się na długie spacery wieczorami i mimo że było już chłodno, przechadzali się po wciąż gwarnym mieście. Woleli wychodzić nocami, niż znosić za dnia nieprzychylnie spojrzenia „szacownych” obywateli. Intensywnie ćwiczili francuski, a Wachiwi robiła zaskakujące postępy, znała już nazwy mnóstwa rzeczy. Trudniej jej szło wyrażanie abstrakcyjnych pojęć oraz swoich odczuć, ale i z tym sobie radziła, choć jeszcze nieporadnie. Jednak mogli już ze sobą rozmawiać, dzielić się pomysłami i często żartować. Spędzali ze sobą też dużo czasu w łóżku; seks był ich wspólnym językiem, niezmiennie pełnym ognistej namiętności cudownym przeżyciem dla obojga.

Kuzyn Jeana, Armand de Margerac, odwiedził go kilka dni po ich niefortunnej wizycie na plantacji. Próbował wyperswadować Jeanowi wyjazd z Wachiwi do Francji. Przestrzegał, że tam też wszyscy będą zszokowani, a Jean stanie się pariasem i przyniesie rodzinie wstyd. - Dziękuję za troskę, kuzynie - odparł Jean uprzejmie, choć w żadnym razie nie podzielał zdania starszego krewniaka, wiedział jednak, że nie tylko Armand tak myślał. To prawda, socjeta Nowego Orleanu uznałaby ich za wyrzutków; już miał przedsmak tego na ulicach. Jean nie skontak-

tował się z nikim, kogo tu znał; nie odważył się. Wystarczyły już wizyta u kuzynostwa i wspólne wyjścia z Wachiwi. -Jednak nie jestem pewien, czy masz rację. Nasz monarcha słynie z tego, że podziwia indiańskie ludy Zachodu. Zaprosił już kiedyś na swój dwór indiańskich wodzów, nie jako osobliwości, ale gości honorowych. Brat pisał mi kiedyś o tym. Wydało mi się to dość ciekawe. Wodzowie mieli na sobie pióropusze i mokasyny oraz stroje dworskie, przysłane im przez króla, żeby nie czuli się nie na miejscu. Niektórzy wystąpili nawet w swoich tradycyjnych ubiorach. Nigdy nie słyszałem o Indiankach w otoczeniu króla, ale jacyś mężczyźni z plemienia Wachiwi znaleźli się na dworze Ludwika. - Mówił o ówczesnym królu Francji, Ludwiku XVI, znanym z fascynacji Indianami z Nowego Świata; brat napisał mu o tym przed laty. Nie było powodu, by sądzić, że to nastawienie się zmieniło.

- Zamierzasz zabrać ją na dwór? - Armanda przeraziła taką perspektywą. - Przedstawisz królowi niewolnicę? To niewyobrażalny skandal! - W jego kwaterach dla służby mieszkało parę kobiet, z którymi Armand zadawał się od lat. Wyrosły już dwa pokolenia jego dzieci z nieprawego łoża, ale nawet przez moment nie przyszło mu do głowy, by obnosić się z tym, pokazywać z nałożnicą w towarzystwie. Wolałby umrzeć, niż stanąć z taką przed monarchą. Niewolnice były dobre do tego, żeby z nim sypiać i żeby rodziły dzieci, ale do niczego więcej. To, co robił Jean, nie mieściło się w głowie, Armand tłumaczył jego szaleństwo wiekiem. Jean był bardzo młody i, jak widać, za długo pozostawał z dala od „cywilizacji”.

- Może i przedstawię ją na dworze. - Zabrzmiało to beztrąsko; zażenowanie kuzyna zaczynało Jeana bawić,

a mimo że mierzyła go hipokryzja Armanda, szokowanie go sprawiało mu przyjemność. - Bywam tam rzadko. Tristan gości na dworze częściej ode mnie. Cieszy się większym uznaniem i zna dobrze z królem i niektórymi ministrami. Być może pojedę z nim pewnego dnia i zabiorę też Wachiwi. Na pewno nasz czcigodny król będzie nią zafascynowany. Może nawet ona spotka tam jakichś swoich krewnych. Słyszałem, że paru pozostało w Bretanii, zżyli się z tamtejszym społeczeństwem, nie chcąc wrócić do Ameryki. Dopłynęli tam i wielu z nich chce tam zostać.

- Nie do wiary. - Armand miał zboląłą minę, jakby dowiedział się właśnie o jakiejś pladze dziesiątkującej ludzi. Myśl o Indianach w środowisku francuskiej socjety przyprawiała go o mdłości. Potwierdzało to tylko pogłoski o moralnej zapaści społecznych elit. Przynajmniej w Nowym Świecie wiedziano, gdzie trzymać niewolników. W ukryciu, z pewnością z dala od salonów, chyba że obsługiwali swoich panów albo ich gości. - Uważam, że popełniasz straszliwy błąd, zabierając ją do Francji. Zostaw ją tu, gdzie jej miejsce. Ta dzikuska jest niewykształconą, nieokrzesaoną, nie zna języka. Pomyśl o bracie, wprawisz go w konfuzję. Gdy ktoś jest królem, może sobie sprowadzać dzikusów, jako ciekawostkę. Co poczniesz z tą dziewczyną, kiedy ci się znudzi? No co? - Zamierzam ją poślubić, kuzynie. Ta nieokrzesaona dzikuska, jak ją nazwałeś, to moja przyszła żona. Zostanie hrabiną de Margerac jak twoja małżonka.

Jean zadał ten słowny cios z uprzejmym uśmiechem, wiedząc, że kuzyna mocno zaboli. Porównanie Wachiwi z Angeliąue było czymś więcej, niż starszy człowiek mógł znieść. Wyszedł kilka minut później, wzburzony i pełen ura-

zy. Pożegnali się chłodno, a Jean wątpił, czy zobaczy jeszcze Armanda przed swoim wyjazdem. Właściwie nie chciał go już widzieć, wrócił do pokoju, żeby kontynuować z Wachiwi lekcję języka. Był pewien, że zanim dopłyną do Bretanii, całkiem nieźle opanuje francuski.

Przyszli wcześniej na przystań, parę godzin przed planowanym odpłynięciem statku. Od kilku dni panowały sztormy, ale pora huraganów na szczęście się kończyła. Do portu przybywało coraz więcej pasażerów.

Załoga stawiała żagle na „La Maribelle”, małym statku handlowym, który wyglądał tak, jakby pamiętał lepsze czasy. A i wygląd kapitana zdradzał, że prowadził on twarde życie.

Jean miał nadzieję, że rejs nie będzie zbyt wyczerpujący dla Wachiwi, i wydawało mu się, że sam już nie wróci do Nowego Świata. Pięć lat, które tu spędził, dobrze mu posłużyło, ale kiedy zajmował z Wachiwi kajutę i pasażerowie wchodzili na pokład, poczuł się w pełni gotowy do powrotu do domu. Na statku znaleźli się cztery inne pary oraz dwaj mężczyźni podróżujący samotnie. Wszyscy, oprócz dwojga pasażerów, byli Francuzami, podobnie jak kapitan i reszta załogi. Wyglądało więc, że Wachiwi będzie miała mnóstwo okazji do ćwiczenia się we francuskim.

Kobiety zerkały na nią z zaciekawieniem, lecz Jean nie wyczuwał już w tym wrogości. Pasażerowie wydawali się zaintrygowani Wachiwi oraz jej związkiem z Jeanem. Zastanawiali się, gdzie ją poznał, ale nikt nie czynił niemiłych uwag, kiedy Jean nazywał ją swoją żoną. Kapitan zwracał się do niej „pani hrabino”.

Dokumenty Jeana były w porządku, chociaż kapitan mało się nimi interesował, a Jean osobiście poręczył

za Wachiwi, tak na wszelki wypadek, składając na ręce kapitana list, opatrzony pieczęcią hrabiów de Margerac. W piśmie nazywał swoją towarzyszkę Wachiwi de Margerac. Celem ich podróży było Saint Mało w Bretanii. Niektórzy pasażerowie zmierzali potem do Paryża albo do innych prowincji, Jean i Wachiwi wybierali się do jego rodzowego zamku, który znajdował się niedaleko portu, pośród bretońskich wsi.

Stali na pokładzie razem z innymi, gdy odpływano, i patrzyli, jak Nowy Orlean powoli znika z oczu. Jean poczuł ulgę, opuszczając to miasto. Nie będzie go miło wspominać, byłby szczęśliwy, gdyby już nigdy miał go nie ujrzeć. Wiedział jednak, że zatęskni do innych rzeczy w Nowym Świecie, do pięknych krajobrazów, lasów, do ziem, które przebył w Kanadzie i na zachodzie Ameryki, do majestatycznych gór, wspaniałych rozległych równin, gdzie pasły się bizona, do dzikiej zwierzyny na terytoriach dobrze znanych Wachiwi. I przypuszczał, że jej też będzie tego brakować. Objął ją ramieniem, kiedy Ameryka znikła z horyzontu i wypłynęli na morze. Niektóre kobiety już zeszły do kajut, nie czując się najlepiej, podobnie jak paru mężczyzn, ale Wachiwi wyjaśniła Jeanowi na migi, nie znając jeszcze odpowiednich słów, że odpowiada jej kołysanie statku.

Podpowiedział jej, jak to wyrazić po francusku. Uśmiechała się szeroko, jej długie czarne włosy powiewały na wietrze; otuliła się ciepłym szalem, a z jej oczu wyczytał, że czuje się na oceanie cudownie swobodna. Pobyt na statku przypominał jej trochę galopowanie po równinach. I podobało jej się to, że jest z Jeanem. Ufała mu całkowicie i podążała za nim tam, gdzie postanowił ją zabrać. Wyczekiwała już dni, które miały nastąpić, i on także.

Planował kupić jej konie i trzymać je wraz

z innymi wierzchowcami w zamkowych stajniach. Tak znakomicie jeździła konno, że chciał sprowadzić dla niej najlepsze rumaki, jakie tylko znajdzie. Tristan też był doskonałym jeźdźcem i Jean wiedział, że umiejętności Wachiwi zrobią na nim wrażenie. Przed zapadnięciem nocy statkiem już mocno kołysało, ale Wachiwi nie dostała choroby morskiej. Okazała się na nią odporna i Jean odetchnął z ulgą. W przeciwnym razie dwa miesiące rejsu byłyby bardzo uciążliwe. Po lekkiej kolacji w zatłoczonej mesie poszli do łóżka. Wachiwi powiedziała, że na statku czuje się jak w kołysce, a bujanie uspiło ich oboje. Następnego dnia przeszli się po pokładzie. Mniej więcej połowa pasażerów pozostała w kajutach, cierpiąc z powodu mdłości. Wachiwi i Jean zostali na pokładzie i przez cały dzień siedzieli tam w miejscu osłoniętym od wiatru. On zajął się czytaniem, a ona trochę wyszywała, używając przyborów kupionych w Nowym Orleanie. Ozdobiła mu koszulę czymś, co wyglądało jak małe indiańskie paciorki. Powiedziała, że szykuje ją na ich ślub, a Jeana to ucieszyło. Spędzili razem następną cudowną noc, a kolejne dni też upłynęły przyjemnie. Byli na morzu od trzech tygodni, kiedy Jean poczuł się źle i powiedział, że boli go gardło. Wachiwi nic nie dolegało i przyniosła mu trochę gorącej herbaty z kambuza. Żałowała, że nie ma ze sobą odpowiednich ziół, które można by dodać do wrzątku. Opatuliła Jeana - powiedział, że trochę się zaziębił - swoim pledem i przesiedzieli na pokładzie większość dnia. Jednak w nocy jego stan się pogorszył. Nazajutrz dostał bardzo wysokiej gorączki, majaczył. Wachiwi siedziała przy nim, nie odstępując go na krok.



Kapitan przyszedł do kajuty i stwierdził, że choremu trzeba upuścić krwi, lecz na pokładzie nie było lekarza. Dodał, że widywał już takie choroby, to pewnie „ropne zapalenie migdałków”, poważna infekcja gardła. Po tygodniu, odkąd Jean zachorował, gardło miał tak obolałe, że nie mógł już niczego przełknąć. Wachiwi całymi godzinami próbowała napoić go odrobiną wody albo herbaty, ale krtań Jeana niemal się zamknęła i ledwie mógł oddychać.

Z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej. Wachiwi siedziała przy nim, całym sercem modląc się do wielkich duchów. Zaklinała je, żeby zstąpiły w niego i go uzdrowiły. Wiedziała, że w gorącej saunie podczas indiańskiej ceremonii oczyszczającej mógłby przezwyciężyć gorączkę, jednak na wilgotnym statku, omiatanym wiatrem nie było czegoś takiego. Okrywała drżące ciało Jeana wszystkim, co mogło zapewnić mu choć trochę ciepła, tuliła się do niego, żeby go ogrzewać. Nic jednak nie pomagało. Trzymała Jeana w ramionach przez całą noc. Płynęli już wtedy przez prawie sześć tygodni, a kapitan oceniał, że dzielą ich od brzegu jeszcze dwa kolejne. Z Jeanem było coraz gorzej, trawiła go jakaś nieznana choroba. Pewnej nocy czuwającej przy nim Wachiwi przyśnił się biały bizon i pomyślała, że to jakiś znak. Ale nikt nie mógł jej objaśnić, co to znaczy, nie miała też ziół, naparów ani jagód, które, jak sądziła, mogłyby mu pomóc, przyrządzone przez szamana z jej plemienia. Znajdowali się na pełnym morzu, a stan Jeana wciąż się pogarszał. Przeleżała koło niego i przepłakała siedemnaście dni od czasu, gdy zachorował, a kiedy usnęła tej nocy, zmarł cicho w jej objęciach. Obudziła się i zobaczyła, że Jean ma otwarte oczy i wpatruje się w nią, jak gdyby przyglądał się jej w chwili śmierci,

z rozchylonymi ustami, oplatając ją ramionami, zimny i zeszywniały. Owinęła go szczelnie pledem i objęła delikatnie na koi. Była wstrząśnięta. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że on, taki młody i silny, może umrzeć i zostawić ją samą. Wierzyła, że wyzdrowieje. Cichutko zamknęła drzwi kabiny i poszła do kapitana. Bardzo się zdenerwował; obawiał się, że na statku może wybuchnąć epidemia zapalenia mig-dałków. Dotychczas nikt na pokładzie się nie zaraził, więc chyba nie była to jakaś choroba zakaźna, które często zdarzały się na statkach. Jednak nie miał wątpliwości, że trzeba pochować Jeana na morzu. Nie chciał trzymać jego zwłok na pokładzie.

Wy tłumaczył to Wachiwi, gdy wyszli z kabiny, gdzie Jean leżał owinięty jej pledem i wyglądało, jakby spał. Pokiwała głową, wciąż nie mogąc przyjąć do wiadomości tego, co się stało.

Wyglądała na wstrząśniętą, a to, o czym mówił kapitan, było obce jej obyczajom, ale zgodziła się na to, co on uznawał za najlepsze, pogrzeb na morzu, i uzgodnili, że odbędzie się tego popołudnia. Kapitan chciał dać jej trochę czasu na osobiste pożegnanie zmarłego; siedziała przy Jeanie w kabinie, całowała jego zimną twarz, gładziła go po jedwabistych włosach. Wydawał się taki spokojny. Wtedy zrozumiała, co znaczy biały bizon, który jej się przyśnił. Potem kapitan i czterej marynarze przyszli po ciało Jeana, a ona zanuciła cicho pieśń; modliła się do wielkich duchów, by przyjęły go do siebie i zapewniły mu bezpieczeństwo. Marynarze ułożyli zwłoki Jeana na noszach, Wachiwi wyszła wraz z nimi na pokład. Zebrali się już tam pasażerowie, z wyjątkiem dwóch kobiet, które nie opuszczały kajut z powodu choroby morskiej. Wszyscy byli poważni i przejęci tą śmiercią, jakiś mężczyzna odczytał fragment

z Biblii i zmówił modlitwę. Kapitan zaproponował, żeby spowić ciało zmarłego francuską flagą, lecz Wachiwi zdecydowała, że Jean zostanie owinięty jej pledem. Pragnęła, aby wziął go ze sobą i żeby było mu ciepło. Patrzyła na groźnie piętrzące się fale i z przerażeniem myślała, że za chwilę go pochłoną, rozumiała jednak, iż nie ma innego wyjścia. Zasłoniła usta, by stłumić płacz, kiedy dwaj marynarze przechylili nosze i ciało Jeana w jej pledzie zsunęło się cicho do morza. Gdy zniknął w odmętach, Wachiwi wydała z siebie pełen bólu krzyk, tak jak czynili to żałobnicy z jej szczepu.

Stała długo na rufie, spoglądając na ocean, a ciche łzy spływały jej po policzkach. Nikt na statku nie zakłócał jej samotności. O zmroku wróciła do kajuty, położyła się na miejscu Jeana i przepłakała całą noc. Nie wiedziała, co z nią teraz będzie, ale już jej to nie obchodziło. Wiedziała, że Jean to jedyny mężczyzna, którego mogła pokochać. Przyszłość nie miała już dla niej znaczenia. Nie odważyła się skoczyć do oceanu w ślad za nim; pierwszy raz w życiu zabrakło jej śmiałości.

Rankiem wyszła znowu na pokład obładowana rzeczami Jeana i łamanym francuskim wyjaśniła, że w jej osadzie jest zwyczaj rozdawania dobytku osoby zmarłej. Ponieważ nie dopełniła innych rytuałów pogrzebowych, obowiązujących w plemieniu Siuksów, pragnęła oddać Jeanowi ostatnią przysługę w taki sposób. Koszule dała tym marynarzom, na których pasowały. Jeden z pasażerów chętnie przyjął jego skórzane spodnie. Kapitan wziął piękny granatowy surdut, choć był na niego trochę za ciasny. Muszkiet Jeana mógł się przydać załodze. Buty zmarłego dostały się innemu mężczyźnie, a jego żona z radością wzięła książki Jeana. Je-

dyną rzeczą, jaką Wachiwi zatrzymała, była ślubna koszula Jeana, którą mu wcześniej wyszywała. Chciała go w niej pochować, lecz zabrakło czasu na takie przygotowania. I tak zamierzała dokończyć jej wyszywanie i zachować ją jako pamiątkę po nim. Ale jej prawdziwe wspomnienia o Jeanie były o wiele bardziej żywe; pamiętała, jak go poznała przy wodospadzie, ich spotkania nad jeziorem, przestraszonych, podekscytowanych, wzajemną fascynację, przerażające starcie z Napayshnim, wspólną ucieczkę konno. To, jaki Jean był dla niej dobry... jego łagodność... namiętność, kiedy się kochali... słowa, których ją nauczył... piękne suknie, kupione w St. Louis... I to, jak patrzył na nią z czułością, miłością i szacunkiem... i obietnice wspólnego życia we Francji... Wszystko to odeszło wraz z nim, gdy zniknął w morzu, lecz Wachiwi wiedziała, że dopóki żyje, będzie go kochać i nigdy go nie zapomni.

## Rozdział 12

Silny wiatr pojawił się niespodziewanie i dzięki temu statek „La Maribelle” zawinął do portu kilka dni wcześniej, niż planowano. Rejs trwał niecałe osiem tygodni. Wachiwi stała na pokładzie, rozmyślając, co ją czeka, kiedy dopłyną do portu. Znała nazwę rodzinnego zamku Jeana, często ją wymieniał, pochodziła od jego nazwiska, ale nie miała pojęcia, jak tam dotrzeć, jak odnaleźć brata Tristana ani też, jak on zareaguje, kiedy się dowie, że Jean nie żyje. Być może ją odprawi. A przecież nie miała dokąd wrócić.

Wcześniej

dała kapitanowi na przechowanie pieniądze Jeana, ale się nie orientowała, ile ich jest i na jak długo jej wystarczą. Nie wiedziała prawie nic o pieniądzach białych ludzi, znała się tylko na handlowaniu futrami i końmi, ale to się nie przyda.

Kapitan rozmyślał nad tym samym, kiedy statek zacumował w Saint Malo. Zastanawiał się, czy ktoś wyjdzie po Wachiwi i czy przyjmą ją bez męża. Zamierzał sam złożyć jej pewną propozycję. Stracił żonę przed laty i nie ożenił się powtórnie. Polubił Wachiwi, dziewczynę urodziwą, a teraz i samotną. Rozdała wszystko, co należało do Jeana, z wyjątkiem samej siebie. Kapitan postanowił poczekać i dyskretnie obserwować, co się wydarzy. Ludzie na nabrzeżu patrzyli, jak „La Maribelle” wpływa do portu, a zacumowanie statku zajęło trochę czasu. Po obu stronach portu rozciągały się piaszczyste plaże i skaliste przylądki. Okolica była piękna i trochę dzika, Wachiwi rozglądała się wokoło, kiedy ze statku wyładowywano towary. Pasażerowie pospiesznie schodzili z pokładu, stęsknieni za stałym lądem, niezbyt pewnie stając na twardym gruncie po długim pobycie na morzu. Bagaże zostały zabrane i poczyniono przygotowania, by wyekspediować je w miejsca, gdzie miały trafić. Przejrzawszy dokumenty Jeana, kapitan posłał konno marynarza do zamku de Mar-gerac, by poinformować markiza, że statek dobił do brzegu. Posłaniec wrócił dwie godziny później, powiedział, że przekazał wiadomość komuś ze służby. Nie zobaczył się z markizem, a lokaj nie wiedział, czy pan wybiera się do portu. Marynarz nie wyjawiał, zgodnie z poleceniami kapitana, że brat markiza zmarł. Do tego czasu wszyscy pasażerowie, oprócz Wachiwi, opuścili już statek; ona mogła pozostać pod opieką kapita-

na przez dwa tygodnie, póki żaglowiec będzie w porcie, jeśli nikt się po nią nie zjawi. Oboje przypuszczali, że markiz się nie pokaże. Być może bracia pokłócili się o coś, o czym Wachiwi nie wiedziała. A propozycja kapitana, żeby została na pokładzie, była tylko wstępem do innej oferty, jaką zamierzał jej złożyć, zanim statek odpłynie. Nie chciał rozmawiać z nią o tym przedwcześnie. Wachiwi siedziała na pokładzie, niedaleko miejsca, skąd zrzucono ciało Jeana do wody, i spoglądała na morze. Wtedy kapitan dostrzegł wielki czarny powóz, który jechał w ich stronę, ciągnięty przez cztery białe konie, z lokajami w liberiach z przodu i z tyłu karety oraz herbem zdobiącym drzwi. Powóz wyglądał okazale, a mężczyzna, który wysiadł z karocy, prezentował się nad wyraz elegancko. Bardzo przypominał swojego młodszego brata, tyle że był szerszy w ramionach, wyższy i o jakieś dziesięć lat starszy, ale też przystojny. Nosił granatowy surdut, podobny do tego, jaki miał Jean, a którego dumnym właścicielem został kapitan. Na widok markiza kapitan zszedł na nabrzeże i nisko się pokłonił. - Jestem zaszczycony pańską obecnością - powiedział uniżenie, szybko wsuwając kapelusz pod pachę, gdy markiz obrzucił spojrzeniem statek, zdumiony, że taka niewielka jednostka mogła odbyć tak daleki rejs. Podróż nie była chyba zbyt przyjemna dla osób na pokładzie.

- Przyjechałem, żeby powitać brata, hrabiego de Mar-gerac - wyjaśnił.

- Wiem, panie. - Kapitan skłonił się znowu. Nieczęsto widywał szlachetnie urodzone, dystyngowane osoby. - Obawiam się, że mam dla pana przykrą wiadomość. Pański brat zachorował w połowie rejsu. Myślę, że to było zapalenie migdałków, panie, ciężka choroba gardła. Nie przetrzymał,

skonał ponad dwa tygodnie temu i musieliśmy oddać go morzu. Markiz znieruchomiał, zachwiał się jakby ugodzony kulą w serce i patrzył półprzytomnie na kapitana. Marnotrawny syn, a właściwie w tym wypadku marnotrawny brat, prawie do niego powrócił, mimo że odszedł na zawsze. Nie mógł w to uwierzyć. Otarł łzy, nie wstydząc się ich. Mimo że nie widzieli się od pięciu lat, byli ze sobą mocno związani, Tristan bardzo kochał Jeana.

- Boże, jakie to straszne. Kilka dni temu dostałem list, że przybywa, a dziś rano pańską wiadomość, że statek przy-cumował. I nagle taki cios. Inni też zachorowali?

- Nie, panie, nikt. Jeszcze nie. - Gardło bolało go od kilku dni, ale nie miał gorączki i czuł się zdrowy. Mogło to być tylko przeziębienie wskutek przeciągów. Nie chciał wywoływać paniki wśród pasażerów, więc o tym nie wspominał. - Bardzo mi przykro. Pański brat wyglądał na dobrego człowieka.

- Był taki. - Lata rozłąki nic nie zmieniły, Tristan zawsze kochał Jeana. Może nawet traktował go bardziej jak syna niż jak brata. Nie mógł pogodzić się z myślą, że już nigdy go nie zobaczy.

- Jego żona tu jest, panie - powiedział kapitan cicho, jak gdyby wspominał o pozostawionym przez jakiegoś pasażera kufrze, i dostrzegł, że markiz drgnął. Czyżby nic o niej nie wiedział? Ale Jean napisał tylko, że zamierza poślubić dziewczynę, którą sprowadza do kraju, a nie, że się z nią ożenił. Dobrze znając Jeana, Tristan zastanawiał się teraz, czy kapitan mówił prawdę. Dobrze znał brata, Jean mógł twierdzić, iż są małżeństwem, aby nie narażać na szwank jej reputacji do czasu ślubu we Francji.

- Gdzie ona jest? - zapytał markiz przytłoczony wstrząsającymi nowinami. Kapitan wskazał na pokład. Wachiwi siedziała odwrócona do nich plecami i wpatrywała się w morze; nie wiedziała, że zjawił się brat Jeana.

Markiz skinął głową, wszedł na statek i wspiął się po krótkim trapie. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, poza tym, że podziela jej ból. Podszedł do niej bezszelestnie od tyłu. Odwróciła się powoli i od razu zorientowała, kim on jest. Był bardzo podobny do Jeana, tylko potężniej zbudowany i poważniejszy, ale miał takie samo ciepłe spojrzenie. Wstała i o mało nie zarzuciła mu ramion na szyję. Przyglądał jej się zdumiony, a ona skłoniła się nisko po dziewczęcemu, tak jak nauczył ją Jean. Nie napisał markizowi, że to Indianka. Teraz dotarło to do Tristana z całą siłą. Brat wracał do kraju z indiańską dziewczyną, ale przybyła tylko ona, bez niego. Markiz zaniemówił na moment, patrząc na nią ze zdumieniem, zaskoczony jej pochodzeniem, jak i urodą.

- Hrabino. - Ukłonił się nisko i chciał ją pocałować w dłoń, ale nie pozwoliła.

- Nie pobraliśmy się - rzekła cicho. - Zamierzaliśmy wziąć ślub tutaj. - Nie chciała kłamać, od razu wszystko szczerze wyjaśniła.

- Wiem, pisał mi o tym... ale kapitan powiedział... Pokręciła głową, uśmiechając się nieśmiało. Woląta nie udawać przed bratem Jeana. Nie została hrabiną i nigdy nie zostanie. Nie opłakiwała szlacheckiego tytułu, tylko utraconego człowieka.

- Tak mi przykro. Za nas oboje. Co pani teraz zrobi? - Niczego jej nie proponował, sam kompletnie skołowany. Cóż miał począć z Indianką, która nie miała dokąd się udać we Francji i pewnie była bez pieniędzy?



- Nie wiem. Nie mogę wrócić do swoich. - Przez nią zginął indiański wódz, Crow zemściliby się okrutnie na całym plemieniu. Bała się odwetu. Nie chciała ryzykować życia swojego i niewinnych ludzi. Jean o tym wiedział. Jego brat nie.

- Może pozostanie tu pani przez jakiś czas i zadecyduje potem - powiedział łagodnie. Była zrozpaczona, jak i on. Szykował się do świętowania powrotu brata, a teraz przyszło mu nosić po nim żałobę. - Pojedzie pani ze mną? - spytał wprost. Kiwnęła głową. Nie miała dokąd pójść.

Wadliwi opuściła statek z bratem Jeana. Podziękowała kapitanowi po francusku; poczyniła już spore postępy w języku. Markiz pomógł jej wsiąść do powozu i powiedział kapitanowi, że wkrótce przyśle inny pojazd po kufry. Ruszyli szybko i wyjechali z portu, biorąc ostry zakręt w stronę wzgórz. Gdy Wachiwi zobaczyła piękne konie zaprzęgowe, żałowała, że nie może któregoś dosiąść. Markiz przypatrywał się jej uważnie, studiując jej rysy, jakby próbował odkryć, kim ona jest i dlaczego brat ją pokochał. Na razie to było zagadką.

- Jean nie zdradził mi pani imienia.

Tristan miał miłą twarz, jak jego brat, i łagodne, przyjazne spojrzenie. Wydawał się spokojniejszy, nie wyczuwała w nim silnej energii, którą aż tryskał Jean.

- Nazywam się Wachiwi.

- Jest pani Indianką, przypuszczam. - Nie było w tym pogardy ani krytyki, jakiej nie szczędzili jej ludzie w Nowym Orleanie, w ustach których słowo „Indianka” brzmiało jak przekleństwo.

- Z plemienia Siuksów - uściśliła.

- Poznałem dwóch waszych wielkich wodzów na dworze naszego króla. Być może byli z panią spokrewnieni

dodał, starając się być uprzejmy, choć wciąż zmagał się z myślą, że ukochany brat umarł, zostawiwszy mu niejako w spadku indiańską dziewczynę. Co miał z nią zrobić? Dokąd mogłaby się udać? Nie może trzymać jej u siebie w nieskończoność. Musi pomóc jej coś wymyślić, ale na razie zostanie w zamku razem z nim i jego dziećmi. Uśmiechnął się do siebie, wyglądając przez okienko powozu. To było w stylu Jeana: zakochać się w Indiance, co musiało wszystkich zszokować, a potem umrzeć i zostawić ją Tristanowi. Było w tym coś zupełnie absurdalnego i całkiem niewyobrażalnego. A w pewnym sensie i wspaniałego. Pomyślał, że to niezwykła dziewczyna, skoro Jean zdecydował się z nią ożenić. Markiz musiał jeszcze odkryć, co takiego w niej, poza urodą, urzekło Jeana. Spojrzał na nią po ojcowsku i się uśmiechnął. - Witaj we Francji, Wachiwi.

- Dziękuję ci, mój panie - odparła grzecznie, tak jak nauczył ją Jean, a potem w milczeniu dojechali do zamku.

Tristan potrafił łatwo sobie wyobrazić, że Jean patrzy na nich, uśmiecha się, albo wręcz się śmieje. Wachiwi, pogrążona w swoich myślach, mogła poczuć Jeana blisko siebie, tak jak go czuła, odkąd umarł. Teraz, kiedy się tu znalazła, nawet bardziej.

## Rozdział 13

Jazda do zamku Margeraców trwała dłużej, niż Wachiwi się spodziewała, gdyż Jean powiedział, że chateau znajduje się nad morzem, niedaleko portu, ale mimo że powóz ciągnęły

szybkie konie, jechali prawie godzinę po wąskiej, bardzo krętej drodze.

Okazały zamek robił wrażenie, stał na klifie, skąd rozciągał się wspaniały widok na ocean. Wzniesiono go w XII stuleciu, ale nie wyglądał groźnie w otoczeniu ogrodów pełnych kwiatów o jaskrawych barwach i starych drzew. Wachiwi zachwyciło piękno tego miejsca.

Tristan opowiedział jej trochę o historii rodu. Przodkowie byli wojownikami i dlatego zamek przypominał fortecę; nikt obcy nie zdołałby się dostać do środka i mogli się w nim bronić przed nieprzyjaciółmi. Twierdza dobrze służyła rodzinie przez wieki. Wachiwi uśmiechnęła się i powiedziała, że i jej przodkowie byli wojownikami i nadal są nimi mężczyźni z jej plemienia. Mówiąc o tym, pomyślała o swoich braciach i posmutniała. Tristan się zastanawiał, jak poznała brata i w jaki sposób Jean zabrał ją od Siuksów. Może z nim uciekła, co wydawało się dość prawdopodobne. - Chciałbym się kiedyś dowiedzieć, jak się poznaliście. - Spojrzała na niego, skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Wolą nie zdradzać jeszcze, że wraz z bratem Tristana zabili człowieka, i to z jej powodu. Lokaj pomógł wysiąść Wachiwi z powozu, a markiz zaprowadził ją do zamku.

Wewnątrz ciągnęły się długie, mroczne korytarze, obwieszone posępnymi malowidłami przedstawiającymi przodków Tristana. Niektórzy przypominali jego oraz Jeana. W środku znajdowały się wielki hol, pełen trofeów myśliwskich i sztandarów z herbami, sala balowa, bezużyteczna, odkąd zmarła żona Tristana, oraz mniejsze komnaty gościnne. Przestronne, zimne pomieszczenia, w których hulały przeciągi, onieśmiały Wachiwi.

Zastanawiała się, jak patrzyłaby na to wszystko, będąc

z Jeanem, a nie z jego poważnym bratem, który opowiadał jej o przodkach, kiedy przechadzali się po zamku. Mieszało jej się to, co mówił, czuła się tym przytłoczona. Ale starała się słuchać uważnie. Tristan mówił szybko po francusku, nie zdając sobie sprawy, że Wachiwi niedawno nauczyła się tego języka. Potem zaprowadził ją na górę, do olbrzymiego salonu z wielkimi fotelami i kanapami; to miejsce wyglądało na salę posiedzeń. Mogła sobie tu wyobrazić wojowników z rodu de Margeraców, gdy planowali wyprawy wojenne, tak jak mężczyźni z jej szczepu siadywali wokół ogniska lub wchodzili do tipi jej ojca, by omówić ważne sprawy. Pod tym względem ich dzieje i rodowe tradycje nie różniły się zbyt. Dotyczyły wojen i polowań. Zauważyła z pewnym zaciekawieniem, że na ścianach nie ma poroży bizonów, tylko upolowanych jeleni, antylop i łosi. Zastanawiało ją, czy we Francji są bizona, ale wstydziła się zapytać o to Tristana. Kobieta w prostej czarnej sukni i koronkowym fartuszkowi weszła i zaproponowała im herbatę. Po chwili wróciła z dwiema innymi kobietami i mężczyzną oraz gigantyczną srebrną tacą, zbyt ciężką, by można ją łatwo unieść, zastawioną srebrnymi imbryczkami, porcelanowymi naczyniami oraz talerzami z małymi kanapkami i słodyczami. Wszystko to bardzo zaciekawiło Wachiwi, poczuła głód. Usiadła na krześle wskazanym przez Tristana i jadła tak porządnie, jak tylko umiała. Było to dla niej wciąż czymś nowym, ale Jean dobrze ją wyuczył. Nie chciał, żeby czuła się zażenowana albo skrepowana po przybyciu do Francji, i dzięki wytrwałym staraniom udało mu się to osiągnąć. Jedzenie smakowało jej wyśmienicie.

Zauważyła, że Tristan bacznie się jej przypatruje, jakby nie wiedział, co ma o niej sądzić, a ona od czasu do czasu spoglądała przez okno na ocean. Kiedy wracała do wspomnień, patrząc na wodę, czuła, że duch Jeana cały czas jej towarzyszy. Rozmyślała o nim, gdy do pokoju weszła dwójka dzieci w towarzystwie wysokiej młodej kobiety; miała poważną minę, bladą twarz, proste brązowe włosy i szare oczy. Wszystko w niej wydawało się jakieś bezbarwne. Nosila szarą suknię i wyglądała na osobę nieszczęśliwą. Dzieci sprawiały wrażenie, jakby nie mogły się doczekać, aż wyrwą się spod jej opieki, i zwracały się do niej „mademoiselle”. Osłupiały na widok Wachiwi. Dziewczynka mogła mieć cztery lata, chłopczyk około sześciu. Chociaż były pięknie ubrane i różniły się od indiańskich dzieci, które znała Wachiwi, to w czymś je przypominały. Przebiegły przez pokój, rzuciły się ojcu w ramiona, by za moment pochłaniać ciastka z tacy, a mademoiselle bezskutecznie usiłowała je poskromić. Siedziały spokojnie tylko chwilę, potem znów śmiały się i rzucały na ojca, który wydawał się tym zachwycony.

Wachiwi nie spodobała się ta sztywna, surowa kobieta i dzieci chyba też jej nie lubiły. Chłodna i wyniosła mademoiselle z rozmysłem nie zwracała uwagi na Wachiwi, zupełnie jakby jej nie dostrzegała w pokoju. Podobnie zachowywali się ludzie w Nowym Orleanie.

- To moje pociechy. - Tristan uśmiechnął się szeroko. - Matthieu i Agathe. Jean poznał Matthieu, kiedy syn dopiero się urodził. Agathe przyszła na świat już po jego wyjeździe. - Dzieci przyglądały się Wachiwi z zaciekawieniem. Mimo że miała na sobie europejski strój, mogły łatwo zauważyć, że różni się czymś od innych ludzi, choćby

orzechowym kolorem skóry. - To jest przyjaciółka waszego wuja Jeana - wyjaśnił Tristan; próbował je uspokoić, ale też pozwalał im zjadać ciastka. Wachiwi patrzyła z rozbawieniem, jak się nimi raczą. Sama trochę przypominała dziecko. Agathe od razu się do niej uśmiechnęła. Pomyślała, że Wachiwi jest piękna i miło wygląda.

- Z tą panią wujek Jean miał się ożenić? - zapytała, wskakując na kanapę obok ojca, a mademoiselle zmierzyła dziewczynkę surowym spojrzeniem. Uważała, że dzieci powinny stać na baczność i nie siadać w salonie, kiedy składają wizytę ojcu. On dawał im więcej swobody, co guwernantka uważała za niewłaściwe zachowanie.

- Tak - potwierdził Tristan, zaskoczony, że córeczka o tym pamiętała. Opowiedział jej o ślubie parę dni wcześniej, gdy dostał list Jeana, a dziewczynkę uradowała perspektywa wesela i chciała się dowiedzieć, w co się będzie mogła wystroić.

- Gdzie wujek Jean? - wtrącił Matthieu i na krótko zapadła cisza. Ojciec, z przygnębionym spojrzeniem, odpowiedział:

- Jest z waszą mamą w niebie. Są teraz razem. Przyjaciółka wuja przypląnęła tu sama.

- Naprawdę? - Agathe zrobiła wielkie oczy. - Na statku? Wachiwi przytaknęła ruchem głowy i się uśmiechnęła.

Uroczą dziewczynka miała miękkie blond loczki i śliczną owalną anielską twarzyczkę; takiej istotce trudno się oprzeć. W Matthieu, wysokim jak na swój wiek, było coś z Tristana i Jeana. Agathe bardziej przypominała swoją zmarłą matkę, będącą do chwili swojej śmierci światłem życia Tristana, zresztą nim pozostała. Nosił po niej żałobę przez minione cztery lata.

- Tak, dziś przypłynęłam statkiem - odparta Wachiwi.  
- Na morzu było strasznie? — Dziewczynka wciąż patrzyła szeroko otwartymi oczami.  
- Nie, całkiem znośnie. Ale podróż trwała długo. Prawie dwa pełne księżyce. - Ugryzła się w język. - Prawie dwa miesiące - poprawiła się, przypominając sobie pouczenia Jeana.  
- Ja nie lubię statków - stwierdziła Agathe stanowczo. - Robi mi się na nich niedobrze.  
- Mnie też. - Matthieu przypatrywał się Wachiwi. Nie wiedział tak naprawdę, kim ona jest, ale uznał, że to inna osoba, ciekawa i miła dla dzieci. Oboje samodzielnie doszli do takiego wniosku. Dzieci rozprawiły z ożywieniem przez kilka minut, a potem mademoiselle obwieściła, że pora spać. Protestowaniem nic nie wskórały. Guwernantka kazała im życzyć ojcu dobrej nocy i wyprowadziła je pospiesznie z pokoju.  
- Są cudowne! - Wachiwi naprawdę je polubiła. - Synek wygląda zupełnie tak jak pan i Jean. - Serce jej się ścisnęło na widok maluchów, które mimo wymyślnych strojów przypominały dzieci z jej plemienia.  
Tristan się uśmiechnął.  
- Tak, jest do nas podobny. Agathe bardziej przypomina swoją matkę, która zmarła po jej urodzeniu. Ale guwernantka świetnie sobie radzi z dziećmi; jest tu, odkąd urodził się Matthieu. Zwłaszcza kiedy nie ma matki, dzieciom potrzebny ktoś, kto je upilnuje. A ja nie zawsze jestem na miejscu. - Pomyślał, że to trochę dziwne, iż opowiada jej o takich sprawach, lecz sam był ciekaw kobiety, którą brat zamierzał poślubić; chciał ją lepiej poznać. Nie zszokowało go, że jest Indianką, czego wcześniej obawiała się Wachi-

wi. Jakby zupełnie się tym nie przejmował. Był człowiekiem zdumiewająco tolerancyjnym, łagodnego usposobienia, i zadbał, żeby poczuła się w zamku dobrze.

- Guwernantka wydaje się bardzo surowa - powiedziała bez ogródek, zaskoczona, że tak swobodnie rozmawia się jej z Tristanem. Ta kobieta nie wzbudziła jej sympatii, ale Wachiwi wiedziała, że nie należy tego mówić. Nie chciała urazić gospodarza. U Indian pilnowaniem dzieci zajmowali się krewni, lecz Wachiwi dowiedziała się od Jeana, że w Europie ci, którzy pracują dla jego rodziny, to „służący”, a nie jak w Nowym Orleanie „niewolnicy”. Zresztą niewolnicy wydawali się miłsi od mademoiselle, do bólu zasadniczej i zimnej jak lód. Guwernantka sprawiała wrażenie kogoś, kto nie przepada za dziećmi.

- Powiem gospodyni, żeby pokazała pani pokój. Musi pani być zmęczona podróżą. Na szczęście nie zaraziła się pani od mojego brata. Czuje się pani dobrze, prawda? - Popatrzył na nią z troską. Wolał nie myśleć, że mogłaby się rozchorować i zarazić innych, ale wyglądała zdrowo i zapewniła, że czuje się doskonale. Była młoda i silna. Pociągnął za długi sznur dzwonka obok kominka i zjawiała się kobieta, która wyglądała na starszą krewną guwernantki, a Tristan polecił, żeby zaprowadziła Wachiwi do jej apartamentu. Tego wieczoru kazał jej tam podać kolację, zobaczy się z Wachiwi jutro rano. Nie chciał spożywać kolacji sam na sam z niezamężną kobietą i nie miał pojęcia, jak rozwiązać ten problem w przyszłości. Może jadałaby w którymś z pokojów dla dzieci razem z Matthieu i Agathe. Uznał za niestosowne zasiadanie co wieczór do posiłku z Wachiwi. Bez Jeana sytuacja była niezręczna. Pomysł, aby jadała z dziećmi, wydał mu się najlepszym wyjściem.



Pokoje, które Tristan oddał Wachiwi do dyspozycji, w niczym nie przypominały kwatery dla niewolników przydzielonej jej w Nowym Orleanie. Miała teraz wielki salon z widokiem na ocean, sypialnię z godnym księżniczki łóżem z baldachimem, wspartym na czterech słupkach, dużą łazienkę, garderobę i niewielki gabinet z eleganckim damskim biurkiem. Czuła się nieswojo w przestronnych pomieszczeniach, smuciło ją, że nie ma tu Jeana. Nie wiedziała jednak, że gdyby był z nią, dostaliby pokoje na tym samym piętrze, na którym mieszkał Tristan, jednak w obecnej sytuacji markiz ulokował ją w innym skrzydle zamku. Kwatery dla dzieci znajdowały się nad jej pokojami i prowadziły do nich pojedyncze schody. Słyszała Matthieu i Agathe, ale nie ośmielała się zajrzeć do nich, aby nie natknąć się na pełne dezaprobaty lodowate spojrzenie mademoiselle.

Przechadzała się po pokoju, otwierała szuflady i szafy, oglądała wszystko ze zdumieniem i ciekawością, gdy wniesiono wielką srebrną tacę z mięsiwem, jarzynami i owocami. Były na niej też zestaw sosów, talerz z serami i chlebem oraz pięknie przybrany deser. Aż krzyknęła na ten widok, wzruszona, że ludzie tu byli dla niej tacy dobrzy, jednak tak naprawdę pragnęła tylko mieć przy sobie Jeana. Spała pod cudownie miękką pierzyną w wielkim łóżu z baldachimem, ozdobionym draperią z różowej satyny, wykończoną frędzlami. Znów przyśnił jej się biały bizon i nie wiedziała, jak ten sen tłumaczyć. Ostatnim razem, kiedy ją nawiedził, umarł Jean, a teraz zastanawiała się, czy przypadkiem nie przychodzi do niej duch ukochanego. Chciałaby, żeby jej powiedział, co dalej. Była zagubiona, a i Tristan zupełnie nie wiedział, jak jej pomóc. Wachiwi będzie chyba mieszkać na poddaszu zamku aż do starości, pozostawiona

mu w spadku przez zmarłego brata. Co miałby z nią zrobić? Nie odesłał jej do Ameryki, gdyż powiedziała, że nie może wrócić do swoich. Nie mógł jej oddalić, odmówić schronienia i opieki. Ale prawdę mówiąc, nie powinna też przebywać ciągle w zamku, chyba że znalazłby dla niej jakieś zajęcie, a nie miał pojęcia, co ona potrafi. Pewnie niewiele. Żadna ze znanych mu kobiet nie była w stanie sama się utrzymać bez protekcji rodziny czy swojego mężczyzny. Na dodatek Wachiwi zjawiała się z zupełnie innego świata i nie wiedziała nic o tym, w którym się znalazła. Zupełnie sama, często w nieprzychylnym jej środowisku. Rankiem ubrała się starannie w suknię, którą Jean jej podarował. Chętnie wyszłaby do ogrodu, ale nie miała pojęcia, jak się do niego dostać, więc zamiast tego weszła po schodach tam, gdzie, jak przypuszczała, znajdowały się pokoje dzieci. Dobrze się domyśliła. Dziecięce głosy stawały się coraz donośniej sze, usłyszała też guwernantkę strofującą swoich podopiecznych. Zapukała do drzwi, tak jak ją uczył Jean, otworzyła je i zobaczyła dzieci. Agathe siedziała na podłodze, trzymając lalkę i grała w coś, a Matthieu bawił się kółkiem, które guwernantka kazała mu natychmiast odłożyć. Wachiwi uśmiechnęła się, a one rzuciły zabawki i rozradowane podbiegły do niej. Rozmawiała z nimi przez kilka minut; powiedziała, że chce wyjść do ogrodu, ale nie wie którędy, a Matthieu już błagał guwernantkę, żeby pozwoliła im zaprowadzić tam Wachiwi. Przytłoczona całym tym zdarzeniem i wizytą Indianki, wyraziła zgodę i chwilę później dzieci ubrane w płaszcze zbiegły schodami, a Wachiwi podążyła za nimi. Na zewnątrz było chłodno, ale słonecznie, wiał ostry listopadowy wiatr, lecz bieganie po ogrodowym

labiryncie, po trawnikach i między grządkami kwiatów rozgrzało i dzieci, i Wachiwi, która ganiała razem z nimi. Świetnie się bawiła, zresztą sama przypominała dziecko. Nikt nie zauważył, kiedy nadszedł ojciec; stał z boku i przypatrywał się zabawie. Jeszcze nigdy nie widział swoich pociech tak rozradowanych. Wachiwi dostrzegła go dopiero wtedy, gdy na niego wpadła, uciekając przed Matthieu. Zdyszana, wystraszyła się na widok Tristana. Przeprosiła go gorąco i wyglądała na zmieszaną.

- Proszę im nie pozwalać, żeby tak panią męczyły! - ostrzegł.

- Uwielbiam się z nimi bawić. - Wachiwi z trudem łapała oddech, a Tristan mógł się przekonać, że mówi szczerze. Mademoiselle skorzystała z okazji, by powiedzieć, że pora się umyć do obiadu, i zabrała Matthieu i Agathe ze sobą. - Ma pan cudowne dzieci! - Naprawdę była nimi zachwycona. - Wspaniale spędziliśmy czas dziś rano. - Mówiła to z uśmiechem, choć żałowała, że już musiały pójść do domu.

- Jak się pani spało?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Była to jedna z kurtuazyjnych odpowiedzi i jedna z pierwszych, jakich nauczył ją Jean. Ale wcale się nie wyspała. Prawie nie zmrużyła oka. - Łóżko jest bardzo wygodne.

Rzeczywiście nie mogła na nie narzekać, ale dręczyły ją złe sny i niepokój o przyszłość, nie mogła zasnąć nawet na luksusowym pościeli. Nie chciała jednak wydać się Tristanowi niewdzięczna. Dobrze wiedziała, że jej los to nie problem markiza, a on jest bardzo uprzejmy z miłości do swojego brata i szacunku dla niego oraz dla kobiety, którą Jean chciał poślubić.

- Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że pani nie marznie. W tym domu bywa trochę chłodno.

Roześmiała się.

- W tipi też.

Spojrzał na nią, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i też się zaśmiał. Była taka otwarta na wszystko, nie bała się być, kim jest ani mówić tego, co myśli, i nie zachowywała się przy tym niestosownie ani niegrzecznie.

- Pański brat powiedział, że ma pan wspaniałe stajnie. - Bardzo pragnęła je zobaczyć, ale nie chciała nic na Tristanie wymuszać.

- Och, bez przesady. Na wiosnę zamierzam kupić kilka nowych koni. Mamy już trochę niezłych wierzchowców. Wykorzystuję je, najczęściej do polowań. - Pokiwała głową. - Chciałaby pani obejrzeć stajnie?

Nie wiedział, co jeszcze jej zaproponować. Planował zjeść z nią południowy posiłek, by okazać uprzejmość, ale obejrzenie wcześniej stajni stanowiłoby miłą rozrywkę. Przypuszczał, że mają ze sobą niewiele wspólnego i rozmowa nie będzie się kleić. Jej i bratu pewnie nie brakowało tematów do rozmowy albo też ich związek sprowadzał się do fizycznego zauroczenia i namiętności. Tristan musiał jednak przyznać, że Jean znakomicie nauczył ją francuskiego. Kiedy popełniała błędy, od razu sama się poprawiała. Jean był dobrym nauczycielem, no i mogła wprawiać się we francuskim przez dwa miesiące na statku. Jean bardzo się starał, szykując dziewczynę do przyjazdu do Francji, wejścia w jego świat.

Wachiwi weszła za Tristanem do stajni i markiz zauważył jej ożywienie. Przechodziła od boksu do boksu, przyglądając się uważnie koniom; czasem wchodziła do przegród,

obmacywała mięśnie na nogach zwierząt. Mówiła coś do nich kojącym tonem, pewnie w języku Siuksów, i wprawnym okiem wyławiała najlepsze jego wierzchowce.

- Pewnie lubi pani konną jazdę. - Był pod wrażeniem, jak swobodnie Wachiwi zachowuje się przy koniach i jak dobrze się na nich zna.

Zaśmiała się.

- Tak. Mam pięciu braci. Jeździłam z nimi, a czasami ścigałam się z ich przyjaciółmi.

- Konno? - Tristan aż się przeraził. Jak żyje, nie widział kobiety, która ścigałaby się na koniach. Ale Wachiwi wiedziała, że markiz nie znał Siuksów, choć sama wyróżniała się wśród nich. Żadne dziewczęta oprócz niej nie ścigały się konno z mężczyznami albo wcale nie jeździły wierzchem. Tristan przypuszczał, że konie, których dosiadała, musiały być oswojone, bardzo spokojne. - Może chciałaby pani wybrać się na konną przejażdżkę tego popołudnia? - podsunął. Miałaby jakieś zajęcie. Traktował ją jak honorowego gościa, którym przecież była. Przypląnęła aż z Nowego Orleanu, żeby wyjść za męża za jego brata, i teraz nie miała nic do roboty, żadnego powodu, aby tu być, a on, Tristan, miał jeszcze mniej powodów, żeby się nią zajmować. Skoro jazda konna mogła wypełnić jej czas, stanowiąc rozrywkę, uznał, że to dobry pomysł. Oczy Wachiwi rozbłysły w chwili, gdy tylko to zaproponował. - Jeździ pani w siodle damskim, oczywiście? - Chciał się upewnić, ale pokręciła głową.

- Nie. - Widywała kobiety w damskich siodłach w Nowym Orleanie, taka jazda wydawała jej się dziwaczna i niewygodna, a także niebezpieczna. Powiedziała o tym w swoim czasie Jeanowi, który tylko się roześmiał i odrzekł, że

będzie się musiała nauczyć jeździć w taki sposób. Był to jedyny raz, gdy go nie usłuchała. Jazda konna stanowiła dla niej świętość.

- A jak pani<sup>woli</sup>? - Rozbawiła go. Nie mógł sobie wyobrazić jej dosiadającej konia okrakiem, po męsku, choć, jak widać, u Siuksów kobiety hołdowały takiemu stylowi.

- W ogóle bez siodła. Tylko z uzdą i lejcami. - Jean nauczył ją tych nazw. - Jeździłam tak przez całe życie. - Nie wspomniała o małej sztuczce, którą potrafiła; potrafiła jeździć konno, przywierając do boku wierzchowca. Tristan był zaskoczony, zaciekawilo go, jak ona właściwie jeździ. - Czy ktoś może nas zobaczyć? - To zdumiało go jeszcze bardziej. - Tylko służba i stajenni.

- Czy mogę ubrać się tak, jak zechcę? - Wystraszył się trochę, lecz przez grzeczność przytaknął ruchem głowy. - Chciałabym włożyć swój stary strój. W tym nie da się normalnie jeździć. - Spojrzała po sobie, na bufiastą suknię, rękawiczki, czepek i pantofle. Miała na sobie wszystkiego za dużo i nie umiałaby w tym dosiąść wierzchowca. - Rób, na co masz tylko ochotę, moja droga - powiedział uprzejmie. Traktował ją po ojcowsku i już nie zwracał się do niej „pani”. - Po południu zrobimy sobie miłą przejażdżkę po wzgórzach. Zauważyłaś w stajniach jakiegoś konia, który szczególnie przypadł ci do gustu? - zapytał, kiedy wracali do zamku. Stajnie znajdowały się w osobnym budynku, wzniesionym później niż zamek. Opisała konia, który najbardziej jej się spodobał. Tristan był przerażony wyborem. - On jest niebezpieczny. Jeszcze nie został całkiem okiełznany. Nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda. - Brat nigdy by mu tego nie przebaczył. Tristan teraz za nią odpowiadał, nawet jeśli nie obowiązywały tu zwyczaje plemienne,

gdzie mężczyzna musiał poślubić wdowę po zmarłym bracie. Zresztą Wachiwi nie została żoną Jeana. I we Francji panowały inne obyczaje. Mimo wszystko Tristan czuł na sobie brzemię odpowiedzialności i starał się zrozumieć, co to właściwie znaczy, jak daleko sięgają jego zobowiązania i co powinien zrobić. Na razie znaczy to zapewnienie Wachiwi rozrywek oraz dachu nad głową, aż znajdzie sobie jakieś inne miejsce. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji może to potrwać całe miesiące, więc zanim coś się zmieni, musieli sobie jakoś radzić. Starał się więc umilać jej czas, ale nie mógł przecież dopuścić, by ryzykowała życie, wybierając na przejażdżkę narowistego konia. Zjedli posiłek w ogromnej jadalni, na skraju wielkiego stołu. Kucharz ugotował bardzo dobrą zupę rybną. Wachiwi zjadła ją ze smakiem oraz mnóstwo sera i owoców, które podano po posiłku. Potem poszła na górę, żeby się przebrać. Kiedy wróciła, Tristan osłupiał, ujrawszy ją owiniętą\* tą pledem. Przywiozła pled ze sobą, a pod nim miała swój strój ze skóry łosia z kolcami i dopasowane spodnie ze skóry łani. Zmieniła też buty na zdobione paciorkami mokasyny, które sama uszyła. Czuła się w tym ubraniu swobodnie, poruszała z gracją. Tristan był zażenowany, miał nadzieję, że nie zobaczy jej żaden ze stajennych. A kiedy szedł za nią do stajni, zauważył, że Wachiwi chodzi niczym tancerka, godna swojego imienia. Nie powiedział nic na temat jej stroju, tylko spytał, czy na pewno zdoła jeździć w tym konno. Wcześniej namawiał ją na innego wierzchowca, ale bezskutecznie. Przekonał się, że im większą wywierało się na nią presję, tym bardziej upierała się przy swoim. Starał się nie zwracać uwagi na miny stajennych, gdy dosiadała konia bez siodła, w swoim ubiorze ze skóry łosia. Wybałuszali

oczy, ale nie odezwali się słowem. Kruczoczarne włosy Wachiwi opadały jej na plecy. Koń zaczął brykać, kiedy tylko poczuł ją na grzbiecie. Tristan zauważył, że od razu jakby stopiła się z koniem i podenerwowany wierzchowiec zaczął się uspokajać. Wyjechała ze stajni bez problemów, kierując nim wprawną ręką, a markiz podążył jej śladem na swoim ulubionym rumaku, pełnym werwy i krzepkim, ale nie narowistym, jak koń Wachiwi. Wydawała się spokojna i zadowolona, kiedy Tristan na nią patrzył, zafascynowany jej umiejętnościami, jak Wachiwi panuje nad koniem. Okiełznała go bez trudu.

Nie odzywali się przez parę minut, jadąc ścieżką, którą Tristan dobrze znał, a kiedy koń Wachiwi zaczął znowu brykać, wystraszyła Tristana, gdy pomknęła naprzód jak strzała. Koń był niezwykle szybki, a ona wydawała się do niego przyklejona. Tristan nie mógł za nimi nadążyć i naraz, patrząc na nią, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z niewiarygodnie zdolną amazonką, lepszą od wszystkich jeźdźców, jakich dotąd widział. Sprawiała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu, gdy galopowała czy przeskakiwała przez żywopłot, doskonale panowała nad koniem, i nie wiadomo, kto miał z tego więcej radości - Wachiwi czy jej wierzchowiec. Patrzenie na nią sprawiało przyjemność. Śmiała się, kiedy Tristan wreszcie ją dopędził. Był zdyszany, a ona nie. Wydawała się przeszczęśliwa i cudownie swobodna. - Przypomnij mi, żebym już nie próbował mówić ci czegokolwiek o koniach. Nie do wiary, że można tak fenomenalnie jeździć, a jeszcze dziwniejsze, że potrafi to kobieta. Rozumiem, dlaczego bracia stawiali na ciebie w wyścigach. Przypuszczam, że nigdy nie przegrali zakładu. Szkoda, że tu niemożliwe są takie zawody. - Wydawał się



mówić to szczerze. Widok Wachiwi jadącej konno było niczym widowisko baletowe, dla Tristana czysta poezja. Nigdy nie miał takiego towarzysza do konnej jazdy, kobiety czy mężczyzny.

- Dlaczego niemożliwe są zawody? - spytała, gdy powoli zawrócili w stronę zamku do dwugodzinnej przejażdżce po wzgórzach. Nie chciała jeszcze wracać, a i markiz też nie miał na to ochoty.

- Kobiety nie biorą udziału w wyścigach konnych - wyjaśnił zwyczajnie, a ona kiwnęła głową.

- Tam, skąd pochodzę, też nie, ścigaliśmy się po kryjomu. - A potem dodała: - Pański brat był dobrym jeźdźcem. - Pamiętała ich ucieczkę z osady szczepu Crow do St. Louis. Jeźdźcy gorsi od nich zginęliby. Oni uszli z życiem dzięki swoim umiejętnościom i doświadczeniu.

- Tak, to prawda.

- I pan też nieźle sobie radzi. - Uśmiechnęła się. - Ta przejażdżka dała mi wiele radości.

Tristan był ostrożniejszy od niej, dosiadł wolniejszego konia, ale mogła się przekonać, że również świetnie jeździ konno. Tyle że nie szaleńczo. Mało kto tak szarżował jak ona.

- Mnie także - przyznał beztrasko. Cieszyło go jej towarzystwo, rozmowa z nią była swobodna i inteligentna. - Sama radość jeździć z tobą konno, Wachiwi. Może twoje ubranie tak działa - droczył się z nią. - To pewnie jakiś magiczny strój.

- Miałam go na sobie, kiedy razem z pańskim bratem uciekaliśmy z osady, w której Indianie Crow trzymali mnie w niewoli. - W tym momencie zdał sobie sprawę, jak mało wie o jej życiu i obyczajach Indian. To, że uczyniono z niej

niewolnicę, przeraziło Tristana. - Pana brat mnie uratował. Uciekaliśmy ile sił przez wiele dni. - Nie powiedziała mu o zabiciu Napayshniego. Nie musiał o tym wiedzieć.

- Wyobrażam sobie, co musieliście przeżywać. - Podziwiał ich, uświadamiając sobie jednocześnie, jak mało wie o jej związku z Jeanem.

- Tak, to było straszne - przyznała ze spokojem. - Próbowałam uciekać, ale zawsze mnie łapali. - Pokazała mu ślad na ubraniu w miejscu, gdzie zraniła ją strzała. Zszyła sukienkę, jednak ślad pozostał, tak jak na ramieniu. Nie pokazała okropnej blizny Tristanowi. Jean ją widział.

- Jesteś bardzo dzielna. - Ta młoda kobieta była nie tylko piękna, miła w rozmowie i doskonale jeździła konno, wyczuwał, że miała też różne zdolności, o których nie wiedział, a przypuszczał, że są wyjątkowe. Wydawała się dziecinna, ale nie brakowało jej rozsądku. Brat jednak wiedział, co robi. Tristan wątpił to w chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, i wydała mu się wtedy tylko egzotyczną pięknoscia. Teraz zmienił zdanie. - Czy twój ojciec to wódz?

Przytaknęła. Podejrzewał, że tak jest, sądząc po jej pewności siebie, godności i gracji.

- Wielki wódz. Biały Niedźwiedź. Bracia też będą pewnego dnia wodzami. Już teraz są dzielnymi wojownikami. -Zauważył, że posmutniała. Tęskniła za nimi bardzo i często o nich myślała. Łzy napłynęły jej do oczu, wiedziała, że już nigdy nie zobaczy braci. - Dwaj zginęli w walce, kiedy próbowali mnie odbić wojownikom Crow. Tych, którzy ocaleli, już więcej nie widziałam. Gdybym wróciła do swoich, Crow wzięliby odwet na to, że od nich uciekłam. Podarowano mnie ich wodzowi.

- Nie do wiary. - Tristan był poruszony opowieścią, zastanawiał się, co jeszcze kryje się w przeszłości Wachiwi poza tą zdumiewającą historią. Wprowadzili konie do stajni, a potem wrócili do zamku. Do tego czasu zrobiło się już późno. Jeździli dłużej, niż zaplanowali, ale przejażdżka obojgu sprawiła przyjemność. Tristan był zmęczony, ale Wachiwi tryskała energią. Jazda galopem po wzgórzach podniosła ją na duchu. - Wyjeżdżam jutro do Paryża na kilka dni - oznajmił Tristan, zanim zostawił ją samą.

- Na dwór królewski? - spytała z zaciekawieniem, zupełnie jak Matthieu albo Agathe.

- Pewnie tak. Mam też inne sprawy do załatwienia. Kiedy wrócę, pojeździmy konno. Pokażesz mi parę jeździeckich sztuczek? Roześmiała się głośno.

- Nauczę pana jeździć na koniu jak Siuks.

- Po tym, co dziś widziałem, chętnie spróbuję. Dziękuję ci, Wachiwi. - Odwzajemnił uśmiech i ruszył wielkimi schodami do apartamentu.

Kiedy Wachiwi wracała do siebie, usłyszała odgłosy zabawy w pokoju dziecięcym. Zamiast pójść prosto do siebie, postanowiła tam zajrzeć. Zapomniała, że ma na sobie strój ze skóry łosia; gdy weszła do pokoju, dzieciaki patrzyły na nią urzeczone.

Guwernantką była wstrząśnięta, odwróciła się na tak odrażający widok. - Widziałem z okna, jak jeździłaś z tatą - powiedział Matthieu. - Podobało mi się, jak galopowałaś.

- Tak - przyznała. - Czasami to lubię.

- A ja nie znoszę koni - wtrąciła Agathe, a Wachiwi nie próbowała jej przekonywać. Patrząc z dziecięcej perspektywy, to zupełnie zrozumiałe.

- Nauczysz mnie tak jeździć? - zapytał ją Matthieu z rozmarzeniem.

- Jeśli twój tato się zgodzi, to chętnie. - Nie powiedziała mu, że markiz też chciał się nauczyć jeździć w ten sposób i zwrócił się z taką prośbą. Może udzielaniem im lekcji jazdy konnej mogłaby się zrewanżować za ich serdeczną gościnność. Czuła się bezużyteczna. Nie przybyła tu, żeby siedzieć beczynnie; miała zostać żoną Jeana. Teraz musiała sobie znaleźć jakieś zajęcie.

Nauczanie markiza i jego syna konnej jazdy w stylu wojowników z plemienia Siuksów byłoby rozrywką dla niej, a może i dla nich.

- Musisz poprosić ojca. Będzie tak, jak on zdecyduje - odparła roztropnie, gdy guwernantka fuknęła i spiorunowała ją wzrokiem. Nigdy nie widziała nic tak szokującego jak kobieta w stroju ze skóry i powiedziała o tym Agathe, kiedy Wachiwi wyszła.

- A mnie się spodobał! - stwierdziła dziewczynka wojowniczo. - Te niebieskie kolce są śliczne. Mówiła, że sama je zafarbowała jagodami. - Agathe była dumna z nowej przyjaciółki. Milej było mieć koło siebie wesołą dziewczynę, która odnosiła się do nich przyjaźnie, niż wiecznie niezadowoloną ponurą mademoiselle.

- To obrzydliwe. - Guwernantka odwróciła się i zaczęła odkładać zabawki.

W swoim pokoju, wyglądając przez okno na ocean, Wachiwi myślała o dzieciach Tristana. Wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Nie chciała zalotników ze swojej osady ani Napayshniego. Jedyne mężczyzna, którego pokochała i zapragnęła poślubić, to Jean. Odszedł na zawsze. Łza spłynęła po jej policzku, kiedy o tym pomyślała. Ale przynajmniej mogła być miła dla jego najbliższych, dopóki pozwalano jej

tu zostać. Rozumiała, że prędzej czy później będzie musiała stąd odejść. Nie mogła tu pozostać bez Jeana.

Następnego dnia, jeszcze przed świtem, wyglądała akurat przez okno i zobaczyła, że Tristan wybiera się konno do Paryża; wyjeżdżał ze stajni razem ze swoim lokajem i stajennym. Prawie nie korzystał z powozu, odkąd owdowiał. Matthieu powiedział jej wcześniej, że ojciec i służący przenocują w zajezdzie. Będą jechać przez dwa dni po piętnaście godzin, a potem zatrzymają się w paryskim domu markiza. Tristan jej zdradził, że nie lubi wyjazdów do Paryża. Wolał spokojne życie w Bretanii i miał zbyt dużo zajęć w majątku, żeby tracić czas na wizyty u króla. Od śmierci żony jeździł tam rzadko, nie chciał jednak urazić monarchy, więc bywał u niego od czasu do czasu.

Wachiwi trudno było sobie wyobrazić, jak jest na królewskim dworze. Jean opisywał jej to miejsce, lecz ona wciąż miała przed oczami obraz kobiet, wyglądających jak jego kuzynka Angeliq̄ue, a to ją odstręczało. Jean wspominał o mnóstwie świec i luster, wielkich stołach podczas wystawnych uczt, o muzyce, tańcach i skomplikowanych intrygach, które wydawały się nie mieć sensu. Mówił też, że dużo osób liczy na łaski ze strony króla i królowej, dlatego nie przebierają w środkach, byle tylko zdobyć ich względy.

Nie umiała sobie wyobrazić w tym wszystkim Tristana, choćby tego, jak tańczy. Wydawał się takim trzeźwo myślącym i spokojnym człowiekiem, który czuje się najszcześniejszy na koniu albo ze swoimi dziećmi. Nie pasowały do niego wyszukane, dziwaczne stroje, satynowe spodnie czy pudrowana peruka; dobrze, że nie będzie musiała tego oglądać. Lubiła go takiego, jakim był tu, na miejscu, w Bretanii.

Patrzyła, gdy wyjeżdżał z zamku z dwoma służącymi. Zaczęło padać, kiedy zniknęli z widoku, a Wachiwi wiedziała, że podróż do Paryża potrwa długo. Miała nadzieję, że Tristan się nie zaziębi ani nie rozchoruje. Śmierć Jeana uświadomiła jej, że dopada nawet najsilniejszych. A Wachiwi już polubiła Tristana i nabrała dla niego szacunku. Był jak starszy brat, którego straciła i za którym tęskniła; Jean kiedyś opowiadał jej o Tristanie; kochał go i szanował. Wachiwi odniosła wrażenie, że to ktoś taki, na kogo zawsze można liczyć. Czuła się zakłopotana, że bez Jeana jest od niego uzależniona. Na razie Tristan i jego dzieci byli dla niej wszystkim. Modliła się, żeby wrócił bezpiecznie z Paryża, dla dobra i swoich dzieci, i jej.

## Rozdział 14

### Brigitte

Samolot wyleciał do Paryża z lotniska Kennedyego w piątek tuż przed północą. Brigitte wyglądała przez okno, rozmyślając o tym, co zamierza zrobić. Zamierzała pojechać do Bretanii, ale najpierw chciała się udać do Biblioteki Narodowej w Paryżu. Wydawało się to proste, kiedy wyobrażała sobie, jak chodzi po archiwach; musiała tylko poszukać hasła „markiz de Margerac” i sprawdzić, jakie mają o nim informacje. Wiedziała już, że ożenił się z Wachiwi, ale liczyła, że dowie się o nich więcej. Potem pojedzie pociągiem do Bretanii.

Przez ostatni tydzień szlifowała francuski. Nieźle znała język w college'u i napisała po francusku kilka dobrych wypracowań, ale nie posługiwała się nim od szesnastu lat. Przed wyjazdem często słuchała taśm Berlitz'a. Ale kiedy stewardesa linii Air France odezwała się do niej po francusku, Brigitte zaniemówiła. Zrozumiała, co kobieta mówi, ale nie potrafiła odpowiedzieć. Miała nadzieję, że w państwowych archiwach znajdą angielski. Zamierzała wybrać się tam w poniedziałek.. Zarezerwowała sobie pokój w hoteliku na lewym brzegu Sekwany, który ktoś z biura polecił jej przed laty. Oboje z Tedem chcieli pojechać do Paryża, ale podróż nigdy nie doszła do skutku. Zamiast tego wybrali się zobaczyć wielki kanion i targi sztuki w Miami. Nigdzie dalej nie dotarli. A teraz ona leciała do Paryża sama, a on zaczynał pracę na wykopaliskach w Egipcie. Ich drogi rozeszły się na zawsze. Brigitte podobała się jednak ścieżka, którą teraz podążała; dobrze się na niej czuła. Kiedy następnego ranka wylądowała w Paryżu, pogoda była piękna. Wciąż jeszcze panował spory chłód i czuło się zimą, ale słońca nie brakowało. Z lotniska pojechała taksówką do hotelu. Udało jej się powiedzieć kierowcy po francusku, dokąd mają jechać, a on zrozumiał, co uznała za swoje wielkie osiągnięcie. Podróżowała z nowym paszportem, stary stracił już ważność, dawno nie wyjeżdżała za granicę. Gdy wjechali do miasta, była podekscytowana, aż zakręciło jej się w głowie. A taksówkarz wybrał świetną trasę. Przejechał przez Pola Elizejskie, gdzie Brigitte mogła zobaczyć Łuk Triumfalny, przez plac de la Concorde pełen panien młodych, Japoniek, które pozowały do zdjęć w sukniach ślubnych, a potem jechali lewym brzegiem Se-

188

kwany aż do hotelu. Po drodze widziała w przelocie wieżę Eiffla. Niewielki hotel był czysty, a pokój maleńki. Po drugiej stronie ulicy znajdowało się bistro, przecznicę dalej miała drogerię i pralnię chemiczną - wszystko, co mogłoby się przydać. Po załatwieniu formalności w recepcji, po francusku - to też sukces - poszła do kafejki, usiadła przy stoliku na zewnątrz i zamówiła lunch. Do tej pory szło jej świetnie i czuła się panią swojego losu, gdy tak obserwowała ludzi przechodzących ulicą. Mnóstwo było całujących się par, przejeżdżali faceci na skuterach z dziewczynami obejmującymi ich z tyłu, ale czasem kierowały kobiety, a mężczyźni siedzieli z tyłu. Paryż wyglądał jak miasto zakochanych, ale Brigitte nie czuła się w nim samotna. Była szczęśliwa i podekscytowana, cieszyła się, że tu jest; nie mogła się doczekać poniedziałku, kiedy wybierze się do archiwów. Liczyła, że znajdzie kogoś mówiącego po angielsku, kto jej pomoże; jeśli nie, może poradzi sobie ze swoim łamanym francuskim. Zadziwiało ją, że nawet się nie bała. Wszystko, co robiła, wydawało się w porządku.

Po lunchu spacerowała wąskimi uliczkami nad brzegiem Sekwany, nawet odnalazła drogę do hotelu, nie prosząc nikogo o pomoc. Wieczorem leżała na łóżku i przeglądała notatki dotyczące Wachiwi. Chciałaby dowiedzieć się czegoś o niej i o markizie, na przykład o ich wizycie na dworze francuskim, a może znaleźć informację, gdzie się poznali, jeśli to miało jakieś znaczenie. Wiedziała, że Wachiwi poślubiła markiza i urodziła mu dzieci. Jednakże odszukanie jakiegoś śladu z jej pobytu na dworze byłoby dodatkową nagrodą lub, jak mówili Francuzi, *la cerise sur le gâteau*, wisienką na torcie.



W niedzielę spacerowała po St. Germain des Pres i wstąpiła do kościoła. Wybrała się też do Luwru i nad Sekwanę. Czuła się jak turystka, stała i patrzyła na wieżę Eiffla; miała nadzieję, że rozbłyśnie ona na dziesięć minut jak co godzinę w nocy. Nie zapowiadało się jednak, że tak będzie w dzień. Uwielbiała to piękne miasto, stanowiące część jej dziedzictwa. Podobnie jak Irlandia, z którą wiązała ją postać ojca, lecz Brigitte nigdy nie interesowała się szczególnie tym krajem, nic jej tam nie ciągnęło. Francja była bardziej romantyczna, czytała o niej z większą przyjemnością. Zawsze interesowała się historią tego kraju, może dlatego, że matka dużo na ten temat mówiła, a po jedenastym roku życia, gdy ojca już nie było, jej powiązania z irlandzkimi przodkami zanikły.

W niedzielę, która minęła niespodziewanie szybko, Brigitte zjadła obiad w bistro naprzeciwko hotelu. Jedzenie nie było nadzwyczajne, ale znośne, a wieczorem znów wybrała się nad Sekwanę i patrzyła na przepływające rozświetlone *Bateaux Mouches*. Z daleka mogła dostrzec katedrę Notre Dame, a wieża Eiffla wreszcie zaczęła świecić. Iluminacja zachwyciła Brigitte, cieszyła się widokiem jak rozradowane dziecko. Taksówkarz powiedział jej w drodze z lotniska, że wieża migocze tak przez dziesięć minut co godzinę od roku 2000. Nawet Paryżanie uwielbiali patrzeć na fantastyczną grę świateł.

Tego wieczoru Brigitte kładła się spać pełna wrażeń, a rano obudziła się wcześnie. W hotelowym lobby serwowano na śniadanie rogaliki i kawę, poczęstowała się więc, potem pojechała taksówką do Biblioteki Narodowej. Mieściła się przy Quai François Mauriac i była już otwarta. Brigitte podeszła do informacji i wyjaśniła, czego szuka i z jakich

lat. Skierowano ją na górę, gdzie bibliotekarka wcale nie kwapiła się do pomocy. Wyglądała na zirytowaną i nie mówiła po angielsku. Nie czuło się tu przyjaznej atmosfery jak u mormonów w Salt Lake City.

Brigitte starannie napisała na kartce, jakiego rodzaju publikacji szuka, na jaki temat i z jakiego okresu, a kobieta oddała jej kartkę, mówiąc coś szybko ostrym tonem; sądząc po minie, nic miłego.

Brigitte nie wiedziała, co robić, o mało nie wybuchnęła płaczem, ale opanowała się, odetchnęła i spróbowała jeszcze raz.

Bibliotekarka wzruszyła ramionami, rzuciła jej ze złością kartkę i odeszła. Brigitte patrzyła za nią i miała ochotę ją uderzyć, lecz czując się zupełnie bezradnie, zaczęła zbierać się do wyjścia.

Wiedziała, że niczego nie wskóra. Chciała wszystko przeanalizować i zastanowić się, co dalej. Może powinna zapomnieć o poszukiwaniach w Paryżu i pojechać prosto do Bretanii. Odwróciła się, żeby odejść, i w tym momencie wpadła na mężczyznę stojącego za nią. Już myślała, że też na nią nakrzyczy, ale on się uśmiechnął.

- Może mógłbym pani pomóc? Nie są tu zbyt uprzejmi dla cudzoziemców. Trzeba bardzo dokładnie wiedzieć, czego się szuka - powiedział świetną angielszczyzną. Musiał słyszeć jej rozmowę z bibliotekarką. Wyciągnął rękę po kartkę i Brigitte podała mu ją bez słowa. Wyglądał na czterdzieści parę lat. Był Francuzem, ale mówił po angielsku z brytyjskim akcentem, jak niektórzy wykształceni jego rodacy. W każdym razie płynnie posługiwał się tym językiem. Miał na sobie dżinsy, parkę i mokasy; ciemne włosy przypominały odcieniem włosy Brigitte. Zwróciła uwagę na jego ładne brązowe oczy o ciepłym spojrzeniu i miły uśmiech. Z kartką w dłoni podszedł do biurka, od którego

ona właśnie odeszła. Pojawiła się ta sama bibliotekarka, a on wyjaśnił jej płynnie po francusku, czego Brigitte, jak mu się wydawało, szuka. Skinęła głową, zniknęła na chwilę, po czym wróciła i powiedziała, dokąd należy się udać. Nie zapytał o nic innego niż wcześniej Brigitte, tyle że wyraził to jaśniej.

- Przykro mi. Personel nie jest tu życzliwy. Często bywam w archiwum. Pokażę, gdzie można znaleźć potrzebne pani informacje. W zeszłym roku pisałem książkę o Ludwiku XVI. Natrafiłem tu na ciekawe materiały z tego okresu.

- Jest pan pisarzem? - zapytała, kiedy prowadził ją do odpowiedniego działu. Stały tam biurka, krzesła i ławy oraz mnóstwo regałów z książkami.

- Historykiem, który zamienił się w pisarza, bo nikt teraz nie interesuje się historią, póki się jej nie podkoloryzuje, żeby stała się ciekawsza. A prawda jest taka, że historie, które wydarzyły się naprawdę, są bardziej intrygujące, tyle że nie aż tak dobrze opisane. Czy pani też pisze? - Z uśmiechem oddał jej kartkę. Był średniego wzrostu i miał lekko zmierzwione włosy, co nadawało mu chłopięcy wygląd. Nie był seksowny, po prostu sympatyczny. Brigitte uśmiechnęła się na myśl, że Amy uznałaby go za „fajnego”.

- Jestem antropologiem - odparła. Szukam pewnych faktów z historii rodzinnej dla mojej matki. Właściwie sama się tym zainteresowałam i chyba teraz robię to też dla siebie. Chciałabym znaleźć jakieś dzienniki dotyczące dworu francuskiego. Może zna pan jakieś? - Wydawało się, że tylko z jego pomocą jest szansa na znalezienie czegokolwiek.

- Mają tu mnóstwo. Trzeba tylko przez nie przebrnąć. Chodzi o coś konkretnego?

- Szukam jakichś relacji na temat Indian z plemienia Siuksów, których Ludwik XVI zaprosił jako gości na dwór, i mojego przodka markiza.

- To interesujące. Powinna pani napisać o tym powieść - zażartował.

- Piszę tylko akademickie rozprawy, które nie przynoszą żadnych pieniędzy i usypiają ludzi.

- Też zajmowałem się czymś takim, dopóki nie zacząłem pisać powieści historycznych, a to naprawdę świetna rozrywka. Można bawić się faktami historycznymi i dodawać fikcyjne postacie do prawdziwych, a potem sprawić, żeby zachowywały się tak, jak chcemy. - Wydawał się zainteresowany tym, co robi Brigitte, i okazał się bardzo pomocny.

Potem zajął się swoimi sprawami. Brigitte przejrzała stos dzienników, nie znalazła jednak żadnej wzmianki o Wachiwi ani o de Margeracach, wyglądało więc, że to stracony dzień. Znów wpadła na pisarza, kiedy późnym popołudniem wychodziła z archiwów. Spędziła cały dzień na poszukiwaniach i nie zrobiła sobie nawet przerwy na lunch. Miała ze sobą jabłko w torebce i zjadła je podczas czytania.

- Znalazła pani coś? - zapytał z zainteresowaniem. Pokręciła głową, zawiedziona. - Trzeba szukać dalej. Z pewnością na coś pani natrafi. Wszystko tu mają - powiedział spokojnie. Tyle że on wiedział, jak się poruszać w tutejszym archiwum, a ona nie.

- Nad czym pan teraz pracuje? - zagadnęła, gdy wyszli razem z budynku. - Piszę książkę o Napoleonie i Józefinie. Nie jest to jakiś niezwykle temat, ale pisanie o tym sprawia mi przyjemność. Uczę literatury na Sorbonie i z tego płacę rachunki. Książki pomagają mi się utrzymać.

Był wobec niej przyjazny i otwarty, a gdy tak stali na frontowych schodach po wyjściu z budynku, przedstawił się: Marc Henri. Nazwisko zabrzmiało znajomo, ale należało przecież do dość popularnych nazwisk we Francji.

Zobaczyła go znów następnego dnia; przyszedł, po południu, gdy szperała w zbiorach. Wciąż jeszcze nie znalazła nic interesującego. Była zmęczona czytaniem po francusku i zagładaniem co chwila do słownika.

- Jak nazywał się pani przodek, markiz? Może uda mi się go znaleźć. - Chciał jej pomóc, zapisała mu więc nazwisko na kartce.

- Możemy poszukać w odnośnikach.

Pięć minut później Marc natknął się na wzmiankę o markizie. Brigitte była zakłopotana, widząc, jak łatwo mu poszło. Szukanie w zbiorach okazało się kłopotliwe, no i francuski to nie jej ojczysty język.

Razem udało się im dotrzeć do informacji o Tristanie de Margeracu i znaleźli jego paryski adres z roku 1785. Dom znajdował się na lewym brzegu Sekwany i Brigitte wydawało się, że to niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymała. Zastanawiała się, co teraz mieści się w tym budynku. Nie dowiedzieli się jednak nic o żonie markiza.

- Może jutro znajdziemy coś o nim w jakichś dziennikach - Marc nie tracił nadziei - jeśli często bywał na dworze. Mieszkał cały czas w Paryżu? - Nie, siedziba rodu znajdowała się w Bretanii. Zamierzam pojechać tam w przyszłym tygodniu, żeby zobaczyć ich zamek. - Ma pani bardzo osobliwych przodków - zażartował i oboje się roześmiali. - Moi byli biedakami albo duchownymi, albo siedzieli w więzieniu. A o co chodzi z tymi Indianami z plemienia Siuksów, których pani szuka? Jest pani

z nimi spokrewniona? - Przekomarzał się z nią i wcale się nie spodziewał, że Brigitte przytaknie, tymczasem ona pokiwała głową.

- Markiz ożenił się z Indianką. Pochodziła ze szczepu Siuksów i była córką wodza z Dakoty Południowej. Próbuję ustalić, gdzie ją poznał. Myślę, że na dworze królewskim. Ale nie wiem, skąd się tam wzięła i jak to się stało, że przyjechała do Francji. To niesamowita dziewczyna.

- Z pewnością, skoro francuski arystokrata ją poślubił. Warto byłoby wiedzieć, jak do tego doszło, prawda? Fascynująca historia. - Brigitte opowiedziała mu o swoich poszukiwaniach w bibliotece mormonów i na uniwersytecie Dakoty Południowej, co go zaintrygowało. - Teraz rozumiem, czemu pani drażni ten temat. Też przeżywam emocje, kiedy czytam o Józefinie Bonaparte. To także ciekawa osobowość. Podobnie jak Maria Antonina. Dam pani książki o nich, ale wszystkie są po francusku.

Kiedy wychodzili z biblioteki, zaproponował, żeby poszli się czegoś napić, i Brigitte zachwycona tym, że mają wspólne zainteresowania historią, zgodziła się chętnie. Zwykle nie chodziła nigdzie z nieznanymi, ale w pobliżu znajdowała się akurat kafejka, a Marc wydawał się miłym człowiekiem.

- Proszę mi powiedzieć, czym się pani zajmuje poza tropieniem krewnych po całej Francji? - zapytał, kiedy usiedli przy stoliku w kawiarni. - Pracowałam w dziale rekrutacji na Uniwersytecie Bo-stońskim przez dziesięć lat. - Już miała mu powiedzieć, że sama zrezygnowała z pracy, postanowiła jednak wyjawić mu prawdę. - Wyrzucili mnie. Znaczą zwolnili; komputer wykonuje moją pracę.

- Przykro mi. Co zamierza pani teraz robić?

- Na razie to, co robię. Potem prawdopodobnie poszukam sobie pracy w dziale rekrutacyjnym na innej uczelni. Dużo jest ich w Bostonie, tam mieszkam.

Uśmiechnął się.

- Robiłem magisterium z literatury na Harvardzie oraz w Oksfordzie. Bardziej podobało mi się w Bostonie. W którym miejscu pani mieszka?

Objasniła mu i stwierdził, że wynajmował mieszkanie cztery przecznice dalej. To zabawny zbieg okoliczności; Brigitte uświadomiła sobie, dlaczego jego nazwisko wydało jej się znajome.

- Pan napisał książkę o małym chłopcu, który szuka po wojnie swoich rodziców, prawda? Czytałam ją w przekładzie.

Wzruszająca powieść. Oni działali w ruchu oporu i zostali zabici, a jakaś inna rodzina wzięła go do siebie, potem ten chłopiec ożenił się z ich córką. To najbardziej urocza książka, jaką kiedykolwiek czytałam, chociaż bardzo smutna.

Marc się ucieszył.

- Ten chłopiec to mój ojciec. Tak naprawdę chodzi tam o moich rodziców. Matka była córką tych ludzi, którzy wzięli go do siebie. A dziadek i babcia zginęli, działając w ruchu oporu. To moja pierwsza książka. Poświęciłem ją im.

- Pamiętam, że czytając ją, płakałam jak bóbr.

- Ja też, kiedy ją pisałem.

Książka zrobiła wrażenie na Brigitte. Nawet w przekładzie okazała się świetna i przejmująca. Brigitte powracała do niej myślami długo po jej przeczytaniu.

- Pani przypomina Indiankę - powiedział, spoglądając na nią.

- Bibliotekarka z mormońskiej Biblioteki Historii Rodzinnej też tak stwierdziła. Pewnie zasugerowała się kolorem włosów.
- Podoba mi się pomysł, że ma pani domieszkę indiańskiej krwi. To egzotyczne. I frapujące. Większość naszych historii rodzinnych jest nieciekawa, a proszę spojrzeć na swoją. Indiańska prapraprababka, która przyjechała z Ameryki i poślubiła markiza.
- To jeszcze nie wszystko. Została porwana przez inny szczep i uciekła od człowieka, który ją więził. Może nawet go zabiła, a potem umknęła z Francuzem, w każdym razie z jakimś białym człowiekiem, i wylądowała tutaj. Nie lada wyczyn jak na kobietę żyjącą w XVIII wieku.
- Silne geny. - Nie krył podziwu. Ale i u niego było podobnie; Brigitte przypominała sobie książkę. Jego dziadkowie byli bohaterami wojennymi i zostali odznaczeni pośmiertnie przez de Gaulle'a. Uratowali życie wielu osobom, zanim utracili swoje. - A co dalej z pani życiem? Pisze pani książki akademickie i do niedawna pracowała na uniwersytecie. Jest pani mężatką? - Chciał się dowiedzieć o niej więcej, podobnie zresztą jak ona o nim. Ale nie traciła rozsądku. Bez względu na to, jak atrakcyjny był Marc, Brigitte wracała za parę dni do domu, a on mieszkał tutaj. Nawet jeśli się polubią, mogą zostać tylko przyjaciółmi. Nie przepadała za przygodnym seksem ani spaniem z mężczyznami, których już nigdy nie zobaczy. I wciąż czuła się zraniona po rozstaniu z Tedem. Tak więc co najwyżej mogła zaprzyjaźnić się z Markiem.
- Nie. Mam trzydzieści osiem lat i nigdy nie byłam zamężna; właśnie rozstałam się z chłopakiem kilka tygodni temu. Też pracował na uniwersytecie.



- Ach, więc oboje byliście pracownikami naukowymi. Czemu się rozstaliście? - Wiedział, że to zbyt osobiste pytanie, ale był ciekaw powodu.

- Wyjechał do Egiptu prowadzić wykopaliska. Jest archeologiem i chce zostać tam przez kilka lat. Uznał, że będzie lepiej, jeśli każde z nas pójdzie swoją drogą.

Zaskoczyła go tym.

- A pani? Była pani załamana? - Wpatrywał się w jej oczy.

- Raczej zawiedziona. - Wzruszyła ramionami. - Myślałam, że to będzie trwać wiecznie. Myliłam się. - Starła się wypowiadać rzeczowo, choć emocje wciąż dawały o sobie znać. Rana jeszcze się nie zagoiła.

- Byłem w podobnym związku. Spotykałem się z pewną kobietą przez dziesięć lat i rozstaliśmy się w zeszłym roku. Doszła do wniosku, że nie ma ochoty wychodzić za mąż i mieć dzieci. Myślałem, że tego chce. Czekałem, aż skończy akademię medyczną. A po studiach już mnie nie chciała. Po tych dziesięciu latach poczułem się jak głupiec. Ale uświadomiłem sobie, że już od dawna nie byliśmy zakochani. Durzyliśmy się w sobie na początku, potem spotykaliśmy się ze sobą tylko dlatego, że to wydawało się łatwe i wygodne. To tak, jakby się dryfowało z prądem rzeki; a pewnego dnia budzisz się w miejscu, w którym nie chcesz być, z kimś, kogo, jak sobie uświadamiasz, wcale nie znasz. Też nigdy nie byłem żonaty. Po tym wszystkim nie jestem nawet pewien, czy chciałbym się ożenić. Zmarnowałem dziesięć lat życia. Teraz cieszę się wolnością i robię, co mi się podoba. Nie żałuję, że się z nią rozstałem, ale szkoda, że tak długo pozostawałem w tym układzie. Myślałem, że nasz związek dojrzeje, ale to nigdy nie nastąpiło. - To samo przydarzyło

się Brigitte z Tedem. Ich związek nigdy nie dojrzał. - Trochę trwało, zanim się pozbierałem, ale już wszystko w porządku. Zostaliśmy przyjaciółmi. Od czasu do czasu umawiam się z nią na obiacy. Nie poznała jeszcze nikogo nowego i myślę, że chciałaby do mnie wrócić, ale ja nie mam na to ochoty. Podoba mi się teraz moje życie.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy ja i Ted zostali przyjaciółmi. Także odległość temu nie sprzyja. A poza tym ja byłam załamana... swoimi błędami. Zakładałam z góry wiele rzeczy, które się potem nie sprawdziły. Przeoczyłam znaki ostrzegawcze.

- Wszyscy czasem tak postępujemy. I mnie to się przydarzyło. Mam teraz czterdzieści dwa lata i jestem kawalerem. Oczekiwałem czegoś innego, ale z tym, co jest, czuję się dobrze. - Pogodził się z sytuacją, podobnie jak Brigitte, która zaakceptowała odejście Teda.

- Też myślałam, że będzie inaczej - odparła cicho. - Czuję się jak kobieta z plakatów z napisem: „Och, zapomniałam urodzić dzieci”, ale pogodziłam się z tym. Zbyt długo sama byłam dzieckiem. Praca na uniwersytecie daje takie złudzenie. Zapominamy, ile mamy lat. Wydaje nam się, że wciąż jesteśmy studentami.

- Racja. Lubię zajęcia, które prowadzę, ale nie chciałbym być tam zbyt długo. To zaściankowy styl życia. - Marc dopił wino z kieliszka i się uśmiechnął. - Może się przejdziemy i zobaczymy, gdzie mieszkali pani wspaniali przodkowie?

Tego dnia Brigitte zanotowała w bibliotece ich adres.

- Z przyjemnością. - Ujął ją otwartością i szczerością, poza tym ciekawie się z nim rozmawiało. Bardzo go polubiła. Żałowała, że Marc nie mieszka w Bostonie, miałaby dobrego przyjaciela.

Wyciągnęła z torebki kartkę z adresem i okazało się, że Marc go pamięta. Było to zaledwie o kilka przecznic od jej hotelu, przy rue du Bac. Z łatwością odnaleźli poszukiwany numer i przyjrzeni się budynkowi. Niegdyś piękny, teraz wymagał remontu. Drzwi na podwórze stały otworem i weszli do środka. Marc wyjaśnił jej, wskazując tabliczki, że w domu znajdują się biura rządowe, podobnie jak w niektórych pięknych starych budynkach na lewym brzegu Sekwany. Z łatwością mogli sobie wyobrazić, jak wyglądał kiedyś, z wysokimi oknami i przegrodami na powozy, gdzie teraz mieściły się garaże. Marc stwierdził, że po drugiej stronie budynku prawdopodobnie był duży ogród. To urocze miejsce zrobiło wrażenie na Brigitte; Tristan de Margerac mieszkał tutaj podczas pobytów w Paryżu i niemal na pewno towarzyszyła mu Wachiwi. Korzystali z tego domu, podczas pobytu w mieście, gdy wybierali się na dwór królewski. Marc odprowadził Brigitte do hotelu i spytał, czy wybiera się nazajutrz do archiwów, a ona odparła, że tak. Zaproponował wspólny lunch i się zgodziła. Przyjemnie było mieć kogoś, z kim można porozmawiać. Brigitte pasjonowała historia Wachiwi, Marc poszukiwał materiałów do książki.

Następnego dnia, gdy przyszła do biblioteki, czekał już na nią w holu. Wcześniej wyszukał dla niej kilka odnośników i tym razem trafiła w dziesiątkę, kiedy je sprawdziła. Aż pisnęła z radości i pobiegła poszukać Marca. Natknęła się na dziennik, w którym dama dworu pisała o markizie de Margeracu i jego pięknej młodej indiańskiej narzeczonej. Była na ich ślubie w małym kościele przy rue du Bac. Po ślubie odbyło się w domu małe wesele, a dzień później świeżo upieczona markiza została przedstawiona królowi

i królowej na dworze; autorka pamiętnika wspomniała nawet o imieniu Wachiwi.

Brigitte zadrżała z emocji na wieść, że ich przyjęcie weselne odbyło się w domu, który oglądała wraz z Markiem poprzedniego wieczoru. To było niesamowite i takie realne. Wciąż jednak nie wiedziała, jak Wachiwi dostała się do Francji. A później tego popołudnia jakimś cudem natknęła się na inne dzienniki tej samej kobiety, gdzie dworka opisywała życie na dworze. Wspominała o narodzinach pierwszego dziecka Tristana i Wachiwi oraz jego chrzcinach. Nazwali chłopca imieniem zmarłego młodszego brata markiza, który towarzyszył Wachiwi w podróży z Ameryki do Francji. Podobno ją uratował i zamierzał poślubić, ale zmarł podczas rejsu. Potem Wachiwi wyszła za markiza. A więc tak dostała się do Francji. Młodszy brat Tristana, hrabia Jean, ocalił ją i przywiózł z Nowego Orleanu do Bretanii na statku - tak zostało odnotowane w dzienniku. Francuz, wspomniany w przekazywanych ustnie opowieściach z Dakoty Południowej, to prawdopodobnie właśnie on. Chcąc nie chcąc, Brigitte zastanawiała się, czy wódz z plemienia Crow, którego Wachiwi podobno zabiła podczas ucieczki, nie zginął przypadkiem z ręki Jeana, kiedy ten ją ratował. Pewnie nikt nigdy się nie dowie, jak hrabia ją znalazł. W dziennikach wspomniano też o wodzach Siuksów; od czasu do czasu pojawiali się na dworze, ale najwidoczniej Wachiwi nie była z nimi spokrewniona. Autorka pamiętników uznawała zainteresowanie króla Indianami za dziwną słabość do dzikusów. Uważała, że są niesforni, ale o Wachiwi wypowiadała się w samych superlatywach i twierdziła, że to cudowna dziewczyna i wspaniała żona dla markiza.

Brigitte przejrzała jeszcze kilka jej dzienników, lecz nie znalazła już wzmianek o markizie i jego małżonce. Ale miała już wszystko. Była podekscytowana, opowiadając o tym Marcowi pod koniec dnia, kiedy wybrali się na drinka. On również miał dobry dzień, natknął się na ciekawe pamiętniki, w których wspomniano o Józefinie, pisane przez jej dworki i najlepszą przyjaciółkę.

- Co zamierzasz z tym zrobić, Brigitte? - Teraz już zwracali się do siebie po imieniu.

- Przekażę informacje matce do jej historii rodzinnej. Taki miałam cel.

- Nie byłoby sprawy, gdyby twoi przodkowie okazali się zwyczajnymi ludźmi, ale nie są. Ta dziewczyna jest niesamowita. Musisz napisać o niej książkę. Jeśli ją trochę zbeletryzujesz, będzie to niezwykła powieść. Nawet wtedy, gdy opiszesz wszystko tak, jak się działo. Tak, jak ja o swoich dziadkach i rodzicach. Czasami prawdziwe romanse są najwspanialsze. Brigitte nie wydawała się do końca przekonana do tego pomysłu, choć z przyznała w duchu, że jest na pewno bardziej interesujący niż pisanie o prawach wyborczych kobiet. Obawiała się tylko, że nie opíše dobrze historii Indianki i nie ukaże jej postaci w pełni.

- Zafascynowałam się Wachiwi, bo jesteśmy spokrewnione. Sądysz, że inni ludzie też się nią zainteresują? - Pisanie takiej książki byłoby wykroczeniem poza dziedzinę, do której przywykła.

- Oczywiście. Przeczytałaś moją książkę o ojcu, a on był w niej tylko małym chłopcem. Ta dziewczyna została porwana przez Indian, przepłynęła przez ocean, dotar-

ła na inny kontynent i poślubiła arystokratę. Czego więcej chcesz? Wiesz, co się z nimi działo podczas rewolucji? Zostali zabici?

- Nie sądzę, ich daty śmierci są późniejsze.

- Wielu arystokratów w Bretanii stawiało opór i uciekło przed gilotyną. Wytrzymali ataki, byli daleko od Paryża. W tym rejonie niejeden rojalista i szlachetnie urodzony uszedł z życiem.

Niektórym nawet udało się zachować swoje zamki i pałace.

Rojalistów, którzy opierali się rewolucji, Francuzi nazywają szuanami.

- Dowiem się wszystkiego, kiedy pojedę do Bretanii. Wybieram się tam za kilka dni. -1 nagle Brigitte wpadła na szalony pomysł. Ledwie znała Marca, ale tak bardzo jej pomagał i zaprzyjaźniali się ze sobą, więc go spytała: - Masz ochotę jechać?

Nie wahał się ani przez moment.

- Bardzo chętnie się wybiorę.

Brigitte poczuła się niezręcznie. Nie chciała, żeby ją źle zrozumiał. Nie robiła mu niestosownych propozycji, tylko pytała, czy nie pojechałby z nią jako badacz historii i przyjaciel. Marc to rozumiał. Też nie chciał zepsuć ich kiełkującej przyjaźni i miał świadomość, że Brigitte wraca do Stanów, kiedy zakończy swoją misję.

- Nie chodzi o romans - uprzedziła, a Marc się roześmiał.

Amerykanki były zdumiewająco bezpośrednie. Szokowało go to trochę, kiedy studiował w Bostonie. Francuzka nie wyraziłaby się w taki sposób.

- Rozumiem. Nie martw się. Pomogę ci tam w poszukiwaniach.

- Jesteś fantastyczny. Chyba opatrność nade mną czuwa. -

Gdyby Brigitte go nie poznała, nie poradziłaby

sobie z wyszukiwaniem materiałów w Bibliotece Narodowej. Będzie mu za to dozgonnie wdzięczna. Nie chciała tylko ulec emocjom i zacząć z nim romansować. To nie miałoby sensu, mimo że Marc ją pociągał; oboje by na tym ucierpieli. Lepiej zostać przyjaciółmi, zresztą on pewnie też tak uważał.

- Wiesz, znam tam fajny hotel. Zrobię rezerwację, oczywiście na dwa pokoje i pas cnoty dla damy.

- Przepraszam. - Brigitte się zarumieniła. - Uraziłam cię?

- Nie, byłaś po prostu szczerą, to mi się podoba. Wiemy, na czym stoimy.

- Niedługo wyjeżdżam. Oboje byśmy żałowali nierozważnego kroku.

- Zawsze jesteś taka rozsądna? - Podobało mu się to, czego dowiedział się o niej do tej pory i chciałby poznać ją bliżej. Zastanowiła się chwilę.

- Prawdopodobnie zbyt często.

- Przecież nie musisz wracać. Powiedziałaś, że nie masz pracy.

Można by jej poszukać na Uniwersytecie Amerykańskim w Paryżu; też mają dział rekrutacji i mogłabyś pisać tu książkę. - Wszystko już obmyślił, ku jej zaskoczeniu. Lubił układać ludziom życie i pomagać osiągać to, czego pragną. Brigitte jednak nie chciała pisać książki o swoich krewnych ani zostać w Paryżu. Zamierzała wrócić do domu.

- Nie powiedziałam, że napiszę książkę. - Uśmiechnęła się. Wyglądał i mówił jak prawdziwy Francuz i nie chciał, żeby wyjechała. Rzeczywiście, uważał ją za bardzo interesującą kobietę, ciekawszą od innych, które poznał do tej pory.

- Może porozmawiasz z kimś z Uniwersytetu Amerykańskiego. Mogłabyś pobyć w Paryżu rok i przekonać się, czy ci się tu podoba.

Roześmiała się. Marc chyba oszalał. Przecież ona mieszka w Bostonie. I miała do skończenia książkę o prawach wyborczych kobiet. Wachiwi wydawała się jednak bardziej interesująca niż prawa do głosowania. Była ucieleśnieniem kobiecej wolności, i to żyjąc dwieście lat temu.

Marc nie drażył dalej tematu; zostali w bistro i zjedli kolację, a kiedy Brigitte wracała do hotelu, ogarnęło ją dziwne uczucie. Tristan i Wachiwi mieszkali kiedyś w domu, który teraz znajdował się niedaleko. Wzięli ślub, wyprawili wesele i mieli dzieci. Ich życie toczyło się blisko miejsca, gdzie Brigitte stała, i mimo że minęło już tyle lat, wydawali się jej realni. Miała wrażenie, jakby wyciągali do niej ręce. Nie mogła przestać o nich myśleć. Zastanawiała się, czy przypadkiem Marc nie ma racji i powinna poświęcić im książkę dla upamiętnienia szalonej miłości. Pomysł zaczynał się jej podobać. Nawet rozważała, czy nie poszukać pracy na Uniwersytecie Amerykańskim w Paryżu, ale jej życie toczyło się w Bostonie i musiała tam wrócić albo też wydawało się jej, że musi. Paryż był urzekający z migoczącą światłami wieżą Eiffla, małymi bistro i kafejkami oraz Markiem, którego ledwie знаła, ale już bardzo polubiła. Nie mogła jednak dać się temu wszystkiemu uwieść. Postanowiła oprzeć się urokowi i Paryża, i Marca. Pojedzie z nim do Bretanii, może coś tam znajdzie, a potem wróci do siebie. To było prawdziwe życie, nie książka. A w rzeczywistym świecie ludzie się spotykają, nic się nie dzieje i wracają do domu. Albo wyjeżdżają do Egiptu i mówią, że po sześciu latach wspólnego życia nie są gotowi na



trwały związek. Tak wygląda prawdziwe życie. Nie ma nic wspólnego z ludźmi, takimi jak Marc albo markiz.

## Rozdział 15

### Wachiwi 1784-1785

Markiz wrócił z królewskiego dworu po tygodniu i ucieszył się na widok Wachiwi. Zastał ją, gdy udzielała Matthieu lekcji jazdy konnej na placu. Uczyła go bardzo rozważnie. Chciała zapytać Tristana o zgodę, zanim pokaże chłopcu trudniejsze techniki jeździeckie. Poprosiła o pozwolenie od razu, gdy się spotkali, a Tristan się zgodził. Nie umiał sobie wyobrazić lepszej nauczycielki konnej jazdy od Wachiwi. A ona obiecała, że nie nauczy Matthieu żadnej z ryzykownych sztuczek, na które sobie pozwalała. Chciała nauczyć go jazdy na oklep, bez siodła, żeby poczuł się dobrze na końskim grzbiecie. Jeździła konno tak swobodnie, że Tristan zapragnął nauczyć się tego od niej, ale przypuszczał, że Wachiwi ma to we krwi, a on nigdy jej nie dorówna. Guwernantka powiedziała mu, gdzie jest Matthieu, więc poszedł do stajni, żeby na niego popatrzeć. Przekonał się, że syn radzi sobie dobrze, a Wachiwi poprosiła o zgodę, by nauczyć chłopaka czegoś więcej.

Miała na sobie strój ze skóry łosia i mokasyny, pokazywała Matthieu, jak obchodzić się z koniem, jak go wyczuwać. Zdjęła siodło z grzbietu zwierzęcia i poprowadzi-

ła Matthieu, siedzącego na oklep na koniu, wokół placyku. Chłopiec był zachwycony, a potem aż krzyknął z radości na widok ojca. Wachiwi pomogła mu zsiąść z wierzchowca i uśmiechnęła się, gdy rozpędzony Matthieu podskoczył i rzucił się ojcu w ramiona.

Tego popołudnia zamierzała też udzielić Agathe krótkiej lekcji jazdy na kucyku, żeby pomóc dziewczynce przełamać lęk przed końmi. Została nauczycielką dzieci od konnej jazdy, kiedy ich ojciec wyjechał do Paryża. Jak na miejscowe zwyczaje, stosowała dość niezwykle metody, ale była bardzo uzdolniona. Tristan wiedział, że jeśli Matthieu będzie się od niej uczył, zostanie wyjątkowym jeźdźcem, co niewątpliwie markizowi pochlebiało. Spojrzał nad głową Matthieu na Wachiwi i uśmiechnął się do niej, a potem podziękował jej za lekcje udzielone synowi.

- Mnie podobało się chyba bardziej niż jemu. - Spędzała teraz w stajni dużo czasu i jeździła po wzgórzach. Kobiety w okolicy tego nie robiły, ale Wachiwi czuła się zupełnie swobodnie. Nic jej tu nie groziło. Żaden oddział indiańskich wojowników nie mógł na nią napaść ani jej uprowadzić. Na ziemiach markiza czuła się bezpieczna. Tristan zaproponował, żeby tego popołudnia przejechali się razem. - Jak przebiegła wizyta u króla? - zapytała.

- Jak zwykle. Wielkie zamieszanie, za dużo osób i przeróżne intrygi. To bardzo męczące, ale musiałem tam pojechać. Byłoby źle odebrane, gdybym zbyt długo nie pokazywał się na dworze. - Jednak wyprawa z Bretanii wydała mu się długa i daleka.

- Przynajmniej ma pan dom w Paryżu i można się tam zatrzymać - zauważyła, a on kiwnął głową.

- Po śmierci żony rzadko tam zaglądam. Jej podobało się na królewskim dworze bardziej niż mnie i kiedyś częściej jeździliśmy do Paryża.

Matthieu biegł przed nimi, gdy szli w stronę zamku. Uwielbiał lekcje jazdy konnej z Wachiwi. A Tristan był zachwycony, że Indianka nauczy chłopca jeszcze więcej.

- Ma pan dom w samej stolicy?

- Tak, niedaleko pałacu w Luwrze, chociaż król i królowa częściej bywają teraz w Wersalu, tuż za miastem. Może i ty wybierzesz się tam kiedyś - powiedział niepewnie. Wspomniał o niej swojemu przyjacielowi na dworze, a ten stwierdził, że byłoby zabawnie, gdyby Tristan przywiózł ją ze sobą. Markiz wolał jednak postępować przezornie. Wachiwi to przecież narzeczona jego zmarłego brata i choć bardzo ją lubił, wciąż czuli się niezręcznie, przebywając razem. Uczyła jego pociechy jazdy konnej, a on był za to wdzięczny. Podobało mu się jej podejście do dzieci. Była rozsądna, a przy tym okazywała im ciepło. Tristan przekonał się, że bardzo ją lubią, kiedy poszedł do dziecięcych pokojów, żeby zobaczyć się z Agathe. Dziewczynka najpierw uściskała Wachiwi, dopiero potem ojca. Brakowało jej matki, której właściwie nigdy nie miała. Guwernantka nie mogła jej zastąpić. Wachiwi okazywała jej przyjaźń, a w duchu liczyła, że mogłaby zostać ciotką Agathe. Lekcje jeździeckie trwały przez kilka następnych tygodni. Matthieu robił postępy, a Wachiwi nauczyła jego ojca paru sztuczek, jak nazywał niektóre umiejętności. Zdumiała go pewnego dnia, kiedy mu pokazała, jak skryć się za tułowiem konia w pełnym galopie. Tristan wolał tego nie próbować, ale ona wydawała się stanowić jedność z wierzchowcem i niemal wisieć w powietrzu, przywierając do ma-

sywnego rumaka. Wcale się nie bała. Potrafiła stanąć na grzbiecie galopującego konia i wskoczyć na niego z ziemi. Wyczyniała z końmi niewiarygodne rzeczy, a te wykonywały jej polecenia. ' Dzieci ją uwielbiały, Agathe polubiła nawet przejażdżki na kucyku. Markiz wiedział, że dziewczynka nie wyrośnie na amazonkę - jej matka nią nie była - ale Agathe już się nie bała koni i bardzo lubiła karmić kuca jabłkami.

Wszyscy zauważyli, jak cicho Wachiwi się porusza; chodziła bezszelestnie, zwłaszcza w mokasynach, ale też w innym obuwiu. Wydawała się stąpać w powietrzu. Jej ojciec też często zwracał na to uwagę. Miała wdzięk motyla i była cicha jak motyl. Tancerka - to dla niej idealne imię.

Umiała też śmiać się z siebie i Tristan podziwiał w niej tę cechę. Kiedy zrobiła coś niemądrego albo niewłaściwego, obracała to w żart i wszyscy się zaśmiewali. Miała mnóstwo ujmujących cech, które Tristan w niej dostrzegał i zachwycał się nimi. Nigdy dotąd nie czuł się tak swobodnie w towarzystwie kobiety.

- Chcę taką sukienkę, jaką ma Wachiwi - powiedziała kiedyś Agathe, gdy wchodzili do zamku, a guwernantka zgromiła ją wzrokiem. Uważała indiański strój Wachiwi za nieprzyzwoity, gdyż podkreślał figurę i sięgał ledwie kolan. Mimo że Wachiwi nosiła pod spodem obcisłe spodnie, jej tradycyjny ubiór szokował guwernantkę. Życzenie Agathe podsunęło Wachiwi pewną myśl. Szyła prawie tak dobrze, jak jeździła konno i na Boże Narodzenie sprezentowała Agathe wykonaną własnoręcznie lalkę, a Matthieu misia; prezenty bardzo się dzieciom spodobały.

Potem nadeszła wiosna, tego roku w Bretanii nadzwyczaj ciepła. Pewnego dnia urządzili sobie piknik w ogrodzie,

na urwisku, skąd rozciągał się widok na morze. Król chorował tamtej zimy, a królowa urodziła zaledwie przed tygodniami księcia Normandii. Tak więc markiz udał się na dwór monarchy tylko raz, chociaż planował wybrać się tam wkrótce. Wcale nie miał ochoty na daleką wyprawę, ale wiedział, że powinien pojechać. Chciał też zawieźć jakiś podarunek dziecku pary królewskiej. Czuł się jednak dużo lepiej na wsi, ze swoimi dziećmi, na własnych ziemiach. Zawsze miał coś do zrobienia. Tej wiosny doglądał wycinki drzew, naruszonych przez zimowe sztormy. I uwielbiał rozmawiać z Wachiwi o tym, co robił na swoich włościach. Interesowała się tym i podsuwała mu znakomite pomysły, czasami wprost zdumiewające jak na dziewczynę. Zaskoczył ją któregoś popołudnia po długiej przejażdżce; poprosił, żeby tego wieczoru zasiadła wraz z nim do kolacji. Wcześniej nigdy tego nie proponował. Zazwyczaj jadła w pokojach dzieciennych, z Agathe i Matthieu. Dzieci uwielbiały towarzystwo Wachiwi, a guwernantka jej nie znosiła.

Przyjęła zaproszenie z radością. Bardzo lubiła rozmawiać z markizem. Mówili o różnych sprawach - Tristan był we wszystkim obeznany, a ona już do tego czasu swobodnie posługiwała się francuskim. Nie umiała tylko czytać, a chciała się nauczyć. Markiz obiecał jej w tym pomóc, ale zimą nie miał na to czasu. Wachiwi chciała czytać książki z jego biblioteki, które wydawały się jej fascynujące.

Opowiedział jej tamtego wieczoru przy kolacji o intrygach na dworze i wyjaśnił, dlaczego go nużą. Ludziom nie podobała się rozrzutność królowej. Tristan zawsze uważał Marię Antoninę za miłą kobietę, choć może zbyt lekkomyślną za młodu. Jednak potem, gdy została matką, wydała mu

się bardziej poważna i dojrzała. Tristan nie miał cierpliwości do polityki i machinacji ministrów, kurtyzan i wszelkiego rodzaju oportunistów, których ciągnęło na królewski dwór. Wachiwi dowiedziała się, że królowa to Austriaczka, nie Francuzka, o czym ludzie często zapominali, i że została małżonką władcy, ledwie wychodząc z wieku dziecięcego. Jej zamążpójście zaaranżowano, kiedy miała czternaście lat. Wśród Indian również się to zdarzało. Dziewczęta wychodziły za mąż bardzo młodo, a większość małżeństw uzgadniały rodziny. Wachiwi była wdzięczna ojcu, że zostawił jej wybór. Niewątpliwie francuska królowa doprowadziła do tego, że na dworze panował niewiarygodny przepych i nie brakowało takich, którzy knuli intrygi, byle tylko wkraść się w jej łaski. A młoda królowa miała wpływ na to, co się działo w państwie. Tristanowi to wszystko nie odpowiadało. Wolał w spokoju zarządzać swoimi włościami i spędzać czas na łonie natury. Po kolacji rozmawiali jeszcze o dworze króla, a Wachiwi uznała, że to, co się tam dzieje, jest bardzo interesujące; markiz tak nie uważał. Jean również mówił jej kiedyś, że nie podobało mu się na królewskim dworze i wolał uciec do Nowego Świata, zamiast wpaść w sidła dworskich intryg. Jednak markiz, jako głowa liczącego się rodu, nie mógł się uchylać od obowiązków wobec króla, powinien bywać nadворze. Bez żony nużyło go to jeszcze bardziej. Wcześniej przynajmniej sprawiały mu radość chlubienie się nią i tańce. Teraz musiał przez całe wieczory rozmawiać z innymi mężczyznami o polityce. Wspólny wieczór z Wachiwi okazał się bardzo przyjemny i długo siedzieli przy stole. Markiz czuł się samotny po śmierci żony i nawet trochę zazdrościł Wachiwi wieczornych posiłków z dziećmi. Też chciałby w nich uczestniczyć, ale nie

zezwałała na to etykieta. Tego wieczoru przy kolacji przyszło mu coś do głowy i ostrożnie podsunął tę myśl Wachiwi.

- Zechciałabyś następnym razem pojechać ze mną na dwór królewski? Muszę się tam wybrać za kilka tygodni. Może cię to zaciekawić, a jestem pewien, że król i królowa chcieliby cię poznać.

Poczuła się zaszczycona propozycją i podziękowała mu za miłe zaproszenie. Obawiała się wprawdzie, że nie ma odpowiednich strojów, ale ją uspokoił; zadba, żeby miejscowy krawiec uszył dla niej coś stosownego. Następnego dnia wspomniała o tym dzieciom, a one się ucieszyły. Agathe stwierdziła, że Wachiwi powinna się wystroić w swój śliczny ubiór z kolcami jeżozwierz, na co ta uśmiechnęła się zagadkowo. Za kilka dni przypadły urodziny dziewczynki, a Wachiwi od miesiący szykowała dla niej prezent; był już prawie gotowy.

Niezwykłą trudność sprawiło jej wyszukanie odpowiednich materiałów, z czym nie miałyby kłopotu w rodzinnej osadzie. Tu wyzwaniem okazało się zdobywanie niemal wszystkiego, czego potrzebowała. Nie udało jej się dostać skóry łosia, za to nabyła we wsi skórę jelenia, podobną do tej, z jakiej uszyto bryczesy Jeana, które oddała po jego śmierci. Wyszukiwanie kolców jeżozwierz zajęło miesiące. Dostarczył je leśniczy Tristana. Ucieszyła się, gdy znalazła odpowiednie jagody, mogła więc zrobić papkę do farbowania kolców. Odpruła paciorki z koszuli, którą szykowała kiedyś dla Jeana. Posłużyły jego bratanicy. Starannie naszyła błyskotki na małą skórzaną sukienkę. I wystarczyło jeszcze materiału, żeby uszyć skórzane mokasyny dla Agathe. A w dniu urodzin dziewczynki Wachiwi zawięła prezenty w miękką czerwoną tkaninę, przewięzała rzemykiem i ran-

kiem w pokoju dzieciennym dała Agathe paczuszkę. Mała aż krzyknęła z radości. Uparła się, żeby od razu przebrać się w indiański strój; ku przerażeniu guwernantki, a ku zachwytowi Wachiwi wierna replika sukienki Wachiwi leżała na niej idealnie, a mokasyny pasowały w sam raz na jej małe stopy. Agathe była podekscytowana, zbiegła po schodach, żeby pokazać się ojcu, nie prosząc nawet guwernantki o pozwolenie. Tristan wybuchnął śmiechem, gdy zobaczył córkę. - Wyglądasz jak mały Siuks! - Rozpromieniona i dumna Agathe obracała się przed nim. A gdy Wachiwi podeszła do nich, Tristan jej podziękował. - Jeśli teraz nauczysz mnie jeździć konno jak Siuksowie, będę bardzo szczęśliwy. Już nauczyła go dużo, jeździł coraz lepiej, Matthieu zresztą też zrobił postępy. Poznali sporo indiańskich sprawności i obyczajów; aż nie mogli uwierzyć, że przebywa u nich już od pięciu miesięcy. Wyświadczenie im drobnych przysług było jedynym sposobem, by odpłacić im za okazaną dobroć. Wciąż nie wiedziała, dokąd się udać i czym się zająć, kiedy opuści to miejsce, lecz zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała to zrobić. Nie mogła korzystać w nieskończoność z uprzejmości i gościnności Tristana. Tymczasem jednak sukienka i buciki dla Agathe okazały się świetnym pomysłem.

Wrażenie zrobiła też suknia uszyta dla Wachiwi w związku z wizytą na dworze królewskim. Dostarczono ją na dzień przed wyjazdem do Paryża. Leżała doskonale, a Wachiwi wyglądała w niej oszałamiająco. Suknia była z cudownie różowej satyny, miała głęboki dekolt i rozłożystą spódnicę z wielkimi wypustkami po bokach, i rękawy obszyte koronką; do tego koronkowy szal. Kolor kreacji podkreślał smagłą cerę Wachiwi. Agathe aż zaparło dech, kiedy Wachiwi przymierzyła



suknię, wykrzyknęła, że wygląda w niej jak królowa! Tristan też był zachwycony i strojem, i urodą Wachiwi. Suknie, które wzięła ze sobą, spakowano do oddzielnego kufra, i wraz z innymi rzeczami znalazły się w osobnym powozie, kiedy wyruszali do Paryża elegancką karocą Tristana. Opuścili zamek przed świtem, jechali do wieczora i zatrzymali się w zajezdzie przy trakcie, gdzie warunki nie były luksusowe, ale przyzwoite, a na drugi dzień, po północy, dotarli do Paryża. Paryski dom Tristana przygotowany na ich przyjazd. Wszędzie paliły się świece, meble wypolerowano, a sypialnia specjalnie dla Wachiwi została otwarta i wywietrzona. Była znużona, kiedy weszła do domu przy rue du Bac, ale olśnił ją widok głównego holu, pięknych marmurowych schodów oraz jej apartamentu. Sam przejazd przez miasto późną nocą bardzo ją podekscytował. Tristan od razu udał się do swoich pokoi, powiedział Wachiwi, że zobaczą się nazajutrz rano, i przekazał ją pod opiekę ochmistrzyni. Była tak pobudzona, że nie mogła spać tej nocy, wstała wczesnym rankiem. Zdziwiła się, zobaczywszy Tristana na dole; kończył śniadanie. Wyszedł wkrótce, mówiąc, że ma do załatwienia pewną sprawę. Powiedział Wachiwi, żeby wypoczywała, a po południu udadzą się na dwór króla. Przyszła pokojówka, żeby ułożyć jej włosy i upudrować, gdyby zechciała, lecz nie spodobał jej się ten pomysł, wołała zachować naturalny kolor. Król spodziewał się jej wizyty i wiedział, że Wachiwi pochodzi z plemienia Siuksów, mógłby być rozczarowany, gdyby zjawiała się z ubielonymi włosami, na podobieństwo dworaków. Taką modę wprowadziła młoda królowa, która uwielbiała wszystko, co białe. Poszła na spacer, a towarzyszył jej lokaj, zgodnie z etykietą. Spacerowała długo i dotarła nad Sekwanę, gdzie pa-



trzyła na wodę, mosty, przepływające łodzie i budowle na przeciwnym brzegu. Nigdy dotąd nie widziała tak uroczego miejsca jak Paryż, a miasto wcale jej nie przerażało.

Kiedy wróciła do domu, dwie służące i ochmistrzyni pomogły jej się ubrać. Bielizna i gorset okazały się bardziej skomplikowane od tych, które kupił jej Jean. Wyglądała wspaniale, kiedy schodziła do Tristana czekającego na nią u dołu wielkich schodów. Był ubrany w jasnoniebieskie satynowe spodnie do kolan i czerwony brokatowy surdut z koronkowym żabotem, a włosy miał upudrowane. Ledwie go poznała. Uśmiechnął się szeroko na jej widok. Nigdy nie widział kobiety tak pięknej jak Wachiwi. Obsypał ją komplementami, gdy wsiedli do powozu, a jazda do pałacu wydała się trwać zaledwie chwilę, gawędzili bowiem po drodze. Tristan widział, że Wachiwi jest podenerwowana. Poklepał ją po dłoni, dodając jej otuchy, i powiedział, że na pewno będzie wspaniale. Nie wątpił w to.

Rodzina królewska spędzała zimę w Luwrze, ale już się przeniosła do letniej rezydencji w Wersalu, a Wachiwi nawet nie śniło się nigdy nic tak okazałego jak hol, do którego weszli. Gdy tylko przybyli do posiadłości, wielkie wrażenie wywarły na niej ogrody, sady i cały teren. Zaprowadzono ich tam, gdzie król z królową przyjmowali gości, do małej prywatnej komnaty, zanim Tristan i Wachiwi dołączyli do innych. Tristan szepnął jej na ucho, zanim weszli, żeby skłoniła się głęboko monarszej parze. Zrobiła to doskonale, a król uznał, że Wachiwi jest czarująca. Maria Antonina nie zwróciła na nią większej uwagi, zresztą często traktowała tak gości. Poszeptywała z otaczającymi ją damami dworu. Za to król zachowywał się zupełnie inaczej niż roztargniona

małżonka, która wreszcie zainteresowała się Wachiwi; widocznie przypadły sobie do gustu, bo zaczęły chichotać jak dwie małe dziewczynki. Tristan był zachwycony, audyencja u króla i królowej wypadła wyjątkowo dobrze.

Król z ciekawością wypytywał ją o Siuksów. Opowiedziała mu o swoim ojcu i braciach, a Tristan dodał, że Wachiwi potrafi jeździć konno jak indiański wojownik. Potem wyszli z komnaty, by dołączyć do innych, oczekujących na pojawienie się króla i królowej. Było tłumnie i gwarno, gdy przybyli, podano kolację, rozbrzmiała muzyka i zaczęły się tańce. Ludzie rozmawiali, zawierali interesy, wymieniali informacje i plotkowali. Tristan przedstawił Wachiwi kilku swoim znajomym; zaintrygowała ich, ale nie patrzyli na nią z niechęcią jak mieszkańcy Nowego Orleanu. Tutejsze towarzystwo, bardziej wyrafinowane, obserwowало Wachiwi z ciekawością, bo była Indianką. Wyróżniała się, jej lśniące czarne włosy, ufryzowane w pukle na czubku głowy, nie miały śladów pudru. Odniosła wielki sukces na dworze, a Tristanowi wszyscy mężczyźni zazdrościli towarzystwa niezwykle pięknej kobiety. Suknia, którą markiz dla niej zamówił, przewyższała nawet elegancją kreacje innych dam. Bawiła się dobrze, wcale nie miała ochoty wychodzić. Z zachwytem patrzyła na tańczących, choć sama nie znała dworskich tańców, była oczarowana muzyką. Wspomniała Tristanowi, że powinien nauczyć ją tańczyć, zwłaszcza jeśli zamierza jeszcze kiedyś przywieźć ją na królewski dwór. To wydawało się prawdopodobne, wzbudziła bowiem zainteresowanie gości, więc wypadało pokazać się z nią znowu, nie mówiąc już o tym, iż bal tak jej się spodobał, że Tristan nie chciał pozbawić ją takiego przeżycia. Dzięki niej on tak

że lepiej się bawił i po raz pierwszy od lat wieczór na królewskim dworze go nie znudził. Z radością obserwował, jak Wachiwi coraz swobodniej czuje się wśród ludzi, chętnie rozmawia, zawiera znajomości.

Rozprawiała z ożywieniem o balu, kiedy wracali powozem do domu przy rue du Bac, a Tristan uśmiechał się, słuchając jej. Wydawała się tak podekscytowana jak Agathe po urodzinowym przyjęciu.

- Cieszę się, że ci się podobało. - Odprężył się wreszcie, zadowolony, że już po wszystkim. Mimo że w towarzystwie Wachiwi czas mu upłynął przyjemniej, to zawsze wizyty na dworze męczyły go i denerwowały, a z powodu pudru na włosach kichał. Wachiwi żartowała sobie z tego, gdy wchodzili do domu. Czując się kimś ważnym, wyjątkowym i z wdzięcznością spojrzała na Tristana.

- Dziękuję za twoją dobroć, Tristanie. Wspaniale się bawiłam. - Żałowała tylko, że nie ma tu Jeana. Oboje żalowali; wciąż za nim tęsknili. - To najcudowniejszy wieczór w moim życiu. - Wyraziła się tak elegancko, że markiz się uśmiechnął. Był z niej dumny tego wieczoru. Dużo osób ją poznało, a potem chwaliło przy Tristanie. Spodziewał się, że przynajmniej niektóre kobiety ją skrytykują, ale tak się nie stało. Z radością powitały w swoim gronie pełną naturalnej świeżości, otwartą wobec wszystkich dziewczynę. Król niemal przykazał Tristanowi, że ma przyjechać z nią następnym razem. W domu rozmawiali parę minut, a potem życzyli sobie dobrej nocy i rozeszli się do swoich sypialni; tam ochmistrzyni pomogła dziewczynie rozebrać się z balowej kreacji. Wachiwi, pełna wrażeń, nie mogła zasnąć, wciąż rozmyślała o tym, co się wydarzyło; nie mogła uwierzyć, że znalazła

się na królewskim dworze. Było tam nawet wspanialej, niż sobie wyobrażała. Rozpierała ją duma, że odwiedziła dwór razem z Tristanem, który okazywał jej dużo serca. Zbudziła się wcześnie rano i spotkali się przy śniadaniu.

Tristan zaproponował jej tego dnia zwiedzanie paru atrakcyjnych miejsc i nie mogła się doczekać, kiedy je zobaczy. Odwiedzili ogrody przy Palais Royal w pobliżu Luwru i przespacerowali się po ogrodach pałacu Tuileries. Pojechali do katedry Notre Dame i na plac de Vosges w dzielnicy Le Marais. Wachiwi tryskała radością, kiedy wrócili do domu; tego wieczoru zjedli kolację we dwoje przed wyruszeniem w drogę powrotną do Bretanii następnego dnia. Pilno jej było opowiedzieć dzieciom, jak poznała króla i królową. Obiecała Agathe, że nie pominie żadnego szczegółu. Zamierzała jej powiedzieć, jak świetnie prezentował się markiz w czerwonym brokatowym surducie i w niebieskich satynowych spodniach oraz w eleganckich pantoflach ze sprzączkami. Dziewczynka chyba nigdy nie widziała ojca w takim stroju. Wyglądał całkiem inaczej, kiedy wyjeżdżali ze stolicy. Miał na sobie luźne podróżne ubranie i długi czarny płaszcz, chroniący przed kurzem na drodze, a Wachiwi otulił pledem, zanim wyruszyli w drogę.

Tym razem w czasie jazdy rozmawiali przez wiele godzin, zatrzymywali się w małych gospodach na obiad i kolację, a na nocleg w przydrożnym zajeździe. Droga powrotna wydawała się upływać szybciej, jednak drugiego dnia podróży było już późno, gdy dotarli do zamku de Margeraców; wszyscy już spali. Wachiwi jeszcze raz podziękowała Tristanowi, a on powiedział, że kufry wniosą rano. Jego ludzie byli zmęczeni po długiej podróży.

Jeszcze przed śniadaniem opowiedziała dzieciom wszystko o Paryżu i wieczorze spędzonym na królewskim dworze. Agathe oznajmiła, że chce tam pojechać, a Wachiwi zapewniła, że tata kiedyś ją tam zawiezie i na pewno będzie z niej bardzo dumny, kiedy zobaczy ją w pięknej sukni, specjalnie dla niej uszytej, w której Agathe będzie wyglądać jak księżniczka.

- Ty też pojedziesz, prawda? - Dziewczynka chciała się upewnić, a Wachiwi się zawahała. Nie wiedziała tego, a Tristan też czekał na jej odpowiedź. Wszedł niepostrzeżenie do pokoju dziecinnego, gdy Agathe zadała to pytanie.

- Nie wiem - odparła szczerze. Nigdy nie kłamała. Ojciec nauczył ją tego w dzieciństwie. Dzięki swojej mądrości i uczciwości stał się wielkim wodzem, szanowanym przez wszystkich, którzy go znali. - Dużo czasu upłynie od teraz i wtedy będę już starą kobietą. Nie wiem, gdzie się znajdę.

- Chcę, żebyś była zawsze z nami. - Agathe była zaniepokojona.

- Wobec tego tak się stanie. - Tristan stanął przed nią, a Wachiwi, zaskoczona jego obecnością, dygnęła.

- Do tej pory poznacie już wszystkie sekrety jazdy konnej. -

Uśmiechnęła się. Nikt się nie odezwał. - A ja będę za stara, żeby dalej was uczyć. Pojeżdżę wtedy na kucyku Agathe. -

Dziewczynka zaśmiała się, co rozładowało atmosferę. Dzieci zajęły ojca rozmową, a Wachiwi dyskretnie wycofała się i wróciła do swoich komnat.

Tristan przyszedł do niej parę minut później.

- Dzieci chcą, żebyś została, Wachiwi, i ja też tego pragnę. - Od razu przystąpił do rzeczy. Nie spodobała mu się ani dzieciom jej wcześniejsza odpowiedź. Zapewne mówił o tym z nimi, gdy Wachiwi wyszła.

- Nie mogę się wam narzucać. - Sformułowała to tak zgrabnie, że aż trudno mu było uwierzyć, że uczy się francuskiego dopiero od roku.

- Nie narzucasz się. Odpowiada nam, że tu jesteś. Dzięki tobie moje dzieci są szczęśliwe. - A potem dodał już ciszej, głosem ochryplym z emocji: -1 mnie uszczęśliwiasz, choć dotąd tego nie mówiłem. - Spojrzał jej w oczy; rozumiał, dlaczego jego brat pokochał Wachiwi. Była zarazem łagodna i silna, zawsze dobra i miła dla wszystkich. Ideał kobiety. Nie wyobrażali sobie rozstania z nią, ani on, ani dzieci. I nie miał się kim wyręczyć w zalotach. - Zostaniesz z nami? - spytał uroczyście.

- Tak długo, jak mnie zechcecie - zapewniła. Kiwnął głową i zmieszany opuścił pokój. Nie widziała Tristana aż do późnego popołudnia, kiedy zastał ją w ogrodzie. Spacerowali trochę, potem usiedli na ławce i patrzyli na morze.

- Mam takie wrażenie, jak gdybyś była tu od zawsze - powiedział cicho.

- Czasami ja też tak się czuję, a innym razem myślę o swoim ojcu i braciach, i o mojej osadzie.

- Brakuje ci ich?

Przytaknęła ruchem głowy, łza spłynęła jej po policzku, którą on otarł delikatnie, dotykając jej twarzy tak, jak nie czynił tego nigdy dotąd, a potem nagle nachylił się i ją pocałował. Nie chciał, aby sobie pomyślała, że ją wykorzystuje, więc pospiesznie się odsunął. Spojrzała na niego, zaskoczona. Nigdy wcześniej nie okazał nią zainteresowania jako kobietą i nie wiedziała, co znaczy ten pocałunek.

Tristan planował poczekać z tym na odpowiedni moment, miesiąc lub dwa, ale zdecydował się w Paryżu, a teraz



chciał jej o tym powiedzieć, by zrozumiała, że ma wobec niej uczciwe zamiary. Nie szukał kochanki, lecz żony.

- Chcę, żebyś tu została, Wachiwi, na zawsze, dopóki oboje będziemy żyć. - Patrzył na nią poważnie, a ona wydawała się zmieszana.

- Bardzo miło z twojej strony, Tristanie, ale jeśli ożenisz się powtórnie, twojej żonie to się nie spodoba. Nie zechce tu Indianki. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Pomyślała, że pocałował ją ot tak, pod wpływem chwili i więcej to się nie powtórzy. Gdy chodziło o Jeana, od razu wiedziała, że on ją kocha, ale Tristan postępował inaczej. Był spokojniejszy i zawsze szarmancki, nie okazywał emocji. Nauczył się skrywać je za młodu i to się nie zmieniło.

- Nie sądzę, żebyśmy powinni się martwić o odczucia mojej przyszłej żony. - Zabrzmiało to tajemniczo.

- Czemu nie? - Zrobiła wielkie oczy i ten widok go rozczulił. Zdał sobie sprawę, że kochał się w niej od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, ale wobec niedawnej śmierci Jeana i powodu, dla którego tu przybyła, sytuacja robiła się zbyt niezręczna, by Tristan choćby o tym pomyślał lub powiedział cokolwiek Wachiwi. Teraz jednak poczuł, że musi tak postąpić. Nie potrafił już dłużej utrzymać swoich uczuć w sekrecie, ani też nie chciał.

- Bo tylko ciebie pragnę, Wachiwi. - Przyklęknął przed nią, obok ławki, na której siedziała, i ujął jej dłoń. - Wyjdiesz za mnie? - spytał, a potem dodał słowa, które chciał wypowiedzieć już od miesięcy, ale nawet przed sobą nie przyznawał się do tych uczuć.

- Kocham cię.

- Ja też cię bardzo kocham - odparła cicho, spuszczając wzrok.

Wiedziała o tym od dawna i uwielbiała spędzać

czas z Tristanem i jego dziećmi, ale nigdy nie ośmieliła się przypuszczać, że jej uczucie zostanie odwzajemnione. Wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował. Siedzieli na ławce, rozmawiali długo i snuli wspólne plany. Zanim wrócili do zamku, uzgodnili, że wezmą ślub w czerwcu, w Paryżu, w obecności jego dzieci, a następnego dnia Tristan przedstawi ją wszystkim na królewskim dworze jako markizę de Margerac. Powiedzieli o tym dzieciom, kiedy wrócili do zamku, a Agathe i Matthieu skakali z radości, śmiali się, ściskali, całowali Wachiwi. Guwernantka wycofała się z komnaty, a następnego ranka złożyła wymówienie. Dzieci ucieszyły się również z tego powodu. Ale zachwyciło je, że Wachiwi będzie ich mamą, a ona też czuła się szczęśliwa. Dzieci nie chciały już guwernantki; pokochały Wachiwi. Podobnie jak Tristan.

## Rozdział 16

Przez następne dwa miesiące Tristan i Wachiwi jeździli razem konno, przechadzali się po ogrodach, snuli plany, co wieczór zasiadali do kolacji w jadalni i rozmawiali dużo o przyszłości. Tristan pragnął mieć z Wachiwi dzieci, chociaż przyznał, że bardzo się boi, by nie stało się coś złego, tak jak z matką Agathe i Matthieu.

- To się nie zdarzy. Jestem bardzo silna.

- Ona też taka była. Nieszczęścia często zdarzają się niespodziewanie.

Przyznawała mu rację, przekonany ją o tym historia z Jeanem i to, co przeżyła wcześniej. Nigdy nie przypuszczała, że zostanie porwana. Wciąż się zastanawiała, co stało się z ojcem po jej uprowadzeniu. Ale tego miała się już nigdy nie dowiedzieć.

- Nas to nie spotka - powiedziała spokojnie. Była o tym przekonana. Chciała mieć z nim dzieci. Zaskoczyło ją, że nie zaszła w ciążę w trakcie tych kilku miesięcy spędzonych z Jeanem. Miała nadzieję, że nie jest taka jak kilka kobiet z jej osady, które nigdy nie wydały na świat potomstwa. Uważano, że są wybrykiem natury. A Wachiwi chciała urodzić dziecko. Uwielbiała Agathe i Matthieu, lecz pragnęła mieć dzieci z Tristanem, i to dużo. - Może za rok o tej porze uda mi się dać ci syna. - Posmutniała. - Nie masz nic przeciwko, żeby dać mu na imię Jean?

- Bardzo bym tego chciał. - Wiedział, że kochała Jeana, ale go to nie dręczyło. Zrzędzeniem losu brat sprowadził ją dla niego. I chociaż Wachiwi kochała Jeana, powiedziała Tristanowi, że jego kocha bardziej. Nie wiedziała tak naprawdę, czym jest miłość, dopóki go nie poznała. Była jeszcze podlotkiem, kiedy ona i Jean spotkali się nad jeziorem, niewinni i szaleni, gotowi podjąć każde ryzyko. Teraz czuła się kobietą, mądrą i silną, pewną swoich uczuć do Tristana. Należała tylko do niego.

Dwa następne miesiące upłynęły szybko, a w czerwcu Wachiwi i Tristan z dziećmi wyjechali do Paryża. Agathe w podróży większość czasu przespalała na kolanach Wachiwi, a Matthieu, żeby się nie nudzić podczas długiej drogi, siedział z woźnicą na koźle. Dotarli do swojego domu w Paryżu o bardzo późnej porze w ciepłą letnią noc. Czekala na nich cała służba, dom był pełen kwiatów, a wszystko gotowe

na zaślubiny, które mały się odbyć następnego dnia. W poprzednich tygodniach rozesłano do najbliższych przyjaciół Tristana w stolicy wypisane odręcznie zaproszenia. Ponieważ żenił się powtórnie, a jego brat umarł przed niespełna rokiem, ślub miał być skromny. Dzieci przebywały w wydzielonej dla nich części domu, pod opieką gospodyni. Wachiwi, zbyt podekscytowana, nie mogła usnąć. Wciąż myślała o tym, jakie szczęście ją spotkało, że teraz należała do Tristana. Ledwie mogła się doczekać chwili, gdy stanie się naprawdę jego, w oczach Boga i ludzi, i kiedy znajdzie się w jego ramionach. Nie była już niewinnym dziewczęciem, tylko ciepłą, kochającą kobietą i chciała oddać markizowi serce, ciało i powierzyć mu całe swoje życie. Czuła w sobie namiętność, a w Tristanie, mimo pozornego opanowania, od miesięcy wprost kipiało pożądanie. Przez szacunek dla zmarłego brata i dla Wachiwi robił wszystko, by poskromić zmysły. Tej nocy stał w swoim pokoju, spoglądając przez okno i myślał o tym, że o poranku najpiękniejsza dziewczyna na świecie będzie należeć do niego. Przybył do kościoła wcześniej, ona przyjechała z dziećmi powozem parę minut później. Poprosił dwójkę najbliższych przyjaciół, żeby byli świadkami, bo Wachiwi nie miała we Francji nikogo poza nim i jego dziećmi. Ceremonia odbyła się w małej katolickiej kaplicy przy rue du Bac, w pobliżu domu Tristana. Wachiwi przyjęła religię katolicką i przez ostatnie dwa miesiące pobierała nauki u pewnego księdza w Bretanii. Została ochrzczona przed ślubem. Chciała zrobić wszystko, żeby zadowolić Tristana. Przyjaciele wzięli udział w uroczystości ślubnej, a dzieci markiza stały obok młodej pary; Wachiwi trzymała Agathe za rączkę, a Tristan patrzył jej w oczy tak, jak żaden mąż-

czynna. Matthieu stał z poważną miną koło ojca. Agathe przejęła bukiet konwalii, kiedy Tristan ujął dłoń Wachiwi.

Wypowiedzieli słowa małżeńskiej przysięgi, a wtedy on wsunął jej na palec obrączkę z brylantami. Wcześniej podarował jej pierścion z wielkim szmaragdem, ale Wachiwi wiedziała, że zawsze będzie nosić tę ślubną obrączkę. Miała na sobie białą atlasową suknię, którą pożyczyła jej królowa, kiedy dowiedziała się o ich zaślubinach. Oświadczyła, że ma mnóstwo podobnych sukien, że może dać jakąś Wachiwi. Poza tym monarchini jeszcze nie zeszczupłała po urodzeniu dziecka przed trzema miesiącami. A kiedy nowożeńcy wyszli z kościoła, Wachiwi wyglądała jak prawdziwa królowa. Markiza de Margerac, córka wodza Siuksów, znalazła swój prawdziwy dom.

Zjedli wspólnie południowy posiłek w domu, a wieczór wypełnili goście, strzelał szampan, grała muzyka, tańczono do rana. Kiedy Wachiwi i Tristan poszli wreszcie do sypialni, ona czuła się tak, jakby należała do niego przez całe życie. Urodziła się dla niego, w osadzie Siuksów daleko stąd, i przemierzyła cały kontynent i ocean dla tej chwili i dla tego mężczyzny. Spojrzała na niego, kiedy zamknął drzwi sypialni i delikatnie zsunęła z ramion atlasową suknię. Wymagało to pewnych zabiegów, ale udało się, opadła na podłogę, a on ujrzał ją taką jak kiedyś Jean, gdy spotkał nad jeziorem nagą piękną dziewczynę. Jej skóra lśniła w blasku księżyca, Wachiwi wyciągnęła ręce do Tristana, a on ostrożnie ułożył ją na łóżku. To był moment, na który oboje czekali i którego rozpaczliwie pragnęli, kiedy stali się jednością. Posiadł ją, a czas i cały świat przestały istnieć. Leżeli wtuleni w siebie, tej nocy stali się nierozłączni na zawsze. On był jej przeznaczeniem, a teraz ona należała do niego.

Pozostali w Paryżu jeszcze trzy dni. Po ślubie przedstawiono Wachiwi na królewskim dworze jako markizę de Margerac, a wszyscy wiwatowali i krzyczeli radośnie, kiedy herold ją zaanonsował. Polały się strumienie szampana, Wachiwi przetańczyła całą noc z Tristanem i raz zatańczyła z królem. Szykując się do tego dnia, Tristan udzielał jej w Bretanii lekcji tańca.

Dzień zaślubin był najszczęśliwszym dniem w jej życiu, a występ na dworze króla, już jako żony Tristana, wspaniale go dopełnił. Maria Antonina uściskała Wachiwi gorąco, podziwiając jej kreację. Suknia z pięknego czerwonego brokatu doskonale harmonizowała barwą z odcieniem skóry i włosów Wachiwi. Uzupełnieniem stroju był rubinowy naszyjnik, kiedyś należący do matki Tristana. Wrócili do domu późną nocą i wciąż spragnieni siebie odkrywali cuda swoich ciał.

Obwieźli dzieci po całym Paryżu, po czym wrócili do Bretanii. Nie planowali wizyty na dworze, ale Wachiwi uznała, że powinni się tam jeszcze pokazać, i przekonała Tristana. Był w tak dobrym nastroju, że nie oponował. Chciał tego samego, czego pragnęła jego wybranka, i wiedział, że ona ma rację - powinni oddać cześć królowi i królowej, zanim wyjadą ze stolicy, a wkrótce uświadomili sobie, że to znów zrządzenie losu. Kiedy zjawili się na dworze, zastali tam wodza Siuksów Dakota.

Przystojny, postawny mężczyzna, młodszy od jej ojca, z gorejącymi oczami, uśmiechnął się na widok Wachiwi, a ona odwzajemniła uśmiech. Powiedział, że poznał ją kiedyś, jako dziecko, gdy towarzyszyła swojemu ojcu, choć ona tego nie zapamiętała. Jednak dobrze znał jej ojca i wtedy przypomniała sobie imię rozmówcy. To był wódz

Wambleeska, Biały Orzeł, a w wyprawie do Francji towarzyszyło mu dwóch synów. W strojach będących kombinacją elementów dworskich i indiańskich prezentowali się wspaniale, a Biały Orzeł przemówił do Wachiwi w narzeczu Dakota, gdy tylko zostali sobie przedstawieni. Wachiwi aż zakłuło w sercu, kiedy usłyszała ten język, i zatęskniła bardziej niż kiedykolwiek za ojcem i braćmi. Podczas rozmowy powstrzymywała łzy.

Zapytała wodza, czy coś wie o losach jej ojca. Biały Orzeł napomknął o jej porwaniu przez Indian Crow i powiedział, że śmierć ich wodza obrosła legendą wśród Siuksów Dakota. Myślano, że Wachiwi stała się duchem po tym, jak zniknęła, i teraz Biały Orzeł zdumiał się na jej widok.

- A mój ojciec? - Tristan obserwował jej twarz. Obawiał się tego, co ona usłyszy. Nieraz powtarzała, że ojciec jest bardzo stary i słabowity, a ona urodziła się, kiedy miał już swoje lata.

Biały Orzeł z poważnym wyrazem twarzy mówił przez parę minut. Wachiwi pokiwała głową, a chwilę później wodza odprowadzono, by poznał inne osoby na dworze. Uczynił znak pokoju Wachiwi i markizowi, a Tristan zerknął na żonę.

Niepokoił się, słuchając ich rozmowy w narzeczu Dakota.

- I co powiedział? - W oczach Wachiwi zaśniły łzy, kiedy na niego spojrzała.

- Wielki duch zabrał ojca przed nadejściem mrozów, zanim jeszcze przenieśli się do zimowego obozowiska. - Wyczuwała to w sercu już od miesięcy. Upłynął rok, odkąd porwali ją Crow, a jej ojciec nie żył prawie tak samo długo. Już nigdy go nie zobaczy, ale przynajmniej wiedziała, że spoczywał w spokoju i to dawało pociechę. Los prowadził ich

różnymi drogami, do miejsc, gdzie mieli trafić. Ojciec umarł bez niej, ze złamanym sercem, tak jak się tego obawiała. Pomyślała z nienawiścią o Napayshnim i nie żałowała tego, co stało się wtedy w lesie. To była zapłata za to, co uczynił jej braciom i ojcu.

- Tak mi przykro - odezwał się Tristan cicho, gdy opuszczali dwór, a ona skinęła głową i ujęła go pod ramię. Bolało ją serce na myśl, że ojciec umarł z żalu, lecz teraz przynajmniej dowiedziała się o tym. Oboje byli już wolni. On zakończył udane życie, ona miała swoje przed sobą, z Tristanem, jego dziećmi oraz tymi, które urodzi. I wiedziała, że ojciec, tak jak Jean, będzie żył zawsze w jej sercu. Była smutna, ale odczuwała spokój.

Poprosiła Białego Orła, żeby przekazał nowiny o niej jej braciom i powiedział, że Wachiwi ma się dobrze i jest szczęśliwa, poślubiwszy dobrego człowieka. Obiecał, że to zrobi, ale dodał, że nie wie, kiedy wyjedzie z Francji.

W powozie w drodze powrotnej do domu oparła głowę na ramieniu Tristana. Tej nocy też się kochali. Leżała w jego ramionach, rozmyślając o nowym życiu, które rozpoczęli. A gdy usnęła, znów jej się przyśnił biały bizon i lecący przy jego głowie biały gołąbek. W tym śnie ujrzała ojca, a kiedy obudziła się rano, zobaczyła uśmiechniętego Tristana i zrozumiała, że jej życie nie mogło potoczyć się lepiej.

Tego samego dnia wrócili do Bretanii, a w zamku Wachiwi przeniósł się do sypialni markiza i codziennie chodzili razem na długie spacerunki, często przechadzali się nad morzem. Dużo myślała o swoim ojcu i była już o niego spokojna. Jeździli też konno, a pewnego sierpniowego poranka Tristan zaproponował, żeby pojechali do lasu. Pokręciła głową i spojrzała na niego z uśmiechem.



- Nie mogę.

- Dlaczego? Źle się czujesz? - Był zaniepokojony, lecz ona wiedziała już, że jest w odmiennym stanie, a kiedy markiz na nią spojrział, domyślił się.

- O mój Boże, jesteś pewna?

Uroczyście przytaknęła. To stało się w noc poślubną, nie miała wątpliwości. Dziecko powinno urodzić się wczesną wiosną.

Liczyli, że to będzie chłopiec, którego nazwą Jean. To on sprowadził Wachiwi Tristanowi, uratował ją i przywiózł tu, gdzie jej miejsce, do Tristana i jego rodziny. Zrozumiała wtedy, że to biały bizon z jej snów przywiódł ją do niego.

## Rozdział 17

### Brigitte

Brigitte i Marc wyjechali z Paryża do Bretanii słonecznego kwietniowego poranka zabawnym samochodzikiem Marca, którego widok rozśmieszył Brigitte. Nigdy nie widziała tak małego auta, ale posiadanie pojazdu o takich rozmiarach rzeczywiście miało w Paryżu sens. Nie wydawała się już tak rozbawiona na autostradzie, ale Marc zapewnił ją, że samochód jest bezpieczny. W oczach Brigitte wóz wyglądał jak zabawka; niewielka torba podróżna zajmowała prawie całe tylne siedzenie, a jeszcze mniejszy bagaż Marca zapełnił bagażnik.

Jechali przez kilka godzin z rozsądną prędkością, a Marc opowiadał o swojej nowej książce. Bardzo interesował się zawłościami związku Napoleona z Józefiną i jego subtelnym

wpływem na politykę Francji, a Brigitte uznała temat za fascynujący. Słuchała Marca z ciekawością. To, co mówił, i sposób, w jaki analizował fakty, był, można powiedzieć, bardzo francuski. Pasjonował się polityką, ale związek miłosny dwóch postaci historycznych również uznawał za bardzo istotny. Brigitte ogromnie się podobało łączenie sfery uczuciowej z tym, co analityczne, powiązane z historią i polityką. Nie miała wątpliwości, że będzie to świetna książka. Marc mógł imponować bystrością umysłu i erudycją.

- Twoja książka o młodej Indiance też będzie dobra - powiedział z wymownym uśmiechem. Miał inteligentną twarz o miłym wyrazie, a oczy mu błyszczały, kiedy rozmawiał z Brigitte. Dużo jej się w nim podobało. Żałowała, że mieszkają tak daleko od siebie i nawiązywanie czegoś więcej niż tylko przyjaźni jest niewskazane, zwłaszcza dla niej.

- Dlaczego myślisz, że ją napiszę? - Zaciekawiło ją, skąd u Marca taka pewność. - Jak mogłabyś tego nie zrobić? Wiedząc to, co odkryłaś i co możesz wydedukować, i wyczytać między wierszami, jak mogłabyś się temu oprzeć? To akcja, przygoda, tajemnice, historia i romans. Pomyśl o czasach, w jakich oni żyli: niewolnictwo w Ameryce, ostatnie lata przed rewolucją we Francji. Co potem się z nimi działo? Może markiz stracił zamek? Był rojalistą, popierał monarchię? Co stało się z ich dziećmi? Dzięki indiańskiemu wątkowi ta historia jest jeszcze ciekawsza. A jeśli chodzi o sprawy miłosne, to dziewczyna płynęła do Francji z jednym z braci, a wyszła za drugiego. Jak uciekła od Indian Crow? Kto zabił wodza, który ją więził? Czy była niebezpieczną czy też niewinną kobietą? Masz materiału na dziesięć książek, nie tylko na jedną - powiedział niemal z zazdrością.

- Może ty powinieneś napisać tę książkę. Pokręcił głową.

- To twoja historia, nie moja. Bywa, że pisarze tego nie respektują, ale ja tak. Złodziejski honor. Roześmiał się, lecz po chwili spoważniał. - Mam nadzieję, że jednak napiszesz, Brigitte. - Wymawiał jej imię z francuska i to jej się podobało. - Myślę, że powinnaś wrócić do domu i zebrać jeszcze więcej materiałów, a potem wrócić tu na rok, może dwa lata i pisać. - Objął ją ciepłym spojrzeniem. - Bardzo bym tego chciał. Mogę ci pomóc, jeśli zechcesz.

- Już mi pomagasz. Bez twojego wsparcia nigdy nie odnalazłabym dworskich pamiętników. Nie wiedziałabym tyle, ile wiem, gdybym ich nie przeczytała. Nie miałabym pojęcia, że młodszy brat markiza przywiózł tu Wachiwi i zmarł w podróży. Myślałam, że po prostu los jej sprzyjał i wyszła za markiza. W jej życiu nie brakowało zawirowań ani burzliwych zdarzeń. - Brigitte musiała przyznać mu rację; zebrała materiał na wspaniałą książkę. Byłaby to nie tylko historia rodzinna, ale ważna relacja z tamtego okresu w dziejach Stanów Zjednoczonych i Francji.

- Musisz to opisać. Będę ci nękać, dopóki nie przyrzekniesz. Zresztą mam w tym także osobisty interes.

- Jaki? - Lubiła się z nim przekomarzać. Ledwie się znali, ale czuła się przy nim zupełnie swobodnie. Zastanawiała się, czy Wachiwi tak samo odbierała markiza, czy też może ją onieśmielał. W Marcu nie było nic onieśmielającego. Przeciwnie, jego towarzystwo wpływało na nią uspokajająco, niczym się nie przejmowała, a ich rozmowy na różne tematy sprawiały jej przyjemność.

- Zależy mi na tym, żebyś przyjechała do Paryża i została tu na trochę - wyznał. - Związki na odległość są trudne,

przeważnie skazane na niepowodzenie. Najczęściej się rozpadają. Lubię Boston, ale już tam mieszkałem. Jestem za stary na studenckie życie, czy nawet akademickie, i mam za dużo lat, żeby podróżować tak daleko co dwa tygodnie. To męczące, a ja muszę pisać. Ty też. Nie możesz dojeżdżać do pracy do Paryża. A odległość nie sprzyja bliskim kontaktom. - Mówił tak, jakby troszczył się o trwałość ich związku. Brigitte wydawało się to przedwcześnie.

- Myślałam, że jesteśmy po prostu przyjaciółmi - odparła cicho.

- Tylko tego chcesz? - spytał otwarcie, wpatrując się w nią; na szczęście na drodze panował niewielki ruch.

- Nie wiem, czego chcę. - Westchnęła. - Może na razie to wystarczy. Masz rację. Związki na odległość się nie sprawdzają. Właśnie dlatego rozstałam się ze swoim chłopakiem.

- Tęsknisz za nim? - Już ją o to pytał, a teraz znowu się zastanowiła.

- Czasami. Właściwie tęsknię za tym, żeby mieć w życiu kogoś bliskiego. Nie jestem pewna, czy brakuje mi akurat jego. Może się dowiem, kiedy wrócę do Bostonu.

- Nie chodzi więc o niego, a o kogoś, z kim łączyłyby cię bliskie relacje. Gdybyś tęskniła za konkretną osobą, odczuwałabyś to również tutaj.

Brigitte doszła do wniosku, że Marc ma rację. Dziwne, że po sześciu latach wspólnych wieczorów, weekendów i kolacji wcale tak bardzo jej Teda nie brakuje. Chciałaby opowiedzieć mu o tym, czego dowiedziała się o Wachiwi, ale nie tęskniła za nim jak kobieta, która utraciła miłość swojego życia. Nie kochała go do szaleństwa. Szła na łatwiznę, zbyt leniwa, by pragnąć czegoś więcej. Pomyślała, że

to okropna cecha, i wyznała to Marcowi. Okazał się mniej krytyczny wobec niej niż ona wobec siebie.

Dużo rozmyślała o związku z Tedem, odkąd się rozstali. Nie znalazła powodów uzasadniających to, że byli ze sobą przez sześć lat, nie mając żadnych wspólnych planów „Założyła”, że je mają. To było niemądre, tyle że łatwe. Na pewno łatwiejsze niż konfrontacja z tym, czego brakowało w ich związku. Teraz liczyła sobie trzydzieści osiem lat i nie miała mężczyzny ani dzieci, ani też żadnych planów na przyszłość. Nawet pracy. Dlatego, że również założyła, iż utrzyma się na swoim stanowisku wiecznie. Nie pasjonowała jej ani praca, ani mężczyzna, z którym się spotykała. Zadowolili się tym, co „w miarę dobre”, przeciętne i nie-wzbudzające żadnych emocji. A najstraszniejsze wydawało się to, jak sobie uświadomiła, że w ostatnich dziesięciu latach nie była ze sobą szczerą i niewiele od siebie wymagała. Zadowolili się tym, co jest. Nie chciała powtórzyć błędu. Ani pakować się w coś, z czym sobie nie poradzi lub co nie ma sensu. Jak związek na odległość, kursowanie między Paryżem a Bostonem. I, jak widać, Marc również tego nie chce. A więc mogli tylko zostać przyjaciółmi.

- A ty? Tęsknisz za kobietą, z którą byłeś?

- Już nie. Tęskniłem na początku. To był wygodny związek, ale mi nie wystarczał. Nigdy więcej nie zdecyduję się na coś takiego.

Wolę być sam, niż zadowolić się czymś tak niepełnym. -1

uśmiechnął się do niej jak typowy Francuz. -Albo związać się z tobą. Marc wydawał się czarujący i okazał się bardzo pomocny, ale jeszcze za wcześnie, by się przekonać, czy naprawdę jest szczerzy. Może tylko starał się być miły, kokietował. Mimo wszystko Brigitte zrobiło się miło, kiedy to powiedział.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, potem zatrzymali się na lunch w uroczej gospodzie w Fougères, którą Marc znał. Opowiedział Brigitte o regionie, w którym się znajdowali. Potrafił błysnąć wiedzą, był obeznany w literaturze, historii i polityce. Imponował Brigitte, cieszyła się, że go poznała. Okazał się nieocenionym pomocnikiem w jej poszukiwaniach i wiedziała, że matka będzie zachwycona odkryciami. Jej projekt się rozrósł, wykraczając poza zakreślone ramy, i teraz Brigitte wiedziała dużo więcej niż wtedy, gdy miała tylko listę przodków oraz daty ich narodzin i śmierci. Wachiwi stała się jakby jej młodszą siostrą, symbolem odwagi i wolności, źródłem inspiracji i najlepszą przyjaciółką.

- Opowiedz mi o szuanach - poprosiła Brigitte po lunchu. Marc wspominał o nich, mówiąc o rewolucji francuskiej, ale chciała wiedzieć więcej. - Powinnaś przeczytać powieść Balzaca *Szuanie*, są jej bohaterami - zasugerował uprzejmie. - To byli arystokraci, przeciwnicy rewolucji, popierali monarchię. W Paryżu większość z nich została zgilotynowana, ocaleli nieliczni; stracili wszystko, co mieli: domy, pałace, ziemie, pieniądze, klejnoty, a większość życie. Rewolucjoniści wzięli odwet na rojalistach za lata ucisku i nierówności społecznej; chcieli pozabijać wszystkich arystokratów. Najcięższe walki toczyły się w Paryżu. Dalej, zwłaszcza w regionie zwanym La Vendée i w Bretanii, gdzie żyli twoi przodkowie, bitwy nie były tak zaciekle, a rojaliści zyskali przewagę. Ci, którym udało się zachować zamek, zaciekle się w nim bronili. Główne miejsce oporu stanowiła Bretania. Wielu arystokratów zginęło i dużo zamków zniszczono, ale sporo zwolenników starego porządku przeżyło. Kiedy dojedziemy do Bretanii,

warto będzie się przekonać, jak poszło twojemu markizowi. Mógł zostać zmuszony do opuszczenia zamku. Jak widać nie zniszczono go całkowicie, skoro stoi i jest otwarty dla zwiedzających, ale mogły też pozostać po nim jedynie ruiny. Mnóstwa spalonych zamków i pałaców nigdy nie odnowiono, a szkoda. - Marc podał jeszcze kilka dodatkowych informacji: - Często obwinia się Marię Antoninę za ekstrawagancje i to, jak nastawiała króla. Można zrzucać wszystko na nią, ale to arystokraci i rojaliści mają największy udział w doprowadzeniu ludzi do strasznej nędzy, co zresztą wcale ich nie obchodziło. Drogo za to zapłacili. Szuanie oraz ich sąsiedzi z La Vendee stawili opór rewolucji. Nie ścierali się jednak z tak licznymi siłami rewolucjonistów jak moiżni w Paryżu, znajdowali się bowiem daleko od centrum walk. Byli w Bretanii bezpieczniejsi, jeśli w ogóle można mówić o bezpieczeństwie w czasie rewolucji. Brigitte ze zgrozą uświadomiła sobie, że rewolucja francuska była zaledwie ponad dwieście lat wcześniej, a więc, z punktu widzenia historyka to niezbyt odległe czasy. Potem pojawił się Napoleon. Monarchia została zastąpiona przez cesarstwo, co wcale nie okazało się lepsze. On także dopuszczał się różnego rodzaju gigantycznych nadużyć.

- Fascynujące, jaką rolę odgrywają w tym wszystkim kobiety - mówiła Brigitte w zamyśleniu. - Maria Antonina przed rewolucją, a potem Józefina. To pasuje do moich badań nad feminizmem. Powinnam napisać kiedyś o tym artykuł. Podoba mi się temat. - I nie lekceważ kurtyzan. To też wpływowe kobiety. Dwór kochał się w intrygach, manipulowano ludźmi, a nad wyraz sprawne były w tym kobiety, często właśnie one posiadały realną władzę i klucz do niej. Mężczyźni zawsze są

chętni do wyruszenia na bitwę, a damy okazują się sprytniejsze i bywają bardzo niebezpieczne.

- To się świetnie nadaje na książkę. I pomyśleć, że przez siedem lat zajmowałam się prawami wyborczymi kobiet i uważałam to za interesujące. To nic w porównaniu z tym wszystkim. - Francuzi byli wyjątkowo skłonni do knucia intryg, a kiedy Brigitte powiedziała o tym Marcowi, nie zaprzeczył.

- Dlatego nasza historia jest niezwykle interesująca. Nigdy nie jest tak, jak się z pozoru wydaje. Istotne fakty często są zakamuflowane i trzeba się do nich dokopać, żeby stwierdzić, co naprawdę się wydarzyło. - Tak też było w wypadku Wachiwi, Brigitte stopniowo odkrywała szczegóły. - Jak się czujesz, mając w rodzie Indiankę? - Podoba mi się to - odparła Brigitte zwyczajnie.

- Na początku myślałam, że moja mama, a jest purystką, będzie niezadowolona, ponieważ się szczyli swoim arystokratycznym francuskim pochodzeniem. Wydawało się mało prawdopodobne, że bycie po części Siuksem, choćby w małym procencie, jej się spodoba. Ale wygląda na, że i jej to przypadło do gustu. Cieszę się, że w moim DNA jest coś bardziej egzotycznego niż u niektórych francuskich arystokratów z tytułami, z całym szacunkiem dla nich. - Spojrzała na Marca przeprasząco.

Roześmiał się, kiedy to usłyszał.

- Nie przejmuj się, nie mam w rodzinie żadnego arystokraty. Wszyscy moi przodkowie to wieśniacy.

- Nieważne, skąd się wywodzą, to musieli być odważni ludzie, mówią o tym fakty z ich życia, to, co napisałeś o rodzicach i dziadkach w książce.

- Buntowniczość chyba leży w naszej naturze. To również bardzo francuskie. Nigdy nie lubimy się podporząd-



kowywać. Ciekawiej jest wywołać rewolucję lub działać w ruchu oporu. Często się sprzeciwiamy i nigdy też nie zgadzamy się ze sobą. Dlatego rozprawiamy z pasją o polityce, żebyśmy mogli wszystkich krytykować.

We francuskich kafejkach i miasteczkach uniwersyteckich wciąż toczyły się zagorzałe dyskusje na najbardziej błahe tematy. To narodowa cecha, Brigitte zawsze lubiła Francuzów.

Rozmawiali przez całą drogę do Saint Mało, a kiedy tam dotarli, było już za późno na wizytę w zamku. Ulokowali się w hotelu, gdzie mieli zarezerwowane pokoje, i poszli się przejść po porcie. Miasto było staromodne i urokliwe. Marc powiedział, że w dawnych czasach trudniono się tutaj wielorybnictwem i zabawiał Brigitte opowieściami na temat tego regionu.

Zatrzymali się i kupili lody, a potem usiedli na ławce, spoglądając na ocean.

- Potrafisz sobie wyobrazić wielkość statku, na którym Wachiwi tu przyплыnęła? - Brigitte pomyślała, jaką odważną dziewczyną musiała być Wachiwi. Ukochany mężczyzna, z którym podróżowała, zmarł podczas rejsu. To pewnie było dla niej straszne.

- Nie mogę o tym myśleć - odparł Marc. - Dostaję choroby morskiej.

Skończyli jeść lody i wrócili do hotelu. Każde z nich dostało małego pokój, niewiele większy od łóżka, i mieli wspólną łazienkę, ale przynajmniej było tanio. Zapłacili za pokoje osobno. Marc zaoferował się, że sam zapłaci za wszystko, ale Brigitte zaprotestowała. Przyjechał, żeby jej pomóc w zbieraniu informacji, i nie widziała powodu, żeby miał za nią płacić. Poza tym nie chciała stawać się jego dłużniczką.

Wieczorem zjedli kolację w restauracji rybnej, gdyż w hotelu nie serwowano posiłków. Potrawy smakowały wyśmienicie, a Marc zamówił butelkę wspaniałego i niedrogiego wina. Przy kolacji dużo rozmawiali. Brigitte lubiła towarzystwo Marca. Był wykształcony i miał dużą wiedzę z różnych dziedzin. Zdumiewała jego pamięć do faktów historycznych i dat. O pewnych fragmentach amerykańskiej historii wiedział więcej niż Brigitte. Dobrze też orientował się w polityce Stanów Zjednoczonych. Był niezwykle bystry, lecz niezrozumiały, co stanowiło rzadkość. Wielu znanych jej nauczycieli akademickich nie miało kontaktu z rzeczywistością; myśleli, że pozjadali wszystkie rozумы. Marc wiedział sporo, ale był skromny i miał dystans do siebie. Podobało się jej to w nim i ceniła jego poczucie humoru. Opowiedział jej parę zabawnych historii z czasów, kiedy studiował w Bostonie, i zaśmiewali się po powrocie do hotelu, gdzie powiedzieli sobie dobranoc i poszli do swoich pokoi. Brigitte myślała akurat zęby, ubrana w starą flanelową koszulę nocną, gdy do łazienki wszedł Marc. Zapomniała zamknąć drzwi na klucz. Miał na sobie bokserki i bawełnianą koszulkę, wyglądał zwyczajnie, jak każdy inny mężczyzna w swoim domu. Nie było w nim w tym momencie nic seksownego ani francuskiego i wyglądał po prostu normalnie, prawdziwie, a właśnie to spodobało się w nim Brigitte. Przeprosił za najście, choć nocna koszula zakrywała Brigitte od szyi po kostki.

- Jaki seksowny strój - zażartował. - Moja siostra sypiała w czymś takim w czasach, kiedy chodziliśmy do szkoły. - Wspominał o niej już wcześniej. Mieszkała na południu Francji, miała męża i troje dzieci, a Marc pozostawał z nią

w bliskich stosunkach. Sam siebie nazywał czarną owcą w rodzinie, bo żył z kobietą bez ślubu, nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Siostra była adwokatem, a jej mąż sędzią w małym prowincjonalnym miasteczku. - Chociaż nie wydaje mi się, żeby złapała męża, wkładając taką koszulę -przekomarzał się z Brigitte. - Nie zamierzam dziś wieczorem szukać męża - odpaliła. - Seksowne koszulki zostawiłam w domu. - A prawda była taka, że Brigitte nie miała żadnych koszul i od lat nie kupowała seksownej bielizny. Nie potrzebowała ich. Miała przecież Teda. - Szkoda. Właśnie miałem ci się oświadczyć. - Gawędząc z nią, nałożył sobie pastę na szczoteczkę i po chwili oboje myli zęby nad zlewem. Robienie tego w towarzystwie mężczyzny, którego Brigitte ledwie знаła, wydawało się jej dziwne, ale jakoś nie przeszkadzało. Naprawdę zaprzyjaźniali się ze sobą, mimo żartobliwych rozmów o związku i małżeństwie. Nie groziło im ani jedno, ani drugie, Brigitte chciała, żeby pozostali przyjaciółmi. Kiedy skończyli toaletę, Marc życzył jej dobrej nocy, po czym rozeszli się do swoich pokoi i zamknęli drzwi. Brigitte przekręciła klucz w zamku, natomiast Marc na wszelki wypadek tego nie zrobił. Byłby zachwycony, gdyby odwiedziła go w nocy, ogarnięta nagłą falą pożądania. Ona jednak spała jak niemowlę i rano była wypoczęta. Przy śniadaniu Marc wyraził swoje rozczarowanie i dalej się z nią przekomarzał. Tak naprawdę jednak byłby zaskoczony, gdyby zjawiała się w jego pokoju. Ustanowiła wyraźne granice i dała mu to jasno do zrozumienia, a on mimo żartów ich nie naruszał. Szanował Brigitte, uważał za kobietę godną podziwu, a Teda, który ją zostawił, za głupca.

Żadna mumia

odnaleziona w Egipcie czy grób faraona nie wydawały się jej warte. Brigitte była wspaniałą, przewyższającą inteligencją wszystkie kobiety, które poznał do tej pory. Po śniadaniu pojechali do centrum miasta i Marc zatrzymał się przy ratuszu. Powiedział, że śluby, narodziny dzieci, zgony oraz inne ważne wydarzenia w okręgu odnotowywano w tym miejscu. Brigitte mogłaby więc potwierdzić tutaj to, co już wiedziała, a może i zdobyć jakieś nowe informacje. Kolejny raz okazało się, że miał rację. Po wniesieniu niewielkiej opłaty spędzili kilka godzin na przeglądaniu opasłych ksiąg. Znaleźli wpisy dotyczące narodzin Tristana i jego młodszego brata, a także daty urodzin i śmierci ich rodziców; oboje umarli dość młodo, w odstępie paru dni. Marc przypuszczał, że zmarli wskutek jakiejś epidemii; Tristan miał wtedy zaledwie osiemnaście lat, a jego młodszy brat o dziesięć mniej. Tak więc tytuł markiza oraz wszystko, co się z tym wiązało, Tristan odziedziczył już jako nastoletni chłopiec. Odnaleźli też zapiski dotyczące narodzin dzieci Tristana i Wachiwi; pierwsze otrzymało imię zmarłego brata markiza. Brigitte знаła już te imiona i daty z kopii dokumentów u mormonów, ale teraz byli w miejscu, gdzie znajdowały się oryginały. Widząc imiona swoich przodków w oryginalnych starych księgach, Brigitte była poruszona. Notowała wszystko, żeby pokazać matce. Kiedy wyszli na dziedziniec, zobaczyli młode pary, z radością i niecierpliwością czekające na ceremonię ślubną. Marc wyjaśnił, że we Francji ślub cywilny odbywa się przed kościelnym i te młode pary za kilka lub kilkanaście dni złożą sobie przysięgę małżeńską w kościele. Gdy mijali ich na dziedzińcu, czuli wokół atmosferę radosnego podniecenia. Rodzice i krewni nowożeńców stali w grupkach i gawędzili.

Brigitte



uśmiechnęła się, przechodząc obok. Wrócili do samochodu i pojechali do zamku. Idealnie zaplanowali dzień. Zwiedzanie z przewodnikiem miało się rozpocząć za niecałą godzinę. Brigitte chciała posłuchać, co mają tutaj do powiedzenia, i zobaczyć wreszcie dwór, który przed wiekami należał do jej rodziny. Jechali tą samą drogą, którą przebyła Wachiwi, w stronę urwiska, gdzie stał zamek de Margerac z widokiem na morze. Obecnie był zabytkiem pod państwową kuratelą. Przy wejściu kupili bilety do ogrodów i tam spacerowali. Brigitte zdumiała wielkość budowli. Wyglądała jak forteca i od setek lat prawie się nie zmieniła. W ogrodzie wciąż znajdowały się klomby z kwiatami, labirynt ścieżek oraz ławki, gdzie można było odpocząć i podziwiać widoki. Nie mogli wiedzieć, że ławka, na której siedzieli parę minut, to miejsce, gdzie Tristan oświadczył się Wachiwi. Jednak przez samo przebywanie tam Brigitte jakby przesiąknęła historią własnej rodziny.

Stajnie od dawna stały puste, wisiało tylko kilka portretów przodków, które Wydział Zabytków zdołał odzyskać na aukcjach. Brigitte zauważyła zakurzone trofea myśliwskie, kiedy ludzie gromadzili się u podnóża wielkich schodów, żeby wysłuchać opowieści młodej przewodniczki o dziejach rodu de Margeraców. Powiedziała, że zamek powstał w XII wieku, i przytoczyła listę nazwisk osób z różnych pokoleń, które tu żyły, a także wspomniała, co ci ludzie uczynili dla tutejszej społeczności i regionu. Ten zamek był największy w Bretanii, a w średniowieczu jego właściciele zwyciężyli swoich wrogów, także po rewolucji. Mówiła po francusku, a gdy zbyt szybko, Marc tłumaczył Brigitte. Przeszli przez główną

sypialnię na pierwszym piętrze oraz kilka innych wielkich i pustych pokoi. Sypialnie znajdowały się też na wyższych kondygnacjach, gdzie mieściły się również pokoje dzieciinne, ale były puste i zamknięte dla zwiedzających.

Gdy znaleźli się znów w wielkim holu, przewodniczka niemal z dumą oznajmiła, że markiz Tristan de Marge-rac przyłączył się po rewolucji do szuanów i udało mu się zachować zamek, nie dopuścił do jego zajęcia. Podobno markiz trzymał tu swoją rodzinę w odosobnieniu, mimo że rewolucjoniści podpalili część pałacu. W okolicy krążyły opowieści o odwadze markizy, walczącej dzielnie u jego boku. Brigitte była wzruszona, łzy napłynęły jej do oczu. Mogła sobie wyobrazić Wachiwi, Indiankę z krwi i kości, jak staje w obronie swojego domu, dzieci i męża. Zamek pozostał w rękach rodziny de Margeraców do połowy XIX wieku, potem wyemigrowali do Ameryki. Na przełomie wieków, inni już właściciele, sprzedali pałac, przechodził z rąk do rąk, aż rządowy Wydział Zabytków przejął i odnowił budowlę. Większość z tego, co zobaczyli, wygląda tak jak dawniej, tyle że w czasach ostatnich pokoleń markizów zamek prezentował się okazalej. Znajdowały się tu antyki, ale zniknęły, a rozległe ziemie rozsprzedano, kiedy zamek zmieniał właścicieli. Hodowano tu rasowe wierzchowce, przewodniczka wspomniała, że żona Tristana de Margera-ca świetnie jeździła konno i słynęła z tego w całym okręgu. Rzuciła mimochodem, że była Indianką, prawdopodobnie z plemienia Siuksów, i przybyła do Francji, by poślubić markiza, ale przewodniczka nie знаła szczegółów tej historii. Powiedziała, że żona Tristana nazywała się Wachiwi, a oboje zostali pochowani na rodzinnym cmentarzu znajdującym się na tyłach XIII-wiecznej kaplicy na terenie posiadłości,

gdzie zawsze grzebano członków rodu. Dodała, że we Francji nie mieszkają już żadni potomkowie w prostej linii rodziny de Margeraców. Wszyscy wyemigrowali do Ameryki w XIX wieku i prawdopodobnie tam wymarli.

Marc uścisnął dłoń Brigitte, która miała ochotę zamachać rękami i zawołać: Jestem tutaj! Jestem jedną z nich! Była przejęta i podekscytowana, gdy skończyli zwiedzanie i wyszli na zewnątrz. Kupiła kilka broszur i pocztówek dla matki, rozglądała się wokoło, czując silny związek ze swoimi przodkami, zwłaszcza z Wachiwi, którą podziwiała.

Marc znowu miał rację. Tristan de Margerac był szu-anem i udało mu się utrzymać zamek, mimo że rewolucjoniści próbowali go zdobyć. Nie poddał się, podobnie jak inni w tym regionie, a pomogła mu Wachiwi z całą swoją indiańską odwagą i zręcznością. To musiały być straszne czasy.

Brigitte nabrała ochoty, żeby je opisać, ale wciąż nie wiedziała jak. Jako dokument czy fikcję? Powieść historyczną? Książkę antropologiczną? Opis dziejów? A może romans? Nie miała pojęcia, co wybrać i czy w ogóle podjąć się tego zadania. Może wystarczy po prostu zachować dla siebie to wszystko i mieć świadomość, że ma swoje miejsce w historii rodu de Margeraców. Poszła z Marcem na niewielki cmentarz za kaplicą, nie wszyscy turyści tam się udali, nie interesowało ich oglądanie kamieni nagrobnych ani krypt całych pokoleń zmarłych Margeraców. Marc i Brigitte weszli do pustej kaplicy. Jedna część wyglądała tak, jakby strawił ją pożar, ale się zachowała. Nie wiadomo, czy zniszczeń dokonali rewolucjoniści, czy doszło do tego później. W ogrodzie za kaplicą znajdowało się parę grobowców i sporo kamieni nagrobnych, z których część wygładziła się



z czasem, wygrawerowane na nich kiedyś nazwiska były nieczytelne. Brigitte wiedziała, co chciałyby znaleźć, kiedy weszli do pierwszego mauzoleum, a potem do drugiego i trzeciego. Na wszystkich znajdowały się nazwiska de Mar-geraców z poprzednich pokoleń, a wyryte litery dobrze się zachowały. Grobowce pochodziły przeważnie z XVI i XVII wieku, niektóre z początku i połowy XVIII stulecia. Leżeli tam rodzice Tristana i Jeana. Brigitte była zawiedziona, że nie znaleźli nagrobków Tristana i Wachiwi. Z tyłu cmentarza stały pod drzewem dwa piękne pomniki, a wokół nich kilka mniejszych kamieni nagrobnych. Straciła już nadzieję na odnalezienie grobów markiza i jego żony, ale było coś pocieszającego w odczytywaniu imion należących do jej przodków.

Marc zobaczył je pierwszy. Przeszedł na sam koniec cmentarza, żeby przeczytać imiona na dwóch ostatnich pomnikach i pomachał do Brigitte. Przedarła się przez wysokie chwasty, porastające ścieżkę.

Marc stał w nabożnym skupieniu, ze łzami w oczach, i w milczeniu wyciągnął rękę do Brigitte. Imiona Tristana i Wachiwi były wyraźnie widoczne. Oboje zmarli w 1817 roku, jedno w niecałe trzy miesiące po drugim, dwadzieścia osiem lat po rewolucji, trzy lata po abdykacji Napoleona i dwa po bitwie pod Waterloo. Wachiwi odeszła z tego świata po trzydziestu trzech latach od przyjazdu do Francji i trzydziestu dwóch od chwili poślubienia markiza. Gdy Brigitte i Marc przeszukali wysokie trawy, odnaleźli też inne groby - dzieci Wachiwi, ich żon i mężów oraz dwojga ich dzieci zmarłych we Francji. Były tam imiona i nazwiska, które Brigitte widziała ostatnio w spisach zamieszczonych w dawnych księgach z aktami narodzin i zgonów,

a pośród nich imiona Tristana i Wachiwi. Pomniki na grobach tej pary stały dostojnie w cichym ogrodzie, jeden przy drugim, zdawałoby się nierozłączne jak oni za życia. Tristan zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, w tamtych czasach uważanym za podeszły, tylko nieliczni go osiągnęli, ale trudno było ustalić, ile lat żyła Wachiwi. Jeśli miała około siedemnastu lat, kiedy opuściła wioskę indiańską, i osiemnaście, gdy poślubiła markiza, wtedy musiałaby mieć pięćdziesiąt w chwili śmierci i pewnie zmarła z żalu za mężem, chociaż wtedy zgon w takim wieku nie należał do rzadkości. To Tristan żyjący tak długo okazał się wyjątkiem. Na jego grobie widniały daty narodzin i zgonu, a u Wachiwi wygrawerowano jedynie datę śmierci. Prawdopodobnie nikt nie znał dokładnie jej wieku, nawet ona sama, gdyż nigdzie nie zanotowano, ile miała lat, kiedy opuściła swoje plemię. Brigitte ze wzruszeniem patrzyła na pomniki. Potem żyły kolejne pokolenia przodków, ale to Wachiwi, młoda Indianka, podbiła jej serce i zachwyciła ją swoją historią. Szalona dziewczyna z plemienia Siuksów Dakota. Czuła silną więź z Wachiwi. Stojąc w miejscu wiecznego spoczynku Indianki i jej męża, miała wrażenie, jakby zatoczyła koło i wreszcie odnalazła swoje korzenie. Czuła się częścią tego miejsca i tych ludzi, niemal tak, jakby ich znała, i w pewnym sensie rzeczywiście tak było. Nagle uświadomiła sobie, jak dużo zawdzięcza matce; ona wprowadziła ją na tę drogę, choć Brigitte długo się opierała. Stali na cmentarzu, ona i Marc, trzymali się za ręce, a potem powoli i niechętnie odeszli, mijając kaplicę i zamek. Marc objął ją i tak dotarli do miejsca, gdzie zostawili samochód. To było niezapomniane popołudnie. Kiedy

odjeżdżali, Brigitte poczuła smutek, że opuszcza swoich przodków i rodowy zamek.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjechać tu razem z tobą - powiedział ze wzruszeniem Marc, gdy wjechali do miasteczka. Cała ta historia, zawiła i tajemnicza jak układanka, którą próbowali złożyć, teraz tworzyła wyrazisty obraz, poszczególne elementy trafiły na właściwe miejsce. Marc był dumny, że miał w tym jakiś swój udział i mógł dzielić emocje Brigitte.

- Gdyby nie ty, nigdy nie dowiedziałabym się, kim była Wachiwi i co jej się przydarzyło. - Brigitte się uśmiechnęła.

- Myślę, że sprowadziło nas tu przeznaczenie. - Marc w to wierzył. Nie takie rzeczy się zdarzają.

- Być może. - Żałowała, że nie zrobiła dla niego czegoś więcej. Lubiła słuchać jego opowieści o książce, którą pisał.

- Może twoim przeznaczeniem jest pozostać we Francji, tak jak Wachiwi - zasugerował, a Brigitte się roześmiała. Marc się nią interesował, dobrze się czuł w jej towarzystwie i nie chciał, żeby wyjeżdżała. A ona zakończyła swoją misję. Kiedy dotrą do Paryża, będzie musiała wrócić do domu, do Ameryki.

- Muszę poszukać pracy. W Bostonie.

- Możesz znaleźć coś tutaj. - Znowu wspomniał o Uniwersytecie Amerykańskim w Paryżu. Tak się składało, że miał znajomego w dziale rekrutacji, do którego mógłby zadzwonić w jej imieniu.

- A co potem? Nie mam tu mieszkania ani przyjaciół. Tyle lat spędziłam w Bostonie. - I tak tam nudno, pomyślała sobie, ale nie powiedziała tego na głos.

- Masz mnie - napomknął ostrożnie, lecz oboje wiedzieli, że przecież ledwo się znają. Nic między nimi się nie

wydarzyło i może nigdy się nie wydarzy. Nie przeprowadł się do Paryża dla mężczyzny, z którym po prostu lubi rozmawiać. To nie wystarczało i oboje zdawali sobie z tego sprawę. A Brigitte nie była osobą impulsywną. Kierowała się rozsądkiem, zawsze. - Myślę, że jednak tu powinnaś napisać książkę o swojej dawnej krewnej z plemienia Siuk-sów - nalegał, ale Brigitte nie wydawała się przekonana. Nie była powieściopisarką ani historykiem, tylko antropologiem. Ta historia, pełna nieskrywanych emocji, to coś innego, a ona nie miała wprawy w opisywaniu takich rzeczy. - Rok w Paryżu dobrze by ci zrobił. - Marc wciąż starał się ją przekonać. - W pewnym momencie życia wszyscy musimy zrobić coś szalonego, co nie ma sensu, ale rozgrzeje serce. - Wiedział, że Wachiwi właśnie coś takiego uczyniła.

- Nie lubię podejmować ryzyka - odparła cicho, a Marc odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Wiem. Widzę to. A może powinnaś. - Jednak to nie on miał podjąć decyzję. Brigitte postanowiła wrócić do domu, do Bostonu. Wydawało się jej to właściwe.

Tego wieczoru zjedli kolację w innej restauracji i spędzili noc w hoteliku. A w niedzielę rano wyruszyli do Paryża. Podczas jazdy trochę gawędzili, a przez część drogi Brigitte spała. Marc popatrywał na nią z uśmiechem. Miło było mieć ją obok siebie, śpiącą spokojnie, gdy on prowadził samochód. Cieszył się, że pojechał z nią do Bretanii. I wpadał w przygnębienie na myśl, że za parę dni już jej nie będzie. Miał jedynie nadzieję, że dni, które nastąpiły po tym, gdy się poznali, przekonają ją do pozostania we Francji.

## Rozdział 18

### Wachiwi 1793

Miesiące i lata po wybuchu rewolucji francuskiej były dla nich koszmarem. Na szczęście przebywali w Bretanii, kiedy na ulicach Paryża doszło do rozruchów. W nowiny przynoszone przez uciekinierów aż nie chciało się wierzyć. Uzbrojone zbiry i rewolucjoniści opanowali Wersal, uwięzili całą rodzinę królewską, a pałac w Luwrze roił się od motłochu dewastującego wspaniałe komnaty. Mordowano dzieci arystokratów, dorosłych z rodu królewskiego zgilotynowano, odcięte głowy leżały na ulicach, krew spływała do rynsztoków. Zginęło wielu przyjaciół i krewnych Tristana.

Wachiwi i Tristan nie mieli pojęcia, co stało się z ich paryskim domem, dopiero po paru miesiącach dowiedzieli się, że został splądrowany. Stacjonowały w nim rewolucyjne oddziały, potem opuściły siedzibę, zabierając większość wartościowych rzeczy. Wachiwi była wdzięczna losowi, że przebywała wtedy w Bretanii razem z dziećmi.

Początkowo przeraziło ją to wszystko i przypomniało jej czasy, kiedy porwali ją Indianie Crow. Tristan zrozumiał to od razu i zapewnił, że tym razem nikt jej nie uprowadzi.

- Prędzej ich pozabijam - obiecał z nieznanym jej wcześniej błyskiem w oku. - Obronię cię.

Wiedziała, że tak będzie, czuła się przy nim bezpieczna.

Przekształcił zamek w fortecę, podniósł zwodzony most, i przeobraził ich dom w warowny obóz, ściągając do siebie innych arystokratów. Utworzyli tam oddział złożony z po-

nad pięćdziesięciu ludzi. Markiz nauczył Wachiwi strzelić z muszkietu i ładować działo, a ona walczyła u jego boku przez wiele nocy. Nigdy się nie bała, kiedy była z Tristanem.

Ona pierwsza dostrzegła płomienie tej nocy, kiedy rewolucjoniści podpalili północne skrzydło zamku. Były tam jej dzieci, także Agathe, Matthieu i Tristan, gdy płonące strzały przeleciały nad murami i podpaliły drzewa, a pożar przeniósł się natychmiast do zamku, rozniecony porywistym wiatrem. Wtedy obudził się w niej duch Siuksa i zawładnął nią. Wzięła ciężki łuk z rąk łuczownika i zaczęła strzelać; wielu atakujących zraniła, wielu zabiła. Była katoliczką, ale nie dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu tego, co robiła. Walczyła o swój dom, a Tristan patrzył na nią z dumą, nigdy nie kochał jej bardziej. Jako jedyna kobieta walczyła u boku mężczyzn, strzelając z muszkietu i z łuku.

Została ranna w to samo ramię, co kiedyś, gdy próbowała uciec od Crow, ale tym razem skończyło się na draśnięciu. Po tym zdarzeniu Tristan uparł się, żeby została z dziećmi, lecz kilka godzin później znów walczyła razem z mężczyznami.

We Francji nastały straszne czasy; rodacy zwrócili się przeciwko sobie i zabijali się wzajemnie. Północne skrzydło zamku zostało zniszczone, jednak z czasem ataki osłabły, rewolucjoniści odstąpili. Szuanie powrócili do domów, na prowincji znowu zapanował spokój, a Tristan nie szczędził starań, by odrestaurować zamek, wdzięczny losowi, że ocaleli i nie stracili domu. Nie odwiedził Paryża i nie widział zniszczeń w stolicy. Tamtejszy dom stał zamknięty, a Tristan nie miał zamiaru opuszczać żony, ich trzech synów oraz dwójki swoich dzieci. Nie wiedział, czy kiedykolwiek poczują się bezpieczni. I jeszcze bardziej kochał Wachiwi.

Odkrył w niej zawziętość, gdy walczyła u jego boku, i zresztą nie pierwszy raz uświadomił sobie, jaka z niej niezwykła kobieta i ile dla niego znaczy - więcej nawet od ojczyzny i domu. Walczył przede wszystkim o to, żeby ochronić ją i ich dzieci. A ona czuła to samo. Żyła dla Tristana, trójki ich synów i przybranych dzieci, i zabiłaby każdego, kto by im zagroził.

Przechadzali się w słoneczny dzień po ogrodach, częściowo spalonych. Stajnie też zostały zniszczone, padło parę koni.

Rewolucjoniści się wycofali, gdy nie zdołali zdobyć zamku.

Szuwanie w jego murach walczyli zbyt zawzięcie, więc napastnicy przenieśli się w inne, słabiej bronione miejsca. Tristan i Wachiwi ocalili swój dom. Markiz dumny ze swojej żony uśmiechnął się, siadając na tej samej ławce, na której się jej oświadczył, też osmalonej w czasie pożaru. Ogrodowy labirynt został całkiem zniszczony.

- Można to wszystko odtworzyć - powiedział spokojnie, a Wachiwi wiedziała, że Tristan naprawi szkody. Uwielbiał swój dom i nienawidził rewolucjonistów. Dawniej nie zdawała sobie sprawy, jaki z niego dzielny wojownik. Wcześniej był spokojnym człowiekiem, póki nikt nie próbował odebrać mu domu i skrzywdzić rodziny. Przypominał Wachiwi jej braci. Wciąż za nimi tęskniła, ale jej życie było tutaj, z Tristanem i dziećmi. Teraz czuła się i Francuzką, i Indianką, choć duch Siuksów bardziej dał o sobie znać podczas bitwy o zamek.

- Jak tam twoje ramię? - zapytał z troską.

- W porządku. Byłby z ciebie dobry indiański wojownik - stwierdziła, a on zaśmiał się i ją objął.

- Nie jeżdżę konno tak świetnie jak ty.

- Moi bracia też nie - zażartowała.

- A ty byłąbyś dobrą łuczniczką króla, gdyby wciąż miał łuczników - powiedział ze smutkiem. Wszystko się zmieni\* ło. Świat stanął na głowie. Zginęło dużo ludzi, których znał. Nie chciał znów opuszczać Bretanii. Lepiej im tu, mogą żyć w spokoju, z daleka od Paryża. Obawiał się, że miną lata, zanim sytuacja w kraju się ustabilizuje. - Żałujesz, że tu przyjechałaś? - spytał ją z niepokojem, mając na myśli Francję. Nastaly takie straszne czasy.

- Oczywiście, że nie. - Spojrzała mu głęboko w oczy. Przekonał się o jej sile i miłości i to dodało mu otuchy. Przygnębiało go to, przez co musiała przejść. - To moje życie. Ty jesteś moim życiem. Ty i nasze dzieci. Urodziłam się, żeby być z tobą. - Miała osobliwą pewność. Należała teraz do jego plemienia i tylko tego pragnęła. Nie była już Siuksem. - Chciałabym umrzeć razem z tobą pewnego dnia - oświadczyła uroczyście. - Po wielu latach. Kiedy odejdziesz, odejdę z tobą.

Popatrzył na nią i zrozumiał, że mówi poważnie, nachylił się i ją pocałował. Kochał ją tak samo gorąco, jak ona kochała jego.

- Chcę przeżyć z tobą długie lata, Wachiwi - oznajmił ze spokojem, a potem spojrzał na morze. Przytuliła się do niego i uśmiechnęła, ukojona. Bitwa o ocalenie ich domu się skończyła, mieli teraz dużo do zrobienia. - Tak się stanie - odparła cicho, gdy siedzieli, wpatrzeni w morze. Potem trzymając się za ręce, wrócili do zamku. Weszli na górę, żeby zobaczyć się z dziećmi. Agathe i Matthieu bawili się tam z młodszym rodzeństwem. Dzieci wciąż jeszcze nie otrząsnęły się po tym, co się działo w ich domu. Tristan spojrzał nad ich główkami na Wachiwi i uśmiechnął się do niej z radością. A ona odwzajemniła uśmiech. Nie miała się czego bać, dopóki z nim była.



Zeszli schodami do sypialni i cicho zamknęli za sobą drzwi. Wachiwi objęła Tristana, a on pocałował ją tak namiętnie jak zawsze.

Gdy trzymał ją w ramionach, wiedział, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, a Wachiwi, córka indiańskiego wodza, należy do niego i nie opuści go do końca jego dni. Była tancerką jego serca, duszy i marzeń.

## Rozdział 19

### Brigitte

Poniedziałek Brigitte spędziła na załatwianiu różnych spraw i zakupach. Chciała kupić prezent dla matki, także coś dla Amy i jej dzieci. Przespacerowała się wzdłuż Sekwany i poszła obejrzeć wystawę, na którą wybierała się, odkąd przyjechała do Paryża, tyle że wciąż nie miała czasu. Uświadomiła sobie, że pozostał jej jeden czy dwa dni na oglądanie muzeów i zabytków, które chciała zobaczyć, a potem będzie musiała wyjechać. Wrócić do swojego życia. A jej prawdziwe życie toczyło się w Bostonie, a nie tutaj. W każdym razie jednak bardzo podobało się jej w Paryżu. Kiedy Marc podrzucił ją do hotelu w niedzielę, powiedział, że wkrótce zadzwoni. Wiedział, że Brigitte wyjeżdża w tym tygodniu. Wspominał, że nazajutrz ma spotkanie ze swoim wydawcą. Zatelefonował do Brigitte w późne poniedziałkowe popołudnie i zaprosił ją na kolację. zaproponował miejsce, o którym nigdy wcześniej nie słyszała, w sie-

demnastej dzielnicy, zapewniając, że podają tam wspaniałą jedzenie.

Przyjechał po nią o ósmej i spędzili razem wspaniały, jak zawsze, wieczór, a pod koniec posiłku, kiedy pili filtrowaną kawę, zajadając się lodami i makaronikami, Marc spojrzał na Brigitte zakłopotany; oznajmił, że musi jej coś wyznać. Nie miała pojęcia, o co chodzi, a kiedy jej powiedział, była zaskoczona. Marc zatelefonował bowiem do swojego znajomego w dziale rekrutacyjnym Uniwersytetu Amerykańskiego w Paryżu i spytał go, czy nie umówiliby się z nią na spotkanie w sprawie pracy. Przyznał, że to bezczelne z jego strony, ale przecież nie zaszkodzi odbyć takiego spotkania. Jeśli nie mają wolnych stanowisk, trudno, a jeśli coś się znajdzie, to i tak zapewne może odrzucić propozycję. Nie chciała tam pójść, była zszokowana i zirytowana tym, co Marc zrobił, chociaż wiedziała, że miał dobre intencje. Brigitte niemile zaskoczył jego tupet.

- Bardzo chcesz, żebym tu została, a dlaczego ty nie przeniesiesz się do Bostonu? - napadła na niego. Różnica polegała jednak na tym, że on miał pracę, a ona nie, więc łatwiej mogła się przemieszczać. Niewiele trzymało ją w Bostonie, a Marca wiązało z Paryżem sporo spraw. Wykładał na Sorbonie i miał różne zobowiązania, w przeciwieństwie do Brigitte.

- Jesteś na mnie zła? - Spojrzał na ją przepaszajaco. Postąpił zbyt śmiało, ale tak bardzo ją lubił i wydawało mu się, że Brigitte nie ma pojęcia, co ze sobą począć. Ucieszyłby się ogromnie, gdyby przeniosła się do Paryża, choćby na rok. Gdyby nic więcej nie wydarzyło się między nimi, pozostałoby dobrymi przyjaciółmi. Tego był pewien, podobnie zresztą jak ona. Ale Brigitte nie zamierzała przeprowadzić

się do Paryża dla przyjaciela i pracy na Uniwersytecie Amerykańskim. Wracła do Bostonu, żeby znaleźć tam pracę w środowisku akademickim, które dobrze знаła.

- Nie jestem zła... Może tylko zaskoczona... Pochlebia mi to... Przyjemnie wiedzieć, że komuś tak bardzo na mnie zależy i tak się stara mnie tutaj zatrzymać. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tego, że ludzie zarzucają mnie propozycjami rozmów w sprawie pracy albo podejmują za mnie decyzje. - Ted nigdy tego nie robił i wołała, żeby tak zostało. Była niezależna, nawet jeśli akurat nie miała pracy, i z pewnością czuła się na siłach, żeby znaleźć ją samodzielnie. Marc trochę ją uraził, umawiając na spotkanie, ale wiedziała, że chciał dobrze, i dlatego mu wybaczyła. - Decyzja należy do ciebie, Brigitte. Chciałem tylko podsunąć ci pewną możliwość, gdybyś sobie tego życzyła. Nie życzyła sobie, ale nie chciała być niegrzeczna.

- Co im powiedziałaś? - Była ciekawa, mimo że nie zamierzała iść na rozmowę. - Ze jesteś inteligentną, czarującą i wspaniałą osobą i na pewno świetnie radzisz sobie z tym, czym się zajmujesz, że pracowałaś przez dziesięć lat na Uniwersytecie w Bostonie i szukasz odmiany.

- No cóż, nieźle to brzmi - przyznała - a zwłaszcza ta część o mojej inteligencji, uroku i wspaniałości.

I rzeczywiście była gotowa na zmiany. Nie wiedziała tylko na jakie, a praca w dziale rekrutacyjnym innej uczelni wydawała jej się zbyt podobna do poprzedniej. To niezbyt ekscytujące zajęcie i Brigitte uzmysłowiła sobie teraz, jak często się wtedy nudziła. Wykonywała mnóstwo nużących czynności i to na własne życzenie, bo nigdy nie chciała podejmować się bardziej odpowiedzialnych zadań.

- To niewielka uczelnia, może ci się spodobać. Miałabyś tam bliższy kontakt ze studentami i większe wpływy. Myślę, że jest tam mniej niż tysiąc studentów.

Na wielkim Uniwersytecie Bostońskim kształciło się trzydzieści dwa tysiące osób, na studiach magisterskich i podyplomowych; Marc miał rację, tu miałaby bliższy kontakt ze studentami.

- Pewnie powinnam iść na tę rozmowę, żeby nie stawiać cię w niezręcznej sytuacji, a potem pojechać do domu i tam szukać posady. Jeśli nie znajdę nic ciekawego, zawsze mogę pomyśleć o pracy tutaj, traktując to jako wyjście awaryjne.

Śmieszne wydawało się traktowanie pracy w Paryżu jako zapasowe rozwiązanie. Brigitte wiedziała, że inni taką możliwość uznaliby za wielką szansę, ale ona chciała wrócić do kraju.

Wmawiała sobie, że jej życie toczy się w Bostonie. Ale czy naprawdę, skoro nie miała tam ani chłopaka, ani pracy? Tutaj też jeszcze nie pracowała, a Marc był tylko przyjacielem. To już coś, ale jej nie wystarczało, Marc dopiero pojawił się w jej życiu, choć trzeba przyznać, że darzyła go sympatią. Jej prawdziwe życie, z prawdziwymi przyjaciółmi, toczyło się gdzie indziej. Brigitte jednak nie wzbraniała się stanowczo przed pójściem na rozmowę.

Ucieszył się z jej decyzji. Jeszcze tego wieczoru podał jej wszystkie szczegóły, a potem odwiózł ją do hotelu i powiedział, że zadzwoni nazajutrz, żeby się dowiedzieć, jak jej poszło.

Ku wielkiemu zdumieniu Brigitte poszło jej nadspodziewanie dobrze. Mężczyzna, z którym się spotkała w dziale rekrutacji, okazał się ujmujący, łatwo się z nim rozmawiało i uwielbiał szkołę, w której pracował. Był najlepszym specjalistą od public relations, jakiego kiedykolwiek mieli,

a kiedy Brigitte go wysłuchała, miała ochotę od razu podjąć pracę. Niemal. Podobało się jej wszystko, co mówił o swoim dziale, ale akurat w tym momencie nie mieli wolnych stanowisk. Musi więc poszukać sobie zatrudnienia w Bostonie. Poza tym odniosła miłe wrażenie. I kiedy Marc zadzwonił, opowiedziała mu o wszystkim. Wcześniej telefonował już do niego zachwycony przyjaciel, który uważał, że Brigitte świetnie nadawałaby się do pracy u nich, i powiedział Marcowi, a ten przekazał Brigitte, że gdy tylko jakieś miejsce się zwolni, dadzą jej znać. Wysilek okazał się daremny, ale Brigitte potraktowała go jako dobre ćwiczenie. Od dawna nie uczestniczyła w żadnej rozmowie kwalifikacyjnej i pomyślała sobie, że to rozgrzewka przed poszukiwaniem pracy w Bostonie.

- No cóż, próbowałem. - Marc był zawiedziony. - Pewnie to zbyt piękne, liczyć, że od razu dadzą ci pracę.

- Nie oczekiwałam tego - odparła uprzejmie. - Miło z twojej strony, że mnie umówiłeś. Może trochę na siłę - zażartowała - ale miło.

Już wcześniej postanowiła przyjąć tę ofertę w takim duchu, w jakim została jej zaproponowana, z otwartym sercem.

- A więc kiedy wyjeżdżasz? - zapytał zmartwiony.

- Pojutrze. - Załatwiła tu już niemal wszystko, co chciała, i mogła wyjeżdżać. Przyszedł czas, by powrócić do swojego życia.

Rozmowa kwalifikacyjna na Uniwersytecie Amerykańskim, choć interesująca, nie zmieniła kursu, jaki Brigitte sobie wyznaczyła.

Nie zaproponowali jej żadnego stanowiska, a ona już nastawiła się na powrót do domu.

- Muszę iść dzisiaj na obiad ze swoim wydawcą. Spóźnię się trochę z książką i albo powinienem być dla niego

miły albo zerwą umowę. A jutro mam wykłady. Wybieram się ze mną na kolację jutro? - To miał być jej ostatni dzień w Paryżu.

- Chętnie.

Marc był dla niej taki miły i wielkoduszny; nie mogłaby wymyślić przyjemniejszego sposobu spędzenia ostatniego wieczoru w Paryżu niż właśnie z nim, swoim nowym przyjacielem. Może kiedyś odwiedzi ją w Bostonie albo ona przyjedzie do Paryża na wakacje. Dobrze znać ludzi w różnych miejscach na świecie. A Marc to ktoś wyjątkowy. Naprawdę wspaniały mężczyzna. Powiedział, że przyjedzie po nią nazajutrz o ósmej. Cały dzień spędziła na bieganiu po mieście, ale kiedy Marc się zjawił, walizki miała spakowane i wszystko przygotowane do wyjazdu następnego ranka. Teraz mogła spędzić z nim wieczór i się odprężyć. Miała na sobie czerwoną sukienkę, którą kupiła tego popołudnia, i Marc pochwalił ją, kiedy tylko zeszła ze schodów.

- Wyglądasz wspaniale!

- Zobaczyłam ją na wystawie i nie mogłam się oprzeć, żeby jej nie kupić. Pomyślałam, że powinnam przywieźć sobie coś z Paryża. Kupiła też piękny szal dla matki, zabawki dla dzieci Amy, a dla niej ładny sweter. Czerwona sukienka to jej ostatni szalony zakup.

Marc zabrał ją do przytulnej restauracji i jak zwykle dobrze im się rozmawiało przy kolacji. Dyskutowali na tysiące różnych tematów, opowiadali sobie o swoich przeżyciach i dużo się śmiali. I po raz pierwszy żadne z nich nie wspomniało o Tristanie i Wachiwi; ten wieczór był tylko dla nich. Brigitte bawiła się doskonale, a Marc wydawał się naprawdę

smutny, kiedy wyszli z restauracji i spacerowali niedaleko katedry Notre Dame, tonącej w światłach.

- Jak możesz opuszczać takie miasto? - Rozłożył ręce; znowu wyglądał jak prawdziwy Francuz. Miał niezwykle ekspresyjną twarz, inteligentne spojrzenie. Zawsze przypominał jej typowego Francuza i Brigitte to się podobało. Ted wydawał się bardzo anglosaski. Przystojny, ale nie seksowny. Marc miał zmysłowe usta, choć Brigitte udawała, że tego nie zauważa.

- Muszę przyznać, że niełatwo się stąd wyjeżdża. - Też wyglądała na przygnębioną; ceniła sobie czas, spędzony z Markiem w Paryżu. Nie mogła jednak siedzieć tu wiecznie, zwłaszcza kiedy skończyła to, po co przyjechała. Nie chciała, by indiańska krewna z dalekiej przeszłości stała się jej obsesją. Zamierzała przekazać notatki matce, żeby zrobiła z nimi, co sobie życzy. Ostatecznie to jej hobby, a nie Brigitte, mimo że zakochała się w Wachiwi. Spacerowali przez jakiś czas, spoglądając na Sekwanę, a potem Marc zawiózł Brigitte do Trocadero w drodze do hotelu. Był to doskonały wizerunek Paryża, a wieża Eiffla prezentowała się tutaj w całej okazałości i kiedy Marc zaparkował samochód, zupełnie jak na zawołanie zaczęła migotać, strzelając światłami na wszystkie strony. Trudno o bardziej idealny ostatni wieczór w Paryżu i Marc z Brigitte wysiedli z auta, nie mogli oprzeć się urokowi tego miejsca. Wpatrywali się w wieżę jak dzieci, zafascynowani olśniewającymi światłami i cudownym widokiem Paryża przed nimi aż do Sacre Coeur. A kiedy Brigitte tak stała, zafascynowana grą świateł, Marc objął ją i pocałował. Zbyt zaskoczona, by odsunąć się lub odejść, uświadomiła sobie, że wcale nie ma na to ochoty. Odwzajemniła poca-

łunek. Pomyślała, że to wyjątkowa chwila i wieczór, którego nie da się zapomnieć. I bez względu na to, kim był Marc dla Brigitte, czy też kim nie był, naprawdę go lubiła i gdyby została w Paryżu, otworzyłaby się bardziej na tę znajomość. Ale wyjeżdżała. Tak więc miało to na zawsze pozostać jedynie wspaniałym romantycznym wieczorem, podczas którego całowała się przed wieżą Eiffla z kimś, kogo darzyła sympatią. Nie mogło być lepiej, chyba że zakochałaby się do szaleństwa. Ale nie potrzebowała ani nie pragnęła tego teraz; to skomplikowałoby wszystko między nimi. To, co było proste, czyste i przyjemne. Uśmiechnęła się do niego, kiedy odsunęli się od siebie, i Marc pocałował ją znowu, a wtedy podszedł do nich chłopak sprzedający miniaturki wieży Eiffla. Marc wyciągnął portfel i kupił jedną dla Brigitte. Powiedział jej, że to na pamiątkę jednego z najpiękniejszych wieczorów w jego życiu, a ona podziękowała mu, przyznając, że to dla niej również cudowny wieczór. W drodze do hotelu niewiele odzywali się do siebie. Nie zostało nic do powiedzenia. Oboje wiedzieli, że Brigitte nie pójdzie z nim do łóżka przed wyjazdem i Marc nawet o tym nie myślał. Wracała do domu i może już nigdy więcej się nie zobaczą, a przynajmniej przez długi czas, jeśli w ogóle. Spędzili ze sobą wspaniałe chwile. Lubili ze sobą przebywać, szanowali się nawzajem, darzyli ogromną sympatią, dobrze się razem bawili i Marc bardzo pomógł Brigitte w wyszukiwaniu informacji. Wiedziała, że na zawsze zapamięta jego i ten wieczór. A kiedy się z nim żegnała, trzymała w dłoni szklaną pamiątkę.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała ciepło. - Byłeś wspaniały.



Podobał jej się wyjazd z nim do Bretanii. I Biblioteka Narodowa, wszystkie restauracje, do których ją zabrał, ich poważne dyskusje, żarty, to, czego ją nauczył o historii Francji, spacer nad Sekwaną. Sporo się działo w tak krótkim czasie.

- Liczę, że wrócisz - wyznał Marc ze smutkiem, po czym się uśmiechnął. - A jeśli nie, to może przyjadę kiedyś odwiedzić cię w Bostonie. - Zabrzmiało to tak, jakby próbował siebie przekonać.

Ale tak właśnie było: mieszkali w różnych częściach świata. -

Mam nadzieję, że znajdziesz pracę - dodał, a ona się uśmiechnęła.

- Ja też. Zacznę się rozglądać zaraz po powrocie do domu. Z pewnością wkrótce coś się pojawi.

- Nie wątpię. - Potem bez słowa pocałował ją znowu. Całowali się długo i przez jedną szaloną chwilę Brigitte żałowała, że wyjeżdża.

- Uważaj na siebie, Marc. Dzięki za wszystko.

- *A bientôt* - odpowiedział cicho, muskając wargami jej usta, a potem Brigitte weszła do hotelu, a on wsiadł do samochodu.

Kiedy dotarła do pokoju, postawiła miniaturkę wieży Eiffla na stoliku i popatrzyła na nią, zastanawiając się, czemu właściwie nie przespała się Markiem. Co miała do stracenia? Swoje serce, przypominała sobie, lecz wydało jej się do niemądre. Ale tak było lepiej. Łza spłynęła jej po policzku, otarła ją i poszła umyć zęby.

Włożyła staromodną koszulę nocną i położyła się do łóżka.

Jednak kiedy zasnęła tej nocy, ostatniej przed wyjazdem z Paryża, śniła o Marcu.

## Rozdział 20

Marc zadzwonił kiedy jechała na lotnisko. Powiedział, że chce tylko jeszcze raz się z nią pożegnać. Starał się mówić pogodnie, ale wyczuwała, że jest przybity, podobnie zresztą jak ona. To rzeczywiście okropny pech, pomyślała sobie. Poznała mężczyznę, którego naprawdę polubiła, a tu się okazało, że on mieszka tysiące kilometrów od niej. Czasem tak się zdarza, ale byłoby miło, gdyby mieszkali w tym samym mieście. Spędziła z nim wspaniałe chwile i wiozła do domu pamiątkę, miniaturkę wieży Eiffla. Może to wystarczy. Jeszcze raz podziękowała mu za wszystko, on też podziękował jej za czas, jaki z nim spędziła. Nie próbował już namawiać jej do pozostania. Rozumiał, że Brigitte musi wyjechać.

Pożegnała się z nim i po dotarciu na lotnisko nadała swoje walizki na bagaż. Leciła najpierw do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z matką i dać jej notatki; dla siebie zachowała kopie. Miło było je mieć na pamiątkę tej niezwykłej podróży i wspaniałej indiańskiej krewnej.

Brigitte przeszła przez bramki. Samolot wystartował o czasie, a kiedy znalazł się w powietrzu, oparła głowę o fotel i zamknęła oczy. Marc powiedział, że od czasu do czasu napisze do niej e-maila, a ona obiecała mu to samo. A teraz musiała się skupić na znalezieniu pracy. Świetnie bawiła się w Paryżu, lecz już czas wrócić do swojego życia. Nie mogła się doczekać, kiedy spotka się z matką i opowie jej o podróży.

Obejrzała podczas lotu dwa filmy, zjadła posiłek, a potem zdrzemnęła się przez dwie godziny. Obudziła się akurat w momencie, kiedy kapitan ogłaszał, że zbliżają się do

lądowania w Nowym Jorku. Podróż przebiegła bardzo szybko. Kiedy Brigitte znalazła się na lotnisku, gdzie czekała na bagaże, poczuła się jak wystrzelona z armaty. Cały czar Paryża zniknął. Ludzie ją potrącali, a wszyscy bagażowi gdzieś przepadli, gdy zmagą się ze swoimi walizkami. Do taksówek była ogromna kolejka, padał deszcz, ludzie krzyczeli na siebie i Brigitte miała ochotę wbiec z powrotem na lotnisko i wsiąść do najbliższego samolotu do Paryża. Witaj, Nowy Jorku.

W końcu udało się jej złapać taksówkę, podała kierowcy adres matki i zadzwoniła do niej, by uprzedzić, że jest w drodze. Wybierały się razem do restauracji na kolację. Kiedy dotarła do mieszkania, uroczyście wręczyła Marguerite teczkę pełną szczegółowych notatek na temat ich przodków. Matka ją uściskała i zauważyła, że Brigitte świetnie wygląda. Wydaje się odprężona, bardziej radosna i wyluzowana. Przyjrzała się jej spod zmrużonych powiek i dodała, że tak prezentuje się kobieta „pewna siebie”. Brigitte rozbawiło takie określenie, po czym uświadomiła sobie, że matka ma rację. Tak właśnie się czuła. Jej niepokój o to, co się z nią stanie, zniknął. Była bezdzietna, niezamężna i bezrobotna, ale dobrze się czuła ze sobą. Pobyt w Paryżu świetnie jej zrobił, poznanie Marca też zrobiło swoje.

W mieszkaniu rozmawiały przez godzinę o Wachiwi, dworskich pamiątkach, markizie, jego bracie, zamku i Bibliotece Narodowej. Marguerite nie mogła ochłonać z wrażenia. Córka dowiedziała się tylu rzeczy w tak krótkim czasie. To były najdokładniejsze badania, z jakimi ona kiedykolwiek się zetknęła, i zdziwiła się, że Brigitte poradziła sobie sama w przeszukiwaniu archiwów.

- No cóż, muszę przyznać, że ktoś mi pomógł - usłyszała. -  
Poznałam w bibliotece pewnego pisarza, który zaoferował mi pomoc. Jest historykiem i nauczycielem akademickim, zna to miejsce jak własną kieszeń i pokazał mi wszystko. Chyba nie poradziłabym sobie bez niego.
- Interesujące. - Matkę to zaciekało, ale nie chciała być wścibska. Brigitte jednak z własnej woli opowiedziała więcej. Nie wszystko. Pomięła pocałunek pod wieżą Eiffla. Uznała, że o pewnych rzeczach lepiej nie mówić.
- Pojechał ze mną do Bretanii i dowiedziałam się dużo o szuanach, arystokratkach, którzy stawili opór rewolucjonistom i walczyli o zachowanie swoich zamków i posiadłości. To frapująca historia. Niewątpliwie. Podobnie jak to, że Brigitte pojechała do Bretanii z Markiem. Marguerite zastanawiała się, czy coś się tam wydarzyło, ale nie zapytała. Córka wyglądała bardzo dobrze i oczy jej błyszczały. Może to miłość, a nawet wielka namiętność. Cokolwiek jednak pod tym się kryło, miało korzystny wpływ. Brigitte prezentowała się znakomicie i była pełna zapału, gdy rozmawiały o wszystkim, co odkryła.
- Nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam nowe materiały.
- Marc twierdzi, że powinnam napisać o tym książkę
- powiedziała Brigitte, gdy wychodziły na kolację. Wybierały się do pobliskiej restauracji przy Madison Avenue, którą matka lubiła.
- Marc? - Marguerite spojrzała pytająco, kiedy portier wzywał dla nich taksówkę. Ta sprawa z każdą minutą stawała się bardziej interesująca.
- Ten pisarz, o którym ci wspominałam. Uważa, że powinnam zbeletryzować te dzieje albo napisać prawdę

historyczną. To wyjątkowo ciekawa historia, nie sądzę, że trzeba ją ubarwiać.

Matka jednak chciała usłyszeć coś więcej o mężczyźnie, o którym Brigitte wciąż wspominała, i wreszcie pod koniec kolacji nie mogła się już dłużej powstrzymać, by o niego nie spytać. Jego imię padało często.

- Czy coś się wydarzyło między tobą a tym Francuzem? -

Zastanawiała się, czy córka się zakochała, ale nie wyglądała na to. Wydawała się spokojna i zadowolona. Nie miała udreźzonego wyrazu twarzy kobiety, która pozostawiła w Paryżu ukochanego. Matka wyczuwała jednak w Brigitte jakąś zmianę.

- Nie, nie pozwoliłam na to. Nie ma sensu czegoś zaczynać, a potem wyjeżdżać. To beznadziejne. Związki na odległość nigdy się nie sprawdzają. Po prostu spędziłam z nim miło czas. To wszystko. Ale rzeczywiście szkoda, że on nie mieszka w Bostonie. Nieczęsto spotyka się facetów takich jak on. Próbował mnie namówić, żebym przyjechała do Paryża na rok pisać książkę. Nie podejmę się tego. Wątpię, czy kiedykolwiek się zdobędę. Muszę skończyć swoją książkę. No i znaleźć pracę w Bostonie.

Matka pokiwała głową i pomyślała, że wszystko, co Brigitte mówi, jest takie rozsądne, aż dziwne, aby było prawdziwe. Zastanawiała się, czy przypadkiem jej córka nie zakochała się w tym mężczyźnie, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie powiedziała jednak tego głośno. Kiwała tylko głową, słuchała i obserwowała Brigitte, udając, że jej wierzy, skoro ona sama wydawała się przekonana o tym, co mówi.

- Myślisz, że przyjedzie odwiedzić cię w Bostonie?

- Powiedział, że mógłby. Chociaż pewnie nigdy już go nie zobaczę. To po prostu nie ma sensu.

- Nie wszystko ma sens, kochanie. A przynajmniej nie zawsze - zaczęła matka ostrożnie. - Uczucia nie są rozsądne. Czasami zakochujemy się w kimś wbrew wszystkiemu. A ci, z którymi związek wydawał się sensowny, okazują się niewłaściwi. - Jak Ted i sześćioletni romans z nim, który prowadził donikąd. - Czy on się w tobie zakochał? - dociekała Marguerite.

- Nie zna mnie na tyle, żeby się we mnie zakochać. - Brigitte sama sobie to wmawiała. - Lubi mnie. Może nawet bardzo.

Marguerite wyczuwała, że jest w tym coś więcej i to po obu stronach, ale nie napierała na Brigitte i przez resztę wieczoru rozmawiały o Wachiwi, która stanowiła niewyczerpany temat. Matka przyznała rację Marcowi, chociaż go nie znała. Pomyślała, że Brigitte powinna napisać jakąś książkę o Wachiwi. Przecież pociągał ją temat. Bardziej niż pisanie o prawach wyborczych kobiet, zwłaszcza że ostatnio coraz mniej ją to interesowało. Marguerite uważała, że Brigitte powinna na razie odłożyć ten temat na półkę i zająć się nowym, i powiedziała jej o tym, kiedy wróciły do mieszkania. Brigitte wciąż wydawała się niezdeterminowana, podobnie jak wtedy, gdy rozmawiała o tym z Markiem. Bała się.

Poszły spać o przyzwoitej godzinie. Dla Brigitte, która przyzwyczaiła się już do czasu europejskiego, było o sześć godzin później, ale wydawała się w dobrej formie i świetnym nastroju. Leżały w łóżkach, rozmyślając. Marguerite o Francuzie, którego poznała córka; chciała dowiedzieć się o nim więcej. A Brigitte o książce, którą, jak wszyscy uważali, powinna napisać, tyle że się bała. Był to tak wspaniały temat, że obawiała się go podjąć, lękając się, że sobie z nim nie poradzi. Nie chciała napisać kiepskiej książki

O niezwyklej kobiecie, ani też ryzykować, że coś takiego się stanie. Byłoby świętokradztwem schrzanić wszystko i skno-cić historię Wachiwi. O wiele bezpieczniejsze wydawało się kontynuowanie pracy nad książką o prawach wyborczych kobiet i pozwolenie, żeby ktoś inny napisał powieść o Wachiwi. Brigitte nie czuła się na siłach, obojętnie, co o tym sądzą Marc i matka. Zamierzała skupić się nad rozpoczętą książką i napisać wyczerpującą rozprawę o sytuacji prawnej kobiet, tak jak planowała. Uznała, że historia Wachiwi to zbyt obszerny, złożony i nieuchwytny temat. Nie potrafiłaby nad nią zapanować.

Spędziła w Nowym Jorku dwa wspaniałe dni. Marguerite spytała córkę, czy miała jakieś wiadomości od Teda,

1 Brigitte zaprzeczyła. Obu wydawało się dziwne, że sześciolatek związek może zakończyć się w ciągu jednego wieczoru, wypalić do cna i umrzeć w milczeniu. Przykre, ale to pokazało, jak mało było w tym głębi.

Brigitte poleciała samolotem do Bostonu w sobotę wieczorem, taksówką dojechała do swojego mieszkania. Od chwili powrotu nie miała wiadomości od Marca i wcale ich nie oczekiwała.

Mówiła sobie, że nic nie jest jej winien. Ona też się z nim nie kontaktowała ani nie zamierzała tego robić. To tylko wprowadziłoby niepotrzebny zamęt. Wmawiała sobie, że romantyczne chwile pod wieżą Eiffła były przyjemnym przerywnikiem i niecodzienną ekstrawagancją. Przekonywała siebie, że nie miało to znaczenia ani dla niej, ani dla Marca. I miała świadomość, że nawet w jej wieku można zrobić coś niemądrego i romantycznego.

Kiedy wieczorem rozpakowała bagaże, postawiła miniaturkę wieży Eiffła na toaletce i patrzyła na nią z uśmiechem

przez chwilę, a potem dokończyła wyjmowanie rzeczy z Wi»  
lizek. Na automatycznej sekretarce miała kilka wiadomości, ale  
żadnych ważnych. W pralni chemicznej znaleziono Jej zaginioną  
spódnicę; biblioteka uniwersytecka domagała się zwrotu dwóch  
książek, których Brigitte zapomniała oddać, i naliczono jej karę;  
Amy przypominała przyjaciółce, żeby się odezwała, kiedy tylko  
wróci. Była też wiadomość z propozycją odnowienia gwarancji na  
kuchenkę i od dwóch te-lemarketerów. Nie takich wiadomości  
oczekuje się po powrocie z podróży do domu, no może z  
wyjątkiem tej od Amy. A kiedy Brigitte rozejrzała się dookoła,  
zauważyła, że mieszkanie wygląda na zaniedbane. Uświadomiła  
sobie, że musi je trochę ogarnąć i wyrzucić niektóre rzeczy, a  
może i przestawić meble, zanim dom zacznie ją przygnębiać. Naj-  
wyższy czas, skoro Ted odszedł. Musiała coś zrobić, żeby  
urozmaicić swoje życie. I starała się nie wpadać w panikę, dlatego  
że nie otrzymała odpowiedzi z żadnego miejsca, do którego  
wysłała swoją ofertę. Nie pocztą zwykłą ani elektroniczną.  
Prawdopodobnie wciąż jeszcze zajmowali się przyjmowaniem  
nowych studentów. Dopiero w czerwcu pewnie będą mieć trochę  
luzu. A to dopiero koniec kwietnia. Ostateczny termin  
przyjmowania podań kandydatów mijał w połowie maja.  
Wytłumaczyła sobie, że jest zbyt wcześnie, by spodziewać się  
odpowiedzi. Gdy skończyła się rozpakowywać, zadzwoniła do  
Amy. Przyjaciółka kładła właśnie synków spać, ale zapropono-  
wała, żeby spotkały się następnego dnia. Brigitte zgodziła się z  
przyjemnością. Obiecała, że wpadnie koło południa, a kiedy  
przyszła, usłyszała krzyk w kuchni. Jakby kogoś mordowano.  
Zanim zdołała nacisnąć dzwonek do drzwi, Amy otworzyła je  
gwałtownie, rzuciła Brigitte kluczyki do



samochodu i powiedziała, żeby zawiozła ich na pogotowie. Trzyletni synek Amy uderzył o kant stołu głową, która mocno krwawiła; ręcznik przyciskany do rany zabarwiał się na czerwono. Amy trzymała pod pachą drugiego syna, jednorocznego, który miał na sobie tylko koszulkę, pieluchę i buciki i też płakał. Usadowiła ich obu w fotelikach dla dzieci z tyłu auta, usiadła między nimi, a Brigitte zawiozła ich do szpitala uniwersyteckiego. Wrzaski były tak głośne, że zupełnie uniemożliwiały prowadzenie rozmowy. Amy krzyknęła tylko z tylnego siedzenia: „Dzięki!” oraz „Witaj w domu!” i obie się roześmiały. Dobrze, że Brigitte przyszła właśnie w tamtym momencie - byłoby jeszcze większe zamieszanie, gdyby się nie zjawiała. Na pogotowiu czekały dwie godziny, a w tym czasie synek Amy ssał kciuk na jej kolanach i była cała umazana krwią. Młodszy chłopiec zasnął na rękach Brigitte, podczas gdy obie rozmawiały ze sobą szeptem. - No więc jak było w Paryżu? - Wspaniale. Zdobyłam fantastyczne informacje dla matki. - Amy pokiwała głową. Miała nadzieję, że przyjaciółka oddawała się jeszcze jakimś innym rozrywkom. - Dobrze się bawiłaś? - zapytała wymownie. - Fantastycznie. - Poznałaś jakichś facetów? - Amy zawsze od razu przechodziła do rzeczy i Brigitte przez chwilę nie odpowiadała, co wzbudziło podejrzenia przyjaciółki. - Niezupełnie. Tylko pewnego pisarza, który pomógł mi w wyszukiwaniu informacji. - Co za nuda. - Przyjaciółka wydawała się zawiedziona. - Wcale nie był nudny. Bardzo inteligentny, interesujący facet. Napisał książkę, którą czytałam po angielsku kilka

lat temu. Jest pisarzem i prowadzi wykłady z literatury na Sorbonie.

- To dalej nudne. - Ktoś taki nie spełniał wymagań Amy. Miała nadzieję, że Brigitte rzuci się w Paryżu w jakiś szalony romans. To pomogłoby jej zapomnieć o Tedzie. Spędzanie wolnego czasu w bibliotece na wyszukiwaniu materiałów nie brzmiało zachęcająco.

- Pojechał ze mną do Bretanii na weekend. Było wspaniale.

Amy znowu spojrzała na nią z nadzieją.

- Spałaś z nim?

- Jasne, że nie. Nie interesują mnie przygody na jedną noc i spanie z kimś, kogo się już nigdy więcej nie zobaczy. To przygnębiające.

- Dla mnie jeszcze bardziej przygnębiający byłby pobyt w Paryżu bez seksu. Oczywiście, siedzenie na pogotowiu przez dwie godziny w sobotnie popołudnie też nie należy do moich ulubionych rozrywek.

Potem Amy poszła zobaczyć, co się dzieje, poskarżyła się na długą kolejkę, a pół godziny później wreszcie zostali przyjęci.

Synek wrzeszczał, gdy zakładano mu szwy, a po wyjściu z gabinetu, znużony, nawet nie miał siły krzyczeć. To było stresujące popołudnie. Wrócili do domu i Amy położyła synów do łóżek. Wzięła butelkę wina i usiadły z Brigitte w kuchni.

Stwierdziła, że musi się napić, a Brigitte dotrzymywała jej towarzystwa. Nigdy nie lubiła raczyć się drinkami po południu i niewiele też piła podczas kolacji.

- No dobrze, więc powiedz mi jeszcze raz - podjęła Amy. - Nie miałaś żadnych szalonych romansów w Paryżu, tylko poznałaś jakiegoś wykładowcę, z którym spędziłaś

weekend. Zmarnowałaś bilet do Paryża! Nie mogłaś poradzić sobie lepiej?

Brigitte się roześmiała.

- Jest miły i lubię go. Tyle że dzieli nas zbyt duża odległość. On mieszka w Paryżu.

- To się przeprowadź. W Bostonie nie ma nic specjalnego.

- Mieszkam tutaj i tu szukam pracy.

- A tak przy okazji, coś nowego w tej sprawie? Brigitte nie powiedziała jej o rozmowie kwalifikacyjnej na Uniwersytecie Amerykańskim w Paryżu. Zresztą i tak na razie nic dla niej nie mieli. Amy pewnie by się tego uczepliła. Bardzo zależało jej, żeby przyjaciółka wiodła prawdziwe, jej zdaniem, życie, miała faceta i dziecko. Przez to Brigitte była pod presją.

- Jutro czegoś się dowiem, będę dzwonić. To taki okres w roku, kiedy mają dużo pracy. Pewnie nie mieli czasu, żeby mi odpisać. Amy pokiwała głową, przyznając jej rację, ale wiedziała też, że Brigitte nie ma się czym pochwalić po dziesięciu latach pracy na Uniwersytecie Bostońskim. Zajmowanie wciąż trzeciego co do ważności stanowiska w biurze nie robiło dobrego wrażenia. Ale przecież ona dobrze się z tym czuła. A teraz miało jej to utrudnić znalezienie pracy. Przyszły pracodawca wywnioskowałby, że albo brakowało jej zdolności, albo ambicji. W jej wypadku chodziło o ambicję, ale skąd ktoś ma to wiedzieć?

Rozmawiały do chwili, gdy chłopcy się obudzili, potem Brigitte wyszła. W swoim mieszkaniu nie miała pojęcia, co robić.

Pomyślała o pójściu do kina, ale nie lubiła chodzić sama. Znała różnych ludzi, do których mogłaby zadzwonić,

nie chciała jednak wyjaśniać im, co z Tedem, dlaczego się rozstali. Czułaby się jak nieudacznica. Och, tak... porzucił mnie po sześciu latach i wyjechał. Nie zabrałby jej ze sobą, gdyby ją kochał? Ze sposobu, w jaki ich związek się zakończył, wszyscy wywnioskowaliby, że wcale mu nie zależało, i jak by to o niej świadczyło? Jej ego zostało bardziej zranione niż serce. Tak czy owak, nie miała ochoty dzwonić do nikogo i zmuszać się do wyjaśnień. Chodziła po mieszkaniu, wyciągnęła odkurzacza i zrobiła pranie. To sprawiło, że przypomniła sobie przyjemne niedzielne wieczory, jakie spędzała z Tedem przez sześć lat. Przeważnie przyrzadzali razem kolację. Tak jak się obawiała, prawda o samotności zaczynała do niej docierać, kiedy wróciła do domu. Przypomniła sobie, co powiedział Marc: gdyby kochała Teda, tęskniłaby za nim również w Paryżu, a nie tylko po powrocie do Bostonu. Chodziło więc o to, czego jej w życiu brakuje, a nie za kim tęskni. To wspomnienie pomogło jej i posprzątała dokładnie mieszkanie, zanim poszła spać. Był to nieciekawym dzień, zupełnie różny od poprzedniego weekendu, spędzonego z Markiem w Bretanii, gdzie chodzili do rybnych restauracji, zwiedzali zamek i mieszkali w przytulnym zajeździe. Zaśmiała się, wkładając do suszarki flanelową koszulę nocną. W jej życiu z pewnością nie było nic egzotycznego. Pomyślała, żeby zadzwonić do Marca po to tylko, by się z nim przywitać, ale tego też nie chciała robić. Musiała rozluźnić ten kontakt, nie przywiązywać się do Marca, a zresztą teraz była u niego czwarta nad ranem. Poza tym on nie zadzwonił do niej po tym, jak wyjechała. I słusznie. Czowała się samotna i znudzona w niedzielny wieczór. Położyła się spać wcześniej, a następnego ranka zatelefonowała do uczelni, do których wysłała CV. Wszyscy byli mili

i uprzejmi. Tak, dostali jej list, nie mają na razie wolnych stanowisk, ale zachowają go sobie w aktach. Niektórzy proponowali, żeby Brigitte odezwała się jeszcze w czerwcu, inni sugerowali wrzesień. Wydawało się niewiarygodne, że na dziewięciu uniwersytetach nie było ani jednego wolnego stanowiska. Jednak w jej CV nie znajdowało się nic niezwykłego. Przez dziesięć lat wykonywała standardową pracę i nie zrobiła nic, żeby się wyróżnić. Nie opublikowała artykułów, nie prowadziła wykładów ani nie organizowała żadnych specjalnych programów. Nie działała nigdzie jako wolontariuszka. Pracowała w biurze, spędzała weekendy z Tedem i zbierała materiały do swojej książki. Teraz, kiedy o tym myślała, czuła się zakłopotana. Jak mogła tak niewiele od siebie wymagać?

Usiadła przy biurku, żeby popracować nad książką o prawach wyborczych kobiet. Przejrzała materiały, odsiewając to, co niepotrzebne, i postanowiła, zacząć pisać od wtorku. Pod koniec tygodnia miała już cały rozdział. Kiedy go przeczytała, wybuchnęła płaczem. To najnudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisała. Nawet pracownicy naukowci nie będą chcieli tego czytać. Nie miała pojęcia, co robić.

W piątkowy wieczór siedziała przy biurku z głową opartą na rękach, kiedy zatelefonowała matka. Wydawała się podekscytowana.

- Materiały o naszej indiańskiej krewnej są niewiarygodne! A markiz też wygląda na porządnego faceta. Ta jej historia przykuwa uwagę, a przecież Wachiwi była wtedy młodziutka.

- Tak, to prawda. - Brigitte wydawała się przygaszona i matka od razu to wyczuła.

- Coś nie tak?

- Pracowałam przez cały tydzień nad książką i wszystko jest do niczego. Nie mam pojęcia, jak mogłam myśleć, że ten temat kogoś zainteresuje. To takie ciekawe, jak czytanie opakowań płatków śniadaniowych, formularzy podatkowych albo nalepek na soku śliwkowym. Nie podoba mi się i nikomu innemu z pewnością nie przypadnie do gustu. Zmarnowałam siedem lat życia. Powinnam to po prostu wyrzucić. - Matka nigdy nie uważała tego tematu za interesujący, ale Brigitte obstawała przy swoim. Marguerite, występująca w roli czytelniczki i redaktorki, zawsze sądziła, że to nudna tematyka, ale nie chciała być nieuprzejma wobec córki. - Co mam teraz robić?

- Twój znajomy z Paryża chyba ma rację. Może powinnaś napisać książkę o Wachiwi. I zgadzam się z tobą. Nie sądzę, żeby trzeba było to beletryzować. To wspaniała historia, taka, jaka jest. Może więc zajmiesz się tym? - Matka starała się być pomocna.

- Może - odparła Brigitte przybita.

- A tak przy okazji, miałaś od niego jakieś wiadomości? - spytała Marguerite z zainteresowaniem.

- Nie.

- Czemu więc do niego nie napiszesz? Mogłabyś wysłać mu e-mail.

- Nie chcę wprowadzać zamieszania, mammo. Zostawiliśmy wszystko tak, jak powinno być. Jesteśmy przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu mogą się ze sobą kontaktować. Jeśli zacznę do niego pisać, to zdezorientuje nas oboje.

- Po co te wszystkie powinności? I co złego we wprowadzaniu małego zamętu w kontaktach z przyjaciółmi?

Słowa matki wciąż przypomniały Brigitte wieczór, kiedy całowała się z Markiem pod wieżą Eiffla. Konsternacja, jaką wtedy czuła, wydawała się całkiem przyjemna. Ale to było wtedy, a teraz jest co innego. Brigitte wróciła do domu. Paryż jawił się jej niczym odległy sen. Podobnie jak Marc.

- Chyba użalam się nad sobą. Powrót z Paryża do domu trochę mnie przygnębił. Muszę znaleźć pracę. Na razie nikt nie proponuje mi zajęcia. - Miała pieniądze na życie do końca lata albo nawet dłużej, jeśli będzie oszczędna, ale czuła się przygnębiona. Matka wyczuwała to w jej głosie.

- No cóż, przyjeżdżaj do Nowego Jorku, kiedy tylko chcesz. Możemy się gdzieś wybrać. W przyszłym tygodniu mam turniej brydżowy, ale potem jestem wolna.

Marguerite przynajmniej grała w brydża. A Brigitte nie miała nic, czym mogłaby się teraz zająć. A ilekroć myślała o materiałach zebranych na temat Wachiwi, czuła się śmiertelnie przerażona. Nie chciała mówić Amy o swoim nastroju, bo przyjaciółka pewnie namawiałaby ją na terapię, jak wtedy, kiedy Ted odszedł, a Brigitte teraz też nie miała na to ochoty.

Tego dnia oglądała stare filmy w telewizji do późnej nocy, a potem z braku lepszego zajęcia usiadła przy komputerze i zaczęła pisać e-mail do Marca. Nie bardzo wiedziała, co mu przekazać.

„Cześć, tak się nudzę, że chce mi się wyć... Wciąż nie mam pracy, moje życie towarzyskie umarło... Książka, którą piszę, to najnudniejsze bzdety na całej planecie... i myślę o tym, żeby ją spalić, a co u ciebie?”

Zamiast tego napisała mu krótki e-mail o tym, że o nim myśli, że spędziła z nim wspaniałe chwile w Paryżu i Bretanii, a mała wieża Eiffla wciąż stoi na jej toaletce. Dodała,

że jej matka jest zachwycona informacjami, które Brigitte przywiozła, i dziękuje Marcowi za pomoc. Napisała też, że ma nadzieję, iż u niego wszystko w porządku. A potem siedziała, patrząc na list, i zastanawiała się, jak go podpisać... „Na razie” wydawało się zbyt młodzieżowe, „wszystkiego najlepszego” za poważne, „serdeczne pozdrowienia” śmieszne, „z czułością” żalosne, „z miłością” zaś wprowadzające w błąd. W końcu napisała: „Myślę o tobie. Uważaj na siebie”, co przynajmniej wydawało się szczere i prawdziwe. Przeczytała list sześć razy, by mieć pewność, że nie brzmi ckliwie, romantycznie ani płacziwie. A potem kliknęła na „wyślij” i klamka zapadła. Przełknęła ślinę, gdy go wysłała, i natychmiast pożałowała tej decyzji. Znowu to samo. Podejmowanie ryzyka. Co ona wyczynia? Ten facet mieszka pięć tysięcy kilometrów stąd. Na co więc ona liczy? Wmówiła sobie, że wysłała e-mail do miłego faceta poznanego w Paryżu, żeby się tylko z nim przywitać.

- Okej, jakoś to przeżyję - powiedziała głośno, starając się nie czuć głupio i stłumić niepokój. Przeczytała list jeszcze raz, choć było już za późno, żeby coś w nim zmienić. A potem poszła spać. I w momencie, kiedy kładła się do łóżka, doszła do wniosku, że wysyłając e-mail, postąpiła słusznie i miała nadzieję, że Marc jej odpisze.

## Rozdział 2 I

Kiedy Brigitte obudziła się rano, serce jej zaczęło łomotać, gdy zobaczyła, że dostała odpowiedź od Marca. Poczuła



się jak nastolatka, której chłopak podrzucił liścik na lekcji. Była podekscytowana, wystraszona i pełna poczucia winy, i nie miała pojęcia dlaczego. Nie czuła się tak w Paryżu. Ale tu dziwne wydawało się pisanie do Marca stąd, bo jakby wiązało się z większym zaangażowaniem czy też potwierdzaniem czegoś. Napisała jednak do niego, a więc teraz musi poradzić sobie z konsekwencjami. Otworzyła e-mail, wciągnęła powietrze, a potem odetchnęła z ulgą, gdy go przeczytała. Był w porządku. Przyjazny i serdeczny.

„Droga Brigitte,  
co za miła niespodzianka, że do mnie napisałaś. Jak tam w Bostonie? Paryż bez Ciebie wydaje się przygaszony. Nie mam zbyt wiele do roboty. Moich studentów ogarnęła wiosenna gorączka i wciąż opuszczają zajęcia. A i ja mam na to ochotę! Pisanie książki idzie mi dobrze, mój redaktor jest bardzo pomocny i pewnie wkrótce ją skończę. Wygląda, że wydawca trochę się uspokoił i już nie grozi pozbawieniem mnie życia. Tęsknię za Wachiwi i za Tobą. Cieszę się, że Twojej mamie podoba się materiał, który zebrałaś. Wciąż liczę, że prędzej czy później napiszesz książkę o Indiance. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Bądźmy w kontakcie”.

Marc podpisał się *Je fembrasse*”, co, jak wiedziała, znaczy po francusku „ściskam cię” (całując w oba policzki, a nie w usta). To było niewinne pozdrowienie i Marc podpisał się pod nim imieniem i dodał PS: „Myślę o Tobie za każdym razem, gdy widzę wieżę Eiffla. Mam wrażenie, jakby należała do Ciebie, zwłaszcza kiedy rozbłyśka, bo wiem,

jak bardzo to lubiałaś. Przesyłam Ci z Paryża wiele dobrych myśli. Wróć szybko".

List wydawał się zupełnie niegroźny, przyjazny i serdeczny, a Brigitte uznała „Przesyłam Ci z Paryża wiele dobrych myśli” za urocze. Marc trafił we właściwy ton. To, co napisał, nie niepokoiło, nie było zbyt osobiste czy też wprawiające w zakłopotanie, tylko po prostu serdeczne, miłe i szczerze, tak jak on sam. Cieszyła się, że się do niego odezwała. Matka miała jednak dobry pomysł.

Później tego dnia Brigitte nie miała nic do roboty. A następane kilka tygodni wydały się jej najbardziej nudnym i nieproduktywnym okresem w jej życiu. Zatelefonowała do kilkorga znajomych i wybrała się z nimi na kolację. Nie robili wielkiej sprawy z jej rozstania z Tedem i powiedzieli tylko, że im przykro z tego powodu, ale czuła się teraz wyobcowana. Wszyscy żyli w parach. Jedyną samotną osobą znaną Brigitte to Amy, zajęta opiekowaniem się dziećmi. Ostatnio jeden albo drugi synek był przeziębiony, więc Amy nie mogła nigdzie wyjść, a Brigitte nie chciała się od nich zarazić. Dzieci w tym wieku ciągle na coś chorowały.

Przyszła wiosna i Boston rozkwitał. Brigitte spędziła majowy Dzień Pamięci na wyspie Martha's Vineyard, gdzie dobrze się bawiła, a potem wróciła do Bostonu. Trudno było się czymś zająć, nie mając pracy, a na razie odłożyła swoją książkę na półkę. Marc odezwał się do niej jeszcze parę razy, a ona starała się utrzymywać swoje e-maile do niego w lekkim tonie. Nie napisała, że przeraża ją brak pracy i że jej życie przypomina teraz pustynię. Po powrocie z wyspy wyciągnęła notatki dotyczące Wachiwi i przeczytała; ta historia znowu ją urzekła. Nawet

wydała się jeszcze bardziej intrygująca, kiedy nabrała do niej dystansu. To były niezwykle dzieje i Brigitte rozumiała, czemu matka i Marc uważali, że powinna napisać książkę.

Rozmyślała o tym przez kilka dni i żeby przekonać się, jak to będzie, spróbowała napisać pierwszy rozdział, zaczynając od momentu, kiedy Wachiwi jest jeszcze w rodzinnej wiosce.

Poczytała o Siuksach w Internecie, aby mogła właściwie ich przedstawić, a fragmenty dotyczące młodej Indianki jakby pisały się same, bez wysiłku. Kiedy skończyła po trzech długich pracowitych dniach, to, co stworzyła, wydało jej się piękne i mistyczne. To historia, którą Brigitte chciała opowiedzieć, i nagle przestała się tego bać. Z zapałem zabrała się do pracy. Dni mijały. Nigdy w życiu pisanie nie sprawiało jej takiej przyjemności. Pomyślała, żeby wysłać do Marca e-mail z wiadomością, że zaczęła pisać książkę, ale nie chciała zapeszyć. Postanowiła jeszcze trochę poczekać, aż skończy następne rozdziały. Tekst wciąż stanowił jeszcze wersję roboczą, ale naprawdę podobało jej się to, co napisała.

Pracowała nad książką przez dziesięć dni i pewnego późnego wieczoru była bardzo pochłonięta pisaniem, kiedy komputer poinformował, że dostała nowy e-mail. Nie chciała przerywać pracy, więc pisała dalej jeszcze przez parę godzin. Przypominało to fruwanie w powietrzu i nie miała ochoty się zatrzymać. Kiedy wreszcie skończyła i rozparła się z zadowoleniem na krześle, z przerażeniem stwierdziła, że jest piąta rano. Zachowała wszystko na dysku, po czym przypomniała sobie o e-mailu, który przyszedł. Weszła do skrzynki pocztowej i zobaczyła, że wiadomość pochodzi z Uniwersytetu Amerykańskiego w Paryżu. Otworzyła list; napisał go człowiek, który przeprowadzał

z nią rozmowę kwalifikacyjną. Nie była tym specjalnie zainteresowana, ale przeczytała wiadomość, a potem wlepiała w nią wzrok i przeczytała jeszcze raz. Proponowali jej pracę na pół etatu, trzy dni w tygodniu, za przyzwoitą pensję, za którą mogłaby się utrzymać. Informowali też, że dostępne są kawalerki dla studentów i pracowników za niewielką opłatą. Stanowisko się zwolniło, ponieważ kobieta je zajmująca spodziewa się dziecka i chce wciąć urlop macierzyński na rok. Miała czterdzieści dwa lata i to była jej pierwsza ciąża, bliźniacza, od pierwszych miesięcy musiała leżeć w łóżku. Tak więc proponowano Brigitte umowę na rok. Mężczyzna, który do niej napisał, zaznaczył, że szef działu rekrutacji za rok odchodzi na emeryturę, a dla Brigitte mogą się otworzyć na Uniwersytecie Amerykańskim nowe możliwości, jeśli praca, którą proponują, nie okaże się stała, co również może się zdarzyć. W każdym razie obiecują jej zatrudnienie na rok. Wydawało się jej oczywiste, że jeśli chce tam pracować, łączy się to z większą odpowiedzialnością i musi dać z siebie wszystko. To niewielka uczelnia, oczekiwano, że wszyscy wezmą się ostro do roboty i będą elastyczni; Brigitte czuła się na siłach temu sprostać. Dostała już nauczkę. Przyjmując na siebie niewielką odpowiedzialność na Uniwersytecie Bo-stońskim, stała się pierwszą osobą, którą uznano za niepotrzebną. Pragnęła, żeby teraz było inaczej. Ale czy chciała pracować w Paryżu? Nie miała co do tego pewności.

Oferowali jej wszystko, czego potrzebowała - zatrudnienie, przyzwoitą pensję, pracę na pół etatu, która pozwoliłaby jej na pisanie książki o Wachiwi, oraz mieszkanie za niewielkie pieniądze. Nie wiedziała, co robić. Wpatrywała się w e-mail, po czym przeszła się po mieszkaniu.

Tej nocy nie położyła się w ogóle i patrzyła na wschód słońca przez okno w salonie. Chciała spytać kogoś o radę, na przykład Amy albo matkę, ale bała się, że poradzą jej przyjąć ofertę. A co one wiedzą? Łatwo im mówić. A jeśli okaże się to straszliwą pomyłką? Jeśli praca jej się nie spodoba? Może poczuje się samotna? A jeżeli zachoruje w Paryżu? Albo z powodu wyjazdu do Paryża ominie ją jakaś wspaniała praca w Bostonie? Miała gotowych tysiące najgorszych scenariuszy. Wiedziała jednak też, że nikt nie proponuje jej pracy w Bostonie, przynajmniej na razie. Jej CV nie wywiera piorunującego wrażenia i nikt do tej pory nie odpowiedział. A jeśli nikt się nie odezwie i ona nie dostanie tu pracy? Co będzie, jeśli... Co się stanie, jeżeli... O godzinie dziesiątej była zupełnie wyczerpana zamartwianiem się. A poprosili, żeby szybko odpowiedziała, bo muszą obsadzić to stanowisko. Poinformowali ją, że kobieta, która bierze urlop macierzyński, już odchodzi, i chcieliby, żeby Brigitte przyjechała za dwa tygodnie. Miałyby więc czternaście dni, żeby zakończyć wszystkie swoje sprawy w Bostonie. Ale właściwie jakie sprawy? Nic jej tu nie trzymało. Miała mieszkanie, którego nigdy tak naprawdę nie lubiła, nie spotykała się z nikim i była bez pracy od czterech miesięcy. Zaczęła pisać książkę, którą mogłaby dokończyć w każdym innym miejscu, a może i najlepiej w Paryżu. Ale co z Amy? Z matką? Koło południa rozplakała się, a przed wieczorem wpadła w panikę. Kiedy o szóstej zadzwonił telefon, przestraszyła się, że to matka. Nie chciała, by Marguerite zorientowała się, że Brigitte jest zdenerwowana, i nie próbowała wyjaśniać powodów. Czowała się jak czterolatka, miała ochotę schować się w szafie. Telefon wciąż dzwonił. Podeszła, żeby sprawdzić, jaki numer się wyświetla, ale go

nie rozpoznała, odebrała więc i wtedy zdumiała się jeszcze bardziej. Ted. Nie odzywał się od czasu wyjazdu. Osłupiała, nie miała pojęcia, co się stało, że dzwoni. Czyżby żałował, że ją porzucił? Wtedy może nie musiałyby jechać do Paryża. To wszystko było przerażające.

- Cześć - powiedziała, siląc się na beztroski ton, i od razu poczuła się głupio. Znali się zbyt dobrze, przynajmniej kiedyś, żeby bawić się w takie gierki.

- Jak się masz, Brig? - Ted wydawał się w dobrym nastroju, a jego głos brzmiał pogodnie. Nie miała pojęcia, która u niego godzina i gdzie właściwie się znajduje.

- W porządku. Coś się stało? - Może był w szpitalu i jej potrzebował. Albo za dużo wypił i po pijanemu wykręcił do niej numer. Po czterech miesiącach milczenia wszystko możliwe.

- Nie, pracuje się świetnie. Zastanawiałem się, co u ciebie. Przykro mi, że tak się naknociło, kiedy wyjechałem. To było i dla mnie niełatwe.

- Tak, owszem. Mam się dobrze - odparła, ale jej głos brzmiał niepewnie. Ted wydawał się tego nie zauważać. - Pojechałam do Paryża, żeby poszukać pewnych informacji dla mojej mamy. - W tym momencie uświadomiła sobie, iż Ted nie wie, że wyrzucili ją z pracy. Nie chciała mu tego mówić.

- Wzięłaś sobie wolne?

- Hm... coś w tym rodzaju... Mam przerwę w pracy. Piszę książkę. Pisała od dziesięciu dni, ale tego nie powiedziała. Przynajmniej czymś się zajmowała. Ted prowadził wykopaliska dla wielkiego uniwersytetu i nie chciała wydać mu się żalosna.

- To wspaniale. - Nie zapytał jej, o czym pisze.

- Jak tam wykopaliska?

- Fantastycznie. Codziennie coś znajdujemy. Na początku był mały zastój, ale od zeszłego miesiąca idzie nam doskonale. I co jeszcze robisz?

- Niewiele. - Nie chciała wydać się nieudacznicą i zanim zdołała się powstrzymać, wygadała się, czy to z chęci zaimponowania mu, czy też by zapytać o radę. - Właśnie zaproponowano mi pracę w Paryżu. Nie wiem, co robić, Ted. - Znowu łzy napłynęły jej do oczu, ale on tego nie widział. - Dowiedziałam się o tym zeszłej nocy.

- Jaką pracę?

- W dziale rekrutacji na Uniwersytecie Amerykańskim w Paryżu. Na pół etatu, z mieszkaniem.

- Żartujesz? To coś dla ciebie. Przyjmij ją. - Obawiała się, że Ted to powie.

- Dlaczego tak myślisz? A jeśli mi się nie spodoba?

- W Paryżu może być źle? My tutaj nie mamy nawet kanalizacji. - Nagle Brigitte ucieszyła się, że nie jest tam razem z nim. - Jeżeli ci się nie spodoba - dodał - możesz z niej zrezygnować i wrócić do domu. Potrzebujesz odmiany, Brig. Wydaje mi się, że oboje jakoś wyrośliśmy z Bostonu i nie chcieliśmy sobie tego uświadomić.

- I z naszego układu też - odparła szczerze.

- Tak, to prawda. Zmiany są niełatwe. Wszystko staje się takie wygodne i nie ma się ochoty niczego przestawiać. Może dobrze ci zrobi, kiedy przez pewien czas poczujesz się trochę nieswojo i zajmiesz się czymś innym. Możesz nauczyć się francuskiego.

- To amerykańska uczelnia.

- We francuskim mieście. No nie wiem, Brigitte. Decyzja należy do ciebie, ale moim zdaniem to dar z nieba.

Siedziałaś już tyle czasu w Bostonie, jesteś dobra w tym, co robisz. A skoro proponują ci pół etatu, miałabyś czas na pisanie książki. Spróbuj. Czasami takie podejście jest właściwe. Nie masz nic do stracenia. Nic nie jest nieodwracalne oprócz śmierci. A przeprowadzenie się na jakiś czas do Paryża z pewnością dobrze ci zrobi. Może ci się tam spodoba.

Brigitte była tak zajęta rozpatrywaniem wszystkiego, co mogłoby pójść źle, że nie pomyślała o tym. Ale Ted miał rację. Może jej się tam spodoba. Tego nie wzięła pod uwagę.

- Wiem, że się boisz, Brig - podjął. - Wszyscy tak reagujemy.

Byłem cholernie wystraszony, kiedy tu przyjechałem, ale za nic bym tego nie przepuścił. Wiem, że to, co stało się z twoim ojcem, mocno tobą wstrząsnęło. Czasami jednak trzeba podjąć ryzyko. Jesteś zbyt młoda, żeby tego nie zrobić, a jeśli nie zaryzykujesz, pewnie zawsze będziesz tego żałować. Obawiałem się właśnie, że tak się stanie ze mną. Gdybym zrezygnował z wykopalisk ze względu na nas, zawsze miałbym do siebie żal. Nie chciałem, żeby tak się stało.

Brigitte rozumiała to, ale i tak wtedy czuła się zraniona.

- Mogłeś zabrać mnie ze sobą. - Przed jego wyjazdem nigdy mu tego nie powiedziała, ale dobrze było wyrazić to teraz.

- Nie, nie mogłem. Nie spodobałoby ci się tutaj. Uwierz mi, to nie Paryż. Jest gorąco, brudno i wszędzie kurz. Uwielbiam tu być, ale warunki życiowe są nędzne. Wiedziałem o tym z wykopalisk, które odwiedzałem wcześniej. Uciekłabyś stąd w ciągu dziesięciu minut.

- Tak, pewnie masz rację. - Uśmiechnęła się na tę myśl. -

Wygląda, że rzeczywiście jest tam okropnie.



- Ale ja uwielbiam to, co robię. Teraz ty trafiłaś na to, co tobie się podoba. Pisz książkę, jedź do Paryża, zmień pracę, znajdź człowieka, który zawróci ci w głowie i nie ucieknie po sześciu latach do Egiptu. Tęsknię za tobą, Brig, ale jestem szczęśliwy. Mam nadzieję, że to, co się wydarzyło, wyjdzie nam na dobre. Dlatego do ciebie dzwonię. Martwiłem się o ciebie i czułem się winny. Wiem, że to paskudne porzucać tak wszystko po sześciu latach. Musiałem jednak tak postąpić. Chcę, żebyś trafiła na to, co pragniesz robić. Kto wie, czy nie w Paryżu. Może tam właśnie jest to.

- Może - odparła w zamyśleniu. Dobrze, że się odezwał, ale już nie wydawał się jej bliski. I prawdopodobnie nigdy nie był. To ktoś, kogo znała, ale tak naprawdę nigdy nie łączyła ich silna więź. Zdała sobie z tego sprawę. I może nigdy nie byli dla siebie odpowiedni. Może też nigdy nie znajdzie właściwego mężczyzny. Ale Ted miał rację. Nie mogła siedzieć wiecznie w Bostonie, czekać, co życie jej przyniesie. Musiała je złapać za rogi, mimo że wydawało jej się to przerażające i ryzykowne. Co właściwie mogło jej zagrażać w Paryżu? Co do tego Ted też miał rację. Może jej się tam spodoba? A jeśli nie, to wróci do domu. Nagle ucieszyła się, że do niej zadzwonił. Dodał jej odwagi, której potrzebowała. Rozmowa z nim okazała się darem.

- Daj mi znać, na co się zdecydowałaś. Napisz do mnie od czasu do czasu.

- Dobrze - odparła cicho. - Dzięki, że zadzwoniłeś, Ted. Naprawdę mi pomogłeś.

- To nie ja. Sama wiesz, czego pragniesz. Po prostu to zrób. Podejmij ryzyko, Brig. To nie będzie takie straszne, jak sądzisz. Nigdy nie jest.

Podziękowała mu jeszcze raz i chwilę później się rozłączyli. Siedziała, wpatrując się w telefon. Dziwnie się czuła po rozmowie z nim, ale też w pewnym sensie dobrze. Zamknęli pewien rozdział. Oboje tego potrzebowali, a stało się to dopiero teraz, kiedy Ted zatelefonował. Był zbyt tchórzliwy, żeby zrobić to wcześniej, ale przynajmniej teraz się odważył.

Musiała się jeszcze zastanowić nad propozycją pracy, którą dostała. Nie chciała podejmować żadnych pochopnych decyzji. Potrzebowała paru dni. Rozważała, czy nie powinna zadzwonić do matki albo do Amy. Wróciła do komputera i jeszcze raz przeczytała otrzymany e-mail. Prosta i jasna oferta dotyczyła pracy w mieście, które Brigitte uwielbiała. I jednego przyjaciela już tam miała, Marca. Wiedziała, że to ktoś więcej niż tylko przyjaciel, ale z tym też nie chciała ryzykować. A wtedy, zanim zdołała zmienić zdanie, kliknęła na „odpowiedz”. Podziękowała za ich bardzo miłą propozycję. Napisała, że wie, jak wspaniała jest ich uczelnia i że odniosła bardzo miłe wrażenie podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Zdała sobie naraz sprawę, że pisze taki list, jakby zamierzała odrzucić ofertę. I wtedy nabrała powietrza i napisała następną linijkę. Aż miała ochotę krzyknąć. „Przyjmuję Pańską ofertę. Chciałabym też wynająć mieszkanie. Dziękuję bardzo. Do zobaczenia za dwa tygodnie”. Podpisała się i nacisnęła „wyślij”. Czuła, że zaraz zemdleje. Ale wreszcie podjęła decyzję! Jeśli jej się tam nie spodoba, może przecież zrezygnować i wrócić do domu. Zupełnie nowe życie właśnie się zaczęło.

## Rozdział 22

I o wysłaniu odpowiedzi na Uniwersytet Amerykański Brigitte myślała, żeby napisać do Marca, ale się powstrzymała. To mogłoby wyrzucić na obojgu presję i wzbudzić niepotrzebne nadzieje, wyobrażając sobie, co może się wydarzyć. Była już zdenerwowana z powodu nowej pracy i przez nadchodzące dwa tygodnie nie chciała dodatkowo martwić się tym, co Marc do niej czuje. Tak więc nic mu nie napisała. Kilka dni później przysłał jej e-mail, a ona odpisała mu tak, jakby u niej w Bostonie wszystko toczyło się normalnie. Powiadomiła go, że trochę pisze, pogoda jest piękna, spytała, jak jemu idzie pisanie książki. Listy, które do siebie wysyłali, były zwyczajne i przyjacielskie, a Brigitte chciała, żeby tak pozostało do czasu, aż przyjedzie do Paryża.

Dopiero po dwóch dniach zebrała się na odwagę, żeby zadzwonić do matki, a potem poczekała jeszcze jeden dzień, zanim powiadomiła Amy. Matka zdumiała się i zaniepokoiła, ale nie wydawała się zupełnie zaskoczona. Chciała wiedzieć, czy ma to coś wspólnego z pisarzem, który pomógł Brigitte w archiwach, ale ona zaprzeczyła; nie chciała przyznawać przed matką, a nawet przed sobą, że jest inaczej. Bez względu na powód wyjazdu matka uznała, że to świetny pomysł. Ubolewała, że Brigitte będzie tak daleko, ale uważała, że to dla niej wspaniała odmiana i właśnie czegoś takiego potrzebuje. Zdawała sobie sprawę, że życie córki utknęło w martwym punkcie. Paryż będzie dla niej cudowną odmianą. Obiecała, że przyjedzie i odwiedzi ją na jesieni, a po przeczytaniu materiałów zebranych przez Brigitte zapragnęła też zobaczyć zamek de Margeraców.

Brigitte zwlekała z powiadomieniem o wszystkim Amy. Czuła się winna, że wyjeżdża z Bostonu, jakby opuszczała przyjaciółkę, pozostawiając ją samą, by radziła sobie z dwójką małych dzieci. Ale taki był wybór Amy, kiedy zdecydowała się zostać matką, zresztą nigdy nie skarżyła się z tego powodu.

- Co takiego? - Amy wpatrywała się w Brigitte, kiedy ta powiedziała jej o swoich zamiarach, siedząc w jej kuchni. Wcześniej bąkała coś i spytała Amy, czy mogłaby wpaść do niej na parę minut. Przyjaciółka zorientowała się, że coś się dzieje, gdy tylko Brigitte weszła. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, przez moment Amy pomyślała, że wybiera się do Teda do Egiptu; miała nadzieję, że się myli. Zupełnie nieprzygotowana na wiadomość o Paryżu, wydawała się niemile zaskoczona.

- Podejmuję pracę na Uniwersytecie Amerykańskim i przenoszę się do Paryża - powtórzyła Brigitte ze zbolaną miną. Trudniej było poinformować o tym przyjaciółkę, niż jej się wydawało, ale musiała to zrobić. Wyjeżdżała za dziesięć dni.

- Cholera jasna, dziewczyno! - zawołała Amy z zachwytem. - Fantastycznie! Jak do tego doszło i kiedy? Nie mówiłaś mi, że ubiegasz się u nich o pracę.

- Nie ubiegałam się... to znaczy, tak... ale nie miałam zamiaru jej podjąć. Marc umówił mnie na rozmowę ze swoim znajomym. Poszłam tylko dlatego, żeby nie czuł się głupio. Napisali do mnie trzy dni temu. Byłam za bardzo wystraszona, żeby ci powiedzieć. Myślałam, że się zmartwisz. - Uśmiechnęła się z ulgą do uradowanej przyjaciółki. Amy to najbardziej wspaniałomyślna osoba, jaką Brigitte знаła, i zawsze cieszyła się z osiągnięć oraz sukcesów ludzi, a nie z ich porażek, jak niektórzy.

- Pewnie, że się zmartwiłam. Będzie mi ciebie brakować. Ale tutaj nie ma nic dla ciebie. Tu masz już wszystko z głowy. Przez jakiś czas było w porządku, ale Ted wyjechał, twoja praca zniknęła i ty też mogłabyś ruszyć stąd tyłek i spróbować czegoś nowego. A co może być lepszego od Paryża. Co na to ten facet? Marc czy jak mu tam.

- Nie powiedziałałam mu jeszcze o tym. A do tego człowieka, który mnie zatrudnił, napisałam e-mail z prośbą, żeby też mu nie mówił. W tej chwili nie czuję się na siłach, to dla mnie zbyt duże obciążenie. Nie mogę jednocześnie radzić sobie z nową pracą i jego oczekiwaniami.

Amy spojrzała ze zdumieniem. Myślała, że Marc ma więcej z tym wspólnego, niż się wydawało. Brigitte niepokoiła się także o niego, nie tylko o pracę.

- Zamierzasz mu powiedzieć, kiedy się tam znajdziesz? Amy uważała, że to bardzo dziwne, ale znała Brigitte dobrze i wiedziała, że nie lubi żadnych zmian i ma awersję do podejmowania ryzyka. A właśnie teraz Brigitte miała do czynienia i z jednym, i z drugim. Była piekielnie wystraszona. Ale mimo to wyjeżdżała. Po raz pierwszy nie wybrała łatwej drogi, tylko stawiała czoło wyzwaniom, nie zważając na zagrożenia. Pomagała jej książka o Wachiwi, którą zaczęła pisać. Stale przypominała jej o tym, jak odważni są niektórzy ludzie i jak dobrze czasami się układa. Historia Indianki miała szczęśliwe zakończenie. Brigitte nabierała przekonania, że i jej życie może się dobrze potoczyć. Nie mogła wiecznie tkwić w króliczej norze, bojąc się wychylić. - Tak, powiem mu, kiedy tam dojadę. Nie teraz. - I wyznała po chwili: - Za bardzo się boję. Co zrobię, kiedy jeszcze przed wyjazdem dostanę tutaj dobrą propozycję z ja-

kiejś uczelni? - Zamartwiała się tym od kilku dni. Gdyby tak się stało, miałyby dylemat.

- Odrzuciłabyś ją, niemądra. Paryż czy Boston? Wybór jest łatwy.

- Może dla Amy, ale nie dla Brigitte. Przy podejmowaniu decyzji nigdy nie wykazywała takiej odwagi jak Amy i wcale tego nie pragnęła. Chciała urodzić dzieci, ale nie w taki sposób jak przyjaciółka, która poszła do banku spermy. Wydawało się jej to zbyt niepewne, a samotne wychowywanie dzieci stanowiłoby dla niej zbyt wielką odpowiedzialność. Pozostanie bezdzietna, jeśli nigdy nie wyjdzie za mąż i nie znajdzie odpowiedniego mężczyzny. Różniła się od Amy i miała inne potrzeby.

Rozmawiały ze sobą jeszcze trochę i Amy wpadła w panikę, kiedy sobie uzmysłowiła, że przyjaciółka wyjeżdża za dziesięć dni. Brigitte miała jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

Postanowiła pozbyć się wielu rzeczy, a resztę oddać na przechowanie. Kawalerka, którą proponowali jej w Paryżu, była umeblowana, a Brigitte nie chciała zabierać ze sobą dużo rzeczy. Spytała Amy, czy nie chciałaby czegoś, a ta odparła, że wpadnie w tygodniu, zanim Brigitte wywiezie meble, i zobaczy.

- No więc kiedy powiesz temu facetowi? - zapytała Amy, niezwykle zaintrygowana związkiem przyjaciółki z Markiem.

Brigitte wciąż powtarzała, że są tylko przyjaciółmi, ale ona jej w to nie wierzyła. Oczy Brigitte jaśniały, ilekroć wspominała o Marcu, i zbytnio podkreślała, że to „tylko przyjaźń”.

- Powiem mu, kiedy znajdę się w Paryżu. Może po tym, gdy się trochę zadamowię.

- Nie czekaj zbyt długo - ostrzegła Amy. - Jeśli on jest atrakcyjny, ktoś inny może ci go sprzątnąć sprzed nosa.

- Jeśli tak się stanie, znaczy, że nie był mi przeznaczony - odparła Brigitte spokojnie. Pomyślała o Wachiwi, która zakochała się w Jeanie i wyjechała z nim do Francji, a skończyło się tak, że poślubiła jego brata. Nigdy nie można do końca przewidzieć, co się wydarzy. We wszystkim tkwił jakiś losowy element, którego nie dało się wyjaśnić. Również w jej związku z Markiem. Czymkolwiek to się okaże, będzie właściwe. Nie zamierzała niczego przyspieszać.

Powiedziała Amy o telefonie od Teda i znów zaskoczyła przyjaciółkę.

- Czego chciał?

- Chyba jakiegoś rodzaju podsumowania. Ale jest w porządku. Najpierw poczułam się dziwnie. Zadzwoił zaraz po tym, jak dostałam e-mail z Uniwersytetu Amerykańskiego i wpadłam w histerię. Właściwie to mi pomógł. Uważa, że powinnam podjąć tę pracę.

- Z pewnością tak myśli. Bo gdy wyjedziesz do Paryża i rozpoczniesz nowe życie, on nie będzie musiał się czuć winny, że tak nagle cię porzucił w walentynkowy wieczór. Oburzyła ją brutalność Teda, okazał się dupkiem, rozstając się z Brigitte. Straciła dla niego cały szacunek i bardzo żałowała przyjaciółki.

- Ostatecznie może wyszło mi to na dobre. Mogłabym zmarnować kolejne pięć czy sześć lat. To nigdy nie było takie, jak trzeba. Tyle że nie chciałam tego widzieć. - Mógłby zachować się lepiej. - Owszem, mógł. Ale nawet nie jestem już na niego zła. Chociaż dziwnie mi się z nim rozmawiało. Jak z kimś nieznanym. Może zawsze byliśmy sobie obcy. Amy pokiwała głową, nie komentując tego. Nigdy nie myślała zbyt wiele o tym związku ani o Tedzie; ten facet

wydawał się zupełnie pozbawiony namiętności i pasjonował się tylko pracą. Miała nadzieję, że przyjaciel z Paryża okaże się lepszy, jeśli Brigitte zdecyduje się z nim związać. Zastanawiała się, czy tak się stanie, ale zaczynało jej się to wydawać prawdopodobne. I nie będzie już mogła robić uników, korzystając z wymówki, że mieszkają daleko od siebie. Może właśnie dlatego obawiała się powiedzieć mu o wszystkim. Chciała zapewnić sobie wybór, a przynajmniej tak jej się wydawało. Amy bardzo chciała, żeby Brigitte znalazła odpowiedniego mężczyznę. Miała nadzieję, że Marc jest kimś takim.

Brigitte spędziła resztę tygodnia na wrzucaniu do pudeł rzeczy, które chciała zatrzymać, i odkładaniu na stos innych, przeznaczonych do oddania. Pozbyła się książek, nic nieznaczących już dla niej pamiątek, sprzętu sportowego pozostawionego przez Teda. Była zdumiona, ile tego wszystkiego zgromadziła. I ułożyła małą stertę rzeczy, które chciała wysłać do paryskiego mieszkania: zdjęcia matki, kilka encyklopedii oraz napisanych przez siebie rozpraw i parę przedmiotów o sentymentalnym znaczeniu, których pewnie by jej brakowało, gdyby oddała je do przechowalni. Wśród nich znalazły się fotografie, przedstawiające ją z rodzicami, kiedy była mała, oraz Amy z dziećmi. Odłożyła na bok wszystkie swoje zdjęcia z Tedem. Już ich nie potrzebowała i od miesięcy myślała, żeby je gdzieś schować. To był dobry czas na posortowanie wszystkiego i pozbycie się tego, co zbędne. Włożyła do pudełka wszystkie pamiątki związane z Tedem i wysłała je do przechowalni. Nie potrafiła zdobyć się, by wyrzucić je na śmietnik.

Wreszcie miała już to za sobą. Mieszkanie było puste, walizki spakowane, a meble oddane na przechowanie. Amy



wzięła kilka rzeczy i Brigitte dała jej też sofę, którą kupiła kiedyś razem z Tedem. Już jej nie potrzebowała, a jeśli nawet wróci, będzie wolała zacząć od nowa. Ale teraz zaczynała wszystko od początku w Paryżu.

Jej ostatni wieczór z Amy pełen był śmiechu i łez. Wspominały różne niemądre rzeczy, które razem przeżyły, dowcipy, jakie robiły sobie nawzajem, oraz wspólnych przyjaciół. Brigitte przypomniawszy sobie narodziny obu synów Amy, przy których była obecna. A teraz wybierała się do miejsca oddalonego o pięć tysięcy kilometrów, ale przyjmowała to ze spokojem.

- Wiem, że to zabrzmiało głupio - powiedziała do Amy, kiedy siedziały w jej kuchni - ale czuję się, jakbym wreszcie dorosła.

Chyba długo podążałam siłą rozpędu, nie wiedząc o tym. Po raz pierwszy podjęłam ważną decyzję, a nie dałam się ponieść biegowi wypadków ani nie wykazałam przesadnej ostrożności.

- Wydaje mi się, że decydując się na to, trafiłaś w sedno - pochwaliła Amy. Popierała wybór Brigitte i wyjazd do Paryża. A nawet jeśli się okaże, że praca nie jest odpowiednia, i tak warto spróbować, może otworzy to jakieś inne możliwości. Mówiła już o tym Brigitte. - Mam nadzieję, że z Markiem też się dobrze ułoży.

- Nie oczekuję niczego poza przyjaźnią. - Prawdę mówiąc, Brigitte niezupełnie w to wierzyła.

- Czego ty pragniesz, Brig? Gdybyś miała czarodziejską różdżkę, czego byś sobie zażyczyła? Życia z tym facetem czy z kimś innym? - Brigitte zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Nie znam go na tyle dobrze, żeby to wiedzieć. Ale może wybrałabym życie z nim. To dobry człowiek i napraw-

dę go lubię. Świetnie się dogadujemy i chyba szanujemy siebie nawzajem, poza tym mamy wiele ze sobą wspólnego. To dobre na początek.

- Też mi się tak wydaje. - Amy się uśmiechnęła. - Będę trzymać kciuki, żeby wam się udało. Chociaż strasznie będzie mi Ciebie brakować, jeśli tam zostaniesz.

- Boston nie jest tak daleko. Przyjadę w odwiedziny. I tak będę wpadać do Nowego Jorku, żeby odwiedzić mamę.

- A jeśli mnie uda się kiedyś okiełznać tych moich małych Indian, przyjadę do Europy. - Obie jednak wiedziały, że nie stanie się to szybko. Poza tym Amy potrzebowała każdego dolara na utrzymanie dzieci. Nikt jej nie pomagał, więc decyzja o urodzeniu ich wydawała się jeszcze bardziej odważna.

- Będę do Ciebie dzwonić - obiecała Brigitte, wychodząc. Poza tym miały e-maile. Często do siebie pisały, nawet w Bostonie.

Zamieszkanie w odległości pięciu tysięcy kilometrów od Amy spowoduje wielką pustkę w jej życiu. Brigitte przywykła, że przyjaciółka zawsze jest w pobliżu, oddalona o kilka minut drogi. Płakały, obejmując się, a potem Brigitte zbiegła ze schodów, machając ręką na pożegnanie, i poszła na piechotę do domu. Tydzień wcześniej sprzedała samochód i otrzymała za niego przyzwoitą sumę. Zwinęła wszystko w ciągu dziesięciu dni. Dwanaście lat życia w Bostonie dobiegło końca.

Żadna z uczelni, do której wysłała swoje CV, nie złożyła jej propozycji pracy w ostatniej chwili. A więc decyzja o zatrudnieniu się w Paryżu okazała się słuszna. Brigitte zastanawiała się mimowolnie, czy to jedyna oferta, jaką w ogóle by dostała.

Kilka dni wcześniej napisała Tedowi w esemesie, że wyjeżdża i dziękuje mu, że ją do tego namówił. Naprawdę

jej pomógł. Potrzebowała zachęty, żeby skoczyć na głęboką wodę. I teraz czekała, żeby zobaczyć efekty odważnego skoku. Musiała się przekonać, co się stanie, kiedy dotrze na Uniwersytet Amerykański i spotka się znowu z Markiem.

Rankiem, po pożegnaniu się poprzedniego dnia z Amy, Brigitte wynajęła samochód i pojechała do Nowego Jorku. Nie chciała przewozić dwóch wielkich walizek samolotem na krótkiej trasie, a prowadzenie samochodu sprawiało jej przyjemność. Był piękny czerwcowy dzień, słońce świeciło, a ona śpiewała w czasie jazdy. Czowała się dobrze, że zdecydowała się na wyjazd.

Spędziła trzy dni z matką. Poszły do teatru i na kolację.

Marguerite pochwaliła się, jak uporządkowała informacje; świetnie pasowały do reszty zebranych przez nią materiałów.

Wszystko było poukładane i teraz mogły z łatwością prześledzić dzieje swojej rodziny aż do roku 1750. Wciąż chciała szukać przodków z wcześniejszego okresu, aż do czasów, kiedy zbudowano zamek w XII wieku, ale była teraz na dobrej drodze i uważała, że zdoła poradzić sobie z tym sama.

- Jak tam twoja książka? - zapytała córkę przy kolacji.

- Nie miałam na nią czasu, bo zajmowałam się pakowaniem.

Wrócę do pisania w Paryżu.

- To wszystko jest bardzo ekscytujące. - Marguerite się uśmiechnęła. - Nowa praca i książka, nowe miasto, a może i nowy mężczyzna.

Miała nadzieję, że córce się uda. Obojętnie, czy będzie z Markiem, czy z kimś innym, byle czuła się szczęśliwa. Ostatnio wydawała się bardzo zadowolona. Właściwie od chwili powrotu z Francji.

Kiedy matka widziała ją ostatni

raz, Brigitte była wciąż rozemocjonowana podróżą i wszystkim, co odkryła. Od tamtego czasu miała kilka paskudnych dołków, które doprowadziły ją do podjęcia decyzji o wyjeździe z Bostonu. Teraz niczego nie żałowała i tylko trochę się bała. Dzień po dniu nabierała większego przekonania o słuszności swojej decyzji. Czuła się pewna siebie, jeśli chodzi o pracę. Wielki znak zapytania stanowił dla niej Marc. Napisali do siebie kilka e-maili, wszystkie bardzo przyjazne. Zajęcia na uczelni powoli się kończyły, zbliżało się lato i Marc był zachwycony. Napisał, że wybiera się w sierpniu w góry na wakacje, by odwiedzić dalekich kuzynów, a lipiec spędzi w Paryżu. Pytał Brigitte, co zamierza robić, a ona odpisała, zresztą zgodnie z prawdą, że nie ma jeszcze ustalonych planów. Chciała zaaklimatyzować się w pracy i przyzwyczać do życia w nowym mieście. Powiadomiła go, że dostała nową pracę, ale nie wyjawiała gdzie. A on zapomniał spytać, na jakiej uczelni, a więc nie musiała migać się od odpowiedzi. Nie kłamała, tylko po prostu nie mówiła mu wszystkiego. To grzech wynikający z zaniedbania, a nie z faktu popełnienia złego czynu. Zamierzała mu podziękować, że ją poznał ze swoim znajomym z Uniwersytetu Amerykańskiego, ale jeszcze nie teraz. Chciała najpierw się z nim spotkać, zanim powie mu cokolwiek, i zobaczyć, jak się ze sobą czują. W ich relacji pojawiły się wcześniej sprzeczności: przyjaźnili się ze sobą, co sprawiało radość im obojgu, i całowali się pod wieżą Eiffla. Brigitte nie wiedziała, jaką drogą podążą, czy też czego ona sama pragnie: przyjaciela czy partnera i kochanka. Teraz nie będzie w mieście przejazdem. Zamieszka tam na stałe, a więc związek miałby obecnie sens dla obojga, nie byłby tylko przypadkowy. Nie chciała popełniać takiego samego błędu jak z Tedem

i pakować się w coś zbyt łatwo, nie zadając właściwych pytań ani Marcowi, ani sobie. Teraz potrzebowała odpowiedzi, zanim zrobi jakikolwiek krok. Nie zamierzała być leniwa ani zalekniona, tylko mądra, i chciała mieć szeroko otwarte oczy, nie tylko serce.

Tego wieczoru, kiedy miała opuścić Nowy Jork, zjadła z matką wczesną kolację. Rozmawiały do momentu wyjazdu Brigitte na lotnisko, a potem matka objęła ją mocno na pożegnanie.

- Uważaj na siebie, kochanie. Baw się dobrze; mam nadzieję, że poznasz tam wspaniałych ludzi i wszystko się świetnie ułoży. Obiecały kontaktować się regularnie i Brigitte wiedziała, że na pewno dotrzymają słowa. Zawsze telefonowały do siebie często i martwiły się o siebie nawzajem. W oczach Marguerite pojawiły się łzy, gdy całowały się na pożegnanie. Pragnęła przede wszystkim, żeby córka była szczęśliwa. Brigitte sama sobie tego życzyła i liczyła na to, że odnajdzie w Paryżu szczęście. Kiedy jechała z walizkami windą na dół, czuła podniecenie na myśl, że dokładnie za dziewięć godzin znajdzie się w tym mieście. Nie mogła się już tego doczekać.

## Rozdział 23

Leciała samolotem linii Air France, który wystartował o północy. Miał wylądować w Paryżu w południe czasu miejscowego. Dział kadr poinformował ją wcześniej, że klu-

cze będą u dozorczyń w budynku, gdzie znajdowało się jej mieszkanie, i wysłali jej e-mailem adres. Było to przy rue du Bac, blisko domu Tristana i Wachiwi, co wydało jej się pomyślnym znakiem. "

Lot trwał sześć godzin i tyle samo wynosiła różnica czasu między Paryżem a Nowym Jorkiem. Samolot nie był zatłoczony, a obsługa okazała się wspaniała. Obok Brigitte nikt nie siedział, mogła więc się położyć; przykryła się kocem i zasnęła. Po obudzeniu czuła się wypoczęta i przed lądowaniem zjadła śniadanie. Rogaliki, jogurt, owoc i kawę. A potem już samolot osiadł na ziemi. Przeszła bez problemów przez kontrolę paszportową i celną, znalazła wózek na walizki, które akurat się zmieściły do paryskiej taksówki. Podała kierowcy adres po francusku. Pokiwał głową i pojechali zatłoczonymi ulicami z Rois-sy do centrum Paryża. Dotarcie tam zabrało im niemal godzinę. Brigitte przyglądała się wszystkiemu, kiedy dojechali do miasta. Ulice na lewym brzegu Sekwany wyglądały znajomo po jej pobycie w kwietniu i ucieszyła się, kiedy w drodze do nowego mieszkania przejechali obok domu Tristana przy rue du Bac. Markiz i Wachiwi stali się częścią jej życia i czuła, że jeszcze bardziej się z nimi zwiąże, gdy napisze książkę, wtedy ożyją w jej myślach. Miała wrażenie, jakby byli teraz jej najlepszymi przyjaciółmi lub ukochanymi krewnymi, z którymi nie mogła się doczekać spotkania. Będzie mogła ujrzeć ich na kartkach książki. Zapłaciła taksówkarzowi, wystukała kod przy bramie, otworzyła ją i przeszła przez wąski korytarz na podwórze, a tam nacisnęła guzik z napisem „dozorca”. Mieszkała tam kobieta, która opiekowała się budynkiem. Sama kamienica wyglądała uroczo i staroświecko, ale wszystko było dobrze

utrzymane i czyste. Dozorczyńni wiedziała od razu, kim jest Brigitte, dała jej klucze, wskazała do góry i powiedziała: *Troisième étage*. Trzecie piętro. Brigitte podziękowała jej i dostrzegła małą windę, przypominającą klatkę, niewiele większą od kosza na chleb. Ułożyła swoje walizki jedną na drugiej, a sama wbiegła po schodach. Dla niej nie starczyło już miejsca. Na górze wyciągnęła z windy bagaże. Wiedziała już, że trzecie piętro we Francji to odpowiednik czwartego w Stanach Zjednoczonych, a kiedy tam dotarła, brakowało jej tchu.

Otworzyła drzwi do mieszkania; ludzie z uczelni mówili, że jest małe, ale wyglądało lepiej, niż się spodziewała. Rozciągał się z niego otwarty widok nad dachami innych budynków; niedaleko w dole ujrzała ogród klasztorny pełen drzew, a zapało jej dech, kiedy spojrzała prosto przed siebie i zobaczyła wieżę Eiffla w całej okazałości; nocą, kiedy zacznie migotać, Brigitte będzie miała pokaz świateł specjalnie dla siebie. Mieszkanie było doskonałe. Cogodzinne fajerwerki i iskry tryskające w ciemności z wieży będą widoczne przez jej okno. Nie mogła się tego doczekać. Usiadła i rozglądała się wokoło przez chwilę, a potem przeszła się po mieszkaniu. Uśmiechała się. Znajdowały się tam mała kuchnia z miniaturową kuchenką, mikrofalówka i lodówka niedużych rozmiarów, do której ledwie zmieszczą się produkty spożywcze. Wszystko jednak wyglądało czysto i schludnie. Brakowało sypialni i był tam tylko jeden spory pokój, gdzie można spać i przebywać w ciągu dnia; Brigitte uświadomiła sobie, że nawet z łóżka będzie widziała wieżę Eiffla. Pod oknem stał okrągły stół, a przy nim cztery krzesła. Meble, choć używane, mogły się podobać. Tapicerka miała barwę jasnobeżową, a atlasowe zasłony kolor przy-

brudzonego rózu. Przed kominkiem stały dwa duże skórzane fotele, a po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko łóżka niewielka kanapa. Pokój wydawał się duży, by podejmować w nim gości i mieszkać, ale najlepszy był widok z okna. Okazało się, że łazienka jest wyłożona marmurem, a wanna przyzwoitych rozmiarów. Brigitte miała więc wszystko, czego potrzebowała; rozpromieniona usiadła na łóżku.

- Witaj w domu - powiedziała głośno i poczuła się jak u siebie. Miała jeszcze walizki do rozpakowania, ale nie chciała teraz ich otwierać. Najpierw musiała zrobić coś innego. Długo już to odkładała. Wybrała na telefonie komórkowym numer Marca. Odezwał się zaskoczony. Dzwoniła do niego tylko raz od kwietnia, a zazwyczaj porozumiewali się za pomocą e-maili. Wydawał się zdziwiony, kiedy ją usłyszał, ale też bardzo zadowolony.

- Dzwonię nie w porę? - spytała ostrożnie. W tle słyszała hałas i Marc sprawiał wrażenie zajętego.

- Ani trochę. Leniuchuję. Siedzę w kafejce. Tej naprzeciwko twojego hotelu, do której poszliśmy pierwszy raz na kawę. Często tu przychodzę.

Uwielbiał tu wpadać, bo miejsce przypominało mu o Brigitte. Wiedziała dokładnie, gdzie to jest. Rozmawiając z nim przez telefon, chwyciła sweter, wyszła z mieszkania i zamknęła drzwi na klucz. Nie przerywając pogawędki, zbiegła po schodach. Marc znajdował się tylko kilka przecznic dalej i łatwo mogła tam trafić.

- Gdzie ty jesteś? - Chciał wyobrazić sobie miejsce, w którym przebywała. Upajał się brzmieniem jej głosu, a ona biegła z uśmiechem, starając się nie tracić tchu. Minęła podwórze, bramę, i wyszła na rue du Bac.



- Właśnie wyszłam z domu, idę ulicą. - To tłumaczyło hałas wokół niej. - Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie, żeby się przywitać.  
- To miło z twojej strony. - Wydawał się zadowolony. Chciał powiedzieć, że za nią tęskni, ale się nie odważył. Już wcześniej dała mu do zrozumienia, że mogą być tylko przyjaciółmi, skoro mieszkają tak daleko od siebie. Ale chociaż tego nie mówił, tęsknił za nią. Na krótki czas wypełniła jego dni i wieczory i odkąd wyjechała, jego życie stało się smutne. Myślał o tym, żeby któregoś dnia pojechać do Bostonu i się z nią zobaczyć, ale jeszcze jej o tym nie wspominał. Zamierzał powiedzieć jej wkrótce i zobaczyć, jak ona na to zareaguje. - Jak ci idzie książka?  
- Przez ostatnie dwa tygodnie nie miałam czasu się nią zajmować. Byłam za bardzo zajęta.  
- A jak tam w nowej pracy?  
- Jeszcze jej nie zaczęłam. Pierwszy raz idę tam w przyszłym tygodniu.

Był zawiedziony, że nie podjęła pracy w Paryżu, ale tego też jej nie powiedział. W tym momencie stała już po drugiej stronie ulicy i dostrzegła go w kafejce. Siedział przy niewielkim stoliku i wyglądał tak jak dawniej. Skrócił tylko nieco włosy i miał na sobie marynarkę, w której kiedyś go widziała i którą lubiła. Serce zamarło jej na chwilę, gdy tak na niego patrzyła, a on jej jeszcze nie dostrzegł. Był kimś więcej niż tylko przyjacielem. Wiedziała, że nie będzie mieć wątpliwości, kiedy znowu go zobaczy, i tak właśnie się stało. Stojąc tam, zamilkła z uśmiechem na ustach, szczęśliwa, że wróciła. Zastanawiała się, czy Wachiwi tak właśnie się czuła, kiedy ujrzała po raz pierwszy Jeana lub swojego przyszłego męża. Coś drgnęło w piersi Brigitte i była pewna, że

to jej serce. Przez dłuższą chwilę się nie odzywała, zaabsorbowana tym, co widzi, i dostrzegła, że Marc się zaniepokoił.

- Jesteś tam? - Myślał, że rozmowa została przerwana, i Brigitte się roześmiała. A wtedy zobaczyła, że i on się uśmiecha. Zabawne było obserwowanie go, kiedy nie wiedział, że ona na niego patrzy.

- Nie tam, tylko tu - przekomarzała się z nim.

- Gdzie? Co masz na myśli?

Oboje się roześmiali i Marc, jakby wyczuwając jej obecność, odwrócił się i zobaczył Brigitte: szła wolno ulicą. Wstał i tylko patrzył na nią, a potem ruszył w jej stronę. Spotkali się na chodniku i spojrzał na nią najłagodniejszym wzrokiem pełnym miłości, jaki kiedykolwiek widziała. - Co ty tu robisz? -

Zaskoczyła go totalnie. Była niczym zjawą, jakby jego życzenia się spełniły i nagle się pojawiła. - Wiele rzeczy - odparła tajemniczo. - Dostałam tu pracę... tę, którą mi znalazłeś na Uniwersytecie Amerykańskim. Zamierzałam ci podziękować, ale chciałam ci zrobić niespodziankę, kiedy tu przyjadę.

- A kiedy przyjechałaś? - Chciał wiedzieć wszystko i promieniał radością, kiedy ludzie obchodzili ich dookoła, gdy tak stali twarzą w twarz, trzymając się za ręce. Paryżanie są przyzwyczajeni do zakochanych i nikt się nie skarżył ani nie przejmował tym, że blokują chodnik, a oni też o to nie dbali. Widzieli tylko siebie. - Jakies trzy godziny temu. Dali mi mieszkanie przy rue du Bac. Mam wspaniały widok z okna na wieżę Eiffla. Kawalerka jest wielkości znaczka pocztowego, ale bardzo mi się spodobała. - Miała nadzieję, że i Marc polubi to miejsce. Wielkie skórzane fotele będą akurat dla niego, kiedy przyjdzie ją odwiedzić.

- I będziesz tu pracować? - Patrzył na nią z niedowierzaniem i zachwytem. Dla niego było to jak święta Bożego Narodzenia w środku czerwca i dla niej pewnie też. Chciał, aby świadomie podjęli tę decyzję oboje, a nie tylko on, i Brigitte właśnie to zrobiła.

- Trzy dni w tygodniu i będę pisać książkę.

- Jak długo? - Już wydawał się zaniepokojony; nie chciał, żeby wyjeżdżała.

- Zaproponowali mi pracę na rok. A potem zobaczymy. - Pokiwał głową. Może do tego czasu Brigitte będzie zajmować się tylko pisaniem książki i mieszkać z nim. Bardzo na to liczył. Miał mnóstwo planów dla nich, oczywiście, jeśli ona na nie przystanie. I wtedy Brigitte spojrzała na niego nieśmiało. Chciała, żeby poznał resztę. Ostatnim razem okazał jej wielką cierpliwość i uznała, że powinna mu powiedzieć. Nie wyjawiała jeszcze tego nikomu. Najpierw chciała się z nim zobaczyć. - Nie przyjechałam tylko z powodu pracy - szepnęła, gdy zbliżył się do niej i dotknął jej twarzy długimi delikatnymi palcami, które zapamiętała, kiedy całowali się ostatnim razem. Wtedy też dotknął jej w taki sposób.

- A więc po co przyjechałaś? - Oboje zapomnieli o telefonach i wciąż trzymali je w rękach, nie przerywając połączenia.

Połączenia, które nigdy nie zostanie zerwane i gdy szczęście dopisze, potrwa wiecznie. - Dla ciebie... dla nas... żeby zobaczyć, co się stanie, kiedy będziemy mieszkać w tym samym mieście...

- To bardzo odważne z twojej strony. - Całował ją, a potem znowu na nią popatrzył.

- Wachiwi pomogła mi to zrobić. Pomyślałam, że skoro ona mogła być taka odważna, to i ja potrafię. Chciałam podjąć ryzyko.

- Pierwszy raz w życiu.

- A co chciałybyś, żeby się stało?

- To, co ma się stać. Muszę się dowiedzieć, co to takiego i kim dla siebie jesteśmy.

- Chyba wiemy.-

Skinęła głową, a Marc odszedł, żeby zostawić pieniądze na stoliku w kafejce, po czym wrócił, objął Brigitte i odprowadził ją do domu. Miał ze sobą teczkę i kołysał nią, gdy szli rue du Bac. Oboje spostrzegli dom Tristana, przechodząc obok, i uśmiechnęli się, a minutę później byli już pod nowym adresem Brigitte; zaprosiła Marca na górę. Wbiegli susami po schodach jak szczeniaki, przekomarzali się i śmiali. Brigitte wyciągnęła klucze, otworzyła drzwi i weszli do środka. Marcowi też spodobało się to, co zobaczył. Było tutaj przytulnie, i choć mieszkanie miało tylko jeden pokój, wcale nie wydawało się małe. Nawet dla dwojga całkiem znośne. Stanęli przy oknie, podziwiając widok. Spoglądali na ogród klasztorny w dole, a potem na wieżę Eiffla. Mieli urocze paryskie mieszkanie. Marc otoczył Brigitte ramionami i pocałował z całą tęsknotą, jaka nagromadziła się w nim przez dwa miesiące samotności. Ten okres wydawał mu się wiecznością, a tak naprawdę nie trwał długo. Marc nie chciał, by Brigitte stąd wyjechała. Pragnął, żeby pozostała w Paryżu, by odkrywać z nim cuda tego miasta, był jak Tristan, który przywiózł tu Wachiwi i zabrał ją na królewski dwór.

- Kocham cię, Brigitte - powiedział z ustami przy jej szyi, po czym znowu ją pocałował i nagle się zaniepokoił, że ją wystraszył, posunął się za daleko, ale kiedy spojrzał jej w oczy, nie zobaczył w nich lęku. Uśmiechała się do niego, zupełnie spokojna i rozluźniona. - Ja też cię kocham. - Tym razem nie miała żadnych wątpliwości ani obaw. Wiedziała, że tak właśnie ma być.

Poszukiwania indiańskiej krewnej z dawnych czasów doprowadziły Brigitte do Marca, a on odnalazł ją zrzędzeniem losu. Zdarzył im się cud. To było przeznaczenie. Ziścił się idealny plan. Wiedzieli, że Brigitte zostanie w Paryżu. Tak jak przed dwustu laty młoda Indianka z plemienia Siuksów.